

HÅKAN ÖSTLUNDH

OFIARA

Przekład Maciej Muszalski



HÅKAN ÖSTLUNDH

OFIARA

Przekład Maciej Muszański



Tytuł oryginału: *Blot*

Copyright © Håkan Östlundh, 2023

This edition: © Word Audio Publishing International/Gyldendal A/S, Copenhagen 2023

Projekt graficzny okładki: Marcin Słociński

Redakcja: Anna Poinc-Chrabąszcz

Korekta: Aneta Iwan

ISBN 978-91-8054-478-8

Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń jest przypadkowe.

Word Audio Publishing International/Gyldendal A/S

Klareboderne 3 | DK-1115 Copenhagen K

www.gyldendal.dk

www.wordaudio.se

Hansowi-Erikowi

CZĘŚĆ PIERWSZA

*udaję zwyczajnego
tak zwyczajnego jak większość
udaję zwyczajnego
tylko jak ludzie to robią?
co wtedy robią?
co robicie?*

OLLE LJUNGSTRÖM

Niedziela, 22 października, szpital Karolinska, Solna

Unosił się w ciemności, rozkołysany i pozbawiony ciężaru, pośród czegoś, co było nie tylko nocą. Świat nie miał końca ani początku. Gęsta czerń mogła być właśnie nicością. A jednak istniał, miał świadomość ruchu i kołysząc się, sunął przez pokój. Albo w próżni.

Czy to było doświadczenie śmierci? Czyżby właśnie tak wyglądało balansowanie na granicy życia i śmierci? Na ziemi niczyjej, gdzie człowiek nie jest ani żywy, ani martwy? Czy po prostu umarł? Nie było mu nieprzyjemnie, nie czuł bólu ani w ogóle niczego prócz wrażenia, że się kołysze w wielkiej czarnej przestrzeni. Czy kiedy ten ruch dobiegnie końca, on przestanie istnieć? Czy ten ruch oznacza życie? Końcówkę życia? Ale przecież w jego głowie zachodziły procesy myślowe. A skoro tak, to na pewno żył. Prawda? Kiedy się zastanowił, o czym myśli, doszedł do wniosku, że o czymś innym niż huśtanie. Czy to w ogóle może się liczyć jako myśl? Nie ma nic więcej? Żadnych innych myśli, które są nim? Próbował, próbował... Ale jak można próbować? To niemożliwe. Istniały tylko noc i ruch.

Antonia Capucci i druga pielęgniarka, w tym samym wieku, czekały przy tylnych drzwiach karetki. Szeroko otwierały oczy w ciemności, ale nie widziały zbyt wiele, bo oślepiały je reflektory lądowiska dla helikopterów znajdującego się na dachu.

Słyszały to na długo przed tym, jak zobaczyły. Wściekły ryk silników i szum śmigła przecinającego powietrze, tam, w górze, pośród czarnej nocy.

– Zadzwoń na blok operacyjny – oznajmiła druga pielęgniarka i ruszyła do telefonu ściennego.

Antonia jeszcze raz przejrzała notatki na tablecie.

Mężczyzna, czterdzieści cztery lata, nieprzytomny, z urazem czaszki. Policjant – dopisano też w lakonicznych notatkach. Lekarz, który przyjechał transportem medycznym, miał im wszystko opowiedzieć, kiedy będą zjeżdżać windą.

Nagle pojawił się w świetle reflektorów – czerwony helikopter medyczny Falck, hałaśliwy i chłoszczący powietrze pod sobą. Mocny podmuch sprawił, że po dachu potoczyła się błękitna rakieta śnieżna. Helikopter coraz bardziej zniżał lot, aż w końcu stanął stabilnie na lądowisku. Pilot wyłączył silniki, śmigło stopniowo zwalniało.

Koleżanka otworzyła drzwi na dach, a załoga śmigłowca pospieszyła na tył po pacjenta. Policjant ranny na służbie zawsze wzbudzał większe niż zwykle poruszenie. Natychmiast zaczęli dzwonić dziennikarze, chociaż wiedzieli, że szpital nie może udzielać żadnych komentarzy.

Transport przyleciał z Gotlandii, ale to nie było napisane na tablicie, który miała w rękach. Porównała PESEL z plastikowego paska, który miał zostać zapięty na nadgarstku pacjenta, z tym widocznym na formularzu, żeby mieć pewność, że są zgodne. Potem sprawdziła nazwisko. Fredrik Broman. Spróbowała zapamiętać.

W ciemnej szklanej fasadzie naprzeciwko mieszkania Arvida Traneusa – między Roppongi a Akasaką w tokijskiej dzielnicy Minato – odbijał się ruchomy neonowy koń. Typ chodu był trudny do określenia, bo zwierzę z każdym krokiem zmieniało kolor w deszczu gwiazd. Po dziecięcemu krągłe, miało niewiele wspólnego z prawdziwym koniem. Gdzieś zniknęły wyraźnie zarysowane mięśnie, niespokojny wzrok i groźna siła, którą miałyby żywe zwierzę takich rozmiarów. Masywne cielsko bez trudu mogłoby zrobić krzywdę człowiekowi, nawet przypadkiem.

Pomiędzy drapaczami chmur przeleciał kruk o ciężkich skrzydłach, prawie niewidzialny w ciemności. Kiedy po raz pierwszy usłyszał wydawany przez niego przeciągły odgłos, przeszedł go dreszcz. W Tokio to nie mewy brały miasto we władanie, gdy ludzie szli spać, lecz kruki.

Można było się przyzwyczać.

Arvid Traneus odwrócił się plecami do październikowej nocy za panoramicznym oknem sypialni, uparcie biegnącego konia i migających świateł miasta. Spojrzał na Kass, młodą kobietę, która właśnie weszła do pokoju, lekko przekrzywiła głowę i smutno się uśmiechnęła. Jej czarne włosy opadały na ramiona i czerwoną jedwabną sukienkę. Oburącz trzymała kieliszek, a w nim resztkę cheval blanc z butelki, którą odkorkował.

To było pożegnanie.

Pierwotnie zlecenie miało być szybką konsultacją. Skończyło się na siedmiu latach dojazdów i trzech w tym mieszkaniu. W sumie dekada w Tokio, z czego dwa ostatnie lata przeżył z Kass. A teraz przyszedł czas wrócić do domu. To koniec. Ze wszystkim. Z pracą, tym miastem i tą kobietą.

Ruszył w jej stronę, a ona spotkała się z nim w połowie drogi. Odebrał jej kieliszek i postawił na wewnętrznym parapecie. Przyciągnął ją do siebie i położył dłoń na złotobrazowym udzie wystającym spod krótkiej sukienki. Przywarła do niego.

– Kass – mruknął, wtulony w jej włosy, ozdobione błyszczącymi wstążeczkami w tym samym odcieniu czerwieni co sukienka.

Upiększyła jego dwa ostatnie lata w tym mieście. Sprawiała, że w krótkich wolnych chwilach, na które sobie pozwalał między pracą a snem, łatwiej

mu się oddychało.

Zaczął gładzić ją dłonią między nogami i rozwarł palcami jej bezwłosą wulwę. Jęknęła, głośno i przenikliwie. W pierwszej chwili pomyślał, że to z podniecenia, kiedy jednak zaczął dalej poruszać palcami w sposób, który – jak mu się wydawało – lubiła, zauważył, że zeszywniała. Jak skuta lodem.

Wydała kolejny jęk, tym razem bardziej piskliwy i już z całą pewnością niewywołany podnieceniem. Zaczęła dyszeć w sposób typowy dla kogoś, kto się bardzo czegoś boi.

Spojrzał na nią. Wpatrywała się w skaczącego konia z mangi.

– Kass?

Nie odpowiedziała.

– Kass, co się dzieje?

Przesunął dłoń przed jej szeroko otwartymi oczami.

– Kazu-mi!

Krzyknął. Tak jak się krzyczy na małe dziecko, które chce położyć dłoń na gorącym piecu.

Wzdrygnęła się i spojrzała na niego spłoszonym wzrokiem.

– Co się dzieje? – zapytał znowu.

Potrząsnęła głową i nerwowo przeczesła palcami włosy, aż czerwone wstążeczki spadły na podłogę.

– Nie wiem. Nic. To tylko takie głupoty...

Mimo to jej wzrok padł z powrotem na okno i zagubił się w oddali, jakby widziała coś zupełnie innego niż nieregularny bieg neonowego konia.

Pół roku wcześniej animowanego zwierzęcia tam nie było. Wybrał tę dzielnicę, bo była oddalona od neonów i nocnego życia. Dzielnicę rządu, ambasad i kompleksów biurowych, między którymi znajdowały się osiedla mieszkaniowe. Po dziewiętnastej na chodniku nie spotykało się żywej duszy. Miasto jednak ulegało ciągłym przeobrażeniom, zarówno z zewnątrz, jak i pod powierzchnią. Ze swojego okna widział trzy nowe drapacze chmur, coraz wyższe. Widoczne wysoko w górze dźwigi zatrzymały się na noc i tylko mrugały czerwonymi światełkami, ostrzegając pilotów.

Nieustanna zmiana, nieprzerwany rozwój. Neony mrugały. Pieniądze przechodziły z rąk do rąk. Sumy, przy których budżet takiego małego kraju jak Szwecja przypominał drobniaki, codziennie przepływały przez giełdy i rynki walutowe. Międzynarodowe firmy współpracowały ze sobą, zwały i zabijały się nawzajem. Tu wkraczał Arvid Traneus. Kiedy chodziło o zabijanie. Firm.

To zlecenie po przedłużającej się walce źle się skończyło dla konkurenta. Znacznie gorzej, niż planowano. A rzeź była właściwie niepotrzebna. Jego zleceniodawca i tak mógł wypełnić tylko część pustki, która została po zlikwidowanej firmie. Reszta wpadnie we wdzięczne ręce innego konkurenta.

Pogłaskał Kass po plecach.

– Już lepiej? – spytał.

– W porządku – odparła i pocałowała go w szyję. – Kochaj się ze mną – wyszeptała.

Uniosła ręce nad głowę, a on jednym ruchem z szelestem zdjął z niej sukienkę. Stała przed nim naga, pachnąca ziemią i gumą od ciężkiego czerwonego wina, wanilią z nutą cytryny od perfum i czymś jeszcze, co było nią samą. Ciepłą skórą i łonem.

Skłoniła go do cofnięcia się w kierunku łóżka, jednocześnie gmerając przy jego opornym czarnym pasku, który kupił tydzień wcześniej. Rozpięła mu spodnie i położyła dłoń na jego fiucie.

– On chce do Kass – wyszeptała, lekko wydymając wargi. Z jej ust spadła wąska strużka śliny, trafiła czubek penisa i dłoń, zaciśniętą na nim od dołu. Szybkim, płynnym ruchem wmasowała w niego ślinę, a Arvid poczuł, że uginają się pod nim nogi.

Dziesięć lat. Czy było warto?

Dla Arvida Traneusa odpowiedź z całą pewnością była twierdząca. W ciągu tych lat dorobił się fortuny. Dla jego zleceniodawców to i tak były ochłapy, więc oni też najprawdopodobniej odpowiedzieliby, że tak, gdyby w ogóle potrafili myśleć w ten sposób. Tylko że dla nich walka nigdy się nie kończyła. Wszystkie zwycięstwa były tymczasowe. Za dziesięć i za dwadzieścia lat nadal będą walczyli.

On miał dołączyć i opracować strategię zwiększenia udziału koncernu w rynku o pięć procent. Tak się umówili na samym początku. Nie była to prosta robota, ale przynajmniej o jasno określonych granicach i możliwa do wykonania. Potem skala wzrosła. Ambicje były coraz większe, a on coraz bardziej się wciągał, skuszony ofertą nie do odrzucenia – astronomiczną pensją i opcjami, których wartość dzięki jego pracy mogła wystrzelić. Jeśli mu się powiedzie.

Stworzył swój sztab. Latał tam i z powrotem, by wreszcie w ostatnich latach praktycznie zamieszkać w Tokio.

Kass uklękła przy łóżku i spojrzała na niego w ten swój ukradkowy, pożądliwy sposób, co do którego nigdy nie miał pewności, czy jest auten-

tyczny czy udawany. To mu jednak nie przeszkadzało. Jeśli grała, była w tym przekonująca, a robiła to, by sprawić mu przyjemność. Niczego więcej nie pragnął.

Z winy Kass prawie stracił najlepszego współpracownika. Wcześniej była dziewczyną Stephena i tak się poznali. Przez cały tamten wieczór wzrok Arvida nieustannie wędrował w jej kierunku. Stephen musiał to widzieć. Dzień później zdobył jej adres i numer telefonu, a kiedy zadzwonił z propozycją spotkania, natychmiast na nią przystała.

Nie miał złudzeń, gdy chodziło o Kass i jej styl życia, ale wiedział, że zostawiając Stephena, nic nie zyskała. Zrobiła to tylko dlatego, że tak jej się podobało. Był pewny.

Stephen ciężko to przeżył. Najpierw próbował dyskutować, skłonić go, by zostawił ją w spokoju. Kiedy to nie poskutkowało – Arvid wręcz twierdził, że nie może nic zrobić, bo wyboru dokonała Kass – Stephen dostał szału. Groził, że odejdzie z pracy, i rzeczywiście zwinął manatki i wrócił do Wielkiej Brytanii, choć wypowiedzenia nigdy nie złożył.

Arvid odwołał się do profesjonalizmu Stephena. Tamten chwilę się opierał, ale oczywiście wrócił. Miał stanowczo zbyt wiele do stracenia, gdyby zrezygnował w imię... no właśnie, czego? Dumy? Tylko by się ośmieszył. Ale przecież chodziło o jakąś kurewkę. Nawet jeśli nie z tych, które można znaleźć na rogu najbliższej ulicy.

Ostrożnie pocałowała jego fiuta.

– Powiedz kiedy – wyszeptała, a następnie zniknęła między jego nogami.

Zawsze tak mówiła. Uśmiechnął się do czarnej czupryny podskakującej w dół. Jeśli po tak długim czasie nie znała go na tyle dobrze, by wiedzieć, kiedy nadchodzi ten moment, sama jest sobie winna.

Na pomysł, który okazał się rozstrzygający, wpadł Stephen. Wraz z tym utalentowanym norweskim geniuszem komputerowym Olaisenem. Ale kiedy przystąpili do działania, to Arvid pociągał za sznurki. W końcu ani strategie marketingowe, ani rozwój produktów nie doprowadziły do upadku firmy Pricom. Sprawiała to precyzyjnie ukierunkowana gra z akcjami spółki, która była możliwa, bo Olaisen włamał się do ich systemu komputerowego. Mogli zajrzeć prosto w serce swojego konkurenta. A potem go zmiażdżyli. Oczywiście była to brzydka gra, ale w interesach zawsze jest nieładnie, więc zbyt wiele nie dało się powiedzieć na ten temat.

Język Kass trzepotał jak motyl z mokrego mięsa. Arvid pogładził ją po lśniących czarnych włosach, złączył palce za jej karkiem i przytrzymał

głowę. Patrzył w mrok, a kiedy dochodził, mimowolnie śledził wzrokiem ruchy neonowego konia.

Po przedłużającej się chwili ciszy i skurczu, który sprawił, że wszystko ustało, zwolnił uścisk i wysunął się z jej ust. Powoli uniosła lewą rękę i wierzchem dłoni otarła usta i brodę. Patrząc na Kass, Arvid Traneus czuł, że wypełnia go jakiś mroczny ciężar. To uczucie dawno nie było tak intensywne. Prawie go dusiło.

Nie kochał jej, ale przyjemnie się z nią spędzało czas, była miła dla oka i świetna w łóżku. Mała, drobna i lekka niczym piórko. Mógł ją unieść jak dziecko. Nigdy nie słyszał, żeby narzekała, marudziła czy coś kwestionowała. Kiedy byli razem poza domem, nie zauważył, by choć raz spojrziała na innego mężczyznę.

Ale jednocześnie... Nie miał złudzeń. Zostawiła Stephena, żeby być z nim. A teraz ich wspólny czas dobiegł końca. Mógłby ją zabrać ze sobą. Wiedział, że sama nigdy go o to nie poprosi. On powinien wyjść z propozycją. Przeszło mu to przez myśl, ale czekało na niego inne życie, a poza tym ona była, kim była. Doszłoby do dziwnego pomieszania życia prywatnego i interesów.

Ich wspólny czas dobiegł końca. Arvid miał wyjechać, a ona zostać w miejscu, do którego pasowała. Sama. Wolna. Dostępna. Do kogo pójdzie po nim? Do kogoś, kogo znał? Czy planowała to już wcześniej? Czy już jutro znajdzie się w łóżku innego mężczyzny? Będzie na niego patrzyła tym swoim pożądlivym wzrokiem i mówiła: „On chce do Kass”? Robiła mu loda?

Spojrzał w oczy, które na niego podniosła, i natychmiast do niego dotarło, że nie ma pojęcia, co się dzieje w jej głowie. Czyżby w ciemnych oczach Kass dostrzegał smutek po rozstaniu? A może była to tylko gra, tak samo jak wtedy, kiedy wyglądały na zwięzione z pożądania i podniecenia? Czy tak naprawdę była po prostu obojętna? Gardziła nim? Uśmiechała się w duchu, choć kąci jej ust były lekko opuszczone? Szydowała z niego?

Sam siebie zaskakiwał. Nie miał w zwyczaju rozpamiętywać. Bardzo świadomie i zdecydowanie odsuwał na bok myśli o Kass. Wszystkie te pytania do niczego nie prowadziły. W końcu byli w trakcie rozstania. Ona miała swoje życie, a on swoje.

Chyba po prostu na chwilę ogarnął go sentymentalny nastrój. To nie było w jego stylu. Poprawił ubranie, z powrotem zapiał krnąbrny zamek i podniósł z podłogi czerwoną jedwabną sukienkę.

Spojrzała na niego zdezorientowana.

Wyciągnął rękę, pomógł jej wstać. Czuł pod palcami ciepło jej skóry, ale pozostawał obojętny na temperaturę i zapachy. Podał jej ubranie.

– Najlepiej już idź – powiedział.

Dolną wargę, jeszcze chwilę wcześniej lekko wydętą, teraz przygryzła i pojawiło się w niej jakieś napięcie. W dalszym ciągu próbowała złowić jego spojrzenie, pytająco, jakby zostało jeszcze coś do powiedzenia.

Wręczył jej sukienkę i powoli podszedł do stołu w drugim pokoju, żeby sprawdzić, czy w butelce wina jeszcze coś jest. Za plecami słyszał, jak Kass się ubierała.

Dzwonek telefonu przeszył cały dom. Zawsze kiedy to on dzwonił, był głośniejszy. Przecinał czas i przestrzeń.

Kristina przebiegła przez salon do kuchni. Jej stopy w skarpetkach były mokre. Spóźniła się. Nienawidziła się spóźniać, kiedy dzwonił. Chciała być dobrze przygotowana i opanowana, spokojnie oddychać, czuć suchość między palcami. Arvid był czujny. Zauważał najdrobniejsze odchylenie od normy.

Odsunęła od stołu jedno z dębowych krzeseł w stylu secesji, usiadła, trzy razy odetchnęła głęboko i w skupieniu, nie poświęcając ani jednej myśli hałasującemu telefonowi. Próbowwała sobie przypomnieć, co mówiła Noriko na ich wspólnej zmianie w ubiegłą środę. Kristina podziwiała przedsiębiorczość tej kobiety. Przyjechała z mężem z Waszyngtonu i ze wszystkich miejsc na świecie osiedliła się akurat na Gotlandii. Już po kilku miesiącach uruchomiła działalność w postaci kursów jogi – w domu naprzeciwko stacji benzynowej Statoil w Havdhem, za roletami z japońskiego papieru ryżowego.

Dwa lata wcześniej Kristina nawet by nie śniła o zajęciu się jogą. To było nazbyt obce. Temat być może zaciekał ją dzięki temu, że Noriko była Japonką, przynajmniej z pochodzenia. W końcu Japonia była nieustannie obecna w jej życiu, nawet jeśli na odległość. Codziennie rozmowy z Tokio stanowiły stałe punkty jej dni, a środowe zmiany z Noriko w osobliwy sposób pomagały osiągnąć równowagę. Zneutralizować to co złe.

Podniosła słuchawkę. W Levide na Gotlandii była czternasta, a w Tokio dwudziesta druga.

– Cześć, kochanie. Jak tam? Wszystko dobrze?

Głos Arvida jak zwykle był niski i opanowany. Wyraźny, choć musiał pokonać pół kuli ziemskiej.

– Wszystko w porządku – odparła.

Jej głos brzmiał klarownie i nie drżał. Czy jednak nie był trochę, ciut za wysoki w porównaniu ze zwykłym?

– Przyjeżdżam do domu – oznajmił Arvid. Jeśli zwrócił uwagę na jej głos, nie dał tego po sobie poznać.

– Aha. A kiedy?

Już wiedziała, że odpowie „jutro”. Albo może „pojutrze”. Gdyby nie to, że zawsze chciał być odbierany z lotniska, może w ogóle by jej nie zawiadomił.

– Nie. Chodzi mi o to, że przyjeżdżam.

Milczała, ściskając słuchawkę. Nie rozumiała.

– Wracam do domu. Już po wszystkim. To koniec. Tak po prostu, z dnia na dzień. Niewiarygodne. Po... jak długim czasie? Dziesięciu latach?

W dalszym ciągu milczała, a wokół niej zapadał mrok. Wskazówka zegara w kuchni przygotowywała się do wykonania skoku w przód, sterowana słabym impulsem elektrycznym.

Skoczyła.

Jak długo Kristina mogła milczeć? Oczywiście można oniemić z zaskoczenia, ale chyba nie powinno to trwać w nieskończoność? Poza tym oczywiście miało znaczenie nie tylko, że odebrała telefon, ale też co powiedziała i jakim tonem. Potrzebowałyby partytury i co najmniej dwóch tygodni na przygotowanie, a tymczasem siedziała tu jak idiotka. Jakby trafił ją grom z jasnego nieba.

Sekundnik przeskoczył do przodu.

Była idiotką, a nie tylko tak się zachowywała. Nie ulegało wątpliwości, że ten dzień nadejdzie. Wiedziała o tym. Nic nie mogłoby być bardziej pewne.

Trzy sekundy. Już dłużej się nie dało.

– Arvid!

Może jednak nie idiotką. Przez chwilę wydawała się naprawdę zadowolona z siebie. Wymówiła jego imię przeciągle, chyba nawet na lekkim przydechu. Co prawda dlatego, że straciła kontrolę nad oddychaniem, ale zabrzmiało dobrze. Prawie jakby z radości zabrakło jej tchu.

– Byłem tu tak zajęty, że nie miałem czasu się nad tym zastanowić, ale teraz? Wspaniale będzie wrócić do domu. A najlepsze, że nie muszę już przepracować ani jednego dnia, do końca życia. Będziemy mogli mieszkać, gdzie zechcemy, i robić to, na co najdzie nas ochota. Nigdy więcej nie będę musiał na tak długo wyjeżdżać z domu, masz moje słowo.

– Nie do wiary.

Radość, radość.

Kiedy kontynuował monolog, musiała się wysilić, żeby zrozumieć, co mówi. Jakby dźwięk w słuchawce zanikał wraz ze światłem w pokoju.

Kiedy Kristina wreszcie się dowiedziała, o której należy go odebrać z Visby, i odłożyła słuchawkę, nie mogła wstać. Była przekonana, że jeśli nie ruszy się z miejsca, pożyje jeszcze trochę, ale jeśli się podniesie, wpadnie pod podłogę i zniknie na zawsze, pochłonięta przez wielką ciemność. Po namyśle doszła do wniosku, że może nie byłoby to takie złe.

Chciała jednak żyć.

Kim właściwie była? Wiedziała, że ten dzień nadejdzie, a mimo to wołała zakryć oczy.

Nachylała się z rękami splecionymi na kolanach i mocno zaciskała powieki, żeby wyłączyć uczucia, które wypełniały jej klatkę piersiową, zapowiadając katastrofę.

– Jak jakiś cholerny struś – wyszeptwała do siebie.

Nagle uświadomiła sobie, że rzeczywiście bardzo go przypomina, gdy tak siedzi zgięta wpół z zaciśniętymi powiekami. Wyprostowała się i otworzyła oczy.

Omiotła wzrokiem przestronną, dobrze wysprzątaną kuchnię – w staroświeckim stylu, ale tak naprawdę świeżo zbudowaną i postarzoną, za cenę sięgającą dziesięciu tysięcy koron za szafkę. Sama wybrała tę kuchnię, zamówiła ją, targowała ceny, dopilnowała instalacji, zgłosiła usterkę drzwiczek, dzięki czemu zostały wyregulowane i dostała na nie zniżkę. No i reszta: kafelki, piekarnik, okap... Czasu jej nie brakowało. A wszystko za zgodą Arvida.

Miała do dyspozycji dziesiątki lat. Mogła zaplanować wszystko w każdym szczególe, a któregoś dnia po prostu zniknąć. Co ją tu trzymało? Nie wierzyła, że mogłoby się udać, czy po prostu była głupia? Wprawdzie wydzielal jej pieniądze i nie mogłaby zabrać ze sobą znacznej sumy, ale mogła odkładać. Gdyby zaczęła... powiedzmy, dwa lata temu, gdy te myśli powoli nabierały kształtu w jej głowie, gdy ona i Anders... Wtedy z całą pewnością mogłaby co miesiąc zaoszczędzić cztery tysiące koron. Uzbierałoby się prawie sto tysięcy w gotówce. Ileż miała marzeń, a nawet planów ucieczki. Nie! Nowa, tajna tożsamość... Ale czy zrobiła choćby krok w tym kierunku?

Pociągnęła nosem, lecz zamieniła płacz w zimny, szyderczy śmiech. Śmiała się sama z siebie. Jak najbardziej zasłużenie. Mogła już być w drodze, ale tak się nie stało.

Arvid oczywiście od razu by się zorientował, że coś jest nie tak, skoro nie odbiera, jednak zanim zdążyłby cokolwiek zrobić, byłaby daleko stąd,

może w innym kraju, z setką tysięcy w gotówce, po której nie zostałyby żadne ślady. Z nowym nazwiskiem, PESEL-em, nowym kolorem włosów... Nie miałby szans jej znaleźć.

Co się teraz stanie? Z nią i Andersem? Zdzieliłaby sama siebie, gdyby mogła. Spoliczkowałaby się. Boże jedyny, miała czterdzieści siedem lat, już dawno dorosła. Co z nią jest nie tak?

Anders! – pomyślała. Trzeba zadzwonić do Andersa.

Kiedy o nim myślała, chciało jej się płakać. Odzyskała życie, ale znowu je zmarnowała. Jak to, u diabła, możliwe, że była tak... No właśnie. Głupia? Niezdolna do działania? Sparaliżowana strachem? Tchórzliwa? Ślepa? Wszystko było takie intensywne – w ciągu tych dwóch lat wypełniały ją nie tylko miłość i pożądanie – dwójka dobrze znanych towarzyszy, ale także radość, zaufanie i naprawdę... nadzieja.

Nagle poczuła ucisk w piersi i zmroziło ją od środka. Było tak, jakby na nowo otworzyła oczy, mimo że już były otwarte. Wstała i z sykiem wciągnęła powietrze.

Czy to było tak proste? Naprawdę na tym polegało? Czyżby po raz kolejny zamknęła się w miłości? Niczym zwierzę w klatce – wdzięczne i zadowolone, by nie powiedzieć: ogarnięte obsesją na punkcie codziennej porcji karmy, niezdolna do tego, by spojrzeniem i myślami wykroczyć poza kraty, za którymi była przetrzymywana?

Popędziła jak najszybciej w kierunku drzwi. Czuła się tak, jakby coś zamknęło jej drogi oddechowe, a serce przestało bić. Przed oczami zaczęły jej tańczyć czarne punkciki. Czyżby traciła przytomność? Nie, powiedziała sobie. Nie zemdleję, do cholery. Co by to było za główniane wyjście. Przez głowę przemknęło jej zdanie ze starej komedii: „Chyba zaraz zaniemogę!”. Czy do niej pasowało? Nie, to nie była ona i już nie będzie. Chcąc znaleźć ujście dla emocji, kopnęła buty starannie ustawione w rząd w przedpokoju, konkretnie te należące do Arvida, z brązowej cielecej skóry, których nie wkładał od miesiący. Buty rozleciały się na wszystkie strony, a półka się przekrzywiła.

Kristina walczyła z powietrzem. Po takim wybuchu łatwiej jej się oddychało. Pokuśtykała do drzwi i je otworzyła. Poczła świeży powiew. Może jeszcze nie było za późno. Gdyby zebrała wszystko, co miała – gotówkę, biżuterię, wazon Kosta Boda, który jeszcze rok wcześniej został wyceniony na siedemdziesiąt tysięcy... zmieściłby się jej w torbie. Mogła sprzedać samochód czy w ten sposób ściągnęłaby sobie na głowę policję? Był zapisany

na niego? Uświadomiła sobie, że nie wie. Nie wybiegła myślami nawet o tyle.

Mniejsza z tym, nie ma co rozmyślać, żałować, spoglądać wstecz. Trzeba dostrzegać możliwości. Włożyć do torby ubrania, biżuterię i ten przeklęty wazon. Pojechać na kontynent samochodem, potem sprzedać go w Sztokholmie, a potem ruszyć dalej do... Było tuż po drugiej. Gdyby wsiadła na statek odpływający za piętnaście piąta, za siedem godzin byłaby w Sztokholmie. O której otwierają handlarze samochodów? Powiedzmy, że o dziesiątej. Jutro o jedenastej to wszystko mogłoby się spełnić.

Wyszła na schody, zrobiła kilka kroków w przód, wypełniła płuca powietrzem – oddychała już prawie normalnie – a potem ruszyła niedawno ułożoną ścieżką. I się zatrzymała.

Zamarła w pół kroku i zawiesiła wzrok na żmii, która wypoczywała zwinęta na ciepłym wapieniu niecałe dwa metry dalej.

Jeśli kogoś długo nie ma, podczas jego nieobecności wiele może się zmienić. Czas na nikogo nie czeka.

Czekał za to Emrik Jansson. Stał na wąskiej asfaltowej szosie, a na szarym pasie drobnego żwiru na poboczu leżały czarne opony damskiego roweru. Długa biała broda Emrika wokół ust była żółta od nikotyny, żółte były też wskazujący i środkowy palec prawej dłoni. Emrik Jansson mocno trzymał kierownicę oburącz. Jeździć na rowerze przestał już rok wcześniej. Obecnie rower służył mu głównie jako podparcie. Lepsze takie rozwiązanie niż jeden z tych czterokołowych rzechów, z którymi chodziły stare baby z ośrodka w ich miejscowości. Trzeba się godzić na swój los, po prostu, ale można go trochę umaić. Emrik miał osiemdziesiąt siedem lat, więc był w wieku przedpogrzebowym. Na wylocie. Tkwił jedną nogą w grobie.

Wzdłuż drogi leciała, bzycząc, mała ważka z intensywnie niebieskim odwłokiem. Emrik Jansson śledził wzrokiem jej szarpany ruch, dopóki nie zniknęła gdzieś nad polem. Wzrok miał bez zarzutu. Jednak nogi były do niczego, a słuch taki sobie.

Z wielkim namaszczeniem, lekko drżącymi dłońmi wyciągnął paczkę tytoniu z wewnętrznej kieszeni marynarki. Odczepił taśmę, którą była zabezpieczona, rozwinął opakowanie i poczuł zapach lekko wilgotnego tytoniu do skręcania papierosów. Przewidując włożył do paczki trzy gotowe szlugi. Na skręcanie na stojąco przy rowerze miał za mało siły i za słabą koordynację ruchową. Wyjął papierosa, włożył do ust i schował paczkę z powrotem do wewnętrznej kieszeni, a następnie z kieszeni spodni wyciągnął żółtą plastikową zapalniczkę i zapalił skręta.

Emrik Jansson czekał z niepokojem na powrót Arvida Traneusa. Słyszał, że Arvid miał dziś wrócić. Wiedział jednak, że nie można bezkrytycznie wierzyć w pogłoski. Plotki. O Arvidzie Traneusie i jego długich podróżach ludzie gadali od dawna. Co jakiś czas pojawiał się ktoś, kto mówił, że Arvid podobno wraca do domu, ale zawsze się okazywało, że to było tylko takie gadanie. Albo naprawdę wracał, ale kilka dni później znowu wyjeżdżał.

Tym razem miało się stać inaczej. Przynajmniej tak mówiono. Miał już zostać.

Emrik Jansson usłyszał to dwa dni wcześniej u sąsiada, u którego kupował ziemniaki. Tak to już było. Jeśli nie dało się czegoś zobaczyć na własne oczy, zawsze znalazł się ktoś zorientowany. A wieści się rozchodziły. W formie swobodnych à propos, jakby rzucane mimochodem. Żadnych plotek, ale rozmawiano na różne tematy, wymieniano nazwiska.

Usłyszał nadjeżdżający z tyłu traktor. Kierowca zwolnił i pomału przetoczył się obok mężczyzny z bujną brodą, który mimo silnego słońca miał na sobie czarny garnitur z grubej wełny. Pod marynarkę włożył lekko pożółkłą koszulę, która kiedyś była biała.

Emrik, mrużąc oczy, spojrział w kierunku zielonej maszyny i uniósł rękę na znak pozdrowienia. Kierowca odmachął. To był Magnus Hjälmrud z Kauparve, najstarszy syn Hansa-Göрана. Emrik Jansson uczył go w szkole przez ostatnie trzy lata przed przejściem na emeryturę. Ale nie dlatego go pamiętał. Pamiętał wszystkich. Głowa nie potrzebowała żadnego podparcia na kołach. Na razie. Pamiętał każdego ucznia, który zaliczył program szkolny w ich małej osadzie w ciągu jego czterdziestu lat w zawodzie. Widział, jak się nazywają i w jakich latach ich uczył. Jeśli mieszkali wystarczająco blisko, znał imiona ich dzieci i rodziców, a także adresy. Widział, jak przejeżdżali drogą. Pojawiali się i znikali. Jeśli pogoda pozwalała, potrafił godzinami chodzić wzdłuż drogi. To było zadanie, które sam sobie narzucił – mieć oko na ludzi, a tym samym na siebie.

Arvida Traneusa też uczył. Arvida, jego kuzynów i najstarsze dzieci. To było dawno, ale wielu z nich widywał codziennie także po zakończeniu szkoły. Oczywiście tych, którzy jeszcze żyli. Widział ich, obserwował, patrzył na przyjeżdżające i odjeżdżające samochody. Ruchy, które dla większości ludzi – niemających czasu na refleksję i pamięć – najczęściej były bez znaczenia.

Jednak Emrik Jansson zarówno pamiętał, jak i dysponował czasem. Dziś poświęcał go na czekanie na Arvida Traneusa. Ale też na coś więcej. Właśnie tak. Na coś więcej. Odetchnął i podniósł wzrok na niebo. Ani jednej chmurki, pomyślał. Ani jednej ciemnej chmury na horyzoncie. Ale on i tak je widział.

Był wysoki i blady, lewą dłoń wetknął głęboko do kieszeni spranych czarnych dżinsów. Podniósł kołnierz granatowej bluzy sportowej i podciągnął

suwak pod samą brodę. Niedawno w więzieniu w Norrtälje świętował trzydzieste urodziny. Choć może „świętował” to niewłaściwe słowo. Ukończył trzydzieści lat – to było bliższe prawdy. Nikt się tym nie przejął, łącznie z nim. Wyszedł na wolność i to było najważniejsze.

Wiatr zdmuchnął popiół z papierosa, który trzymał w prawej dłoni. Popiół, tańcząc i wirując w powietrzu, wzniósł się i poleciał nad Bałtykiem.

Dwa dni temu dzwonił do dawnego kolegi i zaczęli rozmawiać o Stefani. On zaczął o niej mówić. Wtedy właśnie kolega powiedział, że Arvid Traneus przyjeżdża do domu. Przynajmniej słyszał, że skończył to coś, czym się zajmował w Japonii, i zamierza wrócić do domu do Levide.

– Pieprzenie!

Taka była jego pierwsza reakcja. Druga polegała na tym, że nie chciał nic wiedzieć. Co, do cholery, miał teraz wspólnego z Arvidem Traneusem? Poczł jednak, że budzi się w nim coś, co wessało tę informację niczym suchy grzyb wodę. Rosło nieubłaganie, rozgłaszało plany jakby samo z siebie, a im dłużej słuchał, tym jaśniejsze się stawało, że to coś przyszło w charakterze swoistego prezentu dla niego. Jakby los, który rzadko – o ile w ogóle – miał mu coś do zaoferowania, poklepał go po ramieniu i dał mu szansę.

Powoli przesunął spojrzenie od morza do wielkich stosów drewna za drucianym ogrodzeniem tartaku. Bryza od Bałtyku po południu przybrała na sile i miotła kosmykami jego sięgających do ramion włosów to tu, to tam.

Mocno wciągnął dym z papierosa. Co się, do cholery, stało? Nikt już nie palił. Kiedy zapalił na terminalu promowym, ludzie gapili się na niego, jakby był ćpunem albo właśnie wyciągnął sprzęt, którym zamierzał zabić fokę. Przeprosił. Oczywiście wiedział o zakazie, ale jakoś nie weszło mu to w nawyk. Kiedy stał z papierosem w dłoni, nie pomyślał o tym. Może przepraszał trochę za długo i za głośno, bo miał wrażenie, że ludzie odwracają wzrok, odsuwają się o kilka metrów, mocniej trzymają małe dzieci. Pewnie istniało to tylko w jego głowie. Poczucie, że się wyróżnia, nie bardzo wie, jak należy się zachowywać, by pasować do tłumu statystycznych Szwedów.

Wrzucił papierosa do wody. Niesamowite, że jednak tu był. Cholernie niesamowite. Drugiego dnia wolności wsiadł na prom i wracał tam, gdzie zgodnie z obietnicą złożoną samemu sobie jego noga miała nigdy więcej nie postać. „Po moim trupie” – zarzekał się.

– Zobaczmy, jak z tym będzie – powiedział sam do siebie.

Był w tym miejscu tylko z jednego powodu. Przez Arvida Traneusa. Nie miał żadnego planu ani pojęcia, co się stanie. Po prostu nie miał wyboru.

Musiał wsiąść na ten prom.

Naprawdę myślał, że Stefania została zapomniana i przepadła na zawsze, ale przez lata, które spędził w więzieniu, wgryzła się w jego głowę i nie dawała mu spokoju. Za pierwszym razem pojawiła się we śnie, a po przebudzeniu był zszokowany i otumaniony. Potem była obecna w jego myślach. Początkowo sporadycznie, potem coraz częściej.

Tak właśnie „przepadła na zawsze”.

Gwałtownie odwrócił się plecami do morza i ruszył przed siebie. Uczucia w nim szalały. W jednej chwili była płomienna radość wywołana świadomością, że jest w drodze, buchający ogień, silny jak ledowa żarówka rozjaśniająca mrok, a w następnej zimny wiatr, który skłaniał go do zamknięcia oczu i spojrzenia na siebie z zewnątrz. Kiedy to robił, kręcił głowę z powątpiewaniem. A potem znowu przychodził czas na gorąco i światło, które z każdą kolejną oszłamiającą falą wzmagają się kosztem zimnego wiatru.

Pod stopami czuł kołysanie się świata. Był po dwudziestogodzinnej podróży z Narity na Heathrow, podczas której czas prawie stał w miejscu. Czuł ssanie w żołądku i wziął duży kęs omletu białkowego. Zamówił go w jednej z restauracji ponuro oświetlonej hali lotniska. Było ciemno jak w listopadowy dzień.

Omlet białkowy, ugotowane na parze brokuły i kilka zagubionych ziaren ciecierzycy w oliwie ziołowo-cytrynowej. Nie był to posiłek dla faceta, ale doświadczenie nauczyło go ostrożności przy jedzeniu w długich trasach lotniczych. Poza tym były inne powody. Musiał zaostrzyć reżim dietetyczny. Sporo przytył. Zbyttno mu to nie przeszkadzało, nie miał nic przeciwko byciu dużym. Jednak ten mały zasuszony lekarz, u którego zgodnie z zapisanymi drobnym druczkiem warunkami ubezpieczenia miał odbywać wizytę co pół roku, podniósł wzrok znad wyników badań i przyjrzał mu się ze zmartwioną miną.

Zarezerwował dwa stałe terminy w tygodniu na potwornie drogim korcie tenisowym i radykalnie zmienił zwyczaje żywieniowe. Nie po to uzbierał majątek, by przyplłynąć na Gotlandię i umrzeć. Nie zamierzał przedwcześnie zakończyć życia z głową w garnku pełnym purée ziemniaczanego, masła i kawioru.

Pozwolił sobie na piwo. Zwykle podczas długich lotów unikał też alkoholu, ale tym razem dotarł aż do Londynu i była to jego ostatnia podróż z Japonii. Nie wrócił do domu, by umrzeć, ale też nie po to, by żyć jak mnich. Dla niego pora idealnie sprzyjała wypiciu piwa, mimo że w Londynie był dopiero poranek.

Łatwo można się stać zbyt zachłannym. W kwestii Pricomu wykazali zbyt daleko idącą pazerność, musiał to przyznać. Chociażby tylko przed sobą. Kiedy jednak mieli szansę, trudno było się powstrzymać przed ogryzieniem kości. Pricom mógł się okazać wręcz problemem dla jego zleceniodawcy. Całkowite zniknięcie spółki z rynku jest oznaką niepewności, a nieprzewidywalność nigdy nie jest dobra. Idealnym rozwiązaniem byłoby zapewne zagarnięcie pokaźnego kawałka tortu i pozostawienie reszty Pricomowi, by dzielnie jej bronił. Ale potoczyło się, jak się potoczyło. Nikt nie

niał do niego pretensji. Wszyscy byli zadowoleni i minie trochę czasu, zanim zaczną się objawiać ewentualne negatywne skutki. Do tego czasu zapomną, jak się nazywał, a on będzie pielęgnował swój majątek po drugiej stronie kuli ziemskiej. W tym świecie wszyscy patrzyli w przód.

Do rzędu stolików podbiegł kelner, a on, korzystając z okazji, wyciągnął rękę z kartą, chcąc zapłacić. Kelner powstrzymał go gestem, niczym policjant z drogówki.

– Przykro mi, proszę pana, alarm przeciwpożarowy, musi pan natychmiast wyjść – powiedział po angielsku.

– Alarm przeciwpożarowy?

– Tak, musi pan wyjść.

Arvid schował kartę z powrotem do portfela i wstał, trzymając czarną skórzaną teczkę.

Alarm przeciwpożarowy. Dziwne, nie słyszał żadnego alarmu. Wokół niego biznesmeni, a także kilku turystów z plecakami, spokojnie kierowali się do wyjścia, wymieniając szybkie spojrzenia – bardziej pytające niż nerwowe.

– Tędy, proszę, tędy.

Pracownicy lotniska, w jaskrawożółtych kamizelkach, próbowali pospieszać powolnych pasażerów, wskazując nieokreślone miejsce po drugiej stronie przyciemnionej hali. Kawiarnie, sklepy wolnoćtowe i inne wyprasały klientów, zamykały kraty i opuszczały rolety.

Trochę przyspieszył kroku, ale bez przesady. Nie po to też się dorobił, by zginać na lotnisku Heathrow. Alarm przeciwpożarowy? O co mogło chodzić? Zamach bombowy, pożar? Może ktoś zapalił cygaro pod wykrywaczem dymu?

Arvid człapał z innymi pasażerami, aż dotarli do odległego skrzydła terminala, które wyglądało jak ślepa uliczka. Jeden po drugim zwalniali i się zatrzymywali. Pracowników w kamizelkach nie było już nigdzie widać.

Jego rówieśnik w garniturze i designerskich okularach, ze skórzaną teczką, rozłożył ręce z wyrazem rezygnacji na twarzy. Arvid skwitował tę reakcję wzruszeniem ramion.

Ewakuacja wyraźnie rozeszła się po kościach i nie było nikogo, kto potrafiłby im powiedzieć, czy są w śmiertelnym niebezpieczeństwie, czy to był tylko fałszywy alarm.

Arvid spostrzegł wolne miejsce na ławce i usiadł. Wypełniło go absurdałne przeświadczenie, że nic nie ma sensu. Tego rodzaju uczucia były mu

najzupełniej obce. Dla niego zazwyczaj wszystko miało znaczenie. Oczywiście różne w zależności od kwestii i według tego układał priorytety, ale uważał, że z człowiekiem, który zaczyna myśleć, że nic nie ma znaczenia, nie jest najlepiej.

Nie otrzymał informacji, której potrzebował, by móc podjąć decyzję. Czy powinien pobiec do wyjścia ewakuacyjnego, czy może wrócić do ogarniętej wieczną jesienią hali tranzytowej i zamówić nowe piwo w miejsce tamtego, którego nie miał okazji wypić? A może zostać na tej ławce, jak w czyścucu?

Dla zabicia czasu próbował posortować swoje na razie jeszcze bardzo szkicowe plany dotyczące własnej firmy konsultingowej. Ta gadka, że już nigdy więcej nie trzeba będzie pracować, była oczywiście wyłącznie sposobem na mówienie o pieniądzach bez podawania konkretnej sumy. Nie myślał o emeryturze. Kompletnie nie potrafił zrozumieć ludzi, którzy dążą do niezależności finansowej tylko po to, by móc poświęcić cały czas na golfa i wylegiwanie się na plaży.

Jego plan zakładał, że rozpocznie od bazy w postaci dziesięciu zatrudnionych na stałe starszych konsultantów, a resztę pracowników będzie werbował do konkretnych projektów. Przewidywał, że faza planowania i budowy – polegająca na szlifowaniu pomysłów i nawiązywaniu odpowiednich kontaktów – potrwa rok. Byłoby to coś zupełnie innego niż jednoosobowy projekt, który prowadził do tej pory. Z sukcesami, to prawda, ale własna firma konsultingowa otworzyłaby zupełnie inne możliwości. Pewnie trudno byłoby dalej mieszkać w Szwecji, ale nie miał nic przeciwko przeprowadzce do Londynu czy Zurychu. Tym razem zamierzał wziąć Kristinę ze sobą.

Na ławce przy ścianie na wprost niego dwoje Azjatów – mężczyzna i kobieta – dyskutowało o czymś ściszonymi głosami, ale żywiłowo. Słyszał, że to Japończycy, i miał dziewięćdziesiąt pięć procent pewności, że zajmują wysokie pozycje w biznesie.

Jeden z członków zarządu Pricomu popełnił samobójstwo, uprzednio zastrzeliwszy żonę i siedmioletnią córeczkę. Typowo japońskie, o ile było prawdą. Ci ludzie nie umieli sobie radzić z przeciwnościami. Obowiązywał u nich swoisty feudalizm – jakby nie potrafili się pogodzić z tym, że w nowoczesnym społeczeństwie ludzie się wspinają, spadają i znów zaczynają wspinaczkę. Nieustannie obejmują nowe stanowiska, w zależności od wyborów i osiągnięć, a czasami z powodu wydarzeń, nad którymi dana jednostka nie miała kontroli. W tym świecie nie było miejsca na honor i wstyd.

Arvid zasłonił dłonią usta, bo mimowolnie zaczął ziewać.

Kristina zerwała się od stołu w kuchni i popędziła do salonu, w którym telewizor nadawał poranny program. Na ekranie kobieta o kręconych włosach w ciepłym odcieniu czerwieni, przyjaznym uśmiechu i nieco smutnych oczach mówiła o Londynie. Na wielkim lotnisku Heathrow pod Londynem wybuchł pożar.

Kristina poczuła, że ogarnia ją fala ciepła. Na lotnisku się paliło. Nie-szczęście, terror, bomby, ślepe kaprysy losu, śmierć, zniszczenie.

Promyk nadziei.

Ciepło zostało w jej wnętrzu. Objęła je, próbowała zatrzymać. Czowała, jak otula serce i uspokaja duszę. Przed oczami zaczęły jej się przewijać obrazy. Przedstawiały przyszłość, podobną do tego, co się działo obecnie. Będzie mogła dalej żyć tak jak przez większą część dwóch ostatnich lat. A co jeszcze lepsze: bez zimnego lęku, wizyt zapowiadanych z krótkim wyprzedzeniem, telefonów codziennie o czternastej i dni, w czasie których odliczała sekundy, obawiając się, że w każdej chwili on może coś wyniuchać, zdemaskować ją swoim wyczulonym nosem i zniszczyć jej wszystkie powody do życia. Będzie tylko to, co było do tej pory.

– Służby ratownicze szybko opanowały pożar. Nie zgłoszono żadnych obrażeń, ale przedstawiciel linii lotniczych poinformował, że pasażerowie mogą się spodziewać opóźnień wynoszących od dwóch nawet do dziesięciu godzin.

Kobieta z czerwonymi lokami znów miała w głosie ciepło. Kristinę ściał lód.

Nadzieja zgasła.

Kristina oderwała wzrok od ekranu telewizora. Najpierw dopuściła się zdrady, a potem chciała, by człowiek, którego zdradziła, okazał się martwy. Wstydziała się, choć wiedziała, że nie ma takiej potrzeby. Gdy zniknęło ciepło, zastąpił je wstyd. Żadne racjonalne uczucia na świecie nie były w stanie zatrzymać wrażenia, że jest złym człowiekiem. Kim właściwie była? Czy to wszystko nie miało żadnego dna?

Nie wolno mi mieć nadziei? Życzyć sobie czegoś innego? – próbowała się bronić. Kim właściwie jestem, że siedzę tu przed telewizorem z idiotyczną nadzieją, zamiast być w pociągu w połowie drogi do Bergen z zapakowanym wazonem Kosta Boda, już po sprzedaniu samochodu? Kim ja, do diabła, jestem?

Wstała z kanapy, poszła do pracowni Arvida i ruchem myszki wybudziła komputer z trybu uśpienia. Kiedy pojawił się obraz, otworzyła Flight Trac-

ker, do którego już wcześniej wpisała numer lotu Arvida. Informacja podana przez rudą reporterkę okazała się prawdziwa. Trzy godziny opóźnienia. Do Visby powinna dotrzeć najwcześniej o szesnastej, a jeszcze później, jeśli na pokładzie promów ze Sztokholmu będzie komplet.

Anders Traneus wyszedł na oszkloną werandę, skrzypiącą pod nogami. Nie chciał obwiniać Kristiny, ale jego myśli krążyły w kółko i z każdym obrotem wracały w to samo miejsce – do niej. Uświadamiał sobie, że nie można jej ufać. Potem szybko się z tego wycofywał. Kristina. Trudno oskarżać kogoś, kogo się kocha.

Jednak przede wszystkim obwiniął sam siebie. Po raz drugi wetknął łeb w to samo gniazdo os. Jak cholernie głupim można być? W końcu dochodził do nieubłaganego pytania: Czy to była głupota? A może i tak postąpiłby w ten sposób, nawet gdyby mógł zajrzeć w przyszłość?

Czterdzieści siedem lat. Życie się zawężyło. Niekiedy uważał, że nadal jest młody. Czuł się młody. Jego ciało było silne, nie okazywało żadnych oznak nadchodzącej starości, a w ostatnich latach jego, musiał to przyznać, dość ograniczone życie nabrało rozmachu i wypełniło się radością. Kiedy sobie uświadamiał, że ta radość zostanie mu odebrana, czuł, że nie ma zbyt wielkiego pola manewru. Nie było już tak łatwo odwrócić się w przeciwnym kierunku i zacząć od nowa. W takich chwilach czuł się sędziwy.

Gdyby jednak miał osiemnaście lat, też nie byłoby łatwo zacząć od nowa. Jak długo może w człowieku tkwić osoba, która go odrzuciła?

W jego przypadku o wiele za długo.

Czy tym razem tak to się miało zakończyć? W poniedziałek na początku października, gdy niezdolny do działania stał na własnoręcznie zbudowanej werandzie i patrzył na szarobure ściernisko?

Słońce wisiało nisko na niebie, padając prosto na niego. Widział, że całe pole jest pełne cienkich, cieniutkich pajęczyn. Całe pole. Niepojęta praca.

Niezdolny do działania? Tak, a co mógł zrobić? Wziąć ją siłą? Nie był Arvidem. Może właśnie czegoś takiego chciała. Miała w głowie jakiś defekt, który sprawiał, że wybierała tych, którzy najgorzej ją traktowali? A może to właśnie było dla niej najbardziej odpowiednie – siła i bezwzględność?

Próbował zwalczyć te myśli. Idiotyczne rozumowanie. Gorycz.

Otworzył okno i grzbietem dłoni zmiótł z parapetu kilka martwych much. Miarowy szum wentylatora na silosie paszowym u Hedberga był dziś wy-

jątkowo wyraźny. Powietrze stało nieruchomo, równie parne na zewnątrz co w środku.

Kiedy Inger go zostawiła, stał się zgorzkniały. Rozpamiętywał to kilka lat. Nawet oszklona weranda była jej pomysłem, ale to on ją zbudował. Dla niej. Może nie pasowała idealnie do reszty domu – wyglądała bardziej jak nowoczesny domek dla ptaków, który przywarł do wielkiej willi z lat dwudziestych. Była to jednak solidna robota.

Potem wszystko się odwróciło. Zaczął przyznawać jej rację. Uważał, że postąpiła słusznie, porzucając go. Lubił Inger, ale nie był na nią gotowy. Nie mógł przestać myśleć o Kristinie, chociaż go odrzuciła. Inger nie miała najmniejszych szans ze wspomnieniem Kristiny. A mimo to... Przez większość dorosłego życia dawał jej do zrozumienia, że ją kocha. Może zresztą niekiedy kochał, miewał takie przebłyski. Mógł wskazać wiele plusów... Dzieci. Jednak temperatura między nimi zawsze była letnia. Przynajmniej temperatura jego uczuć do niej.

Czy nie można było tego uznać za rodzaj przemocy albo przynajmniej zdrady?

Teraz zapowiadało się, że znów zostanie sam – w cichym domu pośród pól między Klintebyś a Sanda. Dzieci wyfrunęły z gniazda i zajmowały się swoimi sprawami. Wszystko tak, jak powinno być. Ich nie mógłby zatrzymać. Ale czuł się tak cholernie stary.

W dorosłym wieku zbyt długo wmawiał sobie, że życie to coś, co po prostu powinno trwać. Teraz rozumiał, że to nieprawda. Rzecz nie tylko w tym, że życie było krótsze, niż sobie wyobrażał. Chodziło również o to, że kończyło się o wiele wcześniej.

Co się z nią działo? Było ciemno. Po wewnętrznej stronie ud czuła przyjemnie drażniące doznania wokół wulwy, wywołane przez dwa okrężne ruchy w przeciwnych kierunkach. Po chwili przeszyły brzuch, stając się źródłem ciężkiego podniecenia, które rozeszło się po całym ciele i przyspieszyło jej oddech.

Co się z nią działo? Była z kimś? Z Andersem? Nie, nikogo tam nie było. Czyżby sama się pieściła? Poczowała wręcz zawstydzenie, jakby sama siebie na tym przyłapała.

Gdzie były jej ręce? Między nogami? Nie, jedno przedramię spoczywało pod poduszką, na której nikt nie leżał, a drugie w niewygodnej pozycji, wciśnięte za plecy. Nie, nie pieściła się. Miała niewidzialnego kochanka.

Czuła, jak się w niej poruszał: łagodnie i bardzo, bardzo powoli. Nawet najmniejszy ruch powodował przyjemne mrowienie. Było to jak szybkie prysznic, na przemian lodowate i gorące, niebezpieczne skrajności, które wciąż zatrzymywały się nawzajem na granicy bólu, zamieniając go w rozkosz.

Wykonywał ruchy w jej wnętrzu, a ona nie mogła się opanować i przysuwała się do niego coraz bliżej i bliżej...

Co on z nią robił? Powolne, węzowe ruchy zdawały się nie mieć końca, nigdy nie zmieniać kierunku, jakby ich źródło było wewnątrz, jakby coś z niej wychodziło. Odgarnęła kołdrę, usiadła na łóżku, zupełnie naga, i utkwiała wzrok w swoich rozłożonych nogach.

Prosto w jej oczy patrzyły czarne węzowe ślepia, osadzone w zgrubieniach na głowie gada. Zmarznięta na kość, niezdolna do wykonania ruchu, patrzyła na wychodzącą z jej łona żmiję z zygzakowatym wzorem. Wszelkie podniecenie momentalnie minęło. Jedyne doznanie fizyczne przypominało chłód kamieni wydobytych z ziemi tak głęboko, że nie czuły ciepła od tysięcy lat.

Łuskowata skóra żmii była błyszcząca, pokryta jej śluzem. Gad wił się szybciej i syczał, kiedy już z niej wyszedł i sunął przez włosy łonowe i dalej na brzuch. Nie czuła jego ruchów, a jedynie ów bezdenny chłód, który miał źródło gdzieś w dole i piał się po kręgosłupie.

Żmija zbliżała się coraz bardziej, z przekrzywioną głową, lekko się poruszającą w takt ruchów, które prowadziły ją naprzód. Dotarła do jej prawej piersi. Czarne oczy zdawały się widzieć wszystko i nic. Otworzyła szeroki pysk, obnażając długie zęby, a zaraz potem ukąsiła. Zatopiła zęby w ciemnoczerwonej brodawce sutka, a ból...

Kristina otworzyła oczy. Po kilku szybkich, panicznych spojrzeniach zorientowała się w czasie i przestrzeni. Kanapa w salonie, popołudniowe słońce za oknem.

Klatka piersiowa unosiła się szybko i nieregularnie. Kristina powoli usiadła. Poczowała, że ma zdrętwiałą lewą rękę, a prawą odruchowo uniosła do piersi pod cienkim białym wełnianym sweterkiem. W głowie miała kompletną pustkę. Żadnych myśli oprócz strachu, w chwili gdy zęby żmii zagłębiły się w ciało.

Powoli odzyskiwała siebie. Sen, sen, sen, powtarzała sobie. Ale jaki! Skąd się takie biorą? Kilka dni temu na ścieżce widziała żmiję, tyle zrozumiała. Mimo to...

Boże, która jest godzina? – pomyślała nagle. Z wysiłkiem uniosła zdrewniałą lewą rękę. Za dziesięć czwarta. Zdąży na lotnisko na styk.

Emrik Jansson stał plecami do słońca, trzymał obie ręce na kierownicy roweru i patrzył na drogę. Szeroka szosa, pomyślał. Znajdował się na jej krańcu. W miejscu, w którym kończył się asfalt. Dalej było już tylko kilka solidnych betonowych bloczków oznaczonych odblaskami. Był tam, ale mimo wszystko nie czuł się całkiem pokonany. Wyglądało to tak, jakby można było usiąść na jednej z tych betonowych brył i chwilę odsapnąć, zanim zostanie się zepchniętym za krawędź.

Emrik zwykle wcześniej zasypiał i wcześniej się budził, często jeszcze zanim noc przemieniła się w dzień. Jednak poprzedniej nocy prawie nie zmrugał oka. Myśli nie pozwalały mu zasnąć. Niedorzeczne, że tak bardzo się martwił czymś, co w zasadzie nie było jego sprawą, ale nie dało się tego uniknąć, gdy życia nie wypełniało już nic, co można by uznać za jego sprawy.

Martwił się, i to nie bez powodu, ale co właściwie chciał zobaczyć czy osiągnąć, stojąc tam, gdzie stał? Mijający go samochód Kristiny Traneus, machnięcie zza szyby, a potem już nic? Mniej więcej na coś takiego mógł liczyć. Może jeszcze na to, że w tym samym aucie mignie mu Arvid Traneus.

Zdurniały staruch ze mnie, powinienem pójść do domu i się położyć, przemknęło mu przez głowę. Zaczął błędzić poźółkłymi palcami w poszukiwaniu tytoniu, ale znieruchomiał. Przez brak snu czuł się słaby i nie był pewien, czy papieros go wzmocni, czy każe mu usiąść na tyłku przy drodze. Emrik wiedział z doświadczenia, że jeśli już klapnie, nie da rady wstać bez pomocy. To ostatnie, czego chciał – by ktoś musiał przychodzić i wyciągać go z rowu.

Uznał, że najlepiej dać sobie spokój z papierosem. Ponownie chwycił oburącz kierownicę roweru i przeszedł kilka metrów. Powinni nadjechać lada chwila. Lada chwila.

Duży miejski jeep Kristiny Traneus – srebrnoszary lexus – zjechał z przybrzeżnej drogi w okolicach Klinte i sunął dalej w kierunku Hemse. O ile to

w ogóle był jej samochód. Jeździła nim dwa lata i przyzwyczała się do traktowania go jak swoją własność, ale już nie ona siedziała za kierownicą.

Od czasu, gdy odebrała Arvida z lotniska w Visby, minęło nieco ponad pół godziny. Przytulił ją już przed drzwiami hali przylotów. Mocno przycisnął do swojego wielkiego i silnego ciała, a potem musiał się pochylić, by schrypniętym szeptem wymruczeć jej do ucha:

– Kristino, jesteśmy już tylko ty i ja.

Skóra jego twarzy napinała się od szerokiego uśmiechu.

Kristina mocno do niego przywarła, prawie się go kurczowo uczepliła, żeby nie stracić równowagi. Poczula zawroty głowy.

„Tylko ty i ja”. Co to znaczyło? Co takiego zobaczył?

– Nie masz więcej bagażu? – zapytała, kiedy już się odważyła z powrotem stanąć na nogi i spojrzała na teczkę z czarnej skóry i małą kabinową walizkę na kółkach.

– Przyślą resztę.

Na parkingu wyciągnął rękę po kluczyki do samochodu.

– Nie jesteś zmęczony? – zapytała.

Był na nogach od dwudziestu czterech godzin, jeśli liczyć opóźnienie w Londynie.

– Nie, wszystko w porządku. Ja poprowadzę.

Zaczęła natychmiast szukać kluczyków w torbie.

Tak się znalazł za kierownicą samochodu, który zaczęła traktować jak własny. Pojechali monotonną trasą przez las między Klinte a Levide, skręcili na Gerum i od domu dzielił ich już tylko ostatni odcinek.

– Emrik, o cholera. Ile jeszcze ten facet pożyje? – mruknął Arvid.

Kristina nawet nie zauważyła, że minęli swojego siwobrodego dawnego nauczyciela. Jej myśli były zajęte czymś innym, a poza tym, w przeciwieństwie do Arvida, była przyzwyczajona do oglądania Emrika.

– Już ledwo chodzi – odparła nieobecny tonem.

Dojechali do tablicy i Arvid skręcił w kierunku gospodarstwa. Kristina oparła prawą dłoń na klamce i zaczęła wdychać przez nos zapach Arvida. Składał się na niego w połowie on, a w połowie coś obcego – zawsze tak było, gdy wracał do domu z podróży. Jakby człowiek, którego znała, został rozcieńczony przez coś innego. Już wiele razy tak siedziała obok niego w samochodzie, czując ten sam zapach i mając w głowie tę samą myśl. Jednocześnie to coś, co było nim, wypełniło ją ciężką tęsknotą, która rozproszyła wszystkie inne rozmyślenia. Jeśli istniały jakieś wątpliwości, znikwały ni-

czym rosa w słoneczny lipcowy poranek, a Kristina była w stanie myśleć tylko o jednym – wyobrażała sobie, jak to będzie, kiedy znów ją obejmie, po raz pierwszy od dni, tygodni, miesięcy. Jego nagie ramiona wokół jej nagiego ciała, pożądliwe, wymagające dłonie, sztywny kutas ocierający się o jej brzuch. Jak mogłaby wziąć...

Arvid kilka razy zakaszłał i skręcił przed duży dom.

Tym razem nie czuła nic takiego. Kiedy wciągnęła powietrze, dotarła do niej tylko woń alkoholu i starego samolotu. Z nutą potu.

Co czuł on? Czy pachniała dla niego inaczej? Czy mógł coś rozpoznać w jej zapachu?

Arvid zatrzymał samochód na asfaltowym podjeździe przed garażem. Wsiadł i ruszył po walizkę, ale kiedy bagażnik był otwarty do połowy, znieruchomiał.

Czuł się nieswojo.

Puścił klapę i ogarnął spojrzeniem ogród przed białą fasadą. Poczul się tak, jakby zaparkował przy niewłaściwym budynku, choć przecież nie ulegało wątpliwości, że to jego dom. Właściwy, choć tak się nie wydawało. Czyżby był nieobecny tak długo, że w ogrodzie zdążyły urosnąć drzewa i krzewy? A może po prostu czas uczynił jego własny dom obcym?

– Co myślisz?

Kristina. Słabo ją słyszał, nie bardzo potrafił zrozumieć.

Nie, coś na pewno się zmieniło.

Kiedy już to odkrył, poczuł zdziwienie, że przedtem mogło mu to umknąć. Od podjazdu do drzwi, równoległe do domu, biegła wybrukowana ścieżka. Pomiędzy nią a podjazdem rosło morze purpurowoczerwonych kwiatów, gęste jak gruby dywan.

Znów Kristina. Tym razem ją usłyszał. W jej głosie pobrzmiwała nadzieja.

– Tak...

Spojrzał na nią, ale stracił rezon. Z jakiegoś powodu nie mógł wykrztusić słów. Tak samo jego rodzący się uśmiech zeszywniał i zgasł.

Arvid odwrócił wzrok w kierunku ścieżki i kwiatów. Wcześniej był tam żwir. Wysypana nim ścieżka biegła ukośnie, przecinając trawnik, dokładnie w miejscu, gdzie kwiaty na świeżej rabacie raziły go wściekłą czerwienią.

– To dalej – oznajmiła Kristina.

W jej głosie zaszła jakaś zmiana. Stał się niepewny.

– Co to jest? – zapytał, wpatrując się w kwiaty.

Kristina, odpowiadając, bawiła się guzikami bluzki.

– Pomyślałam, że to będzie miła odmiana.

Zatrzymała na nim wzrok i próbowała przekazać entuzjazm, ale w słabym uśmiechu na jej twarzy widać było przeprosiny.

– Odmiana?

– Tak, a co?

Wzruszył ramionami.

– Tak, tak – powiedział, wyjmując walizkę z samochodu.

Zrobił kilka kroków w kierunku wapiennej ścieżki, ale gwałtownie przystanął. Kilka sekund stał w zupełnym bezruchu, a potem, kierowany impulsem nie do odparcia, skrócił sobie drogę do drzwi, jakby wciąż była tam ścieżka wysypana żwirem. Poczuł, że wypełnia go mieszanka palącego dyskomfortu i gniewu – i że to ona kieruje jego ruchami. Ciężkim i zdecydowanym, ale nie przesadnie wydłużonym krokiem przeszedł po rabatce. Jego wypastowane czarne buty rozmiaru czterdzieści siedem łamały i miażdżyły łożyski i czerwone płatki kwiatów.

CZĘŚĆ DRUGA

*O Gertrudo! Gertrudo! ziszcza się na nas ta
prawda,
Że kiedy kogo nawiedzają smutki, To nigdy lu-
zem, a zawsze gromadnie.*

WILLIAM SHAKESPEARE

Sobota, 28 października, szpital Karolinska, Solna

Mężczyzna w białym fartuchu nachylił się nad Fredrikiem Bromanem i zapytał go o imię. Fredrik rozchylił spierzchnięte wargi, żeby odpowiedzieć, zrobił wdech, napiął przeponę i struny głosowe, by wypchnąć potrzebną dawkę powietrza przez odpowiednią szczelinę. Ułożył usta. Jednak żaden dźwięk się nie rozległ. Nie dlatego, że Fredrik nie mógł skoordynować tych wszystkich ruchów i zapanować nad mięśniami. Nie przez bezsilność lub oszołomienie. Milczał, bo nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Nie wiedział, jak się nazywa.

A właściwie nie do końca tak. Nie słyszał tych słów, ale widział je przed sobą – nie jako litery, lecz kształt, który był ze wszech miar oczywisty i bardzo bliski, ale nie dawał się przetłumaczyć na dźwięki.

Po chwili zaczął myśleć o Göście Bohmanie, dawnym liderze Umiarkowanej Partii Koalicyjnej. Dlaczego? Miał pewność, że nie jest Göstą Bohmanem. Tamten przecież nie żył. A może on też miał na imię Gösta? Albo nosił nazwisko Bohman?

Musiał coś powiedzieć. Pokazać, że jest wciąż obecny, nawet jeśli nie potrafił zamienić tych oczywistych kształtów w odpowiednie dźwięki. Musiał udowodnić, że wciąż istnieje.

Zakręciło mu się w głowie, gdy wyobraził sobie możliwy scenariusz: lekarze wyciągają błędne wnioski, uznają, że nic z niego nie będzie, i przenoszą go na oddział opieki długoterminowej, gdzie szybko zostanie zapomniany.

Kolejna próba. Wszystko jedno. Przepona, struny głosowe, wargi.

– Bohman? – powiedział lekko drżącym głosem.

Lekarz uśmiechnął się do niego, a potem obrócił w lewo, do kobiety o długich rudokasztanowych włosach, która była jego żoną.

– Robimy postępy – stwierdził.

Gospodarstwo Traneusów mieściło się na granicy między Levide a Gerum, pomiędzy Hemse a Klintehamn na południowej Gotlandii. Większość gospodarstw wybudowano w małych odstępach, a to należące do Traneusów leżało na uboczu, zajmowało kilka hektarów ziemi uprawnej i było otoczone lasem. Pozostałe włości były rozsiane po okolicy.

Główny budynek gospodarstwa składał się z dwóch odnóg – jednej z połowy dziewiętnastego wieku i drugiej z tysiąc dziewięćset jedenastego roku. Tę drugą zbudowano w taki sposób, że stanowiła mniejszy narożnik nowego domu. Obie były pobielone wapnem, z ceramicznymi dachówkami w pięknym pomarańczowoczerwonym odcieniu, widocznymi zza bujnej korony wyrosniętego kasztana. Sześćdziesiąt kilka metrów za domami znajdowały się duża stodoła i starsza od niej stajnia, również wybudowana w tysiąc dziewięćset jedenastym.

Amanda Wahlby otworzyła drzwi kuchni i weszła do środka.

– Halo? – krzyknęła, ale nie traciła czasu, czekając na odpowiedź.

Zdjęła buty, wyciągnęła z trzymanej reklamówki plastikowe klapki i wsunęła je na stopy, powiesiła kurtkę i weszła do toalety. Tam zmieniła obcisłą różową koszulkę na białą ze spranym nadrukiem, znacznie luźniejszą.

Była dziewiąta rano w pierwszy piątek października. Niebo pokrywała cienka warstwa mgły, a słońce pośród szarości było jak rozlana żółta farba. Amanda sprzątała u Traneusów od pół roku, odkąd poprzednia sprzątaczką poszła na zwolnienie lekarskie z powodu problemów z kolanami.

Miała zwyczaj dzwonić dwa razy. Jeśli nikt nie otwierał, wchodziła do środka, wykrzykiwała powitanie i zaczynała pracę. Miała też klucz, na wypadek gdyby nikogo nie było w domu, ale od rozpoczęcia pracy musiała go użyć tylko raz.

Idąc do kuchni, krzyknęła: „dzień dobry”. Z szafki z przyrządami do sprzątania wyjęła odkurzacz, ściereczki, środki czyszczące, mopa i gumowe rękawiczki, nalała wody do plastikowego wiadra i dodała dwie pokaźne dawki ajaxu.

To była dobra fucha – u Traneusów nigdy nie trzeba było zbierać wielu rzeczy ani dużo sprzątać. Zastanawiała się, dlaczego Kristina Traneus nie

robi tego sama. Przecież nie miała pracy, która zabierałaby jej cały czas, a skoro i tak utrzymywała jako taki porządek... Chociaż Amanda wiedziała, że to nie jej problem, i była zadowolona, że ma tę pracę.

Wzięła odkurzacz jedną ręką, wiadro drugą, a mopa wcisnęła pod pachę. Zwykle zaczynała odkurzanie od salonu i przechodziła przez cały dom. Na koniec zostawiała kuchnię i toalety. Najczęściej zajmowało jej to cztery godziny. Łatwa robota, ale obszerna.

Amanda poczuła ten zapach już w drzwiach do salonu. Był słodki i natarczywy, lekko mdlący, jak... no właśnie, co? Cokolwiek wydzielalo ten zapach, nie powinno się tam znajdować. Może po prostu cięte kwiaty spędziły zbyt dużo czasu w tej samej wodzie – czasem potrafią cuchnąć jak najbardziej nieświeży oddech. Ale zostawianie wazonów z zepsutą wodą po kwiatkach nie było w stylu Kristiny Traneus.

Po chwili to zobaczyła. Wiadro z wodą wypadło jej z ręki. Nie mogąc się powstrzymać, zwymiotowała prosto na klubowy fotel obity szarym aksamitem.

Bam! Krzywo trafił w piłkę, posyłając ją ostro w prawo zamiast do bramki, jak zamierzał. Koledzy z przeciwnej drużyny wyszczerzyli zęby, zadowoleni z tego niepowodzenia.

– Przynieś piłkę, Broman. Musisz przynieść piłkę – stęknął czerwony na twarzy Ove Gahnström, nadbiegając z pozycji lewego obrońcy. Spodziewał się ataku na bramkę.

W dupę się pocałujcie, pomyślał Fredrik, ale zrobił dobrą minę do złej gry.

Ove, sprawiając wrażenie, jakby już zapomniał o tym blamażu, wycofał się do siebie. Na jego świeżo ostrzyżonych włosach błyszczał pot.

Jakiś futbolowy cymbał wpadł na pomysł, by zaczynać piątki od treningów piłki nożnej, w ramach odmiany od meczów unihokeja w budynku X klubu sportowego P18 w Visby. Piłka nożna nie była ulubionym sportem Fredrika. Nigdy się nie zaprzyjaźnił z futbolówką, w przeciwieństwie do wielu kolegów nie grał w żadnym klubie, jedynie kopał piłkę na przerwach w szkole. Futbol figurował naprawdę nisko na liście jego priorytetów. Kiedy kanał TV4 emitował reklamę telefonów komórkowych z Davidem Beckhamem w roli głównej, Fredrik nie rozpoznał gwiazdy futbolu i zupełnie nie zrozumiał przesłania, dopatrując się tam jakiegoś niejasnego żartu z gejów.

Nie należał do miłośników sportów drużynowych. Wolał indywidualne, nawet tenisa. Sporty drużynowe wyzwały w nim chęć, by mocno kogoś kopnąć w piszczel.

Grali na pylistym żwirowym placyku między szkołą Lyckåker a jasnymi budynkami wielorodzinnymi przy Gråbo. Fredrik zerknął na zegarek. Został jeszcze kwadrans.

Simon niedawno zaczął trenować grę w piłkę czy też „w gałę”, jak nazywali to koledzy w jego wieku. Mimo braku entuzjazmu do tego sportu Fredrik był zadowolony, że syn połknął bakcyła. Dzięki temu miał trochę ruchu, a poza tym zdobył niekwestionowaną pozycję w grupie. Dziewięcioletni chłopak stawał się częścią paczki dzięki piłce nożnej i wiedzy o drużynach i gwiazdach futbolu. Chyba nie dało się tego przeskoczyć.

Ove posłał strzał nad poprzeczką. Rozległ się chrzęst ogrodzenia za bramką.

Zostało dziesięć minut. Obiecali, że będą więcej się ruszać, by Ove nie miał powodu do narzekań. Po jego stronie nadbiegła Sara Oskarsson. W swojej zielonej, błyszczącej koszulce sportowej i z czarnymi włosami, utrzymywanymi w miejscu przez dwie równie czarne gumki, wyglądała jak profesjonalistka. W zasadzie była dla niego za szybka, ale w przypływie szału udało mu się od niej uwolnić. Wykonał obrót, by podać piłkę do Gustava Wallina, ale okazało się, że Gustav rozmawia przez telefon. Ktoś musiał wziąć tę rolę na siebie. Wszyscy nie mogli odłożyć telefonów.

Sarze wystarczyło sekundowe zawahanie. Fredrik usłyszał dyszenie, poczuł woń potu i zniknęła mu z oczu wraz z piłką. Jednak sekundę później mecz i tak był już zakończony. Gustav uniósł rękę niczym arbiter, który chce odgwizdać rzut wolny. Jeszcze zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, można było zauważyć, że stało się coś poważnego.

– Robota! – krzyknął.

Zdyszany Fredrik ruszył w stronę Gustava. Po niedawnym zrywie czuł ból w płucach. Gustav poczekał, aż wszyscy się zbiorą, a potem zduszonym głosem zaczął omawiać szczegóły.

– Dwa trupy w gospodarstwie w Levide. Zabójstwa, to nie ulega wątpliwości.

Koledzy skupieni wokół Fredrika w dalszym ciągu dyszeli. Sara się pochyliła i splunęła na żwir.

– Trzeba się przebrać i jechać – oznajmił Ove.

– Kto złożył zawiadomienie? – zapytał Ove. Stał na trzeszczącym parkiecie w przestronnym salonie. Skinął głową w kierunku radiowozu stojącego na dziedzińcu.

Amanda Wahlby siedziała z tyłu, wpatrzona w zagłówek przed sobą. Przez otwarte drzwi wychylał się kolega Owego w mundurze, próbując z nią rozmawiać.

– Tak – odparł Fredrik. – Zadzwoiła z telefonu komórkowego, a kiedy pojawił się pierwszy człowiek, stała na drodze sto metrów dalej. Powiedziała, że nie ma odwagi zostać przy domu.

– No tak – zgodził się Ove. – To zrozumiałe.

Ove był postawnym mężczyzną, liczącym metr siedemdziesiąt osiem wzrostu i osiemdziesiąt pięć kilogramów wagi. Trzydzieści jeden lat wcześniej, gdy był aktywnym hokeistą, ważył prawie tyle samo, ale wówczas te kilogramy miały nieco inną jakość i były inaczej rozmieszczone.

Spojrzał na dwa pocięte ciała. Kobieta leżała na podłodze przy sofie, a mężczyzna w rogu pokoju, przy przewróconym stoliku i rozbitej lampie ze srebrnego szkła.

Do pokoju wchodziło się przez jadalnię, która wyglądała tak, jakby mogła pomieścić dwadzieścia kilka osób. Po prawej stronie, tuż obok niego, stały dwa szare fotele przy niskim okrągłym stoliku z nogami jak filary. Błat był zdobiony intarsją z palisandru przedstawiającą dwa jelenie. W głębi pokoju stały dwie sofy i dwa fotele, wszystkie obite tym samym jasnym materiałem i otaczające wypucowany na błysk stół z białą porcelanową miską w charakterze jedynej dekoracji.

– Dużo krwi – stwierdził Fredrik.

– Tak, musiał zostać z niej całkowicie opróżniony – dodał Ove, wskazując ciało w rogu.

Głowa mężczyzny, wisząca pod dziwnym kątem z powodu w połowie odciętej szyi, była kompletnie zmasakrowana. Brakowało oczu, a z twarzy zostały tylko krew i głębokie rany. Dłonie były odcięte do połowy, a na reszcie ciała było mnóstwo długich, głębokich ran ciętych. Z otwartej jamy brzusznej zwisała część narządów. Fredrik miał wrażenie, że na wywiniętej

otrzewnej dostrzega skrawek wątroby, ale nie było łatwo stwierdzić, co jest czym. Ciało było ułożone we wręcz niewiarygodnie dużej kałuży zaschniętej krwi, a spodnie zostały zabarwione intensywną czerwienią. Z kolei ciało kobiety miało tylko jedno głębokie rozcięcie – biegnące przez klatkę piersiową, tuż pod sercem. Również ona mocno krwawiła. Większość krwi wchłonął wielki perski dywan, który wyglądał na obecny w rodzinie od pokoleń.

W powietrzu czuć było woń wymiocin i zepsutego mięsa. Mgła na dworze zgęstniała, dzień stał się szary i ponury.

Ove miał na sobie zieloną wiatrówkę i znoszone džinsy. Fredrik zostawił swoją kurtkę w samochodzie. Był ubrany w granatową koszulkę i džinsy, równie zużyte jak te Ovego. Służbowy pistolet trzymał na prawym biodrze. Obaj mieli na butach jasnoniebieskie ochraniacze.

Kiedy Fredrik zobaczył przed sobą ciała, jak zwykle w takich sytuacjach uderzyła go myśl, jak są zapadnięte i poszarzałe. Wszystkie próby upozorowania śmierci w filmie i telewizji w porównaniu z rzeczywistością były pełne życia. Prawdziwi umarli najbardziej przypominali odpady. Brzmiało to pogardliwie, ale właśnie taka myśl przemknęła mu przez głowę: są jak śmieci. Wszelkie życie z nich uszło. Leżące na posadzce ciała w bardzo niewielkim stopniu kojarzyły się z tym co ludzkie. Ponura perspektywa, ale właśnie ona pozwalała znieść ich widok.

Fredrik podniósł wzrok znad dwóch ciał i wyjrzał przez okno z widokiem na tyły budynku. Zobaczył zadbane pastwisko z wysokim ogrodzeniem, a na pierwszym planie rododendrony i ścięte późnoletnie kwiaty, leżące w suchych stosach obok sekatora z jaskrawoczerwonym uchwytem. Trawnik był równy i bujny, miał intensywnie zielony kolor.

– Mnóstwo krwi i mnóstwo pieniędzy – powiedział Ove.

Nie trzeba było regularnej lektury kolorowych magazynów wnętrzarskich, by zrozumieć, że Traneusowie byli dobrze sytuowani. Mieszkali w dużym domu i wyglądało na to, że ktoś zainwestował czas, wysiłek i masę pieniędzy w urządzenie pokoi. Przynajmniej na ile Fredrik i Ove zdążyli się zorientować. Wszystko zostało dopasowane kolorystycznie i przemyślane we wszystkich szczegółach. Nie było żadnych wkrętów imbusowych kojarzących się z Ikeą i samodzielnym montażem.

– Myślisz o zabójstwach na tle rabunkowym? – spytał Fredrik.

– Tak – odparł z pewnym ociąganiem Ove. – Ale nie wiem, jak to wszystko ze sobą połączyć.

Znów wskazał zmasakrowanego mężczyznę.

Ove miał rację. Kobieta miała tylko jedną ranę klatki piersiowej, ale jak wytłumaczyć wściekłość wymierzoną w mężczyznę?

– Niespodziewany opór, niezrównoważony włamywacz – podsunął Fredrik.

– Niezrównoważony – powtórzył Ove i poklepał się dłonią w klatkę piersiową. – Jak cholera.

Rozległy się kroki na parkiecie i do pokoju wszedł Gustav Wallin. Było to nieco komiczne wejście. Miał na sobie dobrze skrojony ciemnobrązowy garnitur w dyskretną czarną kratkę, który kiepsko pasował do jasnoniebieskich ochraniaczy na buty.

– Sądzicie, że konie potrzebują wody? No bo skoro ci tutaj leżeli od kilku...

Na widok ciał Gustav umilkł.

– Ktoś nad tym pracuje – odparł Ove.

Gustav w dalszym ciągu nic nie mówił. Pierwszy rzut oka na ciała uciśzył także Fredrika. Trupy były szare i nieme, ale za to pokój aż krzyczał, wyrzucając z siebie całą brutalność i nienawiść, która musiała eksplodować w sprawcy.

– Wiemy, kim oni są? – zapytał w końcu Gustav.

– Kobieta to Kristina Traneus, zameldowana pod tym adresem, a jeśli chodzi o mężczyznę...

Fredrik zawiesił głos. Zmasakrowane zwłoki mówiły same za siebie.

– Sprzątaczką rozpoznała Kristinę Traneus, ale nie potrafiła powiedzieć, kim jest mężczyzna – ciągnął. – Rzuciła tylko na niego okiem i raczej nie będzie miała nastroju, by wrócić i bliżej mu się przyjrzeć.

– Hmm, trudno się dziwić – mruknął Gustav. – Ale istnieje chyba jakiś pan Traneus?

– Tak. Arvid Traneus. Sprzątaczką twierdzi, że mają dwoje dzieci. Żadne z nich nie mieszka z nimi w domu.

– Czyli dobrze się domyślam, że to Arvid tam leży? – spytał Gustav, marszcząc czoło.

– Tak, tak – odparł Ove, przeciągając dłoń po czarnych, krótko przystrzyżonych włosach, do których najwyraźniej nie zdążył się przyzwycząić.

Gustav zrobił krok w bok.

– Można się tu dostać na trzy sposoby. Są dwie drogi z północy i jedna z południa – ta, którą sami przyjechaliśmy.

Ove podniósł na niego wzrok.

– Idealne miejsce na dokonanie zabójstwa.

Gustav skinął głową i ponownie spuścił wzrok na ciała. Dłuższą chwilę stali kompletnie nieruchomo. Nadleciała mucha i usiadła na ramieniu zmarłej. Ove ją odgonił.

– Wściekłość... niemal szaleństwo i spora siła – podsumował Gustav.

– Wiele zależy od narzędzia – stwierdził Fredrik.

– Od narzędzia?

– Tak. Ludzie rzadko biegają z mieczem, więc jeśli nie mamy do czynienia z wariatem, powinno istnieć jakieś narzędzie.

Nagle coś zakłóciło ich koncentrację. Jakiś głos mówiący o wiele za głośno i stopy poruszające się zbyt szybko, by pasowało to do zwyczajnej pracy na miejscu zbrodni. Wszyscy troje zareagowali jednocześnie, odwrócili się w kierunku przedpokoju i drzwi. Ktoś szarpał za klamkę.

– Puśćcie mnie! Puśćcie!

Potrzeba było dwóch silnych policjantów, by utrzymać mężczyznę, wyglądającego na siedemdziesiąt kilka lat. Zaparty stopami, rzucał się do przodu, a brązową zamszową kurtkę miał zarzuconą na ramiona.

– Chcę wejść.

Wytrzeszczone oczy były utkwione w domu i nie widziały nic oprócz drzwi, które właśnie za sobą zamknął Ove. Mężczyzna był blady jak ściana i tylko na jego szyi widniały małe czerwone plamy. Oddychał z wysiłkiem i dyszał.

Ove, Gustav i Fredrik podbiegli do kolegów zmagających się z mężczyzną. Fredrik próbował pochwycić jego spojrzenie, stanął mu na drodze, ale tamten patrzył przez niego na wylot.

– Dlaczego chce pan tu wejść? – spytał Fredrik, ale siwowłosa nie reagował.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie – dodał Gustav.

– Próbowaliśmy – wydyszał jeden z kolegów, którzy usiłowali unieruchomić mężczyznę.

Siwowłosa zaczął wykonywać głową ruchy w bok – w kierunku dwóch samochodów stojących na podjeździe do garażu.

– To przecież jego samochód. Tam stoi, nie rozumiecie? Jeśli on jest w środku, zabiję skurwysyna, zabiję go.

Mężczyzna donośnie krzyczał, ale było słychać, że jego głos w każdej chwili może się załamać z rozpacz.

Ove zrobił zmęczoną minę.

– Wnieście go do samochodu i niech tam siedzi, dopóki się nie uspokoi.

Koledzy nerwowo skinęli głowami i z wysiłkiem pociągnęli opierającego się, wierzgającego nogami mężczyznę do radiowozu. Przy użyciu umiarkowanej siły udało im się go umieścić na tylnym siedzeniu. Gustav poszedł za nimi i otworzył przednie drzwi po stronie pasażera. Zajrzał do środka.

– Kto według pana jest w domu? – spytał spokojnie niemal szeptem.

– Mój syn. To przecież jego auto. To jego samochód tam stoi.

Mężczyzna nagle zaczął mówić błagalnym głosem, jakby chciał, by pięciu otaczających go policjantów zaprotestowało. Aby go przekonali, że się pomylił, wsadzili do samochodu i zabrali z tego miejsca.

Fredrik i Ove milczeli, stojąc z boku. Nie chcieli przeszkadzać, skoro Gustav najwyraźniej nawiązał z nim kontakt.

– Kim jest pański syn? – zapytał.

Mężczyzna odpowiedział dopiero po chwili, jakby nie do końca rozumiał, że oczekuje się od niego podania nazwiska. Głos dobiegał z samochodu przytłumiony. Gustav zrozumiał tylko „Traneus”. Wsunął głowę głębiej do samochodu.

– Arvid Traneus? – zapytał.

Można było odnieść wrażenie, że nacisnął jakiś guzik. Mężczyzna rzucił się do drzwi i usiłował wyjść z samochodu. Kiedy zrozumiał, że drzwi są zamknięte, próbował się przecisnąć między fotelami z przodu, ale powstrzymał go funkcjonariusz znajdujący się w samochodzie.

– Arvid! Jeśli tam jest mój syn, jeśli w domu leży martwy Anders, to znaczy, że to on. Arvid jest sprawcą. Jeśli w domu przebywa mój syn, to zabił go Arvid. Jest zdolny do wszystkiego, naprawdę do wszystkiego...

Gustav spojrział na Fredrika i Ovego, ale nic w ich oczach nie zdradzało, by z wypowiedzi mężczyzny zrozumieli więcej niż on.

– Czyli nie jest pan ojcem Arvida Traneusa? – spróbował.

– Ja? – wypalił mężczyzna i splunął na podłogę.

Gustav się wzdrygnął.

– To bez sensu – mruknął.

– Arvid! – syknął mężczyzna. – Arvid! Tam macie waszego mordercę.

Gustav zatrzasnął drzwi. Odwrócili się plecami do radiowozu, czując ulgę, że nie muszą w nim siedzieć z człowiekiem, który dostał ataku wście-

klizny.

– Jak on się tego, do cholery, dowiedział? – zapytał Fredrik.

– Nie należy lekceważyć gotlandzkich tam-tamów – odparł Ove.

Fredrik przyjrzał się człowiekowi widocznemu między odbiciami w bocznej szybie radiowozu.

– Po prostu się zastanawiam, jak to możliwe, że po usłyszeniu tej pogłoski natychmiast pobiegł do samochodu i przyjechał tutaj, żeby się dowiedzieć, czy to jego syn został zamordowany.

Niedziela, 29 października, szpital Karolinska, Solna

Sara Oskarsson, stojąc plecami do Fredrika, spostrzegła, że drzwi szpitalnej sali się otwierają, miękko i bezgłośnie. Od wczesnego dzieciństwa żyła z przekonaniem, że szpitale mają specyficzny, niekoniecznie przyjemny zapach. Tym razem uświadomiła sobie nagle, że nie czuje nic. Szpital był starannie wysprzątany, wolny od kurzu i bezwonny.

Wyczuła oddech Fredrika i się odwróciła. Patrzył na nią. Zrobiła kilka kroków w stronę nóg łóżka, mignęło jej własne odbicie w lustrze – czarne włosy, które zapuściła do ramion. Fredrik śledził ją wzrokiem. To musiał być dobry znak. Oczywiście pozostawało jeszcze pytanie, czy ją rozpoznał, czy po prostu zobaczył ruch.

Lekarze nie mówili nic konkretnego. Z ich słów można było wywnioskować zarówno, że całkiem wyzdrowieje, jak i że pozostanie na poziomie, na którym był obecnie. Mózg doświadczył szoku i napięcia. Na razie nie dało się stwierdzić, czy wystąpią w nim nieodwracalne zmiany. Jak dotąd wszystko szło we właściwym kierunku.

Głowa Fredrika była ogolona po lewej stronie. Jeszcze niezagojoną ranę po operacji zakrywały kompres i biały bandaż owinięty wokół głowy jak apaszka u japońskiego sushi мастера. Na to naciągnięte było coś w rodzaju półprzezroczystej skarpety, która kojarzyła się z jakimś cool raperem. Tyle że Fredrik nie wyglądał szczególnie cool. Mimo to takie myśli pomagały. Ułatwiały patrzenie na niego.

Fredrik był jednym z jej najbliższych kolegów z pracy, napływowym sztokholmczykiem tak samo jak ona. Kiedy była nowa w Visby, podobało jej się, że może z kimś porozmawiać bez obaw, że nadejnie na odcisk jakimś burakom. Zdążyła bowiem zauważyć, że o to nietrudno. Nie tyle wśród kolegów, ile w innych sytuacjach. Jako mieszkanka kontynentu i pracownica służb spotykała się czasem z podwójnym oporem.

Nie była już taka pewna Gotlandii. Po pierwszym, pełnym entuzjazmu roku pojawiły się trudności. Praca nie stanowiła problemu, Sara dobrze się w niej czuła. W początkowym okresie miała obawy, że przypadną jej zbyt trywialne obowiązki służbowe, ale z perspektywy czasu była zdania, że przydałoby się mniej dramatyzmu. Dwa lata wcześniej znalazła się w innej

sali szpitalnej przed łóżkiem kolegi, który leżał ze złamaną ręką i obrażeniami na całym ciele po wybuchu bomby na pokładzie jednego z promów.

Komuś z zewnątrz jej życie poza komisariatem mogłoby się wydawać nie takie złe. Poznała sporo osób, miała za sobą związek, a ostatnio zaczęła się spotykać bardziej regularnie z pewnym mężczyzną.

Mimo wszystko dostanie się do towarzystwa wciąż było trudne. Istniała zasadnicza różnica między miastem a wsią – czy raczej małym miasteczkiem, jeśli mowa o Visby. Większość mieszkańców dużych miast też nie ma korzeni i zmagają się ze stresem. Wprawdzie często pochopnie skreślają ludzi, ale są też ciekawi i otwarci na próbowanie nowych rzeczy. W dużym mieście życie może ulec zmianie w jednej chwili, a tutaj zmiany zachodzą najwyżej raz na pięć lat. Dlatego sztokholmczykom łatwiej się odnaleźć w Amsterdamie, Berlinie czy Kopenhadze niż w Visby. Tu jest tak wiele długotrwałych więzi międzyludzkich. Jakby wszystko zostało zapisane w kamieniu. W pojedynkę nie da się go nawet drasnąć. Z młodszymi było łatwiej, ale miała już trzydzieści cztery lata i nie mogła bez końca zadawać się z dwudziestosiedmiolatkami.

Nie twierdziła, że życie w dużym mieście jest lepsze od życia w małym, ale w Sztokholmie mieszkało się inaczej niż w Visby i właśnie do tej inności przywykła. Możliwe, że na ponowną naukę było już za późno.

Fredrik wyrwał ją z zamyślenia, bo nagle zaczął mamrotać długą wiązkę słów.

– Co? – odezwała się bez namysłu Sara.

Jego słowa do siebie nie pasowały, nie tworzyły żadnego sensu. Czy to w ogóle była próba powiedzenia czegoś zrozumiałego?

Na swoje „co” nie dostała żadnej odpowiedzi.

Jeszcze niedawno było dla niej oczywiste, że powinna usiąść przy łóżku i mówić do Fredrika, ale gdy byli w pokoju tylko we dwoje, czuła się niepewnie. Sytuacja natychmiast zaczynała być niezwykle intymna.

Zaproponowała Ninni, że przez chwilę posiedzi z Fredrikiem, żeby ona w tym czasie mogła zejść na kawę, zaczerpnąć świeżego powietrza czy co tam sobie chce. Przez chwilę żałowała, że złożyła tę propozycję. Po... jak by to nazwać... przygodzie? Skoku w bok? – z Evą Karlén byłoby dziwne, gdyby Ninni czuła się komfortowo przy jego koleżankach. Najwyraźniej jednak dobrze ją oceniła, bo tylko skinęła głową i uśmiechnęła się do niej z wdzięcznością.

Sara musiała oczywiście ją okłamać, ale posłużyła się tym samym białym kłamstwem, które wcześniej zaserwowała wszystkim oprócz Görana Eidego. Nic jej nie ciążyło na sumieniu.

Gustav prowadził, a Fredrik siedział z tyłu, obok mężczyzny, który jeszcze niedawno tak się wściekał. Zidentyfikowali go jako Runego Traneusa. Jechali do domu jednej z jego wnuczek – Sofii Traneus-Helin. Mieszkała w mieście – to znaczy w Visby – na Gråbo.

Rune Traneus zajmował miejsce obok Fredrika i zwiesiwszy głowę, wpatrywał się w swoje dłonie – ułożone w łódeczki jedna na drugiej. Był równie niespokojny jak chwilę wcześniej przed domem, a poza tym zgarbiony i zamknięty w sobie.

Fredrik z narastającą paniką myślał, co powie Sofii Traneus. To było nawet gorsze niż przychodzenie z informacją o śmierci: musiał ją poinformować, że jej tata być może zmarł, ale nie są co do tego pewni.

Oczywiście nie dało się tego zrobić. Musiał się opierać na reakcji Runego. Znaleźli martwego mężczyznę, dziadek Sofii z jakiegoś powodu podejrzewał, że to jego syn, a jej ojciec. Nie, to też nie było dobre. Poza tym mieli jeszcze samochód. Wpisali go w wyszukiwarkę i rzeczywiście: okazało się, że należał do Andersa Traneusa.

– Co pana skłoniło do przyjazdu tutaj? – podjął próbę Fredrik.

Rune Traneus nie odpowiedział.

– Skąd miał pan pewność, że znajdzie tu swojego syna?

Cisza. Czy on go w ogóle usłyszał? Wydawało się, że przebywa gdzieś zupełnie indziej.

Dotarli do Visby, skręcili na Gråbo pomiędzy sklepem Ica a kioskiem Sibylla i zatrzymali się na Allégatan, przed jednym z pomalowanych w pastelowe prostokąty domów szeregowych z lat pięćdziesiątych. Po drugiej stronie ulicy znajdował się szereg willi z czerwonej cegły. Wszystkie wyglądały tak samo.

Fredrik słyszał mieszkańców Visby mawiających: „Jeśli człowiek wylądje w Gråbo, nigdy się stąd nie wydostanie”, a potem narzekających, że ta dzielnica jest tak daleko od centrum. To prawda, że nikt tu nie przyjeżdżał, jeśli nie miał do załatwienia konkretnej sprawy, ale do centrum szło się niewiele dłużej niż na przykład z Öster, a jego zdaniem okolica była całkiem przyjemna.

Prawdopodobnie to nie uroczę zabudowania z lat pięćdziesiątych są przyczyną negatywnych opinii, lecz budynki mieszkalne z lat siedemdziesiątych w centrum Gråbo, pomyślał Fredrik, dzwoniąc do mieszkania Traneus-Helin.

Kobieta, która otworzyła drzwi, wyglądała na dwadzieścia pięć–trzydzieści lat i mogłaby być modelką w reklamie czegoś typowo szwedzkiego albo wzbudzać takie skojarzenia. Była wysoka i chuda, ale mimo to miała solidną postawę. Jasnowłosa, niebieskooka, o zdecydowanych ustach, strzegących równych białych zębów. Na ręce trzymała dwumiesięczne dziecko. Nagie, jeśli nie liczyć pieluszki. W głębi mieszkania zza drzwi wyglądała zaciekawiona dziewczynka w wieku około trzech lat.

– Pradziadek! – zawołała i popędziła do nich, ale mniej więcej w połowie drogi zwolniła, a potem przystanęła niepewna i wyraźnie wystraszona – przez nieznanym albo przez to, że wydawało się, że pradziadek nie zwraca na nią uwagi.

Rune Traneus spojrział na prawnuczkę pustym wzrokiem.

– Dziadku, o co chodzi? – zapytała Sofia Traneus, a kiedy zrozumiała, że nie otrzyma odpowiedzi, odwróciła się do Fredrika z pytającym wyrazem twarzy.

Fredrik i Gustav wyjęli już identyfikatory i się przedstawili.

– Skoro przychodzicie, zakładam, że wydarzyło się coś okropnego. Coś, o czym nie chciałabym słyszeć – powiedziała Sofia.

Lekko uniosła dziecko i przycisnęła je mocniej do siebie.

– Wydarzyło się coś poważnego, ale nie wiemy, czy ma to związek z wami. Przy odrobinie pomocy pewnie to ustalimy – rzekł Fredrik. – Możemy na chwilę wejść?

– Tak, tak. Wchodźcie – odparła Sofia.

Fredrik spostrzegł zmianę w jej oczach. Początkowe zagubienie ustąpiło miejsca przecuciu katastrofy. Spojrzenie Sofii stało się jednocześnie zwrócone do wewnątrz i zupełnie nagie. Już wiele razy widział taką transformację.

Weszli razem do słonecznej kuchni. Dziewczynka mocno się trzymała maminych dżinsów na wysokości zgięcia w kolanie. Posadzili Runego Traneusa na jednym z krzeseł przy stole w kuchni, a potem Fredrik szybko przedstawił sprawę w jak najdelikatniejszej i najbardziej niezrozumiałej dla trzyletniej dziewczynki wersji.

– Pani dziadek najwyraźniej sądzi, że wśród zabitych może być pani ojciec. Nie do końca wiemy dlaczego. Nic na to nie wskazuje.

Rune Traneus powoli pokręcił głową. Najwidoczniej przyswoił coś z ich słów. Sofia spojrzała na niego błyszczącymi oczami i opadła na krzesło naprzeciwko.

– Dziadku? – wyszeptała.

Fredrik nie wspomniał, że samochód Andersa Traneusa stał zaparkowany przed domem. Nie było powodu, by teraz to wyciągać. Sofia Traneus już i tak była wystarczająco zaniepokojona.

– Nie wie pani, skąd się u niego wzięła taka myśl?

Sofia podniosła wzrok na Fredrika. Było jasne, że nie ma bladego pojęcia.

Dziewczynka wczołgała się na jej kolana – kobieta nie pomyślała o tym, by jej pomóc, i wkrótce siedziała obciążona dwójką dzieci. Trzylatka oparła głowę o piersi mamy, ścisnęła ją za ramię i ukradkiem zerkała na pradiadka.

– Mamo? Mamo?

– Tak, skarbie, wszystko jest dobrze. Mama tylko chwilę porozmawia z wujkami.

Fredrik popatrzył na siedzących przy stole przedstawicieli trzech pokoleń i zrezygnował z wszelkich ambicji nakazujących urządzić kobiecie przesłuchanie z prawdziwego zdarzenia. To nie był odpowiedni moment.

– Ma pani zdjęcie taty? W miarę nowe. Bardzo by nam pomogło – powiedział, jednocześnie rozważając w myślach, czy rzeczywiście będą mieli jakiś pożytek ze zdjęcia, skoro twarz mężczyzny była tak pocięta.

Sofia skinęła głową i wstała. Dziewczynka zsunęła się z jej kolan i chwyciła oburącz jej prawą nogę.

– Coś chyba mam.

Ruszyła do drzwi pokoju, a córka wczepiła się jej w nogę jak małpka.

– Emma, przestań – powiedziała bezradnie Sofia i człapała dalej.

Fredrik i Gustav wymienili spojrzenia. W tej samej chwili rozległ się huk. To Rune Traneus z wielką siłą walnął pięścią w stół.

– Ten skurwiel. Kawał skurwiela z niego. Tak jak z jego przekłętego ojca. Morderca.

– Mamo! – rozległ się przerażający okrzyk Emmy z pokoju obok, a potem dziewczynka zaczęła głośno wyc.

Rune Traneus stał wpatrzony we Fredrika i Gustava, wykrzykiwał słowa, które jednak nie stawały się krzykiem, jakby napotykały opór, w wielkich, ciężkich meczarniach.

Gustav był już przy Runem, aby – jeśli to się okaże konieczne – stłumić wybuch podobny do tego, który widzieli przed domem. Jednak było już po wszystkim. Rune Traneus stanął jak wryty, toczył skołowanym wzrokiem, a jego sina dolna warga drżała. Stary, wąty człowiek. Gustav ostrożnie chwycił jego wyciągniętą lewą rękę i pomógł mu z powrotem usiąść.

– Pójdę tam – powiedział łagodnie Fredrik.

Kiedy wszedł do salonu, zobaczył kucającą Sofię Traneus, która próbowała pocieszyć wczepioną w nią szlochającą córkę. Policzki małej były czerwone od płaczu.

Sofia podniosła na niego wzrok. Patrzyła nerwowo szeroko otwartymi oczami.

– Nic złego się nie dzieje – oznajmił. – Przynajmniej na razie... Rune był jednak bardzo wzburzony, kiedy przyszedł do domu. Da pani sobie radę? Może jest ktoś, kto mógłby pani pomóc? A może... powinniśmy go zabrać? W sensie: do lekarza.

– Dam sobie radę – odparła po krótkim zastanowieniu Sofia. – Zadzwońnię do męża. Będzie tu w ciągu pięciu minut.

– A Rune?

– Niech lepiej zostanie.

Umilkła.

– Zdjęcie – przypomniał Fredrik po chwili. – Jeśli można – dodał, zerkając na dzieci. – Zawsze możemy wziąć paszportowe.

– Nie, nie, mam je.

Udało jej się uwolnić od Emmy i posadziła ją na sofie obok malucha. Dziewczynka została na miejscu, a Sofia szybkim krokiem podeszła do regału z książkami i otworzyła dolną szafkę.

– Tutaj – powiedziała i wróciła z otwartym albumem oprawionym w bordową imitację skóry.

Było tam grupowe zdjęcie przedstawiające pięć osób w równym rzędzie. Fredrik natychmiast rozpoznał Sofię i Runego. W jego oczach kobieta obok niego nie była wiele starsza od dziewczyny na zdjęciu, mogła mieć osiemnaście–dziewiętnaście lat.

– Wprawdzie zostało zrobione pięć lat temu, ale od tego czasu tata niewiele się zmienił. Oprócz niego są tu mój brat i mama. Zrobiliśmy je na

urodzinach taty. Dwa miesiące później się rozwiedli.

Wsunęła pomalowany paznokieć pod krawędź zdjęcia.

– Ciekawe tylko, czy uda mi się je odczepić.

Fredrik już miał zaproponować, że pożyczy cały album, żeby nie musiała go niszczyć, gdy oderwała zdjęcie od czarnego kartonu.

Podawała mu je. Wziął je do ręki, próbując nie dotykać błyszczącej powierzchni – bardziej z szacunku dla Sofii niż z troski o zdjęcie.

– Czy pani tata nie ma jakichś znaków szczególnych, o których pani wiadomo? Chodzi mi o blizny, tatuaże, takie rzeczy.

Wybuchnęła śmiechem.

– Tatuaże?

– Na przykład.

Pokręciła głową i spojrzała na Fredrika nieco sceptycznie, jakby prosił ją o coś niestosownego.

– O to chyba lepiej spytać mamę.

Wtorek, 31 października, Gotlandia

Ninni znajdowała się między Havdhem a Hablingbo. Jechała samochodem w porze szaroburego zmierzchu po mokrej od deszczu jezdni. Pod kołami chłupotało, a wycieraczki pracowały w najwolniejszym trybie.

Szybko pokonywała krętą drogę. Poczowała, że zbyt gwałtownie, i zdjęła nogę z gazu. Nie mogła pozwolić, by coś się stało także jej. Musiała na siebie uważać. Być silna. Skąd jednak miała wziąć tę siłę?

Zostawiła Simona i Joakima u Anneli na Karlbergsvägen i pojechała na Gotlandię załatwić kilka spraw służbowych. Może chciała też trochę odsapnąć. Nie musieć pokazywać, jaka jest silna. Może nawet pozwolić sobie na chwilę załamania. Sama nie wiedziała. Miała tak wiele spraw na głowie, ciążyła na niej taka odpowiedzialność. Do kiedy mogli zostać w Sztokholmie? Co było najlepsze dla dzieci? Jak długo mogły pozostawać poza szkołą? Ile czasu minie, zanim Fredrik wydobrzeje na tyle, by dało się go przetransportować do Visby? Czy w ogóle będzie tam miał opiekę, której wymaga? Może to ona i dzieci powinny się przenieść?

Wsiadła do samochodu na parkingu przed szkołą Högby. Miała zamiar wrócić do domu, ale pojechała dalej na południe i była w drodze do Hablingbo. W drodze? Nie, wcale nie. Po prostu jechała. Znalazła się między Havdhem a Hablingbo – takie sformułowanie było najbliższej prawdy.

Upięła włosy na karku, żeby nie było widać, jakie są skołtunione i brudne. Odkąd ostatnio się umalowała, minęło kilka dni, na powiekach miała słabe smugi rozmazanego tuszu. Zachciało jej się papierosa. Rzuciła palenie osiemnaście lat wcześniej, ale nagle nabrała ochoty na całą paczkę cudownych papierosów. Chciała je zapalić i wciągnąć w siebie dym, który odgrodzi ją od rzeczywistości.

Samochód pokonał ostatni odcinek do znaku stop przy sklepie z artykułami elektrycznymi w Hablingbo. Gdyby nadal mieścił się tam sklep sieci Ica, mogłaby stanąć i kupić papierosy. Najwyraźniej jednak na tej cholernej wyspie wszystko plajtowało. Każdy kończył działalność i się stąd wynosił.

Ninni skręciła w lewo, w drogę przybrzeżną. Nie była do końca pewna dlaczego. Kierowało nią jakieś niewyraźne, lecz mimo wszystko natarczywe uczucie.

I jeszcze mama! Ninni prosiła ją o pomoc. Cóż za cholerna głupota. Ninni powinna być mądrzejsza – oszczędziłyby sobie rozczarowania. Mama odgrywała kluczową rolę w częściach jakiejś konferencji, potem miała spędzić dwa dni w Helsinkach, a na jeszcze później zaplanowano przyjazd jej najlepszej przyjaciółki, aż z Umeå – bilety były już zarezerwowane, ale wizyta miała nastąpić dopiero za jakiś tydzień, a w każdym razie w weekend.

Ninni zadrżała i prawie wybuchnęła płaczem, ale zapanowała nad sobą i skończyło się na pociągnięciu nosem.

Mama tak wyraźnie okazała rozczarowanie, gdy Ninni oznajmiła jej, że się przeprowadzają na Gotlandię. Tak daleko od niej. Miała poczucie winy, że oddalając się od mamy razem z dziećmi, pozbawia ją czegoś, co jest dla niej tak ważne. Dopiero kiedy się przeprowadzili, zdała sobie sprawę, że jej mama prawie nigdy nie miała dla nich czasu. A jeśli go miała – gdy w jej harmonogramie pojawiała się jakaś drobna luka – to zawsze na swoich warunkach.

Wycieraczki piszczały, chlupotało pod kołami. Dokąd jechała? Nie miała pojęcia.

Czuła, że jest jakiś cel, ale nie potrafiła go zobaczyć przed sobą, więc po niemal godzinnym jeżdżeniu skręciła przed swój dom. Było w nim ciemno i pusto.

Otworzyła drzwi, zdjęła płaszcz, rzuciła go na krzesło w kuchni i usiadła na drugim krześle. Niewidzącym wzrokiem patrzyła na brudne naczynia na zlewozmywaku.

Zasadnicze pytanie brzmiało, czy obecność krwi między czaszką a mózgiem spowodowała niedotlenienie, zanim zdążyli przeciwdziałać uciskowi. Wyniki tomografii komputerowej wyglądały dobrze, ale drobna lekarka o oczach jak ziarenka pieprzu wyjaśniła im, że to badanie nie pokazuje wszystkiego. Im dłużej tłumaczyła, tym bardziej Ninni nabierała przekonania, że mózg to nieznany teren, nawet dla lekarzy. Należało poczekać i zobaczyć. Fredrik mógł równie dobrze powrócić do pełnego zdrowia, ale nie można było niczego obiecać. W obecnych okolicznościach musiała się przygotować na długą rekonwalescencję – trwającą co najmniej sześć miesięcy, może nawet rok albo dłużej.

Może chciała tylko opuścić swoje życie.

Nie takie „tylko”.

Siedziała nieruchomo, milcząc, a minuty mijały jedna po drugiej. Sama w pustym domu była prawie poza życiem. A przynajmniej mogła udawać,

że tak jest. Przez krótką, króciutką chwilę.

Nagle zrozumiała, dokąd ją ciągnęło. Nieustępliwy, niewyraźny ścisk w dołku nakazywał szukanie własnego miejsca. Konkretnie miejsce stanęło jej przed oczami: skały i molo przy domku letniskowym rodziców na sztokholmskich szkiecach. Siadywała tam każdego lata, odkąd miała siedem lat, aż do czasu ich przeprowadzki na Gotlandię. A może były to wzgórza w okolicy Hellas w Nacka? W dzieciństwie się tam kąpała i stamtąd wyruszała na łyżwiarskie wyprawy z Joakimem. Miała ochotę usiąść na opromienionej słońcem, dobrze znajomej prastarej skale i patrzeć na wodę. Nie na żadnym cholernym wapieniu, który był tak kruchy, że się rozpadał od samego patrzenia.

Zerwała się z miejsca i złapała pierwszy przedmiot, który miała pod ręką – młynek do pieprzu ze stali szcztokowanej, który dostała na czterdzieste urodziny od dalekich krewnych – i z całej siły rzuciła nim w szafki.

– Niech cię chuj! – ryknęła.

Młynek wybił brzydką dziurę w drzwiczkach, a mały plastikowy pojemnik na pieprz, tak zaprojektowany, by wszystko było widać – pękł i ziarenka z terkotem potoczyły się po podłodze. Dźwięk przypominał krople deszczu strząsane z koron drzew przez podmuch wiatru.

– Niech cię chuj! – krzyknęła znowu i cisnęła w tę samą stronę podkładkę pod garnek i stos gazet. – Nie umrzyj mi tutaj! I nie zamień się w jakieś pierdolone warzywo, które do końca życia będę musiała karmić łyżką! Słyszysz?

Stała, zaciskając pięści, spragniona walki, jakby była gotowa się zmierzyć z samym życiem.

Stało się inaczej. Zaciągnięto ją na tę cholerną wyspę po części wbrew jej woli. Mimo różnych minusów zaczęła się tu dobrze czuć – w dużej mierze dzięki pracy i kolegom ze szkoły. Będąc nauczycielem, można szybko wrosnąć w lokalną społeczność, stać się kimś ważnym. Ale to właśnie przez pracę wylądowała tak daleko, pięćdziesiąt kilometrów od miasta.

Co tu, do cholery, robiła?

Czy było jej przeznaczeniem grzybieć w wapiennym domu pośrodku pustkowia z człowiekiem, który nie potrafi podetrzeć sobie tyłka? Nie godziła się na to.

Październikowe słońce zdążyło już pokonać kawałek drogi po niebie. Dzień stał się łagodny i jasny.

– Wspaniały dzień – stwierdził Gustav, gdy wsiedli do samochodu. – Najpierw dwoje zmasakrowanych ludzi, a potem znikowany dziadzio.

– Przekonajmy się, jak fajnie będzie u byłej żony Andersa – odparł Fredrik i ruszył w kierunku Södercentrum.

Był głodny, jak zwykle za mało zjadł na śniadanie.

– Po spotkaniu z Inger Traneus zdążymy chyba coś szybko przekąsić – oznajmił, a Gustav skinął głową.

– Jak sądzisz? – spytał go po chwili. – Myślisz, że Rune Traneus ma rację?

– Jeśli nie ma żadnych problemów z głową, musiał mieć dobry powód, by tak zareagować. Jednak nie udało nam się z niego wyciągnąć prawie nic sensownego.

– Samochód tam stoi, temu nie sposób zaprzeczyć. Ale w domu również dobrze może leżeć zmasakrowany Arvid Traneus.

– To nawet bardziej prawdopodobne – stwierdził Gustav.

– Choć samochód Andersa Traneusa wskazuje na coś wręcz przeciwnego.

Inger Traneus była podobna do swojej córki. Wysoka i szczupła, z długimi włosami – bardziej szarymi niż blond – które związywała w ciasny koński ogon. Piękna kobieta odrobinę po pięćdziesiątce.

Fredrik ponownie przedstawił cel wizyty – w łagodnej wersji, choć tym razem nie musiał się starać, by jego słowa były niezrozumiałe dla trzyletniego dziecka.

Siedzieli stłoczeni w gabinecie gminnego wydziału do spraw dzieci i edukacji. Fredrik widział takie pomieszczenia wielokrotnie – zarówno w urzędach, jak i w świecie biznesu. Sześć i pół metra kwadratowego, brzozone biurko, szklana ściana z widokiem na korytarz, przesłonięta cienką bawełnianą zasłonką. To mógłby być jego gabinet w komisariacie.

– Rune Traneus wydaje się pewny, że zmarłym znalezionym w domu jest Anders. Ma pani na to jakieś wyjaśnienie?

Inger Traneus spuściła głowę i popatrzyła na swoje kolana. Fredrik zdążył dostrzec na jej twarzy lekki uśmiech. Pokręciła głową i spojrzała na nich, ale w jej oczach było widać, że myślami jest gdzie indziej. Zmęczona i ukryta przed innymi.

– Dlaczego nie zapytacie jego?

– Pytaliśmy – odparł Fredrik. – A teraz chcemy poznać pani punkt widzenia.

Chętnie byłby bardziej otwarty, okazałby więcej empatii, ale pomyślał, że jeśli jest tak, jak zasugerował Gustav i odpowiedzi rzeczywiście kryją się w rodzinie – najlepiej zachować te informacje dla siebie.

– Żyłam z Andersem dwadzieścia dwa lata. Z czego przez dwadzieścia byliśmy małżeństwem i mieszkaliśmy pod jednym dachem. Nigdy jednak zbyt dobrze go nie poznałam. Wydawało mi się, że go znam, ale później odkryłam, że wcale tak nie jest.

Uśmiech powrócił na jej twarz, choć właściwie bardziej przypominał grymas.

– Nie bardzo rozumiem, co ma pani na myśli – powiedział szczerze Fredrik.

– A co tu jest do rozumienia? – odparła Inger Traneus nieobecny tonem, wyciągając szyję. – Sama siebie nie rozumiem.

Fredrik uznał, że ją przeczeka. Pod biurkiem rozległ się szmer twardego dysku. Po chwili został zagłuszony przez donośny śmiech na korytarzu. Koledzy Inger szli na lunch.

– Jeśli to Anders jest... Jeśli to on, logiczne, że Kristina okazała się jego zagładą. A on jej. Romantyczne, prawda? – spytała, spoglądając to na Fredrika, to na Gustava.

Fredrik niewiele zrozumiał z tej odpowiedzi i już miał zapytać, co takiego było między Kristiną Traneus a Andersem, gdy Inger znów pochyliła głowę i zaczęła pociągać nosem.

Naciskała kąciki oczu kciukiem i palcem wskazującym, jakby chciała powstrzymać łzy. Długi koński ogon przesunął się powoli po ramieniu, ale po chwili włosy znieruchomiały, bo przyciągnął je wełniany sweter.

– Nie znamy odpowiedzi – powiedział Fredrik. – Bardzo możliwe, że niepokoiimy panią zupełnie niepotrzebnie.

Równie dobrze mogli to odłożyć na później i skoncentrować się na najważniejszym: ustaleniu, kto leżał zmasakrowany na podłodze salonu Kristiny i Arvida Traneusów.

– Wracamy w kierunku południowym. Jeśli pani chce, możemy podwieźć panią do domu.

Pokręciła głową.

– Nie z powodu Andersa płaczę, lecz przez wszystkie stracone lata. Jak można z takim uporem marnować życie na kogoś, kto nas nie chce?

Zapadła cisza. Co się mówi w takiej sytuacji? Fredrik żałował, że nic nie przychodzi mu do głowy. Napiętą atmosferę rozluźnił jednak Gustav.

– To i tak piękniejsze niż uparte mieszkanie z kimś, kogo się nie chce.

Fredrik zerknął na kolegę. Czasami ten facet potrafił zaskoczyć. Inger Traneus również spojrzała na Gustava i uśmiechnęła się słabo. Tym razem jej uśmiech był szczery. Potem wstała, odwróciła się do nich plecami i otarła łzy.

– Boże, jakie to żalosne – mruknęła. – Chodzi mi o siebie – dodała, rzucając przez ramię, w kierunku Gustava.

– Zjawiliśmy się przede wszystkim, by spytać panią, czy Anders ma jakieś znaki szczególne, które mogłyby nam pomóc go zidentyfikować. O ile to on.

Nie musiała się namyślać.

– Ma czerwono-brązowe znamię nad prawym kolaniem, mniej więcej wielkości monety pięcioörowej.

Elin Traneus wrzuciła tabletkę treo comp do szklanki wody stojącej na nocnym stoliku. Jeszcze nie miała migreny, ale czuła, że ból jest tuż-tuż. Cały jej świat był chwilowo otulony szarą mgłą i tylko dźwięk rozpuszczającej się tabletki trochę ją ożywia.

Rozejrzała się po pokoju w śmiesznie małym mieszkaniu, które od początku roku wynajmowała z drugiej ręki. Pokój, w którym miała spać, uczyć się, spotykać z ludźmi i oglądać telewizję, miał około piętnastu metrów kwadratowych. Poza tym były jeszcze przypominająca korytarz kuchnia, przypominający kiszkę przedpokój i maciupęńka łazienka. Mieszkanie mieściło się na drugim piętrze budynku przy Atterbomsvägen we Fredhäll. Z kolei Fredhäll mieściło się w dzielnicy Kungsholmen, choć szybko pojęła, że mieszkańcy centrum stolicy nie uważają go za część Kungsholmen.

„Aha, we Fredhäll” – poprawiali ją z przyjaznymi uśmiechami, kiedy wyjaśniała, w której części Kungsholmen mieszka. A potem oczywiście padały słowa: „Atterbomsvägen, tam jest przepięknie”. Tego też się nauczyła. Na bliskich przedmieściach zawsze było „przepięknie”. Na bardziej odległych już nie, może ewentualnie „ładnie”, a przedmieść w stylu Alby czy Tensta nikt w ogóle nie komentował.

Dom rzeczywiście był bardzo ładnie położony na wysokim wzgórzu z widokiem na zatokę Riddarfjärden, choć Elin z okna swojego mieszkania widziała tylko jasnożółtą fasadę sąsiedniego domu.

Była zadowolona ze swojego mieszkania, świetnie się w nim czuła, mimo że dorastała w miejscach, w których garderoby są równie duże jak tutaj połączenie sypialni i salonu. To, co myśleli na ten temat sztokholmczyki, miała gdzieś. To było jej życie, a nie ich.

Tabletka już się rozpuściła. Elin opróżniła szklankę i sięgnęła po telefon. Wybrała numer mamy, ale na próżno czekała, aż ta odbierze.

– Kurwa – zakląła głośno i zrzuciła z siebie kołdrę, którą była opatulona.

Bezskutecznie próbowała się do niej dodzwonić od popołudnia poprzedniego dnia. Jakby matka czuła, że ona zamierza się wykrecić, i dlatego nie odbierała. Elin sprawdziła godzinę na komórce. Nie miała szans zdążyć na statek. Zastanawiała się, czy zadzwonić do Ricky’ego i zrzucić wszystko na

niego, ale w końcu postanowiła pojechać do Brommy i spróbować zdobyć bilet standby. Zwykle się udawało.

Wysunęła się z piżamy i stanęła naga przed lustrem w przedpokoju. Włosy miała pofarbowane na czarno, a tak naprawdę ciemny blond. Jej rodzzeństwu trafiły się prawdziwe blond włosy, a jej ten nieciekawych odcień. Poza tym uważała, że wygląda w porządku mimo małych piersi i nie całkiem płaskiego brzucha. No i jeszcze była niska. Bywało, że czuła się niepozorna przy dziewczynach mierzących metr siedemdziesiąt cztery, które miały buty na dziesięciocentymetrowym obcasie. Wiedziała jednak, że wielu chłopaków lubi małe dziewczyny, bo czują się przy nich mężczyźni.

Nie żeby miała aż tylu chłopaków. Jej związki były nieliczne i krótkotrwałe, a poza tym to najczęściej ona zrywała. Nie mogła więc narzekać. Chciała być uwodzona. Zawsze. Za każdym razem. Dlaczego faceci, z którymi się spotykała, uważali, że mają swobodny dostęp do jej ciała tylko dlatego, że raz im go udzieliła? Że będzie miała ochotę się kochać z kimś, kto nie jest gotowy zdobywać jej na nowo za każdym razem, gdy przekracza próg? Czyżby te wymagania były zbyt wysokie? W każdym razie takie właśnie miała.

Nabrała ochoty, by wrócić do łóżka i trochę się popieścić, ale uznała, że nie ma czasu. Zamiast tego stanęła pod prysznicem.

Mama dzwoniła z wiadomością, że tata przyjedzie do domu. To było tydzień temu. Mniej więcej. Prosiła ją rzecz jasna o przyjazd. Elin nie udzieliła jednoznacznej odpowiedzi. Odparła, że zależy od tego, jak będzie stała z nauką. Mama oczywiście powiedziała, że może wziąć książki i tam się uczyć. Bo byłoby tak miło, gdyby...

Tak jakby w ich domu mogła w spokoju przeczytać więcej niż dwie linijki. Nie powiedziała tego jednak. Miały się jeszcze zdzwonić. Po jakimś czasie mama zadzwoniła znowu i zaczęła zrzędzić, Elin obiecała, że przyjedzie, a potem dzwoniła i dzwoniła, żeby powiedzieć, że nie da rady, ale mama nie odbierała, a ona nie mogła się przemóc, żeby po prostu nagrać wiadomość na pocztę głosową.

„Byłoby tak miło, gdybyśmy wszyscy znów usiedli przy wspólnym stole. Od ostatniego razu minęły wieki”.

Jak mogła coś takiego powiedzieć? Czy choć jedno słowo było szczere?

Elin odkręciła zimną wodę i ustawiła twarz pod strumieniem, poczuła gęsią skórę. Szampon miał jabłkowy zapach.

Wszyscy. Tak, ostatni raz przy stole siedzieli wieki temu. To była prawda. Może tylko to. Dziesięć lat temu. I nigdy już nie będą razem. Czy ona nie rozumiała, co mówi? Nie słyszała własnych słów? Nigdy, nigdy, nigdy nie usiądą wspólnie przy tym samym stole. Elin zaczęła szorować palcami skórę i twarz, jakby chciała zdrapać z siebie myśli, a potem je splukać chłodną wodą.

Przyjemna jest woda, która dotyka i obejmuje, a nie tylko odbija się od ciała jak twarda woda na Gotlandii.

Czy to odwieczna powinność mam, by zawsze próbować leczyć? Za wszelką cenę? Były w tym dobre chęci, ale ile są tak naprawdę warte, jeśli człowiek staje się od nich ślepy?

Kiedy Elin usłyszała, że tata jedzie do domu, doznała szoku. Naprawdę wracał. Zastanawiała się, co myśli o tym mama. Chciała zapytać, ale zabrakło jej odwagi. Próbowwała jak najbardziej się wyczulić, wsłuchiwała się w każdą pauzę i każdy oddech, ale nie znalazła niczego, co by zdradziło, co naprawdę czuje mama.

Kiedy tata zaczął zostawać w Tokio na coraz dłuższe okresy, Elin wykorzystywała okazję i załatwiła sobie pokój w Visby, jak wielu innych młodych ludzi, którzy dojeżdżali tam do szkoły średniej. Tata tego nie skomentował. Nie była nawet pewna, czy wiedział.

Później, kiedy skończyła osiemnaście lat, nic nie mogło jej zatrzymać. Przeprowadziła się do Sztokholmu. Pracowała w kawiarni w centrum – było to straszne miejsce, pełne zestresowanych, ciągle się zmieniających klientów, z grubiańskim, a czasem wręcz obleśnym szefem, który odstraszał pracowników. Elin zwolniła się po roku – nikt z jej znajomych nie wytrzymał tam równie długo. W wakacje pojechała do Tajlandii. Wybrała się na wycieczkę autobusem do Kambodży, zobaczyła Angkor Wat, uprawiała seks na plaży, aż się nabawiła otarć, wróciła do domu i rozpoczęła studia na uniwersytecie w Sztokholmie. Przez dwa semestry uczyła się francuskiego. Nie mogła powiedzieć, by tego żałowała – mówiła już płynnie w tym języku – ale mimo wszystko była to swego rodzaju strata czasu, a z całą pewnością przejaw tchórzostwa. Nie miała odwagi zacząć na poważnie, a wybór programu trwającego dłużej niż pięć lat oznaczał, że stypendium nie wystarczy na cały ten czas. Wprawdzie słyszała, że można się ubiegać o zwolnienie z opłat, ale nie była pewna. Krążyło tyle pogłosek. Ale, ale... Przez sześć tygodni chodziła na zajęcia z psychologii, a do czasu, aż stypendium zacznie się wyczerpywać, zostało prawie pięć lat. Jeden semestr

bez pieniędzy powinna jakoś przetrwać, w taki czy inny sposób. Nie było sensu się zamartwiać.

Tata z pewnością dałby jej pieniądze, ale to było ostatnie, o co mogłaby poprosić. Naprawdę ostatnie.

Zakręciła wodę. Stała pod prysznicem o wiele za długo. Jej skóra była tak szorstka, że prawie trzeszczała. Elin ją nawilżyła, owinęła się ręcznikiem i zabrała ze stolika kieliszek po winie, który stał tam od poprzedniego wieczoru. Na dnie była zaschnięta resztką.

Ona i Molly poprzedniego dnia wypity kilka kieliszków w El Mundo, a potem Molly pojechała na spotkanie z chłopakiem. Elin polubiła ją już w pierwszym tygodniu francuskiego. Molly była jej najlepszą koleżanką w Sztokholmie i widywały się kilka razy w tygodniu, choć ostatnio nieco rzadziej z powodu tego chłopaka. A czasem, jak poprzedniego dnia, wspólne wieczory były przez niego krótsze i Elin musiała kończyć je sama przed telewizorem.

Do czarnej skórzanej torby na ramię z Prady wrzuciła strój na zmianę, trochę bielizny i dwie książki psychologiczne. Tata kupił jej tę torbę w Tokio mniej więcej przed rokiem, jako spóźniony prezent urodzinowy. Brała ją ze sobą po raz trzeci.

Za każdym razem, kiedy wsiadała na prom albo do samolotu, czuła się tak, jakby zmieniała skórę. Ubierała się tak, jak oczekiwaliby tego rodzice, wybierała torebki i biżuterię, których poza tym nigdy nie używała. I znów zaczynała mówić w dialekcie gotlandzkim.

Zamierzała zostać maksymalnie dwie noce.

Włożyła otwarty karton wina do reklamówki ze sklepu monopolowego i wyszła.

Młody mężczyzna, który otworzył drzwi, miał krótko ostrzyżone jasne włosy i błękitne oczy. Był wysoki i barczysty, opalony, o wręcz idealnej karnacji. Piękny, pomyślała Sara Oskarsson. Nieczęsto myślała tak o mężczyznach. Zdarzało jej się pomyśleć, że ktoś dobrze wygląda, jest przystojny, ale rzadko „piękny”. Jednocześnie ten człowiek miał w sobie jakąś ciężkość. Jakby za dużo imprezował albo po prostu się nie wyspał.

Świadomość, że za drzwiami stoi dwoje policjantów, sprawiła, że Ricky Traneus trochę otrzeźwiał. Ale tylko trochę.

Nie przychodzimy w szczególnie godnej wyczekiwania sprawie, pomyślała Sara.

Göran powiedział, jak się nazywa, a potem wskazał Sarę i przedstawił również ją. Sara skinęła głową. Próbowwała się skoncentrować. Powinno jej to przyjść z łatwością, ale sytuacja była inna niż zwykle. Jeszcze nie zdążyła wejść w tryb pracy po urlopie. Miała zbyt wiele na głowie: Douglas z Vancouver, który wprowadził zamieszanie w jej życie, akurat kiedy zaczęła się spotykać z chłopakiem z Visby. To nie był związek, przynajmniej na razie, lecz coś w rodzaju niepewnych początków. Po co w ogóle myśleć o chłopaku z Kanady, który w ogóle nie brał pod uwagę zamieszkania na wyspie na Bałtyku? Z kolei ona nie planowała emigracji.

To było tylko kilka nocy, wakacyjna przygoda. Czy nie mogła być racjonalna i zdecydowana, jak to miała w zwyczaju, i po prostu powiedzieć „stop”? Zachować to jako drobne, przyjemne wspomnienie? Z Douglasem tak zrobiła. Ale przygoda miała ciąg dalszy, konsekwencje... A ona nie wiedziała, czy ojcem jest Kanadyjczyk, czy Gotlandczyk. Co za różnica? Decyzja już została podjęta, należało tylko wziąć do ręki telefon i zadzwonić. Nie wiedziała, dlaczego jeszcze tego nie zrobiła. Czyżby zdradzieckie hormony już zaczęły dawać o sobie znać?

Straciła kontrolę. Zachowała się... nieodpowiedzialnie? Czy można było tak powiedzieć? Przecież odpowiadała tylko za siebie, za nikogo innego. Odpuściła, pozwoliła się pociągnąć. Podążyła za swoimi uczuciami, nie – goniała je, potrafiła doścignąć, bez żadnego dystansu, bez namysłu. Było cudownie.

Niebezpieczne? Raczej głupie. Lęk nie odpuszczał. Czy naprawdę było warto?

Tkwiała w samym środku śledztwa w sprawie podwójnego zabójstwa, miała przekazać ludziom wiadomość o śmierci ich bliskiego, a myśli odlatywały, jak im się podobało.

Sara, do kurwy nędzy, pomyślała.

Piękny młody mężczyzna odpowiedział coś na pytanie Görana i wpuścił ich do środka. Idąc przedpokojem, Sara zauważyła coś, co wyglądało jak dekoracja bożonarodzeniowa, ale ponieważ był dopiero październik, uznała ją za przejaw ironii.

Ricky Traneus stanął niezdecydowany w drzwiach kuchni.

– Możemy usiąść? – zapytał Göran.

– Oczywiście, oczywiście – odparł Traneus i przepuścił ich przodem.

Dom był oddalony o pięć kilometrów od rodzinnego domu Ricky’ego. Wynajmowany od właściciela gospodarstwa, który mieszkał nieopodal no-

wego głównego budynku. Choć „nowy” w tym przypadku oznaczał pewnie ze sto lat.

Dom, który wynajmował Ricky, miał dobre dwieście lat, ale jego dobytek, taki jak meble i inne przedmioty, z całą pewnością nie pochodził z dziewiętnastego wieku. Usiedli na czarnych krzesłach Myran wokół czarnego stołu w kształcie superelipsy. Na jego środku stał wysoki czerwony wazon ze szkła, a na ścianie wisiał duży obraz, przedstawiający trzy niewyraźne postaci przy stole nakrytym do obiadu.

– Obawiam się, że mamy złe wieści – zaczęła Sara. – Chodzi o pańską matkę, Kristinę Traneus.

Oczy Ricky’ego Traneusa się powiększyły.

– Dziś rano została znaleziona martwa w swoim domu.

Ricky milczał, nie poruszał się. Wpatrzony w Sarę, nie dawał żadnych znaków, że rozumiał, co powiedziała.

– Naprawdę mi przykro, że muszę przekazać taką wiadomość – dodała Sara.

– Martwa?

– Tak. Proszę przyjąć wyrazy współczucia. Taka jest prawda. Pańska matka nie żyje.

Spostrzegła, że oczy Ricky’ego Traneusa w jednej chwili zrobiły się szkliste. Szybko uniósł dłoń do twarzy i spuścił głowę.

– Mój Boże, to nie może być prawda – powiedział słabym głosem.

Sara nie dodała nic więcej. Czekala.

– Dlaczego? – spytał Ricky, podnosząc wzrok. – Jak? Przecież jest zdrowa, nie ma nawet pięćdziesięciu lat. Czy wydarzył się jakiś wypadek?

– Pańska matka nie zmarła z przyczyn naturalnych – podjął Göran.

Siedział lekko nachylony nad stołem, z luźno splecionymi dłońmi i przedramionami opartymi na metalowej krawędzi stołu.

Ricky zeszywniał.

– Są powody, by uważać, że została zamordowana – ciągnął Göran. – Nie wiemy, co dokładnie się stało, ale robimy wszystko, co w naszej mocy, aby się tego dowiedzieć.

Ricky opuścił dłoń. Nie był w stanie nic powiedzieć, jedynie kręcił głową.

– W domu znaleziono zwłoki jeszcze jednej osoby. Mężczyzny. Nie potrafiliśmy go zidentyfikować, ale sam pan zapewne wie, że przynajmniej teoretycznie mógłby to być pański ojciec, Arvid Traneus.

– Nie, nie, nie!

Ricky Traneus gwałtownie wstał i odsunął się na kilka kroków od stołu.

– Nie, nie! – powtórzył, gwałtownie mierzwiąc dłońmi włosy i mocno wciągając powietrze.

Sara i Göran też wstali, ale spokojnie i ostrożnie, żeby nie zaognić nerwowej atmosfery.

– Podkreślam, że nie mamy pewności – dodał Göran.

Sara podeszła do Ricky’ego.

– Może by pan z powrotem usiadł? – zapytała i lekko go dotknęła, jakby chciała go zawrócić z powrotem do stołu.

– Tak, tak – odparł cicho, ale się nie ruszył.

Ponownie ukrył twarz w dłoniach i coś jęknął, ale Sara tego nie usłyszała. Czy było to słowo „tato”?

– Proszę usiąść – powiedziała, bardziej stanowczo chwyciła Ricky’ego Traneusa za rękę i poprowadziła z powrotem do krzesła. – Rozumiem, że to dużo jak na jeden raz.

Zaczęła zadawać rutynowe pytania. Na przykład, czy ktoś mógłby do niego przyjechać, żeby nie był sam. Dodała, że poczekają do tego czasu.

– Moja siostra jest już w drodze.

– Tak? – odparła zdumiona Sara, nie widząc w tym logiki.

– Mieliśmy się spotkać dziś wieczorem. Całą rodziną. Bo mama...

Ricky spojrział na zegarek.

– Właśnie tu jedzie. Elin. Mam ją odebrać z dworca autobusowego.

Sara skinęła głową.

– Da pan radę?

– Tak. Poradzę sobie. Bardzo dobrze, że przyjeżdża.

– Znamię – powiedziała Eva Karlén. Leżała na podłodze i przyświecając sobie latarką, zaglądała pod szarą aksamitną sofę. – Brzmi dobrze.

Wspomnienie dwóch pociętych ciał nie było czymś, z czego łatwo się otrząsnąć, ale mimo wszystko brutalna wizja w drodze do Visby trochę przygasła. Teraz cały pokój znów ich zaatakował. Ciała zostały przykryte, ale przez to plamy krwi na meblach i ścianach robiły jeszcze bardziej wymowne wrażenie. Krew bryznęła na sofę i ochlapała ścianę z tyłu, aż po sufit. Ślady krwi były ciemnoczerwone w miejscu, gdzie było ich najwięcej, a prawie różowe na krawędziach – w miejscach, gdzie na jasnej tapecie były tylko pojedyncze kropki.

– Nad kolaniem – uściślił Gustav.

– Okej – odparła Eva i zgasiła latarkę.

Usiadła i spojrzała na towarzyszy.

– Göran i Sara właśnie informują syna o matce – oznajmiła, wskazując przykryte ciało kobiety.

Powoli wstając, mówiła dalej:

– Dzwoniłam po lekarza sądowego. Mam nadzieję, że przyjazd nie zajmie mu zbyt wiele czasu. Robi się tu trochę nieświeżo.

Woń była wyraźna, ale jeszcze do zniesienia. Jakby otworzyć lodówkę, w której coś się psuje.

– Gdyby to był normalny październik, wystarczyłoby przykręcić ogrzewanie, ale na dworze jest osiemnaście stopni – zauważyła Eva.

Ponad rok wcześniej, gdy intensywny, lecz krótkotrwały romans Ewy i Fredrika właśnie dobiegł końca, przebywanie z nią w jednym pomieszczeniu było dla niego męczarnią. Każdego ranka, przekraczając próg komisariatu, był przerażony, że czeka go spotkanie z nią na miejscu zbrodni, podczas omawiania jakichś technicznych szczegółów lub po prostu przy kawie. Siłą rzeczy zdarzało się to kilka razy w tygodniu. Zawsze czuł wtedy w sobie ponury ciężar, dziwną mieszankę tęsknoty i wyrzutów sumienia.

Wiele razy byli z Ninni u terapeuty dla par. Wśród wszystkich wypowiedzianych słów było kilka, które wryły mu się w pamięci. Coś, co powie-

dział terapeuta: zawsze będą inne kobiety, inni mężczyźni, pokusy. Rezygnacja z nich to integralna część bycia w związku.

To była prawda. A przynajmniej brzmiało prawdziwie. Albo dobrze. A jednocześnie dość pretensjonalnie, wymagająco, jak coś, co mógłby powiedzieć pastor. Te słowa jednak utkwily mu w głowie i często o nich myślał. Zwłaszcza gdy był w jednym pokoju z Evą Karlén.

Po kilku miesiącach dyskomfort zniknął, a on powoli zaczął myśleć, że może to i dobrze, że są zmuszeni do pracy razem. Nie dawało to pola do fantazji, pielęgnowania snu, który nie był prawdą, a stopniowo nadszarpywał jego małżeństwo. Stało się, jak się stało. Wrócił do Ninni. Oczywiście nie była zachwycona bliskością Ewy Karlén, ale dopóki zamierzali zostać na wyspie, musieli z tym żyć. Nie miał pojęcia, jaka jest sytuacja Ewy, bo nie rozmawiali już o takich sprawach. Przez jakiś czas wydawało się, że ona i jej mąż do siebie wrócą, ale z plotek, które do niego dotarły, wynikało, że to było tylko tymczasowe. Fredrik nie drażył tego tematu.

Oczywiście nie obyło się bez komplikacji. Zdarzały się dni, w których zdawało się, że gorączka uczuć tych wiosennych miesięcy należała do odległej przeszłości, ale i takie, gdy miał wrażenie, że to wszystko działo się wczoraj. Złe dni.

– Aha, znamię nad prawym kolanem. No to popatrzmy – powiedziała Eva i wyjęła z torby nożyczki z zakrzywionymi ostrzami.

– Mamy też takie zdjęcie. To Anders Traneus sprzed pięciu lat, ale podobno niewiele się zmienił – oznajmił Gustav i pokazał jej fotografię, którą Sofia Traneus wyjęła ze swojego albumu.

Eva spojrzała na zdjęcie, nie dotykając go.

– Wątpię, by to nam pomogło, ale musimy sprawdzić wszystko – oznajmiła, podchodząc do ciała w rogu.

Odrobinę odsunęła cienką białą płachtę, odsłaniając głowę mężczyzny. Gustav i Fredrik podeszli trochę bliżej. Byli skłonni się zgodzić.

– Chyba nigdy nie widziałam nic podobnego, ani na żywo, ani na zdjęciu – stwierdziła Eva. – Uderzenie nad oczami i nasadą nosa było tak mocne, że wyrwało oczy. Do tego widać głęboką ranę pośrodku głowy, na szyi, kolejną, tym razem powierzchowną, na brodzie i jeszcze jedną z boku głowy. Ta ostatnia doprowadziła do oderwania części skalpu i jednego ucha. Ucho leży tutaj.

Fredrik przyjrzał się temu, co wcześniej uznał za skąpane we krwi zagniecenie dywanu, lecz teraz spostrzegł, że to wielki, częściowo pokryty

włosami kawałek skóry z wiszącym na nim uchem.

Eva wyciągnęła rękę po zdjęcie, spojrzała na nie ponownie i starannie porównała ze zmasakrowaną, zapadniętą tkanką, która kiedyś była twarzą człowieka.

– Nie da się nawet stwierdzić, jaki jest kolor włosów. Ten człowiek nie ma żadnych charakterystycznych cech, na których można by się oprzeć. Raczej przystojny, ale, że tak powiem, trochę zwyczajny.

Oddała mu zdjęcie.

– Przede wszystkim wygląda na to, że na tym zdjęciu nie ma nic, co wykluczałoby, że tu leży ten sam mężczyzna.

Przykryła jego głowę, a zamiast tego odsłoniła nogi i wyjęła z kieszeni nożyczki. Pracowała szybko, lecz starannie, i wkrótce prawa nogawka była rozcięta po środek uda. Sięgnęła po latarkę i oświetliła kolano. Pośrodku wiązki światła ukazało się lekko czerwonobrazowe znamię.

– Aha – powiedział Gustav. – No to już wiemy. Może do aktu zgonu nie wystarczy, ale dla mnie tak.

– To z pewnością Anders Traneus – oznajmił Fredrik.

Eva opuściła latarkę.

– Tak, praktycznie na sto procent. Wzrost się zgadza, sprawdziłam w rejestrze paszportowym, a rozmiar stopy odpowiada butom do biegania znalezionym z tyłu samochodu.

Fredrik westchnął. To oznaczało nową wycieczkę do Visby i tym razem definitywny komunikat o śmierci.

– A co poza tym? – zapytał, rozglądając się po pomieszczeniu.

– Niewiele oprócz tego, co oczywiste. Ktoś dostał tutaj ataku szału. Zwłaszcza różnice w obrażeniach między kobietą a mężczyzną dają do myślenia. On jest kompletnie zmasakrowany, a jej zadano tylko jeden cios. Co prawda śmiertelny, ale...

– Tragiczna historia zazdrości – skwitował Gustav. – Kochanek skupił na sobie gniew i nienawiść, lecz kiedy miał zaatakować żonę, po pierwszym ciosie opadł z sił. Może nawet pożałował tego, co zrobił.

– Nie, nie znaleźliśmy żadnych przekonujących dowodów na to, że żałował – odparła Eva. Wolą się trzymać konkretów.

– No dobrze, dobrze, może trochę mnie poniosło – bronił się Gustav.

– Jest jeszcze jedno – powiedziała Eva. – Wygląda na to, że w ciągu ostatnich dni czaił się wokół domu. Granholm znalazł na rabatkach wyraźne odciski butów, ale nie zdążyłam się im dokładniej przyjrzeć.

– Czy to prawda, że on ma zostać zatrudniony na stałe? – wymknęło się Fredrikowi.

– Tak, od nowego roku – odparła Eva.

Fredrik nie nazwałby Pera Granholma swoim ulubieńcem. Sądził, że ten człowiek opuści wyspę, kiedy skończy zastępstwo. Jego awersja była może trochę dziecinna, miał tego świadomość, ale nie mógł nic na to poradzić.

– Może to mąż szpiegował żonę, a potem zabił ich oboje – podsunął Gustav.

– Jeśli te buty w przedpokoju należą do niego, nietrudno będzie to stwierdzić – odparła Eva. – Mało kto nosi rozmiar czterdzieści siedem.

Göran włączył telefon i odsłuchiwał nagrane wiadomości. Był pierwszy dzień śledztwa w sprawie zabójstwa, a on przez pół godziny miał wyłączony telefon. Nie musiał czekać na sygnał, by wiedzieć, że wiadomości się pojawiają.

Stał w milczeniu, przyciskając telefon do ucha, a potem odwrócił się do Sary.

– To nie ojciec – oznajmił. – Człowiek znaleziony martwy w domu to nie ojciec tego chłopaka.

– Czy w takim razie wiemy, kto to taki? – spytała Sara.

– Niejaki Anders Traneus, zdaje się, że kuzyn Arvida Traneusa. Musimy tam wrócić.

Jeszcze nie skończył zdania, a już szedł w stronę domu. Sara ruszyła za nim.

Ricky otworzył drzwi i spojrzał na nich pytająco.

– Tak, to znowu my – zaczął przeproszającym tonem Göran. – Czy możemy wejść i usiąść?

Ricky poszedł za nimi do kuchni, w jego oczach był widoczny niepokój. Usiedli. Göran zakaszłał.

– Mężczyzna znaleziony w domu pańskich rodziców to nie pana ojciec – poinformował.

Ricky przeciągle westchnął. Jego klatka piersiowa kilka razy się uniosła, jakby miał wybuchnąć śmiechem, ale się opanował.

– Zmarły to kuzyn pańskiego ojca, Anders Traneus. Bardzo mi przykro – rzekł Göran.

Słyszając to nazwisko, Ricky nie zareagował.

– Nie znam go – powiedział. – Wiem, kto to taki, ale niewiele więcej.

– Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

– W porządku.

Ricky sprawiał wrażenie, jakby zaschło mu w gardle. Mlasnął, spojrzął na Görana.

– Zdaję sobie sprawę, że pana wystraszyliśmy, ale... No cóż, nie mieliśmy wielkiego wyboru – przyznał Göran.

Ricky Traneus przeciągnął dłonią po oczach, jakby chciał otrzeć łzy, których tam nie było.

– Boże.

– Muszę niestety zadać panu kilka pytań – powiedział Göran.

Ricky skinął głową.

– Wie pan, gdzie możemy znaleźć pańskiego ojca?

– Ojca? – Ricky potrząsnął głową. – Myślałem, że to on był...

– Ale to nie on. Dlatego pytam, gdzie moglibyśmy go zastać. Powinien chyba być w domu na Gotlandii?

– Tak – odparł powoli Ricky, jakby nie bardzo kojarzył.

– Mówił pan, że jesteście umówieni na kolację?

– Tak. Taki był plan.

– Z jakiejś szczególnej okazji?

Ricky ponownie potrząsnął głową, ale tym razem w zupełnie inny sposób: raczej jak ktoś, kto próbuje się obudzić, niż człowiek, który nie wie, co myśleć.

– Tak. Oczywiście. Przepraszam. W poniedziałek tata wrócił do domu z Japonii. Mieszkał tam... chyba od trzech lat, a teraz wprowadził się z powrotem, więc mieliśmy zjeść razem kolację.

– Razem, to znaczy pan, pana siostra i wasi rodzice?

Ricky wyglądał, jakby się zawahał.

– Tak – odparł po chwili.

– Ale nie wie pan, gdzie możemy zastać pańskiego ojca? Pracuje obecnie na Gotlandii?

– Nie... a konkretnie jest konsultantem. Kiedy przebywa w Szwecji, pracuje z domu. Wydaje mi się, że może tam być.

Göran Eide chwycił się za brodę, nie odrywając wzroku od Ricky'ego.

– Kiedy widział go pan po raz ostatni?

– Oj! To musiało być pięć miesięcy temu. Coś w tym stylu.

– Pięć miesięcy temu? Czyli nie spotkał się pan z nim po jego powrocie do domu?

– Nie.

– Jak to możliwe?

– Możliwe?

– Przecież dom pańskich rodziców mieści się niedaleko stąd. Samochodem to pewnie kilka minut drogi. Nie przyszło panu do głowy, żeby tam wpaść?

– Rozmawialiśmy w poniedziałek. Zadzwoił i powiedział, że jest w domu. Dość długo rozmawialiśmy, a potem powiedział, że zobaczymy się w piątek – wyjaśnił Ricky i rozłożył ręce.

– Od tamtego czasu nie miał pan z nim żadnego kontaktu?

– Nie.

– I nie wie pan, dokąd mógł się udać?

Ricky pokręcił głową.

– To dziwne – rzekł. – Powiedział, że na razie trochę zwolni, spędzi jakiś czas w domu, bo przecież już do końca życia nie musi pracować.

– No tak – odparł Göran Eide.

Nie byłoby to dziwne, gdyby zabił twoją matkę i swojego kuzyna, pomyślał. Jeśli jednak ta myśl była obca dla Ricky’ego Traneusa, nie zamierzał wpychać mu jej do gardła. W każdym razie dopóki nie nabierze pewności, że właśnie tak było.

Göran wstał, a cienkie nóżki krzesła z metalowych rurek odskoczyły do tyłu. Wyjął dwie wizytówki i podał je Ricky’emu.

– Proszę dać jedną pańskiej siostrze i poprosić, żeby do mnie zadzwoniła. Musimy porozmawiać także z nią. A jeśli przyjdzie panu do głowy miejsce, w którym może się znajdować pański ojciec, proszę się z nami skontaktować.

Ricky zapewnił, że tak zrobi. Göran i Sara Oskarsson również wstali i ruszyli w stronę drzwi.

– Pańska siostra mieszka na wyspie czy...

– Na kontynencie – dokończył Ricky. – W Sztokholmie.

– Czyli też nie mogła się spotkać z pańskim ojcem po jego przyjeździe w poniedziałek?

Ricky trochę zwlekał z odpowiedzią, jakby uważał, że spekulowanie nie jest jego rolą.

– Zgadza się, to niemożliwe – odparł i lekko się skrzywił.

Sara, która szła przodem, otworzyła drzwi. Do ciemnego przedpokoju wpadło jesienne światło, przemieniając ją w czarną sylwetkę. Göran nagle poczuł zapach tytoniu i mimo woli mocno wciągnął powietrze przez nos.

Zawsze czuł tytoń w najmniej spodziewanych momentach. Może powinien zacząć palić fajkę. W końcu mówi się, że to mniej szkodliwe. Nie, tylko by się z niego śmiali. Komisarz policji z fajką, to zbyt komiczne. Poza tym już prawie nigdzie nie można palić. Nie zamierzał stać w nadmiernie wentylowanym pomieszczeniu pod schodami komisariatu niczym więzień na swoim kawałku w palarni na dachu.

Westchnął cicho i zwrócił się do Ricky'ego.

– Jakie były stosunki Andersa Traneusa, kuzyna pańskiego ojca, z pana rodzicami?

– Nie mam pojęcia. Wydawało mi się, że nie utrzymywali kontaktów.

– Aha. A dlaczego?

Ricky wzruszył ramionami.

– A czy pan ma kontakt ze wszystkimi swoimi kuzynami? – odparł.

Telefon komórkowy Elin zaczął grać stłumioną melodyjkę. Był w torebce, którą wsunęła nogą pod siedzenie przed sobą. Nie chciała się afiszować z telefonem. Istniało duże ryzyko, że wpadnie tu na kogoś ze starych znajomych. Znalazła go po chwili grzebania w torebce. Dzwoniła Molly.

– Właśnie siedzę w autobusie – odpowiedziała na obowiązkowe pytanie.

– Za dwadzieścia minut powinnam być na miejscu. – Jęknęła do aparatu i szeptem dodała: – Naprawdę nie mam na to ochoty. Weekend z mamą i tatą. Oszaleję.

– A twój brat? Nie możesz się zatrzymać u niego?

– Nie wiem. To znaczy, jasne, że powinnam. O wiele bardziej wolałabym zostać tam, ale wtedy mama będzie rozczarowana i nie przestanie gderać. Lepiej to odbębnić i mieć spokój aż do świąt.

Autobus był akurat w lesie. Z obu stron otaczały go wysokie, ciemne świerki. Nad drogą widać było długi pas mroźnie niebieskiego nieba.

Elin szczęśliwie złożyła się na taksówkę z lotniska na dworzec autobusowy, więc przejazd kosztował ją pięćdziesiąt koron. Zaczepiła dziewczynę, która wyglądała na jej rówieśniczkę i właśnie wsiadała do taksówki, a tamta od razu się zgodziła.

Pieniądze. Kiedy dzwonił tata, dużo o nich mówił. O pieniądzach, przyszłości i znów o pieniądzach. Brzmiało niemal jak zaklęcie. Sugerował, że przypadną w udziale jej i Ricky'emu.

Niczego nie chciała. Na samą tę myśl poczuła ucisk w brzuchu i zakryła stopą znaczek Prady na torebce. Niczego nie chciała. Wolała być samowystarczalna.

– Słuchaj, muszę już kończyć – powiedziała do Molly. – Zadzwoń do Ricky'ego, żeby mu przypomnieć, że ma mnie odebrać.

Zamknęła telefon, przez chwilę siedziała, trzymając go w ręce i dając się kołysać w lekko podskakującym autobusie, a potem otworzyła go z powrotem i wcisnęła klawisz z literą R.

– Cześć, to ja – powiedziała, kiedy już się połączyła.

– Cześć.

– Jak tam?

– W porządku. Przyjadę po ciebie.

Zapadła cisza.

– Tak? – odparła w końcu Elin.

– Tak.

– Brzmisz jak internetowy syntezytor mowy dla niewidomych. Co z tobą?

– Daj spokój. Już jadę. Po prostu coś mi wypadło po drodze – odparł.

Mówi tak, jakby właśnie się wybudził z głębokiej śpiączki, pomyślała Elin.

– Byłeś wczoraj na imprezie? – zapytała.

Autobus stanął i wypuścił dwie osoby w Linde. Nikt się nie dosiadł.

– Imprezie? Niby jakiej? – odparł i trochę sztucznie się zaśmiał.

– No to imprezowałeś w domu. Skąd mogę wiedzieć? – odparła Elin.

– Porozmawiamy później, okej?

– Okej. Słuchaj, wzięłam karton wina, jest nawet otwarty, może byśmy zrobili biforek przed kolacją? Bo nie byłeś w monopolowym, prawda?

– Nie. Miałem zamiar pójść, ale nie zdążyłem.

– No tak, tak, coś ci wypadło po drodze, słyszałam – droczyła się.

– Przyjadę po ciebie.

– Okej, to na razie.

Ricky ścisnął telefon w dłoniach. Po zamknięciu drzwi za dwojgiem policjantów osunął się na podłogę w przedpokoju i tak został. Nie mógł jej powiedzieć przez telefon. Nie dało się. Ale musiał to zrobić. On. Ricky.

Próbował sobie wyobrazić Elin. To, jak zmieni się jej wyraz twarzy, kiedy to usłyszy, i wtedy zrozumiał, że nie ma bladego pojęcia, jaka może być jej reakcja.

Kiedy powinien ją powiadomić? Oczywiście jak najszybciej. Takich spraw nie należy odwlekać. Od razu po jej wyjściu z autobusu? Nie, lepiej w samochodzie, kiedy będą sami. A może powinien poczekać, aż dotrą do domu? W samochodzie mogłoby być dziwnie, gdyby na przykład musiał przerwać, bo na drodze wydarzy się coś, co będzie wymagało jego uwagi. Ale co mogłoby się wydarzyć na trasie między Hemse a Levide?

Ricky odłożył telefon na podłogę w przedpokoju i opuścił ręce. Pod palcami lewej dłoni wyczuł kawałek zaschniętego błota. Odchylił głowę i oparł ją o ścianę, zamknął oczy i próbował oddychać głęboko, w kontrolowany sposób. Zgniół zaschniętą drobinę w palcach.

Lekarka Irma Silkeberg włożyła używane przyrządy do woreczka z grubej folii, cofnęła się na kilka metrów od obu ciał i obserwowała cichą scenę.

– Myślę, że kobieta przyjęła pierwszy cios – oznajmiła, wskazując zeszywniałe zwłoki Kristiny Traneus przy sofie.

Eva, która trzymała się z tyłu, żeby lekarka mogła spokojnie pracować, podeszła do niej. Irma Silkeberg odwróciła się do Evy i ściągnęła rękawiczki. Schowała je do foliowego woreczka i wszystko razem włożyła do torby.

– Muszę zbadać krew, żeby mieć stuprocentową pewność, ale odważę się postawić hipotezę. Na bluzie kobiety są plamy krwi, których źródłem najprawdopodobniej nie były jej obrażenia i które musiały się pojawić na ubraniu już po tym, jak została dźgnięta w klatkę piersiową.

– Czyli sprawca zadał kobiecie jeden cios, a potem zaatakował mężczyznę i nie przestał, dopóki go zupełnie nie poszatkował? – odezwał się Per Granholm, nie odrywając spojrzenia od zmasakrowanego ciała w rogu.

– W każdym razie nic nie przemawia na niekorzyść tego scenariusza. Jest jeszcze oczywiście możliwość, że ten ktoś najpierw zaatakował mężczyznę, potem z jakiegoś powodu przerwał, raz ugodził kobietę i wrócił do masakrowania jego – oznajmiła Irma Silkeberg. – To są dwa wnioski, które można wyciągnąć.

Szaleństwo, pomyślała Eva Karlén. Szaleństwo albo gniew, który płonął w sprawcy. To musiało być straszne. Całkowicie nim lub nią zawładnęło i kierowało postępowaniem, nie pozostawiając wyjścia... Na pewno to mężczyzna był tu ważny i w niego zostało wymierzone całe to szaleństwo. Kobieta tylko stanęła na drodze. Albo nie budziła u sprawcy tak gwałtownych emocji.

– Nim lub nią? Myślisz, że może to być kobieta, równie dobrze jak mężczyzna? – zapytała.

– Tak. Nie trzeba szczególnie dużej siły, by zrobić coś takiego, wystarczy być w miarę solidnie zbudowanym i co najmniej średniego wzrostu. Osobę niską lub wątłą możemy wykluczyć.

– Nawet jeśli taka wątła osoba jest ogarnięta wściekłością, kompletnie oszalała? – podsunęła Eva.

– Może i dałaby radę. Ale nie sądzę – odparła Silkeberg, zerkając zza okularów. – Narzędzie zbrodni musiało być dość ciężkie. Początkowo stawiałam na duży nóż kuchenny albo coś w rodzaju miecza samurajskiego, ale kiedy dokładniej zbadałam obrażenia, zauważyłam, że kości i tkanka

chrześcijańska, które przecież stawiają większy opór, były nie tylko pocięte, ale i zmiżdżone.

– Czyli myślisz, że to raczej było... co? – wtrąciła Eva.

Irma Silkeberg uśmiechnęła się słabo, pewnie na znak, że nie lubi być poganiana.

– Coś ostrego, ale nie o ostrości brzytwy, a przy tym ciężkiego. Jakiś miecz, może maczeta. Można sobie wyobrazić mnóstwo takich przedmiotów, ale ten musiał swoje ważyć. Mężczyzna otrzymał ponad trzydzieści ciosów, najprawdopodobniej jeden po drugim. To wymaga sporej siły i kondycji. Kąt obrażeń wyklucza wszystkich mierzących mniej niż metr siedemdziesiąt pięć. No, powiedzmy metr siedemdziesiąt, by zachować margines bezpieczeństwa.

– Trzydzieści ciosów – powtórzyła Eva.

– Trochę więcej – uściśliła Silkeberg. – Większość musiała paść, gdy ofiara już leżała, ale kilka zadanych w szyję i głowę padło, jeszcze kiedy stała. Zostały zadane jako pierwsze. Cios w szyję prawdopodobnie stał się bezpośrednią przyczyną śmierci, ale połowa obrażeń była tak poważna, że każde z nich doprowadziłoby do zgonu w ciągu kilku minut.

Niech go szlag trafi. To jak choroba. Po prostu nie umie być punktualny.

Elin czekała dziesięć minut na dworcu autobusowym. Wszyscy inni zdążyli już wysiąść i odjechać samochodami, które po nich przyjechały, albo sami na rowerach. Przez kilka minut jej jedynym towarzyszem był sapiący autobus, który czekał na dokładną godzinę odjazdu, a kiedy ruszył i zniknął za rogiem nieczynnego dworca kolejowego, została sama. Przez pięć minut stała, wpatrując się w wielką białą kulę ze starym logo OK nad silosem firmy Lantmännen, ale potem jej się znudziło i wysłała esemesa. Napisała, że może ją odebrać w restauracji Redners.

Siedziała w niej właśnie z kieliszkiem czerwonego wina, patrzyła przez okno i trzymała kciuki, by trzech awanturujący się pijaczkowie, którzy usiedli w najciemniejszym kącie w głębi, przy wyjściu ewakuacyjnym, nie rozpętali burdy na dobre.

Leżący na stole telefon głośno zachrobotał.

*Redners! Czyś ty
oszalała? Już
jadę.*

Dzięki za ostrzeżenie, pomyślała Elin. Byłoby jeszcze lepiej, gdyby wysłał wiadomość, zanim weszła. Redners nie była wyborem numer jeden nawet dwa lata wcześniej, gdy Elin opuszczała wyspę, ale uchodziła w tłoku. Najwyraźniej to się zmieniło.

Wino było cierpkie i trochę kwaśne, lecz to jej nie przeszkadzało. Nie zapłaciła za nie dużo. Pospiesznie upiła dwa łyki i spróbowała przejrzeć się w szybie.

Za oknem przechodził mężczyzna około trzydziestki. Zatrzymał się, oparł czoło o szybę i osłonił oczy jedną dłonią, żeby móc zajrzeć do środka. Poruszał oczami na wszystkie strony, a potem zniknął równie szybko, jak się pojawił.

Elin była pewna, że to ktoś, kogo знаła, ale nie przychodziło jej do głowy ani nazwisko, ani żadna sytuacja. Mimo to wydawał się tak znajomy.

Zeskoczyła ze stołu i pobiegła do drzwi. Kelnerka za barem na dźwięk dzwonek podniosła wzrok. Elin wysunęła głowę przez drzwi i powiodła spojrzeniem po ulicy przecinającej całą miejscowość. Mężczyzny nie było, najwidoczniej poszedł którąś z bocznych uliczek.

Wróciła do swojego miejsca. Z kuchni dochodziła woń zjełczałej frytury. Ten człowiek wydawał się tak znajomy. Ze swoją podłużną twarzą i oczami, które z jakiegoś powodu wydawały się kompletnie... dzikie.

Powoli popychała kieliszek tam i z powrotem po laminowanym blacie. Ni stąd, ni zowąd pomyślała o Stefanii. Przypomniała sobie ich ostatnie spotkanie. Siedziała wtedy w samochodzie i podniosła rękę na powitanie, a tuż przed tym, jak samochód ruszył, posłała jej ostrożny uśmiech.

Elin uniosła kieliszek i wypila duży łyk, próbowała wymyślić coś innego. Mogłaby wypożyczyć konia. Następnego dnia urządzi sobie przejażdżkę. Zawsze to coś, na co można się cieszyć.

Och, co ona tu robi? Kolacja z rodzicami. Boże, niech to się okaże znosne, modliła się, choć w nic nie wierzyła. A w każdym razie w żadnego boga. Od dziesięciu lat. Może wcześniej też niezupełnie była jedną z bożych owieczek, ale po tym dniu sprzed dziesięciu lat nie miała już wątpliwości. Żaden Bóg nie istniał. Nie mógł istnieć.

Bóg nie lubi biedaków, O, Bóg nie lubi czarnuchów. I ciebie, cholera, nie lubi... Powiesić Boga! – grała jej w głowie piosenka zespołu Ebba Grön.

Dlaczego się nie zjawiał? To było niepoważne.

Ricky przeszedł przez wyposażone w dzwonek drzwi po kolejnych piętnastu minutach. Elin piła drugi kieliszek taniego czerwonego wina. Miała już pewność, że kiedy wysłał jej esemesa, wcale nie był w drodze. Mimo to poczuła radość na jego widok i nie zamierzała narzekać. Wstała, żeby go przytulić, i potrąciła przy tym stół, wylewając trochę wina. Przy stópce kieliszka utworzyła się niebiesko-czerwona kałuża.

Coś było nie tak. Po uścisku przytrzymał przez chwilę jej rękę i patrzył na nią z powagą. Wybuchnęła śmiechem, nie rozumiejąc, co się z nim dzieje. Czasem bywał ponury. Miewał takie okresy.

Nie odpowiedział, a Elin usiadła. Ricky powoli opadł na krzesło naprzeciwko niej.

– Masz na coś ochotę? – spytała i skinęła w kierunku kieliszka.

Pokręcił głową.

– Spotkałeś się z nim? – zapytała.

Ricky znów spojrzał na nią w ten sam sposób. Z powagą, niemal uroczyście.

– Ale o co chodzi?

– Coś się stało – oznajmił.

Kiedy to powiedział, natychmiast wiedziała, że nie żartuje. Nie mogła oddychać. Momentalnie osłabła, dźwięki przybrały na sile, a Ricky odpłynął w dal i zmałował do rozmiarów mrówki znajdującej się daleko, na drugim krańcu stołu. Stół, który musiał mieć dobrych dziesięć metrów długości. Nie chciała być głucha na jego słowa, naprawdę nie chciała. Znów zaczęła się modlić: proszę, proszę. Ależ była głupia. Mała idiotka. Nikt nie słuchał.

I ciebie, cholera, nie lubi... Powiesić Boga!

– Stało się coś strasznego – dodał. – Nie wiem, jak to powiedzieć.

A potem świat się zawalił.

Wtorek, 31 października, szpital Karolinska, Solna

Fredrik zamknął oczy. Sara nie była pewna, czy to oznacza, że śpi, czy miało coś wspólnego z jego stanem. Nie była pewna prawie niczego, ale w głębi duszy wątpiła, czy on kiedykolwiek dojdzie do siebie w pełni. Nie chciała myśleć w taki sposób, jednak trudno było wysnuć inny wniosek. Błada cera, cienie pod oczami, krwistoczerwone zadrapania nad lewym policzkiem i skronią, przekrwione oko, chwilowo ukryte za zamkniętą powieką – wszystko to w żaden sposób nie pomagało zaprzeczyć jej pesymistycznej prognozie.

Odniosła wrażenie, że tego dnia było z nim gorzej. W ogóle nie mówił. Lekarze jednak twierdzili, że należy się nastawić na złe dni. Że jeden zły dzień to nic takiego. Nie wpływa na diagnozę. Jednak kilka złych dni z rzędu to niedobrze. Lekarze byli optymistami. Niewątpliwie. A może tylko takich odgrywali, dopóki wszystkie możliwości nie zgasną? Może to był strach ludzi w białych kitlach przed „niepowodzeniem”? Pomyślała, że musi być trudno traktować śmierć jako porażkę, w branży, w której jest ona ostatecznym losem każdego klienta. To była walka z czasem, którą prędzej czy później wszyscy przegrywali.

Kiedy Sara i jej koledzy z pracy dostawali nową sprawę, rzadko była jeszcze jakaś nadzieja. Śmierć była już faktem i nie mogli pomóc ani zmarłej osobie, ani nikomu innemu. Ich pracą rządziły zupełnie inne zasady. Prawo. Robili, co należało, a ona często wątpiła w sens tego wszystkiego, ale wiedziała, że nie jest istotne, co czuje w związku z każdą z tych spraw albo czy zatrzymanie sprawcy cokolwiek zmienia. Nigdy nie chodziło o to, po prostu robili to, co trzeba, zawsze, bo taka była umowa. W przeciwnym wypadku wszystko by się rozleciało. Jak zamek z piasku pod wpływem fal.

Sara spojrzała na przezroczystą rurkę kroplówki, a wtedy strach bez ostrzeżenia zatopił w niej szpony. Miała ochotę wstać i wybiec z sali i ze szpitala, żeby spróbować coś uchwycić. Musiała zacząć żyć – była bowiem uspokojona jakimś cholernym przekonaniem, że to możliwe. Tyle tylko, że nie miała pojęcia, za czym goni. Zacząć żyć... Ale jak? Co to oznaczało? Tak jakby czekało na nią jakieś życie, w które można wejść jak do gorącej kąpieli z olejkami eterycznymi.

– Do jasnej cholery – powiedziała szeptem, podniosła się z łóżka i pokonała krótki odcinek dzielący ją od okna. Oparła głowę o szybę i popatrzyła na miotane wiatrem drzewa w parku Haga, a potem odwróciła się do Fredrika.

Otworzył oczy. Tak powoli, że ten ruch wydawał się wręcz nieludzki. Do tego doszło spojrzenie, które nie próbowało się na niej skupić ani nawet spojrzeć w jej stronę. Fredrik wpatrywał się w ten sam punkt co w chwili otwarcia oczu – prosto w sufit.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Czowała się obco i dziwnie, stojąc przed kolegą z pracy, którego nie poznawała.

Wzięła głęboki oddech.

– Powinnam już iść. Ninni na pewno wkrótce tu będzie.

Wzięła swoją torebkę.

– Wrócę – oznajmiła.

Mówiąc to, czuła, że nie ma siły, ale i tak przyjdzie.

Tym razem na nią spojrział.

Elin nie pamiętała, co jeszcze się działo, zanim wsiedli do samochodu. Silnik pracował, ale nadal byli na parkingu przed biblioteką.

Patrzyła przez boczną szybę, ale pierwsza idiotyczna myśl, która przemknęła jej przez głowę, była taka, że nie można tam parkować. Zwłaszcza jeśli się w tym czasie pije wino w Redners. Parking był tylko dla korzystających z biblioteki lub któregoś z pozostałych obiektów użyteczności publicznej. Nie dla tych, którzy właśnie się dowiedzieli, że ich matka nie żyje.

– Nie jedziemy? – zapytała.

– Spokojnie – odparł Ricky i naprawdę brzmiał, jakby próbował ją uspokoić. Jakby zaczęła zrzedzić albo w jakiś sposób na niego naskoczyła.

Czy tak było? Czy powiedziała coś, czego nie pamiętała? Co zostało wymazane z jej pamięci tak samo jak kroki z restauracji, przez ulicę, do samochodu?

Wyciągnęła rękę i opuściła klapkę przeciwsłoneczną, o której wiedziała, że ma z tyłu lusterko. Nachyliła się, wyciągnęła szyję. Miała zaczerwienioną twarz, a na policzkach pasy od makijażu. Najwyraźniej płakała.

– Co robisz? – spytał Ricky i przeciągnął dłońmi po kierownicy.

Nie odpowiedziała, słyszała jego oddech.

– Wszystko w porządku? – dodał.

Prychnęła w taki sposób, że zabrzmiało to dziwnie również dla niej.

– Oczywiście, że nie – odparła.

Głos odmówił jej posłuszeństwa, a gardło zawiązało się w piekący supeł. Elin nie była pewna, czy znów zaczęła płakać ze smutku, czy z bólu.

– Możemy wreszcie ruszyć? – krzyknęła przenikliwie, zaczęła kopać i tupać.

– Tak, tak, tak – jedziemy – odparł Ricky, tym razem, jakby się jej bał, przez co zaczęła płakać jeszcze mocniej.

Chciała, by ją pocieszył, był starszym bratem i nie odpowiadał drżącym głosem, lecz zapewnił, że wszystko będzie dobrze, wszystko się ułoży.

Jednak Ricky wycofał tylko powoli, żeby mogli wyjechać z parkingu. Oboje byli teraz dziećmi.

– To chore – powiedziała, wpatrzona w podłogę, gdy skręcali przy banku.

– Wiem – odparł.

– Przecież zwyczajni ludzie nie są chyba zabijani? Takie rzeczy się nie dzieją?

Raziło ją słońce, ale nie miała siły znów sięgnąć po osłonę. Zmrużyła oczy. Niechętnie jechała do domu na spotkanie z tatą, głównie dlatego, że nie chciała rozczarować mamy. Spodziewała się obowiązkowej kolacji i liczyła na kilka miłych godzin z Rickym. Dwie zmarnowane doby z życia, ale nic, czego nie dałaby rady wytrzymać. Tymczasem nagle znalazła się w piekle.

Eva Karlén zauważyła je od razu, przyglądając się oknu nad rabatką. Dwa włosy, które utknęły między jednym z zaczepów zewnętrznego termometru a ramą okienną. Musiały zostać wyrwane komuś, kto stał na rabatce i zaglądał do środka.

Odczepiła włosy pęsetą – były długie i czarne – po czym ostrożnie włożyła je do woreczka. Właśnie oznaczała woreczek, kiedy usłyszała, że ktoś podchodzi. Odwróciła się.

– Jak tam odciski butów?

To był Fredrik Broman. Czy nie mógł się trzymać od niej z daleka? Nie rozumiał, że tak jest najlepiej? Sama starała się to robić jak najczęściej. Musiał chyba zauważyć?

Źle to na nią działało, kiedy stał tak blisko. Traciła koncentrację. Coś zostawało zakłócone. Nie była w nim nadal zakochana, bynajmniej. Nie miała nawet pewności, czy kiedykolwiek go kochała. Bardziej niż miłością było to cudownym upojeniem, którego potrzebowała w tamtym miejscu i czasie. Teraz było to tylko wspomnienie. A mimo wszystko... puls przyspieszał, a w najgorszych chwilach w głowie zaczynały się przewijać obrazy: nagie ciała, czułe słowa. Wyizolowane kulminacyjne momenty, które łatwo pielęgnować, ale najlepiej zapomnieć.

Może chciała znów ulec upojeniu? Tylko na jeden dzień.

– To nie jest odcisk osoby, która stała na tamtej rabacie – oznajmiła, wskazując zdeptane czerwone dalie. – Tu mamy obuwie czterdzieści dwa, a tam dalej czterdzieści siedem.

– Arvid Traneus przeszedł na wskroś przez rabatę.

– Być może – zgodziła się Eva.

– Ale węszył tu jeszcze ktoś inny?

– Tak. I zostawił po sobie dwa długie czarne włosy. Musimy chyba przyjąć, że to był mężczyzna, ze względu na rozmiar buta – dodała Eva. – Choć nie można wykluczyć dobrze zbudowanej kobiety.

Fredrik kiwał głową, stał w milczeniu i się zastanawiał.

Okej, dostałeś techniczne szczegóły, idź już, pomyślała Eva Karlén.

Kiedy Elin wysiadała z samochodu, torba z kartonem wina wypadła jej z ręki i wylądowała w trawie. Sięgnęła po nią, ale zrobiła to niezdarnie i znów upuściła. Ze złości, choć sama nie rozumiała dlaczego, zaczęła deptać żaloszny karton, który przywiozła ze Sztokholmu.

– Kurwa mać! – dyszała i kilka razy dźgnęła karton obcasem, bez efektu.

– Pieprzone gówno – jęknęła, nacisnęła przycisk na kraniku i powoli przekęciła, a wino zaczęło się wylewać na trawę.

– Co ty wyprawiasz, do cholery? – zawołał Ricky i wyciągnął do niej rękę, ale wywinęła się z jego objęć i próbowała rozprowadzić płyn po ziemi.

– Przestań, Elin, przestań – powtarzał.

– Idź do diabła, jesteś pijakiem czy co? – wychrypiła zniszczonym, obcym głosem.

Ricky zrobił dwa długie kroki przed siebie i ją złapał, siłą opuścił jej rękę wzdłuż tułowia. Objął ją, wreszcie mu się to udało.

Karton wina głucho stuknął o ziemię. Był już wypełniony tylko w jednej trzeciej.

– Ona nie żyje. Nie żyje!

Wykrzyzczała te słowa, potem zaczęła cała się trząść od szloch, aż w końcu zupełnie zwiotczała w jego ramionach. Ricky musiał pilnować, by stała.

– To on, to na pewno on – pisnęła, szlochając.

Ricky pokręcił głową.

– Spróbuj wstać – powiedział. – Spróbuj. Wszystko się ułoży. W taki czy inny sposób.

– Ale to przecież on. Po prostu się zgódź, że to on.

Słowa padały przez łzy i desperacki oddech.

– Elin – wyszeptał Ricky.

– To on. Tata. Tata ją zabił. Jak mógłby to zrobić ktoś inny?

– Nie, nie, nie. Przestań, Elin. To nieprawda. No dalej, spróbuj wstać.

– To on.

– Nie, Elin.

Jednak nic innego nie przychodziło jej do głowy. On to zrobił. Ten cholerny zasraniec zabił jej ukochaną mamę. Mamę, od której się odwróciła i którą zostawiła na Gotlandii.

– No dalej. Wstawaj! – powtórzył Ricky, tym razem bardziej zdecydowanie.

W dalszym ciągu drżała od płaczu, ale naprawdę próbowała wstać.

– Wchodzimy.

Krok po kroku pomógł jej dojść do drzwi. Karton i jej czarna torebka od Prady zostały na zalanej winem trawie.

Ciemnozielony piec kaflowy wydawał niski, przyjemny pomruk. Elin siedziała skulona na kanapie otulona kocem, a przed nią na stole stała nie-
tknięta filiżanka herbaty. Za oknem zapadał chłodny październikowy zmierzch.

Ricky wyszedł z kuchni i usiadł obok niej bez słowa. Zaskoczyło ją, że potrafi być tak troskliwy i opiekuńczy. Nie było to dla niej obce, ale nieczęsto widziała takie jego oblicze.

Nie musiał robić tego wszystkiego – rozpalać ognia, okrywać jej kocem, parzyć herbaty – ale sprawił jej przyjemność. Dał coś, czego mogła się uchwycić. Mogłaby już nigdy nie wychodzić z kokonu koca, siedzieć w milczeniu i słuchać trzaskającego ognia, podczas gdy myśli krążyłyby jej w głowie. Nie chciała się poruszać, nie chciała mówić ani jeść, a jedynie siedzieć tak skulona, spać, budzić się, obserwować zmiany światła.

– Policjanci chcą z tobą porozmawiać. Za jakiś czas. Zostawili numer.

Zamknęła oczy.

Gdyby to była jedna ze zwyczajnych wycieczek do domu, najpierw wpadliby do gospodarstwa, zostawiłaby bagaże w swoim dawnym pokoju, może napiłaby się kawy z mamą, potem pojechaliby do Ricky'ego, wypili drinka albo kieliszek wina lub dwa, a gdy nadeszłaby pora kolacji, pokonałaby po pijaku krótką drogę powrotną. Jeśli nie byłoby za późno, wyskoczyłaby na spotkanie z jakąś dawną koleżanką. Ricky nie. Nie był już imprezowy. Zmienił się w domatora.

Tym razem nic takiego się nie wydarzy. Może nawet jej noga nie postanie w gospodarstwie.

– Wiesz, gdzie ona jest? Nadal w domu czy może oni... – zaczęła.

Odwrócił głowę w jej stronę i zobaczyła, że zadawał sobie to samo pytanie. Mama. Gdzie jest?

– Nie wiem – odparł.

Wyciągnęła rękę po filiżankę z herbatą, ale nie była w stanie na tyle zmienić pozycji, by jej dosięgnąć. Ricky musiał się nachylić i podać jej herbatę. Wypiła kilka łyków, bo zaschło jej w gardle, a nie dlatego, że miała ochotę.

– To dziwna myśl – oznajmiła.

– Tak – mruknął.

– Że ona gdzieś tam leży.

Chciała o tym rozmawiać, ale musiała robić długie przerwy między zdaniami.

– W domu na podłodze, w takim konturze narysowanym kredą.

– Nie sądzę, by...

– Albo w lodówce w Visby. A może dokądś teraz jedzie. Karetką...

– Elin.

Wkrótce znów każe jej przestać, lecz ona wie, że nie będzie miała kolejnego ataku, przynajmniej tym razem.

– Przetransportują ją tak po prostu, nie rozmawiając z nami? Nie muszą mieć na to jakiegoś pozwolenia?

W tej samej chwili bezprzewodowy telefon stacjonarny zaczął niewyraźnie odgrywać melodyjkę, jakby chciał odpowiedzieć na jej pytanie.

Oj, to istny Święty Mikołaj, pomyślała Sara, kiedy zobaczyła przygarbioną postać z długą białą brodą. A raczej Tytoniowy Mikołaj, poprawiła się, gdy światło padło na poźółkłą okolicę jego ust.

W domu Emrika Janssona czuć było intensywną woń zastarzałego dymu. Ciężką, ponurą, gryzącą. Możliwe, że z kryjącą się pod spodem nutą smaże-niny. Wszystko miało kolor żółtobrazowy: ściany, sufit, rzeźbienia, zmecha-czony materiałowy klosz lampy w przedpokoju, która wisiała tam co naj-mniej od lat sześćdziesiątych.

– Oglądałem telewizję – oznajmił Emrik Jansson. – Pokazują powtórki Hem till byn. Zna pani?

Sara skinęła głową. Znała ten serial, ale go nie śledziła.

– Słyszałem o... tym, co się stało u Traneusów – oznajmił Emrik Jansson i kciukiem wskazał kierunek za sobą.

– W takim razie wie pan, z jakiego powodu tu jestem – odparła Sara.

Dom Emrika Janssona bardziej przypominał gniazdo. Żółtobrazowe ściany skojarzyły jej się z plastrami miodu. Uznała, że przesłucha go w przedpokoju. Musiałby mieć do powiedzenia coś naprawdę sensacyjnego, by choćby brała pod uwagę możliwość, że usiądzie gdzieś w środku. Skoro już przedpokój wyglądał jak ul, jak będzie wyglądał na przykład salon, w którym ten człowiek pewnie palił?

– O kogo chodzi? – zapytał stojący przed nią przygarbiony palacz. – O Kristinę i Andersa?

Sara próbowała ukryć zdziwienie. W zasadzie należało się spodziewać, że w tej okolicy wieści szybko się rozchodzą. Dla każdego, kto zauważył gęsty sznur radiowozów i innych pojazdów, musiało być oczywiste, że wy-darzyło się coś poważnego, ale jak to możliwe, że Emrik Jansson był tak dobrze zorientowany w szczegółach? Przecież sami dopiero niedawno się upewnili, kim jest zamordowany mężczyzna.

– Ktoś panu to powiedział? – zapytała.

– Niezupełnie. Sam tak pomyślałem.

Emrik Jansson miał spokojny, przyjemny głos i przytomne spojrzenie. Może i mieszkał w zadymionym gnieździe, ale nie był żadnym insektem.

Ani nawet szczególnym dziwakiem. Może po prostu był już w takim wieku, że nie miał siły się przejmować.

– Ale dlaczego? Zresztą, o jakiego Andersa panu chodzi? – dodała szybko, zanim Emrik Jansson zdążył odpowiedzieć.

– O Andersa Traneusa. Kuzyna.

Przeciagnał palcami po krawędzi brody, a wtedy spostrzegła, że jego palce są równie żółte jak wszystko inne w całym domu.

– Ale dlaczego? – powtórzyła.

Pochylił głowę, a potem zaczął głośno i chrapliwie kaszleć w zaciśniętą prawą dłoń. Atak nie chciał się zakończyć, kaszlnięcia zdawały się rozbrzmiewać echem w tym starym człowieku. Jeszcze chwila i umrze, pomyślała Sara.

Szybko przestał i kontynuował, jak gdyby nigdy nic, pewnie zbyt przyzwyczajony do takich ataków, by się zastanowić, że ktoś inny mógłby je uznać za nieprzyjemne czy wręcz odpychające. Sara mogłaby się zapisać do tej drugiej grupy.

– Widziałem go. Wielokrotnie. Chyba próbowali być dyskretni, ale... Rozumie pani, człowiek widzi różne rzeczy.

Emrik Jansson był najbliższym sąsiadem. Nie oznaczało to, że mieszkał najbliżej, od gospodarstwa Traneusa do kolejnych zabudowań w okolicy było daleko, ale najwyraźniej wystarczająco blisko.

– Mam też pod dostatkiem czasu na obserwację otoczenia. Nie jestem wścibski, nic z tych rzeczy, ale mam czas i jak na razie w miarę sprawną głowę – powiedział i uniósł palec do prawej skroni.

– Czyli Anders Traneus był stałym gościem Kristiny? – spytała Sara.

– Chyba tak.

Emrik Jansson stracił równowagę i przytrzymał się ściany.

– O, jak się pan czuje? – zapytała Sara.

– Jest, jak jest – odparł Emrik, trzymając rękę na obskurnej brązowej tapecie.

– Możemy usiąść.

– To nic takiego – odparł i zamachał wolną ręką.

– Skoro pan tak mówi... Może pan wyjaśnić bardziej szczegółowo? Dlaczego pana zdaniem właśnie Anders Traneus został tam zabity?

– Noo... Arvid kilka dni temu wrócił do domu. Uznałem, że ich przyłapał...

– I zabił?

Emrik Jansson zwlekał z odpowiedzią, jakby nagle zrozumiał, że jego szybkie założenie jest bardzo poważnym oskarżeniem.

– Oczywiście nie mogę wiedzieć, jak było naprawdę, ale tak właśnie pomyślałem. – Uśmiechnął się łagodnie i zrobił mały gest ręką. – Historia zazdrości.

– Czy Arvid Traneus jest typem człowieka, który potrafiłby zabić za coś takiego?

– Typem to on jest. Tyle mogę powiedzieć.

– Jak by pan go określił?

– Awanturniczy. Zawsze chciał wszystko zrobić szybko i miał krewki temperament. Uczyłem go w szkole – odparł Emrik.

– Ten temperament... Chodzi o to, że on miał skłonność do bójek? Pamięta pan?

– Do bójek? Może niekoniecznie. To znaczy... Wie pani, jacy są chłopcy, przynajmniej niektórzy. Pewnie raz czy drugi komuś przyłożył, ale nie on jeden.

– Ale z pewnością musi istnieć coś jeszcze, co pana przekonało, że zabił swojego kuzyna z zazdrości.

Emrik Jansson znów zaczął się bawić krawędzią brody. Widać było, że ten ruch jest dobrze wyćwiczony.

– Czuję się teraz trochę głupio – powiedział i kaszlnął, tym razem sucho i jakby dla efektu – ale powodem jest oczywiście to, że w domu z Kristiną leży martwy mężczyzna, a przynajmniej tak mówią ludzie, a ja widywałem przychodzącego i wychodzącego Andersa. No i wysnułem wniosek, że coś ich łączy. Ale poza tym mówi się, że Arvid stosuje przemoc. Również wobec Kristiny.

– Czy widział pan kiedyś oznaki tego? – spytała Sara.

– Nie mogę powiedzieć, że widziałem. To oczywiście mogą być plotki.

– Tak, jeśli nie widział pan ani nie słyszał nic konkretnego – zgodziła się Sara, ale jednocześnie pomyślała, że plotki potrafią być najlepszymi przyjaciółmi śledczego. Przy odrobinie szczęścia.

Zakończyła pytaniem, czy Emrik Jansson widział Arvida Traneusa po jego powrocie do domu. Widział. W poniedziałek wieczorem Traneus jechał z Kristiną samochodem, pewnie wracali z lotniska. Później już się na niego nie natknął.

Kiedy zamknął drzwi za młodą kobietą z policji z Visby, było mu nieprzyjemnie. Jego obserwacje i założenia dotyczące tego, co się działo w okolicznych domach, wnioski, które wydawały się logiczne i rozsądne, здаwały się rozpadać, gdy miały zostać zważone przez coś tak poważnego jak wymiar sprawiedliwości. Czy tak naprawdę nie było to nic więcej niż nadmierne zainteresowanie starego człowieka plotkami i pozbawionymi znaczenia szczegółami?

Powoli wrócił do telewizora i opadł na wysiedziany fotel ze zużytymi podłokietnikami. Program, który oglądał, prawie się skończył. W normalnych okolicznościach zdenerwowałoby go, że przegapił pół odcinka, ale nagle zaczął w nim widzieć tylko pusty sposób na zabicie czasu.

Arvid był dobrym uczniem, lecz w pewnym sensie dzikim, nie należał do tych, którzy siedzą w pierwszej ławce i podnoszą rękę po każdym pytaniu. Rzucił się na wszystkie zadania z rzadko widywaną motywacją, jakby chciał szybko mieć je za sobą i przejść dalej. Pochłaniał zadania szkolne, jakby ktoś obiecał mu duży i pyszny tort w zamian za dokończenie paskudnego głównego posiłku.

Pozostałe dzieciaki stawiały go sobie za wzór, ale też trochę się go bały. A teraz gdzieś tam grasował. Może był mordercą.

– Zabiję twojego przeklętego ojca. A wiesz dlaczego? Bo nie jest człowiekiem, tylko zwierzęciem. Pieprzonym chorym zwierzęciem, które trzeba przeznaczyć na ubój z konieczności.

Sposób wypowiedzania tych słów przypominał wściekłe dyszenie, tak głośne, że dźwięk w aparacie był zniekształcony do postaci nienaturalnych trzasków. Ricky poczuł, że bezprzewodowa słuchawka w jego dłoni zrobiła się mokra od potu. Spojrzał na Elin, ale ona na niego nie patrzyła. Odchyliła się na sofie i pustym wzrokiem patrzyła w sufit.

– Halo? – potrafił tylko powiedzieć.

– Nie ujdzie mu to na sucho. Jeśli policja go nie zgarnie, ja to zrobię. On zginie!

Ostatnie słowa były wręcz niezrozumiałym rykiem, przez który Ricky musiał odsunąć słuchawkę o pięć centymetrów od ucha.

Zalewało go dziwne ciepło, napływające falami. Poczucił się słaby, niezdolny do działania i ogromnie przerażony. Nigdy przedtem nie doświadczył czegoś takiego. Tak nieprzyjemnej mieszanki, która szybko przemieniła strach w panikę.

– Jeśli będziesz próbował go chronić, ciebie też zamię. Słyszałeś? Nie masz szans.

Rozległo się kliknięcie, a potem w słuchawce zapanowała cisza.

Serce Ricky'ego biło tak szybko, że aż poczuł ból w klatce piersiowej. Język kleił się do podniebienia. Ogarnęło go poczucie, że nie może zaczerpnąć powietrza, choć tak naprawdę dyszał jak po maratonie.

– Ricky?

Elin siedziała na sofie i patrzyła na niego z niepokojem w oczach. Ricky wykonał gest słuchawką. Co miał powiedzieć? Jak można było opisać to, co właśnie się stało? I co to właściwie było?

– On chce mnie zabić – wycedził między jednym ciężkim oddechem a drugim.

– Kto? O kim mówisz?

Ricky zrobił niepewny krok w stronę sofie i zachwiał się na nogach. Pociemniało mu w oczach. Małe kolorowe kółka tańczyły i wirowały na coraz

bardziej oddalonym tle. Jego twarz nabrała szarego koloru.

– Ricky! – krzyknęła Elin, zrzuciła z siebie kraciasty koc i zerwała się z sofy.

W jednej chwili była przy bracie i trzymała go oburącz za ramię.

– Siadaj. Usiądź i mnie posłuchaj.

Poprowadziła go do sofy. Lekko go popchnęła, a wtedy ugięły się pod nim kolana, poleciał do tyłu i opadł z ciężkim pacnięciem.

– Teraz mnie posłuchaj, Ricky. Posłuchaj mnie.

Pięć minut później udało jej się go uspokoić. Oddech Ricky’ego prawie wrócił do normy.

– W najgorszym wypadku można oddychać do papierowej torebki, ale myślę, że dasz sobie radę – powiedziała.

– Co?

– Spokojnie, jesteś w dobrych rękach – dodała, głaszcząc go po nodze. – O atakach paniki wiem wszystko.

Skrzywiła się w sposób, który sugerował, że to nie na studiach psychologicznych zdobyła tę wiedzę.

– Ale na razie miejmy to gdzieś, teraz chcę się dowiedzieć, kto dzwonił.

Siedziała na samej krawędzi sofy, zwrócona do niego. Spojrzenie miała mroczne i zdecydowane, policzki zaczerwienione. Jeszcze chwilę wcześniej leżała pod kocem wpatrzona w sufit, jednak smutek i szok przynajmniej chwilowo zostały zastąpione przez coś znacznie silniejszego.

– Nie wiem – odparł.

Na tyle, na ile potrafił, powtórzył groźby, które zostały wykrzywane do telefonu.

Długo patrzyła na niego bez słowa, marszcząc czoło.

– To wszystko?

Ricky skinął głową.

– Zaczął w ten sposób? Tak po prostu?

– Tak. Powiedział: „Zabiję twojego przekłętą ojca”.

– Nie rozpoznałeś głosu?

– Nie. Nie miałem bladego pojęcia kto to.

– Cholera, paskudna sprawa.

Elin musiała się starać, żeby nie okazywać, jak bardzo jest wstrząśnięta. Wiedziała jednak, że nie sposób powstrzymać ataku paniki, jeśli człowiek sam nie jest spokojny. Albo przynajmniej nie sprawia takiego wrażenia.

– To musi być ktoś, kto sądzi, że tata jest zamieszany w...

Może powinna mówić o czymś zupełnie innym, ale nie mogła. Czowała, że musi natychmiast zgłębić tę sprawę, jeśli sama chce nie zwariować.

– Chyba powinniśmy zadzwonić na policję – oznajmiła.

– Dostałem wizytówkę. A nawet dwie. Jedną miałem dać tobie. Gdzie ja je położyłem?

– Wizytówkę?

– Od policjantki, która tu była.

Długie światła dziurawiły gęsty mrok, rozjaśniając odblaskowe znaki drogowe.

– Myślisz, że da się coś sensownego wyciągnąć z tego Runego? Sugerowałem, że Arvid Traneus jest jakimś demonem.

– Może to zdiadziały typ.

– Pewnie tylko jest w szoku.

– Albo jedno i drugie.

Lena, Ninni i dzieci kilka godzin wcześniej zjadły kolację bez nich. Ninni zadzwoniła i poinformowała, że nie zamierzają czekać.

– Jestem głodny – odezwał się Gustav.

Ledwo zdążył to powiedzieć, a Fredrik też poczuł ssanie w żołądku. Po przesłuchaniu Inger Traneus skoczyli na szybki lunch, ale od tamtego czasu minęło wiele godzin.

W drodze powrotnej próbowali wszystko podsumować. Wiele przemawiało za tym, że Arvid Traneus był sprawcą, którego szukali. Świadek sugerował, że Traneus bił żonę. Wyjechał na dłuższy czas, żona zdradzała go z kuzynem, a Arvid ich nakrył i nie mógł opanować wściekłości, szczególnie wobec kuzyna, którego tak zmasakrował, że facet był nie do poznania. Potem uciekł. Może już wrócił do Japonii? Kraju liczącego prawie sto trzydzieści milionów mieszkańców, z czego w samym Tokio, mieście tak dobrze znanym Arvidowi Traneusowi po latach, mieszkały dwie trzecie. Poza tym wydawało się, że ten człowiek ma prawie nieograniczone zasoby pieniężne.

Jeśli dotarł tak daleko, nie będzie łatwo go znaleźć, ale oczywiście był poszukiwany zarówno przez krajową policję, jak i przez Interpol.

– Ale jeśli ten kuzyn miał romans z Kristiną Traneus, czy po powrocie Arvida nie powinien się trzymać z daleka? – spytał Fredrik. – Dlaczego przebywał w jej domu?

Gustav przesunął się na siedzeniu i poprawił koszulę pod marynarką.

– Tak – potwierdził – ale może coś się stało. Arvid Traneus mógł ją zaatakować albo uderzyć, a może zaczął jej grozić, a Kristina zadzwoniła do Andersa po pomoc.

– A on wsiadł w samochód i przyjechał, a potem sprawy nie potoczyły się najlepiej?

– Tak. Albo Arvid zaprosił kuzyna pod byle pretekstem, tak naprawdę zamierzając doprowadzić do konfrontacji.

– Możliwe. Tylko że to nie bardzo się zgadza z wyglądem zwłok. Czy naprawdę najpierw byłby tak wyrachowany, a potem stracił nad sobą wszelką kontrolę i go poszatkował?

– No tak, masz rację.

– Poza tym nie wydawało się, by mieli ze sobą kontakt. Anders raczej przejrzałby jego zamiary.

Fredrik zjechał z trasy numer sto czterdzieści dwa i z wprawą pokonywał w ciemności ostatnie kręte kilometry dzielące go od domu. Podskakując, wjechali na trawnik przed starym gospodarstwem. W oknach zapraszająco paliło się światło, a na piętrze migotał włączony telewizor. Wysiedli i zamknęli za sobą drzwi.

Tak blisko celu czuli się jeszcze bardziej głodni i zmęczeni.

Mijając okno w kuchni ze szklanym termometrem zewnętrznym, który niedawno przykręciła Ninni, Fredrik przypomniał sobie o odciskach butów pod oknem i o dwóch czarnych włosach. Ani odciski, ani włosy nie zgadzały się z Arvidem Traneusem. Oczywiście nie musiały mieć nic wspólnego z zabójstwem. Mógł je zostawić każdy, może jeden z mieszkańców kontynentu, którzy węszyli w poszukiwaniu domku na lato i bezwstydnie wrzucali ludziom do skrzynek na listy karteczki z fantastycznymi ofertami.

Fredrik sprawdził drzwi. Były zamknięte na klucz. Zły znak. Nie mieli w zwyczaju ich zamykać wcześniej niż przed pójściem spać, ale przy każdym kolejnym śledztwie w sprawie zabójstwa Ninni przekręcała klucz w zamku, dopóki sprawca nie został zatrzymany. Nic dziwnego, jeśli wziąć pod uwagę, co ją spotkało pierwszego lata na wyspie. Dziwne było raczej to, że nie zamontowała alarmu przeciwwłamaniowego i nie wstawiła krat w okna.

– Halo! – krzyknął, kiedy otworzył drzwi i wszedł do przedpokoju.

– Siedzimy w środku – dobiegł z kuchni głos Ninni.

Göran Eide otworzył butelkę wody Ramlösa i napełnił szklanekę z duraleksu, którą wyjął z szafki. Kiedy uniósł naczynie do ust, poczuł na brodzie musowanie bąbelków. Opróżnił je kilkoma łykami i napełnił resztą wody z butelki.

Sonja już spała. Kiedy pięć minut wcześniej przyszedł do domu, zastał ją leżącą z książką w dłoni, okularami na nosie i sześćdziesięciowatową żarówką świecącą prosto w twarz.

Zabrał książkę i okulary, zgasił światło.

Dopił wodę. Nadal czuł pragnienie, więc wyciągnął z lodówki jeszcze jedną butelkę, a z górnej szafki wyjął dwa okrągłe serowe krakersy i zjadł je.

Wyjrawszy przez okno, zobaczył jesienny mrok Ekeby. Miał trudności z pozbyciem się wizji dwóch ofiar zabójstwa. Przez lata przepracowane w policji widział wiele okropnych rzeczy. Już dawno nauczył się radzić sobie z dyskomfortem i obrzydzeniem. Jednak w dalszym ciągu negatywnie odbijały się na nim ślady wściekłości zabójcy, szaleństwa, a czasem cierpienia. Świadomość, że życie potrafi tak wykoleić ludzi, by byli w stanie wyrządzić bliźnim taką krzywdę. Zabić to jedno – często zdarzają się nieszczęśliwe wypadki lub przynajmniej sytuacje, w których sprawca wcale nie miał zamiaru pozbawić kogoś życia. Czasami jednak chodzi o coś więcej. W niektórych wypadkach motorem napędowym jest płonąca nienawiść i chęć wyrządzenia krzywdy lub sprowadzenia na kogoś jak największego cierpienia.

Göran usiadł przy stole w kuchni, odstawił szklanę i butelkę. Ciemny drewniany blat został idealnie wytarty. Nie było na nim nawet jednego okruszka czy plamy po kawie. Nigdy by nie przypuszczał, że to możliwe, ale zdarzało mu się tęsknić za okruszkami. Jakby jego wspólne życie z Sonją było ostatnio właśnie tak nieskazitelne. Ich najmłodsza córka dwa tygodnie wcześniej skończyła trzydzieści lat. Była już dorosła. Oczywiście nadal zachowywał się tak, jakby była najwyżej nastolatką, ale musiał przyznać, że jednak nie jest – i to już od jedenastu lat. Dziwne uczucie. Syn zrobił sobie przerwę w studiowaniu. Göran go rozumiał. Trudno wytrzymać, kiedy studia są przygotowaniem do zawodu, którego nie chce się wykonywać.

Przejechał dłonią po stole. W pewnym wieku człowiek zaczyna widzieć jak przez mgłę, trzęsą mu się dłonie – wtedy okruszki wracają, pomyślał. Ale życie już nie.

Na czystym blacie zaczął wibrować telefon. Göran wziął go do ręki i odebrał.

– Dzień dobry, mówi Elin Traneus – odezwał się przerażony głos.

– Czyli sprawcą był pewnie mężczyzna. Ten Arvid. Czy nie jest tak prawie zawsze? – odezwała się Lena i było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

Wciąż siedzieli na parterze. W starej wiejskiej kuchni z głębokimi wnękami okiennymi i podłogą z szerokich sosnowych desek, po których, gdy na dworze robiło się zimno, należało chodzić w grubych skarpetach albo w kapciach. Lena się nachyliła, opierając łokcie na stole, i z zaciekawieniem spojrzała na Fredrika i Gustava swoimi błękitnymi oczami. Niedawno zszokowała otoczenie, bo ścięła długie jasne włosy na mniej więcej dziesięć centymetrów. Miała teraz nastroszoną fryzurę, łatwiejszą w pielęgnacji. W ośrodku, w którym pracowała, zyskała przezwisko „Pewność Siebie”, ze względu na podobieństwo do znanej terapeutki, która wydała kilka bestsellerów na ten temat.

– Tak – zgodził się Fredrik. – Niestety, prawie zawsze tak jest.

Lena wymieniła snus: zużyta porcję wcisnęła w wieko pudełeczka, a nową – pod wargę.

– Poza tym zwiął, więc jasne, że to on – powiedziała po dopasowaniu prymki w sposób, który najbardziej jej odpowiadał.

– Pamiętaj – rzekł Gustav – że to twoja teoria. Nie nasze słowa.

Lena skwitowała słowa męża grymasem.

– Wiem, co się dzieje.

Zwykle opowiadali o nowych sprawach Ninni i Lenie, przynajmniej jeśli było to coś na tyle spektakularnego, by rodzić pytania. Nigdy jednak nie mówili więcej, niż Göran Eide byłby skłonny przekazać prasie. Ogólnie rzecz ujmując. Poza tym nigdy nie wspominali o teoriach i spekulacjach, którymi wymieniali się z kolegami.

Fredrik pozbierał talerze pozostawione na stole i odstawił je na zlewozmywak.

– Traneusowie. Czy oni nie mieli córki, która umarła? – zapytała Lena, spojrzała na Gustava, a potem na Fredrika.

Oni z kolei popatrzyli po sobie, ale żadne nie wyglądało na szczególnie oświecone.

– Nic nam o tym nie wiadomo – oznajmił Fredrik.

– Ja jestem prawie pewna, że tak – powiedziała Lena i tym razem spojrzała na Ninni.

– Na mnie nie patrz. Jeśli chodzi o okoliczne plotki, nie mam zbyt wiele do powiedzenia.

Tego dnia nie omówili sprawy w grupie. Takie podsumowanie było zaplanowane na ósmą następnego dnia. Lennart Svensson siedział w Visby i przeszukiwał bazy danych. Z pewnością był w pełni zorientowany we wszystkich konstelacjach rodzinnych i ewentualnych zmarłych dzieciach.

– Wydaje mi się, że Karin trochę ją znała. Albo była to koleżanka koleżanki. Ale to musiało być dość dawno temu – powiedziała Lena.

Fredrik czuł się nakręcony, wręcz nienaturalnie rześki mimo późnej godziny. To uczucie towarzyszyło mu już od pierwszych dni śledztwa – było to coś w rodzaju euforii wywołanej wyzwaniem, którym było rozwiązywanie tej sprawy. Zupełnie inne niż szare zmęczenie, które go ogarnie za cztery–pięć dni, jeśli sprawca nie zostanie zatrzymany.

Wrócił do stołu i usiadł.

– Na co zmarła?

– Nie wiem – odpowiedziała Lena, bawiąc się pudełeczkiem od snusa. – Było w tym coś tajemniczego, dużo gadania i dyskrecji. Wiem, że miała za sobą kilka pobytów w szpitalu. Możliwe, że chorowała na raka albo miała chorobę psychiczną i odebrała sobie życie.

Lena odpowiedziała szybkim gestem rozkładania rąk.

– No ale nie wiem. To było daleko ode mnie, pamiętam tylko, że siostra opowiadała o tej sprawie.

– Kiedy to się działo? – zapytał Gustav.

– Siedem–osiem lat temu, może dawniej. Chyba krótko po tym, jak ukończyła osiemnaście lat.

Ninni wstała od stołu i zaczęła sprzątać naczynia ze zlewozmywaka. To był jej sposób na powiedzenie, że jest zmęczona i chce się położyć. Fredrik miał ochotę jeszcze trochę posiedzieć.

– Simon jeszcze się nie położył? – zapytał.

– Myślę, że nie – odparła Ninni. – Chyba że zasnął przed telewizorem. Pójdź na górę i sprawdź.

– Dobrze, jeśli się w porę nie położy do łóżka, będzie marudny.

Martwa córka i matka prawdopodobnie zamordowana przez swojego męża. Dużo śmierci w tej rodzinie, pomyślał Fredrik.

– Jasne, pójdę na górę – powiedział.

Wszystko było inaczej. Kiedy Elin wstała, czuła się jak obudzona do nowego życia. Inne było światło, kolory, powietrze, którym oddychała. Cała ona. Skóra, to, co pod nią, i ta część, która tak naprawdę była nią – gdziekolwiek się znajdowała.

Przybywając na wyspę, była przyzwyczajona do zmieniania postaci. W momencie kiedy zsiadała z promu, zostawiała na pokładzie część siebie. Robiła długi krok do tyłu w czasie, naciągała na siebie nieforemny kombi-
nezon, sztywny od starych lęków. Po ponownym wejściu na pokład dwa dni później siedziała na jednym ze zmechanicznych foteli na samym tyle, w sekcji pasażerów ze zwierzętami domowymi. Była przygnębiona i rozczarowana, a poza tym wykończona, bo w dwie doby musiała przepłynąć Bałtyk tam i z powrotem.

Jednak tym razem wszystko naprawdę wyglądało inaczej. Mamy nie było. Została zamordowana. Tata też zniknął. Z jakiegoś powodu wyobraziła go sobie na pokładzie dużego promu, gdzieś daleko. Uciekającego, ale zadowolonego.

Powoli usiadła na sofie. W pracowni Ricky'ego było łóżko, jednak zawsze uważała ten pokój za przygnębiająco zimny. Wolą spać na sofie w salonie.

Nie miała już nikogo. Oczywiście poza Rickym, ale on nie był wielką pomocą. Wróć! – pomyślała natychmiast. Nie tak miało to zabrzmieć! Kochała Ricky'ego. I pomagał jej. Wczoraj się nią zaopiekował. Na myśl o tym poczuła, że coś mimo wszystko przetrwało.

Na dworze się przejaśniało. Przez głębokie wnęki okienne wpadała niebieskawa poświata. Elin owinęła się kołdrą i na bosaka przeszła po zimnej podłodze do jednego z okien. Spojrzała na mały ogród, który bez żadnej zdecydowanej granicy przechodził w rozległą posesję właściciela nieruchomości. Z kolei po lewej znajdowało się ogrodzenie wokół pastwiska, na którym stały nieruchomo szare i czarne jagnięta, w świetle wschodzącego słońca wyglądające jak krzewy jałowca. Po chwili zobaczyła na trawniku swoją czarną torebkę od Prady i rozdeptany karton wina.

Szybko się ubrała, wsunęła stopy w o siedem numerów za duże buty stojące w przedpokoju i wyszła pozbierać swoje rzeczy. Na dworze było ciepło, a z zachodu wiał chłodny jak na tę porę roku wiatr.

Podniosła torebkę i powiesiła ją sobie na ramieniu, a lewą ręką chwyciła karton wina. Fioletowa reklamówka ze sklepu monopolowego, w którą był włożony, odleciała na wietrze i nie było jej nigdzie widać.

Elin rozprostowała plecy. To, że zapomniała o leżących w trawie winie i torebce, mówiło coś o wczorajszym dniu. Ściągnęła łopatki i powoli odwróciła się w lewo. Przed sąsiednim domem stała jakaś kobieta. Była wyprostowana i wpatrywała się w nią. Elin uniosła wolną rękę i pomachała, ale szybko się odwróciła plecami w stronę kobiety i ruszyła do domu. Nie była w stanie odpowiadać na żadne pytania. Umiała sobie wyobrazić, jak mniej więcej to będzie wyglądało. Najpierw współczucie, a potem próby wybadania sytuacji.

Schroniła się w domu, człapiąc i stukając butami. Zdjęła je i postawiła karton na ławie obok podłużnego lustra w przedpokoju. Przystanęła i obejrzała się w lustrze od stóp do głów. Miała wrażenie, że od poprzedniego wieczoru się postarzała, ale nie było widać żadnych tego oznak. Nachyliła się bliżej i zlustrowała swoją twarz. Szew kanapy pozostawił odcisk na jej policzku. Przeciągnęła po nim palcem.

Policjant, z którym rozmawiała poprzedniego wieczoru, miał znów się odezwać. Prosił, by zadzwoniła, jeśli otrzymają kolejne groźby, a jeśli nie będzie mogła go namierzyć – wybrała numer sto dwanaście. Wydawał się sympatyczny, choć zmęczony – miał trochę niewyraźny głos. Dodał, że w nocy też najlepiej dzwonić pod sto dwanaście. Zaczęła przeproszać, ale jej przerwał i powiedział, że nic nie szkodzi. Złożył wyrazy współczucia, a potem powiedział, że ma trochę pytań, jednak najlepiej poczekać z nimi do następnego dnia.

Ten dzień właśnie nastąpił. Poszła do kuchni, odstawiła torebkę na czarny, błyszczący stół i nalała wody do dużej szklanki. Opróżniła ją kilkoma haustami. Nie czuła głodu.

Spojrzała na torebkę, która sflaczała na stole niczym przebita piłka plażowa, i uderzyła ją myśl, że już jej nie potrzebuje. Mogła ją wyrzucić, oddać do second-handu albo sprzedać przez internet. Nie było już człowieka, dla którego musiałaby ją ze sobą ciągać. Tata oczywiście gdzieś tam sobie żył, ale choć kupił tę torebkę, nosiła ją nie po to, by zrobić mu przyjem-

ność. Robiła to dla mamy, która uważała, że powinna z niej korzystać dla niego.

– To przecież tylko torebka – powiedziała do siebie i powoli wysypała zawartość na blat.

Był nakręcony jak króliczek z reklamy baterii, w nocy prawie nie zmrużył oka. Beppo nadal chrapał w sypialni, a on przycisnął nos do okna w kuchni i omiół spojrzeniem parking przed sklepem Konsum. Znajdował się w centrum Hemse. Na dworze było już jasno i na ulice zaczęli wychodzić ludzie.

Mieszkanie miało dwa pokoje. Tyle że wyglądało jak chlew. Puste puszki po piwie, butelki po wódce i uwalone ubrania piętrzyły się wraz z bez nadziejnie starymi artykułami elektronicznymi, które Beppo zapewne skądś ukradł. W zlewie stał stos naczyń, a posadzka była chropowata i poplamiona od wgryzionego w nią brudu. Sam nie był pedantem, ale trzy i pół roku więziennej dyscypliny przyzwyczyło go do pewnego porządku, czy tego chciał czy nie.

Beppo chodził z nim do jednej klasy od czwartego roku szkoły, a po ukończeniu nauki nadal utrzymywali kontakt. Wprawdzie sporadyczny, ale jednak.

Zapalił papierosa i postanowił, że zejdzie kupić gazety. Cały poprzedni wieczór śledził wiadomości. „Wczesnym rankiem w piątek w gospodarstwie w południowej Gotlandii znaleziono ciała zamordowanych mężczyzny i kobiety. Policja w dalszym ciągu milczy w kwestii okoliczności zabójstw”.

Powtarzali ten sam komunikat raz za razem. Człowieka nie ma kilka lat, a tu taki postęp. Gotlandzka stacja na cyfrowym telewizorze.

Beppo poprzedniego dnia chwalił się, że za cztery stówy kupił piracki dekodery. On udawał, że jest pod wrażeniem. „O cholera!”. Czym się zajmował ten chłopak? Pirackimi dekodery w Hemse? Co za cholerna ślepa uliczka.

Chciał zapalić kolejnego papierosa, kiedy się zorientował, że już pali. Odłożył go na najdalszy skraj stołu, jednocześnie wkładając bluzę sportową i podciągając zamek błyskawiczny pod samą brodę.

Wychodząc, spostrzegł bluzę z kapturem Beppa wiszącą na plastikowym haczyku w przedpokoju. Włożył ją na swoją bluzę i naciągnął na głowę kaptur. Nie marzył o tym, by go rozpoznano. Odkąd ostatni raz paradował po Hemse, minęło wiele lat, opuścił wyspę na długo przed tym, jak poszedł

siedzieć, ale to byli w zasadzie ci sami ludzie i wielu potrafiłoby go rozpoznać. Niektórzy zaś mogliby się pokusić o zrobienie obliczeń.

Po raz ostatni zaciągnął się papierosem i wrzucił niedopałek w kratkę przed drzwiami. Włosy opadały poza kapturem. Wsunął je z powrotem i próbował przerzucić na kark.

Przez cały pobyt w więzieniu miał długie włosy. Wielu strzygło się na krótko albo goliło głowę, ale on się uparł. W pierwszym miesiącu wdał się w bójkę. To nie on zaczął, a bójka nie byłaby warta wzmianki, gdyby chłopak, który go zaatakował, nie wyrwał mu dużego pukla, gdy znalazł się w gorszej pozycji. Tchórzliwy gnojek.

Trzy dni później zobaczył go przed sobą w kolejce po jedzenie. Kiedy chłopak był zajęty nakładaniem sobie porcji, podkradł się do niego od tyłu i wbił mu widelec w pośladek, najgłębiej, jak się dało. Chłopak ryknął jak postrzelony piźmowół.

Zamknięto go za to na kilka dni, ale potem nikt go już nie szarpał za włosy.

W podwójnej warstwie ubrań było gorąco, ale nie zamierzał iść daleko. Tylko przez ulicę do galerii Hemse. Wszedł do kiosku, wziął gazety „Dagens Nyheter” i „Göteborgs-Tidningen”. Przed nim w kolejce była tylko jedna osoba – siwowłosa kobieta trzymająca gazety.

– To okropne, straszliwe – usłyszał, jak mówi, wymachując przed kioskarzem pierwszą stroną gazety. – Działo się tuż przed naszym nosem.

Nieznany mu sprzedawca – wysoki, postawny chłopak, którego nie było tu podczas jego ostatniego pobytu na wyspie – pokiwał głową.

– Ale nieszczęścia dotyczą i biednych, i bogatych – ciągnęła kobieta, próbując wygrzebać z portmonetki drobne, co trwało całe wieki. – Choć przedtem też nie panowało tam chyba zbyt wielkie szczęście. To duże gospodarstwo...

Westchnęła lekko, pozwalając tym słowom zawisnąć w powietrzu. Kioskarz przeniósł uwagę na niego, a on położył gazety na ladzie.

Kiedy wychodził z kiosku, właśnie podnoszono wyklejoną plakatem przedstawiającym butelki metalową ściankę blokującą szerokie wejście do sklepu monopolowego. Staął plecami do półki z filmami w kiosku i zaczął oglądać rzędy puszek i butelek. Przez chwilę się zastanawiał, ale potem uznał, że nie może stać w przejściu jak idiota, i wszedł do sklepu.

Przed wyjściem z więzienia złożył sobie jeszcze jedną obietnicę: że trochę zbastuje z chlaniem. A zatem w ciągu niecałego tygodnia złamałem już

drugą obietnicę, pomyślał, biorąc do ręki szary koszyk ze stosu przy wejściu. Jednak w obecnych okolicznościach należało to uznać za wyjątek. Zresztą doszedł do wniosku, że bez problemu da radę, nawet jeśli trochę wypije.

Przed podejściem do regału z wódką skreślił, przystanął przy piwie i szybko włożył do koszyka cztery puszki Norrlands Guld. Cztery puszki to przecież nic i właśnie dlatego nie powinienem chyba kupować więcej, pomyślał, ale potem przyszło mu do głowy, że nie uniknie poczęstowania Beppa, i wziął drugie tyle.

Do sklepu weszło dwóch chłopaków w jego wieku. Zatrzymali się po drugiej stronie regału. Jeden miał niebieski T-shirt, a drugi wyblakłą flanelową koszulę w kratę i dwudniowy zarost. Żaden z nich nie wydawał mu się znajomy, ale na wszelki wypadek wbił wzrok w posadzkę.

– Może to zabrzmi makabrycznie, ale każdego czeka to, co mu pisane – rozległ się głos jednego z chłopaków.

Już miał wyjść z puszkami piwa, gdy do sklepu wszedł mężczyzna około pięćdziesiątki. Wydał radosny okrzyk, pomachał do młodszego z tamtych dwóch i ruszył w ich stronę.

– Słyszeliście o Traneusie? – zapytał bardziej zduszonym głosem, kiedy podszedł bliżej.

Obaj skinęli.

– Paskudna sprawa. Wiktor zna dziewczynę, która u nich sprząta. Mówiła, że nie wyglądało to fajnie. Była kompletnie zdruzgotana. Amanda Wahlby. Nie wiem, czy ją...

Pozostali pokręcili głowami.

– Niewiele z nich zostało – dodał, ściszejając głos do szeptu. – Tylko miązga. Nie dało się ich nawet rozpoznać.

Młodszy z mężczyzn się skrzywił, ale na ich twarzach w równym stopniu malowała się ciekawość.

– Stigge właśnie to powiedział. Coś takiego musiało spotkać akurat ich.

– Tak – odparł starszy. – To upiorne. Można by pomyśleć, że niektórzy mają przeciwko sobie jakąś siłę wyższą. Ile syfu można znieść? No i diabli wiedzą, czy on tego nie zrobił. Ten cały Arvid.

– Zawsze był z niego kozak – powiedział ten, którego najwyraźniej nazywano Stiggem.

– No i do tego trochę walnięty – dodał drugi.

– Fakt faktem – powiedział starszy – powiodło mu się w życiu. Nie żebym dużo wiedział na ten temat, ale mówią, że w Japonii się dorobił.

– Już przedtem był bogaty – stwierdził Stigge.

– Może powiodło mu się aż za bardzo – skwitował jego kolega, po czym wszyscy umilkli, nagle zrozumiawszy, że ktoś ich słucha.

Trzy pary pytających spojrzeń zwróciły się w jego stronę. Dotarło do niego, że zamiast patrzeć pod nogi, na długą chwilę utkwił w nich wzrok i słuchał rozmowy po drugiej stronie regału. Spuścił wzrok i gwałtownie odwrócił się plecami. Ruszył do kasy, z trudem starając się utrzymać normalne tempo. Miał wrażenie, że spojrzenia mężczyzn palą go w kark.

Nie bał się tych pajaców, w razie potrzeby mógłby powalić ich wszystkich, ale nie zależało mu na popisywaniu się tężyzną, lecz na nierzucaniu się w oczy. Najchętniej by zwiął. Zostawił za sobą tę zasraną wyspę i odpłynął następnym promem. Każdy jednak uznałby, że nie wygląda to za dobrze. Proste obliczenia jeszcze bardziej działałyby na jego niekorzyść. W jego sytuacji najlepiej było spokojnie siedzieć w Hemse przy piwkach, jakby nigdy nic.

Ustawił puszki na białych okręgach na taśmie przy kasie i zmusił się do uśmiechu. Na chwilę spotkał się wzrokiem z kasjerką. Nie podobało mu się, jak na niego patrzyła. Nie jak na zwykłego klienta ani nawet jak na dziwaka, lecz jakby jej kogoś przypominał.

– Opuścił kraj, a przynajmniej wyspę. W każdym razie nie pozostawił po sobie żadnych śladów. Sprawdziliśmy lotniska, promy Destination Gotland, koleje, karty płatnicze. Nic.

Wysoki, niemal zupełnie siwy Lennart Svensson miał cienie pod oczami, a jego zmarszczki wydawały się liczniejsze i głębsze niż zwykle, ale mimo to wyglądał na zadowolonego. Słyszał z umiejętności zaśmiecania spotkań słabymi żartami i nieproszonymi komentarzami, gdy ogarniał go sprzyjający nastrój, ale choć był najstarszy na wydziale kryminalnym, wciąż potrafił przepracować najwięcej godzin, nie narzekając ani tym się nie chwając.

Lennart Svensson po prostu lubił pracować. Fredrik był przekonany, że padnie trupem w dniu, gdy wyjdzie z komisariatu ze złotym zegarkiem czy czymkolwiek, co się obecnie dostawało na zakończenie służby.

– Arvid Traneus nie jest głupi – powiedział Göran Eide, który wydawał się zarówno bardziej ożywiony, jak i zmartwiony. Jak emocjonalny negatyw Lennarta Svenssona.

– Zgadza się, widzieliście jego majątek? – odparł Lennart. – Jeśli nie wygrał tego wszystkiego w Lotto, jest całkiem bystry. A skoro ma takie sumy zarejestrowane w Urzędzie Patentowo-Zgłoszeniowym i na zwykłych kontaktach, to pewnie dziesięć razy tyle skitrał na Kajmanach albo w podobnym miejscu. Mógłby kupić całą gotlandzką policję, gdyby miał na to ochotę.

– Całe szczęście, że nie jesteśmy na sprzedaż – odparł Göran.

Ich spotkanie jak zwykle odbywało się w mniejszej sali. Zjawili się wszyscy z wydziału. Był też prokurator Peter Klint. Brakowało jedynie komendanta, bo uczestniczył w szkoleniu na kontynencie.

Peter Klint miał intensywną opaleniznę i wyblakłe od słońca, dłuższe niż zwykle włosy. Tydzień wcześniej wrócił z urlopu pod żaglami na Morzu Śródziemnym i wydawał się bardziej wyluzowany, niż do tego przywykli jego koledzy z pracy. Może miało to też związek z faktem, że tej wiosny zostawił żonę i, jak głosiła plotka, zamieszkał z kobietą młodszą o szesnaście lat.

– Ofiary to Kristina Traneus i Anders Traneus, oboje czterdziestosiedmioletni – ciągnął Göran. – Jeśli komuś to umknęło: Anders Traneus jest

kuzynem męża Kristiny, Arvida Traneusa. Lennart, orientujesz się, prawda?

– Zgadza się. Tak jak powiedziałeś, Arvid i Anders to kuzyni. Arvid jest o trzy lata starszy.

Lennart nieco sztywno wstał i podszedł do białej tablicy.

– Wszystko jest w komputerze, ale dobrze to mieć przed oczami w trakcie rozmowy – powiedział i zapisał nazwiska, które już padły. Na zielono, bo znalazł tylko taki pisak. Pogrupował je według rodzin, a na koniec podkreślił Kristinę Traneus i Andersa Traneusa.

– Arvid i Kristina mają dwójkę dzieci. Oskara Traneusa...

– Chyba jest nazywany Rickardem – powiedziała Sara.

– Okej, Rickarda. – Lennart zmienił imię na tablicy i dopisał kolejne. – Oraz Elin Victorię Traneus. Mieli też trzecie dziecko, Stefanię Traneus. Zmarła przed dziesięcioma laty, w wieku dziewiętnastu lat.

– Znamy przyczynę śmierci? – spytał Gustav, bawiąc się niebieskim długopisem Bic.

– Jeszcze nie – odparł Lennart. – Jeśli chodzi o kuzyna, jest rozwiedziony z Inger Traneus, z którą ma dwoje dorosłych dzieci – Sofię i Karla-Johana. Córka mieszka na kontynencie, a syn na wyspie. Zresztą Rickard Traneus też mieszka na wyspie, zaledwie kilka kilometrów od domu rodziców w Levide. Göran i Sara byli tam wczoraj. Z kolei Elin mieszka w Sztokholmie.

– Ale obecnie przebywa u brata w Levide – wtrącił Göran. – Przyjechała tutaj, żeby uczcić powrót ojca ze służbowego pobytu za granicą. Została o wszystkim powiadomiona, kiedy wysiadała z autobusu w Hemse.

– Tak. W każdym razie sprawdziłem rejestr nieruchomości i okazało się, że gospodarstwo przeszło w spadku z dziadka kuzynów na ojca Arvida, a potem dalej na Arvida – podjął Lennart. – Możliwe, że część rodziny, do której należy Anders, na tym straciła, ale nie wiemy, jakie były ich ustalenia w przeszłości i czy Rune Traneus otrzymał jakąś rekompensatę za zrzeczenie się gospodarstwa.

Lennart jeszcze przez kilka minut objaśniał więzy rodzinne. Zakończył, wyznaczając linię między Andersem a Kristiną Traneus i stawiając nad nią znak zapytania.

– Weźcie to ze sobą i miejcie gdzieś z tyłu głowy, gdy będziecie przeszukiwać te osoby – rzekł Göran, wskazując tablicę.

Lennart wrócił do stołu, ale nie usiadł. To była pewna charakterystyczna cecha, która się u niego rozwinęła z powodu kłopotów z kręgosłupem. Nie-

kiedy nie potrafił siedzieć przez dłuższy czas, jeśli krzesło nie było odpowiednie.

– Żadnej z wymienionych przeze mnie osób nie ma w naszych rejestrach – oznajmił i położył dłonie na oparciu krzesła. – Ale odezwałem się do starego znajomego z opieki społecznej. Bogatych rolników i inne ważne osoby z reguły lepiej się zapamiętuje niż zwykłych ludzi.

– Czyli było zgłoszenie? – zapytał Ove.

– Sprzed ośmiu lat, złożone przez anonimową osobę. Twierdziła, że Arvid Traneus maltretuje żonę. Opieka społeczna badała sprawę ostrożnie, ale nic nie znalazła. Do tego były jeszcze telefony. Jest tu trochę ciekawych informacji – ciągnął Lennart i podniósł ze stołu kartkę. – Posłuchajcie. „W poniedziałek o dwudziestej drugiej trzydzięci dziewięć ktoś zadzwonił z telefonu domowego Kristiny i Arvida Traneusów na telefon domowy Andersa Traneusa”. To ich jedyna zarejestrowana rozmowa w ciągu tych siedemdziesięciu czterech dni, do których na razie mamy dostęp.

– Kristina kontaktuje się z Andersem, a potem zostają zamordowani – podsumowuje Ove.

– Poczekaj chwilę – rzekł Lennart. – Tak jak mówiłem, z telefonu Arvida i Kristiny Traneusów do Andersa Traneusa wykonano tylko jedno połączenie, ale ponad sto razy dzwoniło z domowego aparatu Andersa Traneusa na niezarejestrowaną kartę. Mniej więcej tyle samo jest telefonów do niego z anonimowego numeru. Jeśli to zsumować, wychodzą średnio dwie rozmowy dziennie.

– To znaczy, że Kristina miała specjalną kartę, której używała do rozmów z kochankiem – podsunął Fredrik. – Pozbyła się jej, zanim mąż wrócił do domu. – Potem wydarzyło się coś, co sprawiło, że musiała się z nim skontaktować, ale wtedy już nie miała karty.

– Albo była nieostrożna – wtrąciła Sara.

– Mógł też dzwonić Arvid – stwierdził Fredrik. – Jeśli Kristina rzeczywiście korzystała z dodatkowej karty do telefonu, to była ogromnie, by nie powiedzieć: ekstremalnie ostrożna. Byłoby dziwne, gdyby nagle zaczęła wykazywać beztroskę.

– Może zniszczyła kartę, ale mogła też działać w stresie i desperacji. Może nie było czasu na machinacje z różnymi kartami.

Fredrik wyprostował się na krześle i odwrócił do Sary.

– Powiedzmy, że Arvid wraca do domu z Japonii i znajduje coś, co wskazuje, że nie wszystko wygląda tak, jak powinno. Jest zazdrosny, agresywny

i wyżywa się na Kristinie. Kristina dzwoni do Andersa, ten przyjeżdża do gospodarstwa w Levide, ale cała historia nie kończy się zgodnie z jego zamierzeniem.

– Widzę w tej wersji pewien problem – oznajmiła Eva.

– Jaki? – spytał Fredrik.

– Ciała nie mogły tam leżeć od poniedziałku. Jutro będę miała wstępny raport z obdukcji, ale szacuję, że zostali zabici w środę.

– Czyli Anders Traneus nie mógł wparować do jej domu pod wpływem telefonu? – spytał Ove.

– Nie, na pewno tam nie wparował – odparła Eva.

Mogła to wcześniej wykrztusić, pomyślał Fredrik, ale nic nie powiedział.

Środa, 1 listopada, szpital Karolinska, Solna

Sara podeszła do lśniącej, starannie wyczyszczonej umywalki i nalała wody do plastikowego kubka. Długo mówiła i zaschło jej w gardle. W kubku nie mieściło się nawet sto mililitrów, więc musiała go opróżnić trzy razy, zanim zaspokoila pragnienie.

– Niebieski – odezwał się Fredrik, leżący w łóżku za jej plecami.

Sara odwróciła się do niego. Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Niebieski – powtórzył.

Wyglądał lepiej, zwłaszcza w porównaniu z załamaniem z poprzedniego dnia. Żadnych dramatycznych zmian, ale wyraźny postęp. Jego mowa się poprawiła. Lekarze opisywali ją procentowo. Sara nie bardzo wiedziała, jak to szacują, ale oczywiście im wyższa liczba, tym lepiej – a wartość wzrosła. Fredrik mówił. Najczęściej słowa, które padały z jego ust były niezrozumiałe, ale lepsze to niż brak mowy. „Niebieski” mogło oznaczać właśnie kolor, ale równie dobrze coś zupełnie innego. Na przykład: „Co było napisane w raporcie lekarza sądowego?”.

Sara wyrzuciła kubeczek do kosza przy umywalce i powoli wróciła do okna. Fredrik śledził ją wzrokiem mniej więcej do połowy drogi, ale potem stracił z oczu.

Patrzyła na czerwone jak cegła budynki w pobliżu szpitala. Słońce stało nisko na niebie i oblewało uliczki pomiędzy domami złotym światłem.

– W każdym razie potem Göran powiedział, że wieczorem dzień wcześniej Rickard Traneus otrzymał pogróżki. Było to jakoś powiązane z zabójstwami.

– Zadzwoiła do mnie Elin Traneus, ale groźba była skierowana do jej brata. Dzwoniono na jego telefon domowy i to on odebrał.

– Czy mógł za tym stać Rune Traneus? Nie byłoby to zbyt wielkie zaskoczenie, jeśli pomyślimy o tym, co się działo wczoraj przed domem – rzekł Fredrik.

– Czy głos brzmiał, jakby to był starszy człowiek? Mówiła coś na ten temat? – zapytał Gustav.

Göran Eide cierpliwie czekał na zakończenie pytań, pocierając oczy.

– Siostra zeznała, że Rickard uznał rozmówcę za kogoś w swoim wieku.

– Czyli mamy na głowie jeszcze jednego idiotę – stwierdził Lennart.

– Musimy obserwować tę sprawę – przerwał Peter Klint. – Jeśli będzie wyglądała na poważną, załatwimy ochronę. Rozsądnie chyba będzie założyć, że z groźbami dzwonił jakiś krewny ofiar, najprawdopodobniej Andersa Traneusa.

– Tak – zgodził się Göran. – Musimy zdobyć dane również z telefonu Rickarda Traneusa i trzymać kciuki, by się nie okazało, że ten „idiota” używał telefonu na kartę. To chyba wszystko – zakończył, wstając. – Wszyscy wiedzą, co mają robić? Fredrik i Gustav, zajmijcie się byłą Andersa Traneusa i ojcem, a jeśli nie usłyszycie niczego nowego, przejdźcie do dzieci. Saro, ty przesłuchaj Rickarda Traneusa. Sprawdź tę groźbę. Ove, ty przyjrzyj się najbliższym znajomym Kristiny. Gdy w grę wchodzi zdrada małżeńska, zwykle wie o niej przynajmniej jedna przyjaciółka. Ja przesłucham Elin Traneus i zobaczę, co da się wydobyć ze zleceniodawcy Arvida Traneusa w Japonii. Firma jest częściowo szwedzka, więc porozumienie się z nimi nie powinno być kompletnie niemożliwe.

– Jeszcze jedno – dodała Eva, gdy wszyscy już zaczęli się podnosić. – Znalazłam pamiętniki Kristiny Traneus. Nie wiem, jak bardzo nam się przydadzą, ale w każdym razie są u mnie. To dwanaście gęsto zapisanych zeszytów, dość trudnych do odczytania. Nie zdążę się przez nie przedrzeć, ale może dacie radę je podzielić między siebie.

Nikt nie zareagował spontanicznym entuzjazmem.

Nie spodziewali się, że Inger Traneus będzie w pracy, ale właśnie tam ją zastali. Dali jej wybór, czy chce zostać przesłuchana na miejscu, czy w budynku komisariatu. Wybrała komisariat. Zaproponowali, że po nią przyjadą, ale odpowiedziała, że może przyjść piechotą. Od Bramy Południowej nie było daleko.

Kiedy Fredrik spotkał się z Inger w recepcji na dole, pomyślał, że przypomina siebie z poprzedniego dnia. Miała ten sam ton głosu, taką samą mimikę i postawę. Śmierć byłego męża najwyraźniej jej nie odmieniła. Przynajmniej na powierzchni.

Pokoje przesłuchań na parterze były zajęte, więc zabrał ją do sali wideo na wydziale kryminalnym.

– Korzystamy z nich, kiedy musimy przesłuchiwać dzieci – powiedział Gustav, wskazując pluszowe misie ustawione na małej półce przytwierdzonej do ściany.

Inger Traneus uśmiechnęła się krótko i usiadła na krześle, które wysunął dla niej Fredrik. Poprawiła ciasną kitkę i przeciągnęła dwoma palcami po czole, u nasady włosów. Fredrik i Gustav również usiedli.

– Jak po rozwodzie wyglądała pani relacja z Andersem? – zaczął Fredrik.

– Dobrze – odparła z ociąganiem i szybko dodała: – Ostatnio było w porządku. Rozwidliśmy się pięć lat temu.

– Czy wtedy, przed pięcioma laty, było inaczej?

Spojrzała na Fredrika z udręczoną miną i wyraźnie chciała coś powiedzieć, może poprosić, by przestali mówić na ten temat, ale potem się rozmyśliła, jakby zdała sobie sprawę, że to nie podlega negocjacom. Znów zacerpnęła tchu.

– To ja go zostawiłam – oznajmiła trzeźwo. – Mieliśmy problemy małżeńskie, jak to się zwykle podsumowuje, ale myśl, że mogłabym go zostawić, przyszła mi do głowy tuż przed tym, jak rzeczywiście to zrobiłam. Kiedy dotarło do mnie, że nigdy tak naprawdę mnie nie kochał, było to łatwe. A właściwie okropne, ale łatwo mi przyszło podjęcie decyzji i wyprawka. Ponad dwadzieścia lat. Połowa dorosłego życia z człowiekiem, który mnie nie kochał. To przecież katastrofa. – Pokręciła głową. – To właśnie próbowałam wczoraj powiedzieć, choć pewnie trochę nieskładnie.

Wciągnęła powietrze nosem i cicho westchnęła. Fredrik czekał w milczeniu, próbował się skoncentrować na Inger i nie myśleć o sobie. Jej słowa wywróciły w nim wszystkie wnętrzności na drugą stronę. Potrafił sobie wyobrazić, jak otwiera się pod nią przepaść, a dwadzieścia lat nagle zaczyna

się wydawać pozbawione sensu, ale też dlatego, że dostrzegł tragizm w wymogu tak absolutnej bliskości, wręcz stopienia się z drugim człowiekiem. Czy istniał ktoś, kto tego uniknął? Kto prędzej czy później nie stanął przed taką przepaścią i nie uświadomił sobie, że większość jego życia minęła i nie ma zbyt wiele czasu na kolejne próby?

– Anders mnie lubił. Nie chodzi o to, że się mną nie interesował czy źle mnie traktował, po prostu był zajęty czym innym – powiedziała Inger.

– Sugeruje pani, że był niewierny? – spytał Fredrik i poczuł się bezradny. Inger ponownie pokręciła głową.

– Nie. Jestem pewna, że mnie nie zdradzał. Na tyle pewna, na ile to możliwe – dodała i zrobiła pauzę. Przeczesała prawą dłonią włosy. – Niektórzy ludzie nie potrafią otworzyć nowego rozdziału – ciągnęła. – Nie są do tego zdolni. Tkwią w przeszłości.

– Czy jakieś konkretne wydarzenie sprawiło, że zaczęła pani dostrzegać, że był, jak to pani ujęła, zajęty? – spytał Fredrik.

– Tak, można tak powiedzieć. Zrozumiałam to dzięki Runemu. Nie było to chyba jego zamiarem, po prostu coś takiego powiedział. Trochę bezmyślnie, rzecz jasna, ale Rune czasem taki bywa: bardziej szczery, niż nakazywałby rozsądek, choć sam nie zdaje sobie z tego sprawy. Było Boże Narodzenie. Od jakiegoś czasu mieliśmy trudności. Niekiedy tak się zdarzało, ale tym razem trwało to dłużej. Zapytałam Runego wprost, co sądzi. O nim. Dlaczego Anders jest tak daleko. Jedliśmy kolację u nas w domu. To chyba było w drugi dzień świąt. Rune i ja zostaliśmy dłużej przy stole. Najpierw pokiwał głową, jakby nie było to dla niego żadnym zaskoczeniem, a potem zaczął rozważania. Mówił, że Anders zawsze był refleksyjnym typem i że...

Inger przerwała i spojrzała sztywno na Fredrika.

– Przepraszam. Nie wiem, dlaczego opowiadam te wszystkie szczegóły. Nie najlepiej się czuję. Pewnie rozumiecie? Podejrzewam, że nie chcecie słuchać takich rzeczy.

Fredrik pomyślał, że to prawda – chodziło im raczej o coś innego. Choć nie sposób przewidzieć, która droga doprowadzi do tego, co chce się usłyszeć.

– Proszę opowiedzieć w taki sposób, jaki pani najbardziej odpowiada – odparł.

– W porządku – odpowiedziała Inger i z powrotem złożyła ręce. – „Chyba nigdy się nie pogodził z utratą Kristiny”. Tak powiedział Rune.

„Chyba nigdy się nie pogodził z utratą Kristiny”. Tak mówi do mnie, kobiety, która przez dwadzieścia lat była żoną jego syna. Nie rozumiem, co on sobie myślał. Może właśnie nie myślał. Był też trochę pijany i jakby zatopiony we własnym świecie, obracał na wszystkie strony to, co widział. Te słowa po prostu mu się wypsnęły, jakby mimochodem. Idiota! Ale Rune zawsze był ociążały. Anders przeciwnie, akurat tego po nim nie odziedziczył. Może i był idiotą, ale nie ociążałym.

– Chce pani powiedzieć, że Anders miał romans z Kristiną Traneus?

– Owszem – odparła i wzięła głęboki wdech. – Ale to było ponad trzydzieści lat temu.

– Dawno – powiedział Fredrik.

– Tak jest, bardzo dawno – powtórzyła Inger, a z jej wyrazu twarzy można było wyczytać, że dla niej minęły całe wieki.

– Co pani wie na temat ich związku?

– Niewiele – odparła, tym razem spokojniej. – W zasadzie nic. Byli ze sobą przez jakiś czas, zanim poznała Arvida.

– Ale, jeśli dobrze panią zrozumiałem, Anders nigdy się nie pogodził z jej utratą?

– To prawda.

– Czyli kuzyni byli rywalami?

– Rywalami... Sama nie wiem. To brzmi tak poważnie. Anders chciał ją mieć, Arvid dostał. Pewnie to czyni ich rywalami, ale czy ktoś powiedział to wprost... Nie utrzymywali kontaktów.

– Z powodu Kristiny? – zapytał Fredrik.

– Między innymi. Proszę zapytać Runego.

– Ale były inne powody? Oprócz Kristiny? – zapytał Fredrik.

– Tak, ale ja nic na ten temat nie wiem. Proszę zapytać Runego. Może trzeba będzie to z niego wyciągać. W tej rodzinie są sprawy, o których ci ludzie nie rozmawiają. Ale on wie.

Fredrik postanowił odpuścić ten wątek i wrócić do niego po rozmowie z Runem, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– Czyli kiedy postanowiła pani odejść od Andersa, nic się nie wydarzyło? To znaczy... nic konkretnego, poza...

– Zgadza się – odparła Inger. – W tym sensie nic się nie wydarzyło.

Najwyraźniej miała zwyczaj odpowiadać, zanim pytający skończy mówić.

– Poza komentarzem Runego?

– Oczywiście nie chodziło tylko o to. Rozmawiałam z Andersem, rzuciłam mu tym w twarz, jak tylko pozostali sobie poszli. I wtedy po raz pierwszy powiedział prawdę. Przecież wiedziałam o Kristinie, nawet kilka razy go pytałam, ale mnie zbywał. Wtedy powiedział, jak było. Choć w sumie też niekonkretnie, ale przynajmniej zaczął mówić na ten temat. A to, co powiedział, wystarczyło, by poskładać sobie wszystko w całość. Po czymś takim można było zrobić tylko jedno: odejść. Dzieci były przecież dorosłe i wyprowadziły się z domu, więc w sensie czysto praktycznym nie miałam problemu. Ale po dwudziestu latach to trudna, bardzo trudna kwestia. Byłam wściekła, smutna i...

Przerwała w pół zdania i spojrzała najpierw na Fredrika, a potem na Gustava.

– Tak czy owak, chyba o to pytaliście?

– Myślę, że tak – odparł Fredrik. – Zdaję sobie sprawę, że to dla pani trudne, ale mam jeszcze jedno pytanie.

Inger lekko kiwnęła głową.

– Wie pani, czy po rozwodzie Anders odnowił kontakt z Kristiną?

– Wydaje się, że tak. W końcu w chwili śmierci byli razem. Ale nie wiem nic konkretnego. Rozumiem, że mężczyźni lgną do Kristiny. To taki typ. Nie potrafię jednak zrozumieć, jak można na pół życia uczepić się wspomnienia o niej. Nie była tego warta. Może nikt nie jest, ale ona z całą pewnością.

Zrobiła krótką pauzę, a potem wyraźnie i zdecydowanie oświadczyła:

– Kristina nie była dobrym człowiekiem. Nie zasługiwała na jego tęsknotę.

– Wygląda na to, że Anders Traneus w końcu dostał, co chciał – stwierdził Gustav, gdy Fredrik wrócił po odprowadzeniu Inger Traneus do drzwi.

– Wytrwałość popłaca – odparł Fredrik.

Przez chwilę stał w drzwiach gabinetu kolegi. Gustav również milczał. Cyniczne uwagi nie miały żadnej mocy, tylko po wypowiedzeniu ich czuli się zbrukani.

– Cóż można powiedzieć – odezwał się Fredrik.

– No właśnie... cóż można powiedzieć.

Fredrik oparł się ramieniem o futrynę drzwi. Każda próba podsumowania sprawy czy wygłoszenia jakiegoś komentarza okazywała się nieudana. On zaś przez cały czas widział w wyobraźni ową przepaść. Głęboką, ciemną, niemożliwą do sforsowania.

– Co wobec tego robimy? – spytał Gustav. – Bierzemy się za ojca?

– Tak, pojedę tam i zobaczę, jak on się trzyma. Jeśli wszystko z nim w porządku, przywieziemy go tutaj. U niego jest za duży chaos – dzieci, wnuki i tak dalej.

Elin wzięła do ręki cienką papierową torbę i zaniósła ją do zlewu.

– Nadal robisz zakupy tylko w sieci Ica? – zapytała, kiedy już zdjął buty i wszedł do kuchni?

– Co?

– Ica! Nadal robisz zakupy tylko tam?

– Jak to nadal? – odparł Ricky, poprawiając bluzę, która u dołu wywinęła się na lewą stronę.

– Wiesz, o co mi chodzi. Tata zawsze ostrzegał przed złodziejami z Konsumu.

– Zdarza się, że kupuję w Konsumie. Szczególnie latem. Są tam znacznie krótsze kolejki – wyjaśnił Ricky i wziął do ręki kolorowe gazety, które leżały w torbie na samej górze.

– Na pewno – odparła Elin i zaczęła wypakowywać artykuły spożywcze.

Torba była wypełniona jak należy – mleko na spodzie, a z wierzchu warzywa.

– Nadal nie rozumiem, czy chodziło mu o to, że złodzieje robią tam zakupy, czy że Konsum to banda komuchów, którzy kradną prywatnym handlarzom udziały w rynku.

Ricky trzymał przed sobą dwie gazety i przyglądał się pierwszym stronom.

– Od kiedy jesteś taka lewicowa? – spytał, już niezbyt zaangażowany w dyskusję.

– Ricky, tu nie chodzi o politykę. Po prostu chciałabym pójść kupić litr mleka bez taty patrzącego mi przez ramię.

Ricky odwrócił gazety, żeby Elin mogła przeczytać.

DRAMATYCZNE ZABÓJSTWO NA GOTLANDII
MULTIMILIONER ŚCIGANY PRZEZ POLICJĘ
PODWÓJNE ZABÓJSTWO BYŁO TRAGICZNĄ HISTORIĄ MIŁO-
SNEGO TRÓJKĄTA?
LEŻELI MARTWI, TRZYMAJĄC SIĘ W RAMIONACH

– Hemse to nie metropolia. Nie miałem czasu się zastanowić, który sklep wybrać.

Elin odebrała mu „Expressen” i zaczęła szybko przerzucać strony z informacjami na temat zabójstwa ich matki i jej potencjalnego kochanka.

– Nie mogę tego czytać – powiedziała.

Rzuciła gazetę na stół i objęła się ramionami, na ile to było możliwe. Było jej zimno i miała poczucie nierealności.

– Dziwne, że jeszcze się nie wzięli za nas – stwierdził Ricky z nosem w „Aftonbladet”.

– Wczoraj po tym wszystkim wyciągnęliśmy z gniazdka wtyczkę telefonu...

– No tak, racja.

Elin przeszła z kuchni do sypialni i zaczęła grzebać w ubraniach Ricky’ego.

– Mogę pożyczyć od ciebie bluzę? – krzyknęła.

Włożyła czarny polar, stanowczo za duży.

– Jasne. Ale mogłabyś przestać tak biegać?

– Zimno mi.

– Rozumiem. Ale może usiądź. Albo przynajmniej stań w miejscu.

Elin wróciła do kuchni i usiadła na krześle, krzyżując ramiona.

– Jak było w Hemse?

– Dziwnie. Jak cholera. Najpierw nagłówki gazet, a potem... Możesz sobie wyobrazić. Ludzie podchodzili. A reszta się gapiła. Nie mogłem w spokoju dokończyć zakupów. Chciałem po prostu zostawić wózek i uciec.

– Słuchaj, ja...

Urwała i wyjrzała przez okno, słysząc zwalniający samochód. Czerwone kombi z logo TV4 na drzwiach powoli podjeżdżało do furtki, a kierowca przyciskał nos do bocznej szyby.

– Dziennikarze – powiedziała i skinęła głową w kierunku okna.

– Naprawdę?

Ricky się odwrócił i wyjrzał.

– Tak, naprawdę. Z telewizji. Nie wierzę, że coś takiego mnie spotyka. To jest jak film.

– Co robimy? – spytał Ricky, odsuwając się od okna.

– Nic – odparła Elin. – Nie otwieramy. Nie chcę z nikim rozmawiać. Nie mam siły.

Ricky omiół otoczenie wzrokiem, a potem wybiegł do przedpokoju i zaryglował drzwi.

– Pójdziemy na górę – poinformował. – Tam nie będą nas widzieli.

Wbiegli po schodach i zakradli się do pracowni.

– Tutaj będzie dobrze – powiedział Ricky.

Usiedli na łóżku dla gości. Elin w rogu, a Ricky pośrodku.

Ciszę w domu przeszył dźwięk dzwonka.

Spojrzeli na siebie z niepokojem. Dzwonek rozbrzmiał znowu. Po kolejnej chwili rozległo się kilka zdecydowanych stuknięć o szybę w drzwiach. Ricky wyciągnął rękę i popchnął drzwi. Siedzieli w milczeniu, wpatrzeni w przeciwległą ścianę, i nasłuchiwali. Ktoś coś mówił, ale nie dało się stwierdzić, czy słowa są skierowane do nich, czy też za drzwiami stoją dwie osoby i rozmawiają ze sobą.

– Dzwoniłam do Åhlbergs – oznajmiła Elin.

– Åhlbergs... Chodzi ci o to przedsiębiorstwo pogrzebowe?

– Tak.

– Aha.

– Zadzwoiłam, kiedy byłeś na zakupach.

– Czy to oni zabrali mamę do... no... tam, gdzie ją zabrali?

– Nie. Transportami zajmuje się firma z Kräklingbo. Tak czy inaczej, uważam, że musimy się dowiedzieć, co jest grane.

- Pracują w soboty?
- Diabli wiedzą. Dzwoniłam do domu.
- Spokojnie.
- Po prostu tak cholernie głupio pytasz.

Elin westchnęła i mówiła dalej:

– Powiedzieli, że to pewnie trochę potrwa, zanim będziemy mogli pocho-
wać mamę, ponieważ na żądanie policji zabrali ją do Sztokholmu, żeby
przeprowadzić sekcję zwłok.

- Musisz to mówić?
- Co takiego? Sekcja zwłok? A jak mam mówić?

Ricky nie odpowiedział.

– Obiecali, że się tym zajmą. Kiedy skończą, dopilnują sprawy, żebyśmy
nie musieli o niej myśleć.

- Okej – odparł Ricky zduszonym głosem.

Znów siedzieli w milczeniu. Zadzwoił dzwonek do drzwi.

Ile mógł mieć wtedy lat? Dziesięć?

Równie dobrze osiem albo jedenaście. Czas w zwyczajnym znaczeniu nie istniał, gdy czterdziestoczworostopowa łódź odbiła od mariny w Klinte z postawionym żaglem, a wkrótce pewnie i spinakerem, który na tle modrego nieba napęczniał jak ogromna kolorowa piłka plażowa.

Ricky stał na dziobie, trzymając się relingu wystającego za kadłub, i wyglądał jak galion na dziobie: ryczący lew, pirat, tajemniczy baśniowy bohater. Było tysiąc możliwych zabaw: mógł udawać, że statek uległ katastrofie, że walczą z piratami albo są prześladowani przez strasznego potwora z głębin, jednak wszystkie one miały jeden wspólny punkt: ratunkiem była wyspa.

Ciepły wiatr otulał jego, mamę i tatę, Stefanię i Elin.

Letnie żeglowanie bywało krótkie lub długie, pływali do Finlandii, na Wyspy Alandzkie lub sztokholmskie szkiery, a czasem aż do Danii czy na Zachodnie Wybrzeże. Zawsze jednak zaczynało się w taki sam sposób: okążeniem Gotlandii w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara i nocowaniem na wyspie. Czasem wyprawa zaczynała się tak, że wieczorem w jej przededniu tata wyciągał mapę morską. Ricky musiał wskazać wysepkę, leżącą samotnie na wschód od wielkiej Gotlandii. Była zaledwie plamką na mapie. Plamką z małym przylądkiem, wysuniętym na południe jak wyrostek robaczkowy.

Zawsze mówili na nią po prostu „wyspa”, choć oczywiście miała jakąś nazwę. Brzmiało bardziej tajemniczo. To była ich własna wyspa. Odkąd Stefania była mała. Łódź też była wtedy znacznie mniejsza, a wycieczki najczęściej nie dalsze niż na wyspę.

Pierwsze godziny zawsze wyglądały tak samo. Tata za sterem. Mama i Stefania prostujące nogi w kokpicie, wygrzewające się w bikini. Elin z książką, najpierw na materacu na pokładzie, a potem, gdy miała już dosyć słońca – w kajucie, chyba że były zbyt wysokie fale, bo wtedy na dole dostawało się choroby morskiej.

On biegał tu i tam, pomagając tacie z rzeczami, których tak naprawdę nie potrafił, ale tata go wspierał, udając, że Ricky sam wszystko robi. Sadzał go

na krzeselku bosmańskim na maszcie albo pozwalał surfować za łódką na dużym czarnym wężu zrobionym z opony ciężarówki. Czasem uczestniczyła w tym także Elin.

Pierwszy dzień zawsze był najlepszy. I wyspa. Wyspa po prostu była numerem jeden, nie tylko dlatego, że poznał ją jako pierwszą. To był inny świat. Duża powierzchnia, na której nie było nic oprócz kilku owiec, prastarych ruin i latarni przy małym nabrzeżu. Zwykle cumowali Przygodę dziobem do nabrzeża. Elin i Ricky pierwsi zeskakiwali na ląd, biegli prosto do latarni i szarpali zardzewiałe żeliwne drzwi. Zawsze ten sam rytuał, zawsze z takim samym skutkiem. Potem piętnaście sekund szukali klucza w szczelinach wapiennego muru przy fundamentach i ruszali na przeciwny kraniec wyspy. Prawie całą drogę pokonywali biegiem, a mama pędziła za nimi i krzyczała, że mają zaczekać. Czasem włączała się Stefania: „Zaczekajcie, nie słuchacie, co mówi mama”. W kłapkach potykali się i podrygiwali, biegnąc w stronę gorącej, białej jak kreda piaszczystej plaży i wielkiej, ciemnej wapiennej groty, do której można było dotrzeć tylko wplaw.

Kiedy odbiegali kawałek od morza, na wyspie robiło się ciszej. Sucha, wysoka trawa szeleściła pod ich stopami, wokół krążyły owady, a z oddali czasem dobiegało beczenie owiec pasących się w ruinach dawnego mieszkania latarnika. Kiedy słońce stało najwyżej, tylko tam był cień. Tam i w grocie. Ale do groty owce oczywiście nie mogły się dostać.

Słońce przypiekało. Było gorąco. Maszerując, mijali gęsty zagajnik smaganych wiatrem krzewów jałowca i karłowatych brzoź, w których szalały czerwone mrówki, a potem najszybciej jak potrafili wbiegali po wzniesieniu, starając się nie stawać na kredowobiałych szkieletach ptaków, które lśniły w wygryzionej trawie wraz z białymi kwiatkami, nie większymi niż główki od szpilek.

– Umieram, wody, wody, umieram – jęczeli jedno przez drugie niczym usychający z pragnienia beduini, zawsze w tym samym miejscu, już po wdrapaniu się na wzniesienie ponad kamienistą plażą. Opadali na trawę i dysząc, leżeli z wyprostowanymi rękami i nogami. Ale niedługo, nigdy nie na tyle, by Stefania zdążyła ich dogonić. Nie była tak szybka jak oni. Przybiegała truchtem w tym samym tempie co mama i tata. Przynajmniej tak ją zapamiętał – jako pozostającą trochę z tyłu. Ale przecież była od niego o pięć lat starsza. Pewnie nie chciała zbyt często się zadawać z rozdokazywanymi smarkaczami.

Znów stanęli na nogi, zobaczyli trzy postaci zbliżające się powoli i prawie zamaskowane przez trawę w swoich jasnych letnich ubraniach. Dla nich on i Elin musieli być dwiema sylwetkami na wzniesieniu. Zaczęli schodzić po stromej, strzępiastej powierzchni klifu. Usłyszeli za sobą wypowiedziane słabym głosem słowo „ostrożnie”.

Zeszli na gorącą, oślepiającą plażę i chwiejąc się na białych kamieniach, patrzyli na bezkresne morze. Zrzucili ubrania, wskoczyli do wody, była ciepła, a chwilami zimna, ale i tak rzucali się, krzycząc, i płynęli do groty. Do ciemnej, chłodnej groty, w której rozbrzmiewało magiczne echo chlupotania wody o kamienne ściany, a po sklepieniu tańczyły słoneczne refleksy. Włosy Elin kleiły się do głowy, a jej twarz pokrywała warstwa wody. Serce szalało w piersi, wzburzona kipiela łaskotała w szyję. Nieważne, jak zimna byłaby woda, Rocky zawsze był rozgrzany.

Tam byli wieczni. Nie istniał czas. Wszyscy byli wieczni. On, Elin, mama, tata i Stefania.

Ten dzień jest jak chodzenie tyłem po swoich własnych śladach, pomyślał Fredrik, kiedy wjechali przed szeregowce z fasadami w pastelową kratę.

Gdy tylko wysiedli z samochodu, pod numerem czternastym otworzyły się drzwi i Sofia Traneus wyciągnęła granatowy wózek z najmłodszym dzieckiem śpiącym w śpiworze w takim samym odcieniu. Starsza dziewczynka szła za nimi, a na widok Fredrika i Gustava natychmiast chwyciła mamę za rękę.

– Bardzo mi przykro – zaczął Fredrik. – Żałuję, że nie mogliśmy wczoraj przekazać państwu innej wiadomości.

Ktoś musi to usłyszeć, pomyślał. Gdyby w tamtym domu nie leżał martwy Anders Traneus, padłoby na kogoś innego. Tego elementu nie dało się uniknąć.

Sofia Traneus skinęła głową, powoli suwając wózek w przód i w tył.

– Właśnie miałam wyjść z dziećmi – oznajmiła, patrząc na opatulonego malucha. – Czy to długo potrwa?

– Nie, nie, może pani iść. Chcielibyśmy porozmawiać z panem Runem. Jest w domu? – zapytał Fredrik.

– Tak, dziadek został.

– W takim razie wejdziemy – odparł Gustav i spojrzał na Fredrika.

– Tak, myślę, że najlepiej mu zrobi, jeśli nie będzie musiał wychodzić – powiedziała Sofia Traneus.

Odjechała z wózkiem i dopiero kiedy zniknęła za rogiem, Fredrik zwrócił uwagę, że od stóp do głów jest ubrana na czarno. Czy ludzie nadal mieli ten zwyczaj, czy był to jedynie przypadek?

Rune Traneus siedzący naprzeciwko nich po drugiej stronie kuchennego stołu był innym człowiekiem niż ten, którego spotkali dzień wcześniej. Wydawał się spokojny i całkowicie obecny myślami, ale jednocześnie przygnębiony.

– Musimy zadać kilka pytań o przeszłość Andersa – zaczął Gustav. – W takiej sprawie jak ta jest niezwykle ważne, by zyskać jak najbardziej szcze-

głowy obraz relacji rodzinnych. Nawet sięgający daleko wstecz. A pan jest chyba najlepszą osobą, która może nam o tym powiedzieć.

– Niewykluczone. Pewnie tak – mruknął Rune Traneus.

Gustav zamierzał jak najmniej kierować rozmową i wykorzystać gniew Runego Traneusa. Nawet jeśli mężczyzna już nie krzyczał, nie wył i nie wymachiwał dziko rękami, złość i nienawiść wobec Arvida Traneusa musiała gdzieś w nim siedzieć. Właśnie do tego źródła zamierzał się dostać, wychodząc z założenia, że może z niego wypłynąć wiele informacji.

– Kiedy wczoraj rano zjawił się pan w gospodarstwie bratanka, wydawał się pewny, że w domu jest Anders. Coś mi mówi, że miał pan tę pewność, jeszcze zanim zobaczył przed domem jego samochód.

Gustav zauważył, że gdy starszy mężczyzna wrócił myślami do miejsca zbrodni, w jego oczach coś zaczęło iskrzyć. Tylko nie zacznij znów bredzić, że Arvid jest diabłem, pomyślał. Najwyraźniej jednak Rune Traneus nie potrafił się powstrzymać.

– Wiem, że wczoraj nie zapanowałem nad sobą, ale mówiłem poważnie. Ten człowiek to diabeł. Arvid Traneus to sam Szatan.

Ostatnie słowa wypowiedział z dodatkową emfazą i można było w nich wyczuć cząstkę żaru z poprzedniego dnia, ale z całą pewnością nie było to niekontrolowane. Mówił bardziej do siebie niż do Gustava i Fredrika, jakby rzucał zaklęcie.

Na razie może być, pomyślał Gustav, ale przydałoby się nieco więcej konkretów.

– Jeśli chodzi o tego człowieka, nie bardzo wiem, od czego zacząć – powiedział Rune, skrecając jedną ze swoich krzaczastych brwi.

– Może od Andersa. Jakie były jego relacje z kuzynem i Kristiną?

– Wiem, że to pana interesuje, ale nie tak łatwo wymyślić, od czego zacząć. Coś przeczuwałem, to na pewno, i dlatego... Cóż, nie da się tego opisać.

Rune Traneus przeciągnął dłonią po ustach i potrząsnął głową. Na twarzy miał plamy wątrobowe wielkości rodzynek, a jego oczy były jakby blade, wodniste. Nagle jego starość zaczęła się wydawać zbyt ciężkim brzmieniem do dźwigania.

– Co można zrobić? Anders to dorosły człowiek – powiedział, wyciągając przed siebie rękę, którą wcześniej zasłaniał usta. – Nie można przecieć... Trudno się mieszać w jego życie.

– Mówił pan, że coś przeczuwał. Co takiego? – spytał Gustav.

– On był taki zajęty, załatwiał swoje sprawy, a kiedy się go pytało, dokąd idzie albo gdzie był, nie odpowiadał konkretnie. Tak samo, kiedy był mały i wymyślał różne głupoty. Rozpoznawałem ten schemat zachowania. Początkowo myślałem, że poznał kogoś nowego po Inger i nie chce o tym rozmawiać. Zrozumiałe zachowanie, jeśli relacja jest jeszcze świeża i niepewna.

Rune zrobił pauzę i zaczął wręcz lekko dyszeć, jakby opowiadanie o tym było dla niego wysiłkiem fizycznym.

– Któregoś dnia był u mnie w domu i miał takie coś w oczach: niepokój, którego dawno u niego nie widziałem. Wtedy, jak grom z jasnego nieba, spadła na mnie myśl: „A co, jeśli to Kristina?”. Te słowa po prostu mi się wyrwały, zanim zdążyłem je zatrzymać. „Mam nadzieję, że nie spotykasz się z Kristiną?”. Dłuższą chwilę siedział w milczeniu, nie patrząc na mnie. „Nie”, odpowiedział w końcu. Nic więcej, tylko „nie”. Wtedy już miałem całkowitą pewność, choć wcale nie potwierdził.

– I nigdy nie powiedział tego wprost? – zapytał Gustav.

– Nie. Gdyby to zrobił, poinformowałbym go, co o tym sędzę, mimo że był dorosły i niemłody. Ale zapytałem go i odpowiedział przecząco. Więc co mogłem zrobić?

Mężczyzna znów cicho sapnął.

– Wiedziałem, że to się źle skończy w taki czy inny sposób, ale że aż tak...

Patrzył na Gustava i Fredrika, a w jego dużych oczach było widać zagubienie. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, Gustav poczuł, że coś go mrozi od środka. W spojrzeniu mężczyzny było błaganie, któremu nie potrafił sprostać. Mógł tylko zrobić, co w jego mocy, by rozwiązać sprawę, ale wiedział, że to nie sprawi wielkiej różnicy. Przynajmniej Runemu Traneusowi.

– Pewnie i tak panowie tego nie rozumieją. Anders miał brata, który zmarł prawie trzydzieści lat temu. Na terenie gospodarstwa. Popołudniami dorabiał, pracując dla mojego brata. Mówili, że to był wypadek. Podczas jazdy konnej. Odpowiedzialność jednak ponosił mój brat. Nie sadza się nieodświadczonego szesnastolatka na koniu, który... Mówi się, że mój brat miał dobrą rękę do koni, ale to nieprawda. Nasz ojciec był dobrym hodowcą. On miał podejście do zwierząt, zwłaszcza koni, ale mój brat nie. Jego zwierzęta były niespokojne i płochliwe. Mój syn przyplącił życiem jego zaniedbanie.

Rune Traneus zacisnął prawą dłoń, a lewą przyłożył do brzucha.

– Mój brat i jego dzieci zabrali nam wszystko. Nie wystarczyli Johan i Kristina, musieli wziąć także Andersa. A teraz Arvid zniknął. Pytanie, czy kiedykolwiek go znajdziemy. To diabeł, w dodatku sprytny.

– Kristina? Co pan ma na myśli, mówiąc, że zabrali wam Kristinę? – spytał Gustav, nie zdradzając, że krótko przedtem rozmawiali na ten sam temat z Inger Traneus.

– Kristina – prychnął Rune. – Jakby Arvid musiał to zrobić. Wiedział przecież, ile ona znaczyła dla Andersa. Ale powiem to...

Wymierzył w Gustava wykrzywiony palec wskazujący.

– Gdyby Arvid się z nią nie ożenił, byłoby zupełnie inaczej, Anders mógłby to puścić w niepamięć, jestem pewny. Ale musiał zrobić jeszcze i to. Można się zastanawiać dlaczego. Dlaczego w ogóle chciał się ożenić. Traktował kobiety tak samo, jak jego ojciec traktował konie. Po co facet tego pokroju bierze ślub?

Pytanie nie było retoryczne. Rune patrzył na Gustava, jakby oczekiwał odpowiedzi. Jego słowa zawisły w powietrzu.

– Może pan opowiedzieć, co się stało? – zapytał Gustav.

Rune Traneus wyglądał na udęzonego. Nie chciał już kontynuować tej rozmowy.

– Tak, w zasadzie mogę – odpowiedział.

– Bądź ostrożny – wyszeptala przez włosy, które opadły jej na twarz.

Jej słowa miały dwa znaczenia. Dosłowne, ale były też sugestią, że działa inna siła, alternatywa do bycia ostrożnym, która jednocześnie kusiła i przerażała – właśnie z tą siłą igrała, upodabniając nieco swój szept do dyszenia.

Arvid nie był ostrożny. Obrócił ją i położył na przewróconej na bok sofie, plecami do góry. Czuć było piwnicę i pleśń, a materiał kanapy był mokry i czuła to przez cienką sukienkę, którą wciąż miała na sobie, choć rozpiętą i podwiniętą.

Wszedł w nią od tyłu, zdecydowanie i zaskakująco nagle. Mocno chwycił ją za włosy – nie na tyle, by ją zabolalo, ale wystarczająco, by poczuła i nie miała wątpliwości, kto przejął kontrolę. Skłonił ją do wygięcia pleców w tył, zacisnął wielką, ciepłą dłoń na jej prawej piersi, drugą puścił włosy i wsunął ją między jej nogi. W dalszym ciągu pieprzył ją od tyłu długimi, wymagającymi pchnięciami. Przez ciało kobiety przetaczały się fale gorąca. Jej skóra była jak pole elektryczne i niezależnie od tego, gdzie jej dotykał, czuła się tak, jakby zaraz miała dojść. Nigdy przedtem nie doświadczyła czegoś podobnego. Było tak, jakby Arvid na nowo pozbawił ją dziewictwa, w tej piwnicy na dole, w głębi pomieszczenia pełnego mebli i starych gratów.

Czuła wilgoć, ziemię i zatęchłe piwniczne powietrze, huśtała się i objiała o szorstki materiał sofy. Pod bosymi stopami czuła kurz i drobne kamyki, czuła, jak wsuwa się w nią jego kutas, a ciało objija się o pośladki pod uniesioną do góry sukienką. Prawą dłonią ścisnęła oparcie sofy, chciała właściwie go chwycić, ale musiał jej wystarczyć mebel. Czuła, że musi się mocno trzymać.

Arvid nie znał granic, był niebezpieczny jak nikt inny, z kim miała do czynienia. Silny. Niczym się nie przejmował. Miał odwagę. Od razu było wiadomo, czego chce, i nie bał się tego okazywać. Miał odwagę pieprzyć ją w piwnicy, podczas gdy w ogrodzie na całego trwała impreza i w każdej chwili ktoś mógł zacząć ich szukać albo zejść tu po zimne piwo czy cokolwiek.

Włoski na jej rękach stanęły dęba. Miała gęsią skórkę na całym ciele. Sutek sterczał w jego zaciśniętej dłoni. To było tak silne, że aż ją przerażało. Zaczęła się zastanawiać, czy takie uczucia są normalne, czy coś jest nie w porządku. Czy w jej ciele wybuchło jakieś szaleństwo? A może umierała? Czowała się tak, jakby jednocześnie opuszczano ją do wanny z wodą, której temperatura graniczy z ukropem, i jakby frunęła, a raczej unosiła się w chłodzącym nocnym powietrzu, wysoko nad czubkami drzew, gdzieś pośród gwiazd.

Kiedy doszła, było tak jak nigdy przedtem. Bez jakiegokolwiek kontroli upadła na kanapę. Arvid w dalszym ciągu wykonywał w niej ruchy, ale prawie nie zwracała na to uwagi, a jedynie czuła, że jej ciało kołysze się tam i z powrotem, aż nagle mocniej ścisnął ją za biodra i też doszedł.

Odwróciła głowę w bok i spojrzała na brudne okna piwnicy. Pośród zieleni ogrodu rozpoznała nogawkę wolno przechodzącego Andersa. Zamknęła oczy, zawstydzona, skrępowana, z poczuciem, że została użyta jak przedmiot. I chciała jeszcze. Nie mogła nic na to poradzić. Anders, z którym tu przyszła... Przez chwilę się zastanawiała, dlaczego on chce ją zabrać na imprezę u wuja, ale uznała, że czemu by nie.

Przyszła tu ze swoim chłopakiem – wspaniałym, pięknym, troskliwym Andersem. To było idealne zakochanie – rozmarzone, romantyczne, a Anders był opiekuńczy i czuły.

Teraz zaś leżała półnago na cuchnącej sofie w piwnicy, z kuzynem Andersa. Wyruchana. Wzięta w taki sposób, jakiego nie potrafiłaby nawet sobie wymarzyć. Jak do tego doszło? Nie wiedziała. Potrafiła zrozumieć ruchanie, to był ten prosty element. Ostatni. Ale jak przeszła od Andersa w ogrodzie do syfiastego pomieszczenia w piwnicy? Nie wiedziała. Nie miała cholernego pojęcia.

Ale chciała jeszcze. To jedno wiedziała.

Na chromowanych okrągłych stojakach na ubrania roiło się od wieszaków. Tkwiły tak gęsto jeden przy drugim, że prawie się nie dało wyciągnąć ubrań. Elin już wcześniej wybrała skarpetki i bieliznę. Potem wzięła trzy koszulki: białą, czarną i limonkową. Tę ostatnią dlatego, że jakiś idiotyczny głos w jej głowie powtarzał: „weź coś kolorowego, weź coś kolorowego”. Dobrała też grubszy bawełniany sweter z długim rękawem, który wyglądał na wełniany. W czarnym kolorze. Nie obchodziło jej, jak się prezentował. Miał tylko się sprawdzić. Odpowiedni rozmiar, odpowiednia funkcja.

H&M na Öster był praktycznie po sąsiedzku z komisariatem. Wyjęła telefon, żeby sprawdzić, która jest godzina. Miała się spotkać z komisarzem dopiero za dwadzieścia minut. Miała dość czasu.

Odłożyła ubrania na ladę przy kasie i wyciągnęła pieniądze z przedniej kieszeni. Ubrania były tanie. Nawet jak na możliwości studentki, która próbowała się utrzymać z pożyczki studenckiej i dorywczych fuch, dumnie nie przyjmując pieniędzy od taty. Gdyby nie to, sprzedałaby torebkę od Prady, której i tak nigdy nie nosiła. Ale nie mogła. To tak nie działało.

Zapłaciła, poszła dalej do sklepu sportowego i kupiła na przecenie bluzę z polaru. Wyglądała prawie tak samo jak ta, którą miała na sobie, tyle że była w jej rozmiarze. Kosztowała sto dziewięćdziesiąt dziewięć koron.

Elin zostawiła samochód Ricky’ego na parkingu przed sklepem spożywczym Coop Forum. Mówiono, że Coop zostanie przeniesiony, a na jego miejscu powstanie galeria. Czy to była prawda? Czy mieszkańcy Visby wreszcie mieli dostąpić zaszczytu posiadania prawdziwej galerii?

Uruchomiła samochód i przejechała po pustych miejscach parkingowych w kierunku wyjazdu.

I ciebie, cholera, nie lubi... Powiesić Boga!

Jezu, kurwa, przecież tekst był kompletnie nieistotny, chciała tylko odtwarzać tę samą muzykę co jej kumple, trochę punkowej nostalgii, kompletnie nic nieznaczącej ani dla niej, ani dla pozostałych ludzi z Vibble, których nawet nie było na świecie, kiedy się ukazała ta piosenka. Dlaczego on wparował jak szaleniec, prawie zniszczył jej odtwarzacz CD i wyrzucił płytę

przez okno? Przecież nawet nie był religijny. A przynajmniej nic takiego nie zauważyła.

Przez kilka tygodni widziała tę płytę błyszczącą na polu, aż rolnik, który dzierżawił ziemię, przejechał po niej pługiem, porwała ją sroka czy co tam się właściwie stało.

Zahamowała, czekając na przerwę w ruchu na drodze, i poczuła się jednocześnie zmęczona i smutna. Jakby serce właśnie wypadło jej z piersi. Co będzie ze wszystkim? Chciała zostać u Ricky'ego do pogrzebu, ale kobieta z zakładu pogrzebowego Åhlbergs powiedziała, że to może potrwać. Jak długo można czekać? Będzie miała zaległości na studiach. Ale gdyby wróciła, czy w ogóle dałaby radę się uczyć?

Mama. Tak rzadko się z nią widywała?

Jak będzie wyglądała trumna? A kwiaty? Kto przyjdzie? Czy będą częstować jedzeniem? Kawą?

Potem pomyślała o gospodarstwie, ziemi i pieniądzach. Wstydziła się, ale nie mogła nic na to poradzić. Co teraz będzie z tym wszystkim? Nawet jeśli tata... to zrobił, wciąż chyba był właścicielem? A spadek po matce? Komukolwiek przypadnie, chyba trzeba się nim zająć. Tata nie będzie mógł tego zrobić, jeśli siedzi w więzieniu albo uciekł do Japonii i już nigdy nie wróci.

Ricky, rzecz jasna. Był jak domowy skrzat. Zawsze przy czymś dłubał i majsterkował. Kosił trawę i pomagał mamie zmieniać opony w samochodzie. Co było śmieszne. Wystarczyło przez pięć sekund rozejrzeć się po jego domu, by zobaczyć, że to nie jego świat. Poza tym było ich stać na wynajęcie fachowców. Co on chciał osiągnąć swoim nadszkakiwaniem?

Myślenie o tym wprawiało ją w ponury nastrój. Naprawdę dobrze by mu zrobiło, gdyby stąd wyjechał. Przydałoby mu się to znacznie bardziej niż jej. Zostawić to gospodarstwo, zostawić Gotlandię i wszystko. To nie był jego świat. Znacznie lepiej miałby gdzie indziej.

No bo co w końcu, do diabła, pomyślała, ruszając, gdy droga wreszcie była wolna. Był od niej tylko o kilka lat starszy. Mógłby się ogarnąć. Nie tylko mógłby, powinien. Teraz to on był facetem w domu.

Chcąc nie chcąc, mimo całego piekła, lekko się uśmiechnęła.

Czwartek, 2 listopada, szpital Karolinska, Solna

W miejscu, w którym między oddziałem psychiatrii a rudobrunatnym, coraz rzadszym listowiem można było dostrzec trasę E4, sznur samochodów jadących na północ posuwał się w dołującą powolnym tempie. Sara cieszyła się, że nie musi siedzieć w jednym z nich.

– Tydzień temu miałam aborcję – oznajmiła, nie odwracając się od okna.

Odniosła wrażenie, że te słowa odbijają się echem od gołych ścian sali szpitala. Nie miała zamiaru nic mówić, naprawdę nie chciała się odezwać do Fredrika. Była równie zdziwiona, że te słowa jej się wymknęły, jak zdziwiony pewnie był on, jeśli w ogóle usłyszał i zrozumiał, co powiedziała.

Zdradziła tę tajemnicę koledze z pracy, nie do końca rozumiejąc, jak to się stało. Chciała opowiadać o śledztwie, o ich wspólnej pracy, wyjaśnić, jak Fredrik znalazł się w obecnej sytuacji. Taki był plan.

Plusem było oczywiście to, że akurat ten kolega nie mógł zdradzić tajemnicy innym.

Po chwili uderzyła ją myśl, że przecież nic o tym nie wie. Akurat teraz nie za bardzo radzi sobie z mówieniem, ale co, jeśli jego stan się poprawi? Jeśli po prostu to powie, jak papuga, w czyjejś obecności? Może nie ma żadnej kontroli nad mową.

Sara poczuła, że zaczyna spadać, że jej wewnątrz staje się coraz bardziej mroczne.

Mam to gdzieś, pomyślała po chwili.

– Śledztwo w sprawie zabójstwa rozpoczęło się w bardzo niesprzyjającym dla mnie okresie. Chciałam przecież... Zamierzałam...

Do diabła, ależ to było trudne. Zakaszłała. Dopiero potem odwróciła się od okna. Fredrik na nią patrzył. Jego wzrok był niespodziewanie przenikliwy i pomyślała, że w oczach Fredrika kryje się pytanie. To nie ułatwiało sprawy.

Fredrik otworzył usta.

– Ojej – powiedział.

Zesztywniała. Czy to był komentarz, czy tylko przypadkowe „ojej”? Milcząc, czekała na więcej, ale Fredrik nic już nie mówił. Pomyślała, że musi kontynuować, i wzięła głęboki wdech.

– Nie chciałam urodzić tego dziecka. Ale nie mogłam wziąć urlopu w środku śledztwa w sprawie morderstwa, w każdym razie bez naprawdę dobrego powodu. A nie paliłam się do rozmowy z Göranem na ten temat. Więc chyba liczyłam na to, że śledztwo się nie przeciągnie, że Arvid Traueus wpadnie przy okazji jakiejś kontroli dokumentów i przyzna się do zabójstwa, żebym mogła zarezerwować termin aborcji, najlepiej na kontynencie, sam rozumiesz. Dlatego nic nie mówiłam Göranowi.

Nie chciała, by ktoś się dowiedział, a na dyskrecję na Gotlandii nie liczyła. Nawet gdyby pielęgniarki dochowały tajemnicy, wystarczy jedna niewłaściwa osoba, która zobaczy ją wchodzącą do szpitala lub wychodzącą z niego w dniu, w którym wzięła wolne w pracy, by zaczęły krążyć plotki.

Podeszła do oddalonego o kilka kroków wysokiego, ergonomicznego fotela dla gości, obitego skóropodobnym materiałem w pomarańczowobrunatnym kolorze.

– Jeśli kiedykolwiek miałabym zająć w ciążę, nie chciałabym, aby to wyglądało w taki sposób. Chyba się trochę wstydę. Tak, na pewno. Nie przez to, że byłam w ciąży. Ani nawet, że nie wiem, kto jest ojcem. Ale w każdym razie wstyd nie jest silny. To wszystko jest tylko śmieszne. Głupie i nieprzemyślane. Nie mam przecież dwudziestu lat.

Ojcem mógł być Kanadyjczyk z Vancouver, którego w wakacje poznała na Sardynii, albo, przynajmniej czysto teoretycznie, Gotlandczyk, co do którego nie była pewna, czy w ogóle jest w nim zakochana. Choć miłość czy niepewność w kwestii ojcostwa nie wpłynęły na jej decyzję. Po prostu nie była zainteresowana posiadaniem dzieci, to wszystko. Kiedy próbowała sobie wyobrazić, jak by to było być matką, przychodziły jej do głowy tylko rzeczy, których już nie mogłaby robić. Podróżować, spotykać się, z kim chce i kiedy chce, pracować, jak jej się podoba, bez wyjaśnienia urywać się z miejsc, w których zaczyna być nudno, no i oczywiście sypiać z obcymi mężczyznami z innych kontynentów, zabezpieczając się tylko sprawdzeniem, kiedy ma niepłodne dni. Zamiast tego czekałoby ją pilnowanie godzin przedszkola, bieganie na spotkania z rodzicami, marnowanie niezbyt pokaźnych dochodów na designerskie dzinsy dla smarkacza, który nigdy nie jest zadowolony i zawsze wie, co dla niego najlepsze.

Wszystkie te argumenty może były kiepskie i egoistyczne, ale właśnie dlatego... Po prostu to do niej nie pasowało. Decyzja nie była trudna.

Opowiedziała to swojemu koledze z pracy, który doznał urazu głowy. Ku swojemu zaskoczeniu poczuła się dzięki temu całkiem dobrze. Co czuł Fre-

drik, nie mogła nawet przypuszczać.

– Dobrze, że mogła pani się tu zjawić – powiedział Göran Eide, siadając naprzeciwko młodej kobiety. Dziewczynka, pomyślał. Była zaledwie dzieckiem.

– Nie ma problemu – odparła. – I tak musiałam pojechać do miasta.

Była blada, ale robiła wrażenie dziwnie energicznej. Siedziała wyprostowana, wpatrując się w niego.

– Jeśli chodzi o telefon, w którego sprawie dzwoniła pani do mnie wczoraj, ten, który wydawał się groźny...

– Nie wydawał się – przerwała mu. – Był groźny. Grożono śmiercią.

– Ale jeśli dobrze zrozumiałem, to pani brat odebrał telefon?

– Tak. Mimo wszystko to były groźby śmierci.

Na białych policzkach kobiety wykwitły dwie różowe plamy.

– W każdym razie – podjął Göran – abonentem, do którego przypisano to połączenie, był Karl-Johan Traneus. Mówi pani coś to nazwisko?

– Tak – odparła. – A przynajmniej wydaje mi się, że wiem, kto to jest. Nazwisko obilo mi się o uszy.

– Więc kto to jest?

– Chyba mówi się „kuzyn w drugiej linii”? Syn kuzyna ojca, Andersa.

Spojrzała pytająco na Görana. Ten skinął głową na znak, że użyła dobrego określenia.

– Nigdy go pani nie spotkała?

– Widziałam go w Hemse i Klinte, ale nigdy go nie spotkałam. Ale wygląda na to, że teraz spotkam. Jedzie tu, żeby nas pozabijać.

Mówiąc to, nie wydawała się ani trochę przestraszona.

– Jak pani myśli, dlaczego dzwonił do pani brata i mu groził? – zapytał Göran.

– To na pewno szaleniec – odparła Elin.

– Coś musiało go uruchomić, nawet jeśli jest, jak pani mówi, szaleńcem.

– No tak, to oczywiste. Jego ojciec został zabity w naszym domu. Myśli, że mordercą był nasz tata, ale ponieważ on jest nieuchwytny, chce zabić nas.

Göran Eide wykonał ostrożny ruch ramionami. Poczuł lekki ból między łopatkami, ale nie chciał, by Elin Traneus to zauważyła. Zdziwił się – taki ból zwykle zaczynał odczuwać dopiero późnym wieczorem, po długich dniach pracy, a nie przed południem.

– Co pani o tym powie?

– O czym?

– Że pani daleki kuzyn Karl-Johan uważa, że sprawcą jest pani ojciec.

– Co o tym sędzę?

Jej głos stał się wyższy. Nagle skuliła się w dużej czarnej bluzie, w której mocno podwinęła rękawy, przyłożyła dłonie do policzków i kilka razy się uderzyła.

– To nie może być prawda, że tu siedzę i rozmawiam na ten temat. Nie mieści mi się to w głowie. Nie mogę po prostu pojechać do domu i się położyć? – zapytała, głośno i piskliwie.

– Jeśli pani chce, możemy przerwać – odparł Göran.

Był wystraszony jej wybuchem, ale również niepewny, czy to początek jakiegoś ataku, czy tylko nastoletnia – no dobrze, aż tak młoda nie była, ale prawie – przesada.

Kobieta przyłożyła palce do policzków i szeroko otworzyła oczy.

– Nie, wszystko w porządku – odpowiedziała po chwili.

– Możemy przejść dalej, do...

– Nie, wszystko w porządku – powtórzyła. – Chcę się tylko zastanowić. Bardzo dziwnie się czuję, kiedy muszę tu być i o tym rozmawiać.

– To zrozumiałe – odparł Göran.

– Czuję się, jakbym została bez rodziców. To znaczy, tak właśnie się stało, ale chodzi mi o oboje.

– Nie bardzo rozumiem.

– No tak. Jestem trochę rozkojarzona. Przyjechałam tu świętować powrót taty, choć nie miałam na to najmniejszej ochoty. Teraz mama nie żyje, a tata jest podejrzany o zabicie jej – wyjaśniła Elin.

– Tak pani uważa? – spytał Göran.

– Chyba raczej wy tak uważacie?

Göran nie odpowiedział.

– A pani? – zapytał po chwili.

– Dziwne, że to tak długo trwało.

Nagle zakryła usta dłonią.

– Boże, przepraszam – wymamrotała spomiędzy palców. – Ale taka jest prawda.

Cofnęła dłoń, przełknęła ślinę i mówiła dalej:

– Rozpoczęłam pięcioletnie wymagające studia w Sztokholmie, żeby jak najdłużej przebywać daleko stąd. No, nie tylko dlatego, ale to był bardzo pozytywny dodatek.

Umilkła, ale nie uciekała wzrokiem. Göran się nie odzywał. Miał trudności ze znalezieniem dobrego sposobu na rozmowę z tą kobietą. Uznał, że najlepsze może być okazanie tego.

– Proszę się mną nie przejmować – dodała kobieta po chwili. – Bardzo dziwnie się czuję, kiedy muszę o tym mówić.

– Jak wyglądała sytuacja między pani rodzicami?

– To było... – zaczęła, a potem długo się zastanawiała. – On ją bił – wyznała w końcu. – Ale już to chyba powiedziałam, w pewnym sensie. Bił ją, a jeśli pan mnie pyta, co sądzę, odpowiem, że według mnie on to zrobił... Zabił ją. Z trudem przechodzi mi to przez gardło, nie wierzyłam, naprawdę się od niego odwróciłam, uważam go za gnoja, ale i tak czuję pewien opór...

Umilkła i mocno zacisnęła powieki, spod których płynęły łzy. Biały, ciasny pokój przesłuchań był pogrążony w zupełnej ciszy. Nietrudno było zrozumieć, że kobieta uważa całą sytuację za nierealną.

– A Anders Traneus i pani mama? Skąd się znali?

– To właśnie niepojęte. Zrozumiałabym, gdyby to był ktokolwiek inny, a w każdym razie inny krewny, tylko nie on. Ledwo znam tych ludzi. Andersa Traneusa i tego, jak on się nazywał... Karla-Johana. Nasza rodzina żyła jak na wyspie, przynajmniej jeśli chodzi o krewnych, zresztą pod innymi względami również. Nie mam pojęcia, co oni tam robili.

Göran Eide nie wiedział, co myśleć. Przesłuchanie stało się skakaniem z tematu na temat. Dostarczało informacji, ale nie konkretów. Elin była praktycznie pewna, że to jej ojciec zabił matkę, ale jej przekonanie opierało się głównie na przecuciu. W ciągu ostatnich lat nie przebywała zbyt długo w towarzystwie rodziny, Arvid Traneus też nie. Jak wiele tak naprawdę wiedziała o sytuacji między rodzicami?

– Mówi pani, że tata bił mamę. Rozumiem, że to trudne, ale czy może pani opowiedzieć o tym coś więcej? Jak się pani o tym dowiedziała?

– Nigdy nie widziałam tego na własne oczy. Zawsze robił to tak, żebyśmy nie widzieli. Ale wcześniej to do mnie dotarło. Poza tym Stefania była

starsza, mądrzejsza, umiała sobie z nim radzić. Potrafiła odwrócić jego uwagę. Jednak nie zawsze mogła być na miejscu.

– W jaki sposób dotarło do pani, że tak wygląda sytuacja? Przypomina pani sobie?

– To się po prostu wiedziało. Słyszeliśmy, że mama płacze, czasem widzieliśmy skutki w postaci siniaków, ale przede wszystkim mama była wtedy kompletnie załamana. Inaczej się poruszała, była innym człowiekiem.

– Jak często widziała pani takie oznaki?

– Wystarczająco często. Ale nie na tyle czy nie w taki sposób, by dało się to przewidywać. Czasami można było się tego spodziewać, ale najczęściej po prostu następował wybuch. Potrafiłam prawie sobie wmówić, że jesteśmy normalną rodziną, przynajmniej jako małe dziecko, ale kiedy człowiek jest starszy i mądrzejszy, jak Stefania, zaczyna rozumieć, że nigdy tak się nie stanie. To będzie zawsze wracało, nigdy nie zrobi się normalnie.

Było tak, jakby cała miejscowość wstrzymała oddech. Nie z przerażenia, lecz pod wpływem lęku, że nawet zbyt głośny oddech może sprawić, że coś się przeoczy. Wyrządzone zło promieniowało, sączyło się, dochodziło z gospodarstwa w Levide jak sygnał i wystarczyło tylko uważnie słuchać, by wkrótce wiedzieć wszystko. To, czego nie napisano w gazecie ani nie podano w telewizji, można było w krótkim czasie wywąchać, usłyszeć czy wypatrzeć.

Kristina Traneus. Martwa obok kuzyna swojego męża. Byli ludzie, którzy wiedzieli, jak to wszystko kiedyś się zaczęło. To było jak baśń.

Arvid Traneus przybył do domu i także wywąchał, usłyszał i wypatrzył, jak sprawy stoją. Chociaż mówiono, że nawet nie musiał. Miał jakby szósty zmysł. Wystarczyło, że wszedł do danego pokoju. Działo, więc ludzie czuli przed nim strach, a w strachu się odsłaniaли – czy tego chcieli, czy nie.

Tak jest. Wielu wiedziało.

Pogoda była ponura, lecz łagodna. Przed szarym domem Svahnów, w centrum Hemse, stały dwie stare kobiety, w dalszym ciągu w lekkich letnich płaszczach. Ich kręcone włosy były ukryte u jednej pod wiśniowym beretem, u drugiej pod białą czapką z włóczki. Ścisnęły torby z zakupami i rozmawiały z ożywieniem.

– Co za okropny koniec.

– Tak, nikomu bym tego nie życzyła. Nawet najgorszemu wrogowi.

– A taka elegancka kobieta była. Pamiętam ją jako młodą dziewczynę. Jeszcze tak niedawno.

– I jaka wyszczekana.

Spojrzały na siebie, rozmyślając o tym, co przed chwilą powiedziały. Kobieta w wiśniowym berecie westchnęła.

– Każdy dźwiga swój krzyż.

Druga kobieta powoli pokiwała głową.

– Dziś ten, a jutro padnie na kogoś innego.

Elin zajęła przed dom, wyłączyła silnik i zaciągnęła hamulec ręczny. Gdy tylko otworzyła drzwi, do jej samochodu podbiegły dwie osoby. Ob-

serwowała czerwony samochód TV4 i w ogóle nie zauważyła białego wypożyczonego volvo, które stało zaparkowane pięćdziesiąt metrów dalej, w cieniu dużego kasztanowca.

Pierwszy odruch nakazywał zamknąć drzwi, zaryglować i siedzieć w środku, ale jedynym efektem tej myśli stały się nerwowe kroki.

Wysiadła, zamknęła drzwi samochodu, włączyła centralny zamek i mocno chwyciła torby z H&M i sklepu sportowego.

Podbiegły do niej – dwie kobiety około pięćdziesiątki, podobne do siebie z wyglądu, o włosach średniej długości, zebranych w kitkę – u jednej ciemnych, a u drugiej jasnych. Zgodnie z obowiązującą w tym roku modą jedna i druga miała na sobie prochowiec. Ta ciemnowłosa trzymała w rękach aparat, który na krótko skierowała w stronę Elin. Blondynka się przedstawiła, wyciągając rękę. Elin powiedziała „dzień dobry”, ale nie wymieniła z nią uścisku dłoni. Nie chciała robić wrażenia niemiłej, jednak postanowiła zachować dystans i dalej szła w stronę domu zdecydowanym krokiem.

– Naprawdę mi przykro – kontynuowała blondynka. – Sama niedawno straciłam mamę, więc wiem, jak musi pani być teraz ciężko. I naprawdę rozumiem, jeśli chce pani przede wszystkim spokoju, ale...

Elin próbowała nie słuchać. Nie spuszczała z oczu drzwi, mając nadzieję, że po drugiej stronie stoi Ricky, gotów pomóc jej wejść. Dziennikarki otoczyły ją z obu stron, ta jasnowłosa nie przestawała mówić, a Elin czuła tuż nad łokciem jej zaciśniętą dłoń. Dokładnie w chwili, gdy kobieta jej dotknęła, coś jakby się w niej obudziło, pękło i zaczęła marzyć, by usiąść i zacząć zupełnie nieskładnie mówić o tym, co się wydarzyło, do kogoś, kto nie chce jej przesłuchiwać i nie jest Rickym, jakkolwiek dobry był ten chłopak. Zrobiło jej się słabo w klatce piersiowej i w kolanach, poczuła się tak straszliwie samotna.

Jednak ani przez sekundę nie brała pod uwagę, że tą osobą mogłaby być biegnąca obok blondynka. Ona tylko rozpalila w niej tęsknotę. Dziennikarka wykonywała swoją pracę, chciała wyciągnąć przydatne informacje, a nie jej wysłuchać.

Kiedy Elin znalazła się trzy metry od drzwi, dopadła do nich nagłym susem, a one otworzyły się w idealnym momencie. Nie miała pojęcia, co się dzieje za jej plecami, usłyszała tylko zatraskanie drzwi i przekręcanie zamka.

– Ale wycucie czasu – wydyszała, upuszczając torby na podłogę.

Dziękowała Bogu za Ricky'ego. Nie tylko dlatego, że z powodzeniem pilnował drzwi, lecz za to, że go miała i nie była ze wszystkim sama. Gdyby nie on, nigdy by sobie nie poradziła. Siedziałyby tutaj i czuła się zmuszona do opowiadania obcym ludziom o swoich uczuciach.

Znów zaczęła to swoje marudzenie o Bogu.

Dziennikarka prosiła ją przyjaznym tonem. Głośno, by było słychać przez drzwi.

Przenieśli się do pracowni i zamknęli za sobą. Ricky chciał włączyć radio, żeby zagłuszyć dzwonek i mamiące krzyki dziennikarki, które dobiegały przez szczelinę w drzwiach, ale Elin go powstrzymała. Jeśli nie będzie ich słyszała, zacznie sobie wyobrażać, że zaraz dostaną się do domu. Tak naprawdę nie wierzyła, że mogłyby spróbować czegoś takiego, ale wyobraźni nie dało się zatrzymać.

– Znowu była tu policja – oznajmił Ricky, bujając się powoli na biurowym fotelu.

Elin stała na środku pokoju i wyglądała przez okno na pastwisko po drugiej stronie drogi. Czarny jak smoła byk z intensywnie żółtymi znacznikami zwisającymi z uszu patrzył w jej stronę.

– Przyszła tylko ona. Tego łysiejącego nie było.

– Czyli Eidego. No tak, on był w Visby i rozmawiał ze mną – odparła Elin.

– Czego chciał? – spytał Ricky. Przestał się bujać, spuścił wzrok na swoją stopę i zaczął bardzo powoli kręcić się z krzesłem.

– Zapytał, czy znam Karla-Johana Traneusa.

Ricky podniósł wzrok.

– To ten, który dzwonił wczoraj wieczorem. Syn Andersa.

Ricky odwrócił się i wstał z krzesła, a w tej samej chwili rozległo się pukanie w jedno z okien na parterze.

– Co jest, do cholery? Zaraz zejść i...

– Nie ma sensu.

Elin stanęła przed drzwiami pracowni.

– Nie idź tam – powiedziała. – Im więcej będziemy rozmawiać, tym trudniej będzie się ich potem pozbyć.

Nie trzeba było wiele, by go przekonać. Ricky obrócił się gwałtownie i klapnął na łóżko.

– Takich rzeczy uczycie się na psychologii? – zapytał i głęboko westchnął.

– Akurat tego nauczyłam się chyba w knajpie.

Ricky posłał jej szybki uśmiech.

– A czego od ciebie chciała policjantka? – zapytała, siadając na biurowym fotelu.

Przez chwilę się zastanawiał.

– Pytała o rodziców. No wiesz, jak jest między nimi i takie tam.

– Co odpowiedziałeś?

Znów zapadła cisza. Tym razem inny rodzaj. Cisza między nimi.

– A co można odpowiedzieć na coś takiego? Nie zawsze było bardzo dobrze, ale u kogo jest? W każdym razie przez długi czas. No i przecież w ciągu ostatnich trzech lat tata prawie nie bywał w domu.

– Tak odpowiedziałeś? Że nie zawsze było bardzo dobrze, ale u kogo jest?

– Coś w tym rodzaju.

– I to wszystko? – nie ustawała.

Wlepiała w niego wzrok, próbując opanować wściekłość, ale poczuła, że już zaczyna jej drżeć głos.

– No... Pytała, co robiłem w poniedziałek, o której godzinie przyszedłem do domu i...

– O mamę i tatę – przerwała Elin.

– Ech, to nie było wszystko. Długo głądziła.

– Ale ty nic nie powiedziałaś?

– Na przykład czego miałbym nie mówić?

Patrzył pustym wzrokiem, a Elin poczuła, że ma ochotę zerwać się z krzesła i zacząć na niego krzyczeć. Już miała to zrobić, ale się powstrzymała. Coś w tej skulonej postaci na łóżku i jego nierozumiejącym – udawanie nierozumiejącym – spojrzeniu sprawiało, że jej wściekłość nappełniała się smutkiem i rozpaczą. Ricky nie był głupi. Wiedziała, że ma inteligentnego brata, że tak naprawdę stać go na znacznie więcej. Nie tylko więcej niż ta nudna praca w księgowości, którą załatwił mu tata, lecz więcej pod każdym względem. Sprawiał jednak wrażenie, jakby nie potrafił się za siebie wziąć. Wiódł życie na niby, którym rządziła uparta niechęć do stanięcia oko w oko z rzeczywistością, jeśli nie kłamstwem. Wiedziała, że łatwo popaść w taki stan, był wygodny i ludzki, ale jeśli człowiek nabiera zwyczaju uciekania wzrokiem na boki, kontury tego, co widzi, zaczynają się rozma-

zywać. Nie chciała widzieć swojego brata jako kogoś, kto potulnie brnie przez życie pozbawione konturów.

Nabrała powietrza.

– On ją bił, Ricky – oznajmiła.

Tym razem odpowiedź padła szybko.

– Powiedziałaś to temu facetowi w Visby?

– Oczywiście, że tak.

– Oczywiście? – odbił piłeczkę.

Brzmiał, jakby był zraniony, jakby to jego zdemaskowała.

– Dlaczego nie miałam powiedzieć? Mama nie żyje, dlaczego miałabym nie mówić tego, o czym wiem?

Głos ledwo pozwolił jej na dokończenie zdania.

– Czy kiedykolwiek to widziałaś? Czy kiedykolwiek widziałaś, jak bije mamę?

– Widziałam ślady i ty też!

Nie potrafiła się już powstrzymać. Mówiła piskliwym głosem, walcząc z płaczem.

– Widziałaś „ślady” i dlatego uznałaś, że ją bił. Elin, kurde.

Mówił z takim chłodem w głosie, tak bezrozumnie. Tak cholernie... głupio.

– Powiedziałam dokładnie to, co mówię ci teraz. Że nigdy nie widziałam bicia, ale widziałam ślady i to mi w zupełności wystarczy.

– Moim zdaniem to cholernie dziwne opowiadać o czymś, czego się nawet nie widziało. Cholernie dziwne – powtórzył.

Siedział w łóżku, krzyżując ręce na piersi. Uparty, przekorny.

– Ona została zamordowana. Zamordowana, Ricky. Musimy mówić, co wiemy. Co widzieliśmy.

Pociągała nosem, płakała, wykrzykiwała słowa i była zdziwiona, że w ogóle rozumiał, co mówi.

– Wobec tego, jeśli uważasz, że to, co masz do powiedzenia, jest takie ważne, idź na dół i powiedz to tym dziennikarkom.

Zerwała się z fotela, bo nie mogła już dłużej usiedzieć. Mebel na kółkach odjechał i z głuchym stukiem uderzył o blat biurka. Elin wybiegła z pokoju, trzaskając za sobą drzwiami. Słyszała, że Ricky zerwał się na nogi.

– Elin!

Gwałtownie zawróciła i ruszyła w stronę drzwi.

– Nie zejdę tam! – wykrzyknęła. – Masz mnie za idiotkę?

Poszła do łazienki, zamknęła za sobą drzwi i przekręciła zamek.

Co za pojebany brat, co za pojebany brat. A był taki dobry. Przejrzała się w lustrze i odwróciła wzrok, usiadła na desce sedesowej.

– Mamo – zaczęła szlochać. – Chcę do mamy.

Odruchowo stukała stopami w wapienne płytki podłogowe, ciepłe dzięki ogrzewaniu. Z mydelniczki na umywalce dochodził zapach cytrusów i wanili.

– Mamo, mamó, mamó – szeptała przez łyży. – Moja biedna mama.

Płakała jak dziecko, ale właściwie nim była. Łzy zamieniły się w duże ciemne kropki na jasnoszarym kamieniu.

W domu było widać migotanie i zapalone światło. Każdy jego krok po ulicznym bruku stawał się kolejną przyjemną eksplozją.

Od morza wielkimi płatami ciągnęła mgła, a wilgoć osadzała się na kamieniach uliczek, sprawiając, że były mokre jak po deszczu. Chłód mu jednak nie przeszkadzał. Ricky był jak naelektryzowany, każdy jego ruch tworzył fale ciepła przeszywające zimne powietrze, jakby był otoczony ciepłym polem ochronnym. Jakby był tostem. Zachichotał, kiedy to głupie porównanie przyszło mu do głowy.

Szedł dalej bez celu w labiryncie uliczek, w mokrej ciemności, rozrywanej od środka przez światło, skręcał przypadkowo, nie czytając nazw ulic na tabliczkach. Zatrzymał się przed pochyłą fasadą, która wyglądała, jakby skakała na niego z ciemności. Z okien padało ciepłe, zapraszające światło. Nagle podszedł bardzo blisko, stanął praktycznie w czyimś salonie. Jakiś mężczyzna rozłożony na sofie leniwie śledził program w telewizji. Piętro wyżej kobieta stała w kuchni. Brała do ręki coś przy zlewozmywaku, zauważył wystający kran. Przez chwilę stała ze szklanką w dłoni, spokojna, zapatrzona w pustkę, w siebie.

Czy to były marzenia o domu, spokoju i bezpieczeństwie, równie anachroniczne jak samo to miasto? Może nie były prawdziwe. Może były tylko jego fantazjami, jego tęsknotą.

Powoli i niepewnie wyjął z tylnej kieszeni telefon komórkowy. Włączył go i z przesadną uwagą dopełnił rytuału z tańczącym logotypem i firmową melodyjką, która kończyła się krótką wibracją poprzedzającą wyświetlenie ekranu logowania. Wpisał kod i gdy tylko było to możliwe, zaczął szukać numeru.

Kiedy to się wydarzyło, Elin stała w kuchni. Na dworze było ciemno. Wypiła szklankę wody, tak zimnej, że bolały ją zęby i dłoń, którą trzymała szklankę.

Kiedy wyszła z łazienki, Ricky'ego już nie było. Nie słyszała, jak wychodził, ale nie dziwiło jej to. Czuła się jak obudzona ze snu. Była ocieźiała i miała pustkę w głowie. Czuła się dobrze, a przynajmniej znacznie lepiej. Jakby snem pokonała chorobę.

Dopiero po chwili dotarło do niej, że jest w domu sama. Spodziewała się, że kiedy on ją usłyszy, w taki czy inny sposób da o sobie znać. Jednak panowała kompletna cisza. Sprawdziła jego pokój, weszła z powrotem na górę, zajrzała do pracowni i w końcu kilka razy go zawołała.

Najwyraźniej jakoś przemknął obok dziennikarek i zwiął samochodem. O ile jeszcze tam były, kiedy wychodził. W każdym razie, kiedy zeszła, już ich nie widziała. Może pojechały za Rickym?

Nie miała nic przeciwko temu, by przez jakiś czas pobyć w samotności. Było jej dobrze, gdy mogła poczuć, że jest wypoczęta i spokojna. Kiedy jednak odstawiła szklankę na zlewozmywak, wszystko się zmieniło.

Dzwonek przy wejściu eksplodował długą serią natarczywych dźwięków, a kiedy wreszcie się uspokoił, dopełniły je dwa brutalne uderzenia, tak ciężkie i silne, że pomyślała, że drzwi nie wytrzymają.

– Wychodź, skurwielu! Zajebię cię!

Fredrik wyszedł z warsztatu samochodowego Pettsona znajdującego się za komisariatem i w tej samej chwili zobaczył cywilny radiowóz z Gustavem za kierownicą. Białe volvo zjechało na chodnik i zatrzymało się obok niego.

Trzymał kciuki, żeby jego osobiste, znacznie starsze volvo przetrwało przegląd bez żadnych nieprzyjemnych niespodzianek. Wiedział, że tłumik jest w strefie ryzyka, i liczył się z tym wydatkiem, ale nie było go stać na wiele więcej. Zbliżał się czas zakupu prezentów pod choinkę.

Postąpił idiotycznie, zostawiając samochód w takim momencie. Lepiej by było poczekać, aż minie Boże Narodzenie, przełożyć problem na później. Też idiotyczne, ale to lepszy rodzaj idiotyzmu.

Fredrik otworzył drzwi po stronie pasażera i wsiadł. Natychmiast ruszyli. Woń garażu, która jeszcze nie wywietrzała z kabiny, mieszała się z zapachem wody po goleniu Gustava.

– Co jest, do cholery, z tymi ludźmi? – powiedział Gustav.

– Głębokie rozważania o poranku – skwitował Fredrik, zapinając pas bezpieczeństwa.

Gustav westchnął z wyraźnym zmęczeniem i kontynuował:

– Ten Karl-Johan dowiedział się, że jego ojciec został zamordowany. Wsiadł na pokład pierwszego lepszego promu, który tu płynął – do tej pory jeszcze rozumiem – ale zaraz po przyjeździe pojechał do dzieci drugiej ofiary, z którą w dodatku był spokrewniony – i zaczął grozić, że ich zabije. Co to ma być?

Patrzył na Fredrika, a jego już i tak duże oczy były szeroko otwarte.

– W stresujących sytuacjach ludzie robią czasem dziwne rzeczy – stwierdził Fredrik.

– Mam nadzieję, że z czymś takim mamy tu do czynienia. Czasem mam już tego dość. Czyżby wciąż było za mało? Nie wystarczą dwie ofiary?

Gustav westchnął i ruszyli dalej pod górę w kierunku świecącej się na czerwono sygnalizacji na Allégatan.

– Kilka dni temu czytałem w „Dagens Nyheter” o pewnym badaczu mózgu – powiedział Gustav. – Twierdził, że nawet jeśli od czasu do czasu potrafiemy się zachowywać w cywilizowany sposób, w gruncie rzeczy jeste-

śmy tylko małpami. Dlatego potrzebujemy komorników, policjantów i więźni. Tak powiedział. „Dlatego potrzebujemy policjantów”.

Fredrik odpowiedział czymś, co w zamierzeniu miało brzmieć jak odgłos wydawany przez szympansa, i podrapał się pod pachą.

Gustav westchnął cicho i udał, że naciska przycisk na nadajniku radiowym.

– Sześćdziesiąt, tu sześćdziesiąt dwadzieścia jeden. Wallin Gustav prosi o przeniesienie, odbiór.

Skęcili na Gråbo i chwilę później wskoczyli na chodnik przed szeregowcem, w którym mieszkała Sofia Traneus.

– No to zobaczymy, jaką tu mamy małpę – powiedział Fredrik, kiedy wysiedli z samochodu, i wyszczerzył zęby.

– Zapomnij, że cokolwiek mówiłem – odparł Gustav i zatrzaskał drzwi.

– Masz rację. A raczej ten badacz mózgu ma rację. Właśnie tym się zajmujemy. Ściganiem małp. Ludzi, którzy nie radzą sobie z byciem cywilizowanymi.

Karl-Johan Traneus był poszukiwany pod adresem siostry już w nocy, ale bezskutecznie. Sofia twierdziła, że gdzie wyszedł, może jest u kolegi. Nie wiedziała u kogo. Jako że nikt go nie widział przed domem Rickarda Traneusa, trudno było znaleźć uzasadnienie dla rewizji. Poza tym siostra wydawała się wiarygodna.

Gustav zadzwonił do drzwi, otworzyła Sofia Traneus. Zapytali o jej brata, a wtedy od razu wprowadziła ich do środka. Johan Traneus siedział na sofie w salonie z najmłodszą siostrzenicą w ramionach. Kiedy weszli, podniósł na nich wzrok z dobrodusznym uśmiechem. Był ubrany w granatowe dżinsy i czarną koszulkę ze spranym nadrukiem. Miał rudą nastroszoną brodę, którą dziecko próbowało chwycić jedną ręką.

Bardziej orangutan niż szympan, pomyślał Fredrik.

– Czy mogłaby pani zabrać stąd dziecko? – zwrócił się do Sofii Traneus.

Spojrzała na niego pytająco, ale kiedy skinął głową w kierunku dziewczynki trzymanej przez jej brata, spełniła prośbę.

– Policja z Visby – oznajmił Gustav, pokazując odznakę. – Musimy poprosić, by poszedł pan z nami do komisariatu.

Karl-Johan Traneus spojrzał na nich z jeszcze szerszym uśmiechem.

– Jak to, teraz? – spytał, siląc się na radosny ton.

Fredrik spojrzał na niego bez słowa. Pomyślał, że w tym śledztwie brakowało tylko Karla-Johana Traneusa.

Wprowadzili go do sali przesłuchań na parterze.

– Co pan robił w domu Rickarda Traneusa? – spytał Gustav, gdy tylko usiedli.

Karl-Johan Traneus nieco spochmurniał.

– On wie, gdzie jest Arvid. Na pewno. Chroni go.

– Grożenie, że się kogoś zabije, to poważne przestępstwo. Podlegające karze od sześciu miesięcy do dwóch lat pozbawienia wolności.

Karl-Johan Traneus zeszywniał.

– Grożenie? Przecież to było... Chciałem tylko z nim porozmawiać. Boże, chcę tylko, aby powiedział, co wie.

Wielkie dzięki, pomyślał Fredrik. Nie widział go żaden świadek, nie mieli numeru rejestracyjnego samochodu, nic go nie łączyło z tym miejscem.

– Proszę pozwolić nam się tym zająć. To nasza praca, nie pańska. A jeśli nie będziemy już tracić czasu na ściganie pana, szybciej uda nam się znaleźć człowieka, który zabił Kristinę Traneus i pańskiego ojca.

– Człowieka, który zabił mojego ojca? – odparł Karl-Johan Traneus. – Zrobił to Arvid, a Rickard wie, gdzie on jest.

Mówił bardzo niemiłym tonem, jakby znów miał przejść do grózb. Gustav nie pokusił się o komentarz.

– Jeśli pan to powtórzy, z całą pewnością zostanie objęty zakazem zbliżania się do niego. I jeśli choćby zaparkuje pan samochód przed domem Rickarda Traneusa, policja pana zatrzyma i umieści w liczącej sześć metrów kwadratowych celi aresztu.

Gustav zakończył swoje z grubsza zgodne z prawdą podsumowanie, wskazując kolejne piętro.

– Rozumiemy, że jest pan sfrustrowany i chce zadziałać, ale najlepsze, co może pan zrobić, to zejść nam z drogi. Zająć się siostrą i mamą. Możemy się tak umówić?

Karl-Johan Traneus niechętnie skinął głową, nie patrząc na Gustava.

Wstali, a Fredrik zapytał, czy podwieźć go z powrotem, ale Karl-Johan Traneus podziękował i szybko przemknął za drzwi, które przytrzymał mu Gustav.

– Myślisz, że będzie umiał nad sobą zapanować? – spytał Fredrik, kiedy szli na spotkanie, na które już i tak byli spóźnieni.

– Nie wiem. Ale nie wydaje mi się, by kogoś zabił – stwierdził Gustav.

Lennart Svensson stał na samym końcu podłużnego pokoju z opuszczonymi rękami, wpatrzony w pustą białą tablicę po drugiej stronie pomieszczenia. Miał takie dni, kiedy nie potrafił usiedzieć dłużej niż kilka minut. W zasadzie nie powinien spędzać tych dni w pracy, ale należał do starej szkoły. Obowiązkowych masochistów. Lata świetlne dzieliły go od młodych minimalistów, którzy szli na zwolnienie związane z opieką nad dzieckiem, odbierali wolne za nadgodziny i brali zwolnienia lekarskie, gdy tylko mieli okazję.

– Innymi słowy, nie ulega żadnej wątpliwości, że była bita? – zwrócił się Ove do Evy, która zaczęła czytać wstępny raport lekarzy sądowych.

– W jej życiu nie było niczego innego, czym można by wyjaśnić obrażenia.

Miała na myśli drobne złamania i blizny.

– Fakt, nie była zawodową hokeistką – powiedział Lennart.

Sara odwróciła się znacząco i wlepiła w niego wzrok.

– O Boże, najmocniej przepraszam – powiedział i pewnie szeroko rozłożyłby ręce, gdyby taki nagły ruch nie groził bólem pleców.

– Były też nowe obrażenia – kontynuowała Eva. – Mniej więcej dwie doby przed tym, jak została zamordowana, Kristina Traneus była ofiarą przemocy.

– Dwie doby – powtórzył Ove. – To jeszcze bardziej przemawia przeciwko wersji, w której Anders Traneus nagle wpadłby do mieszkania, żeby rozprawić się z Arvidem albo ochronić Kristinę.

– Nie możemy przyjmować za pewnik, że wiedział o pobiciu już w poniedziałek – rzekł Göran. – Może dowiedział się dopiero w środę. Ale oczywiście, w zasadzie się z tobą zgadzam.

– Czego w takim razie chciał? Nie składa mi się to w całość – odparł Ove.

– Jeśli mogę kontynuować: jest tu jeszcze jeden szczegół – przerwała Eva. – Według lekarzy medycyny sądowej Kristina ani Anders Traneus nie jedli dużo w ciągu ostatniej doby. Pierwsze badanie nie dostarczyło żadnych wyjaśnień natury fizjologicznej, ale kiedy próbki w Solnie zostaną przeanalizowane, zostaniemy poinformowani.

– Jeśli przez kilka lat przyprawiali rogi znanemu damskiemu bokserowi, nic dziwnego, że kiedy nagle wrócił na stałe do domu, minęła im ochota na jedzenie – zauważył Fredrik.

Przeszli do kolejnych punktów. Streścili zeznania świadków i kwestię billingów, ale obraz sytuacji ze środowego wieczoru nie stał się przez to bardziej klarowny. Z gospodarstwa Traneusa było daleko do najbliższego sąsiada, a trzy możliwe drogi dojazdowe nie ułatwiały sprawy. Nie znaleziono narzędzia zbrodni, nie udało im się też odkopać choćby najmniejszego śladu Arvida Traneusa. Nie było zeznań świadków, rozmów telefonicznych, ani jednego zakupu na karcie. Traneus od poniedziałku nie został zarejestrowany jako pasażer w żadnych liniach lotniczych ani u żadnego armatora.

– Powinno coś być – powiedział Gustav. – To dziwne i cholernie denerwujące, że on wymyka nam się z rąk.

– Zacznijmy od tego, że w ogóle nie mieliśmy go w rękach – wtrącił Lennart.

Göran luźno splótł dłonie w powietrzu i położył je przed sobą na stole. Zaczynał się niepokoić, że utknęli. Że nie mają wyników, bo źle pracowali. Wyciągali koślawe, przedwczesne wnioski.

Byli w kontakcie ze znającą szwedzki przedstawicielką globalnego olbrzyma, dla którego Arvid Traneus pracował w Tokio. Wyjaśniła mu, że rola Arvida w firmie była stricte wewnętrzna. Nawet jeśli działali w warunkach ostrej konkurencji z innymi i czasami mogła obowiązywać zasada „zwyciężaj lub giń”, trudno jej było sobie wyobrazić, by Arvid mógł sobie narobić wrogów. Nie był kimś, kto podejmował decyzje, i nikt spoza firmy nie wiedział dokładnie, czym się zajmował.

Jeśli nabawił się wrogów w Japonii, nie mogło to mieć związku z jego pracą. A przynajmniej tak twierdziła ta kobieta.

– Powiedzcie coś innego – spróbował, rozglądając się z nadzieją wokół stołu. – Nie myślcie tak bardzo pod kątem śledztwa. Po prostu coś podrzucie.

W sali panowała cisza. Nachylił się nad stołem i kontynuował:

– Jasne, on może mieć środki finansowe, o których nie wiemy i które nie pozostawiają śladów, mógł się ukryć w starym górskim klasztorze na północ od Sapporo albo siedzi w Afryce Zachodniej, w jakimś kraju, który nigdy go nie wyda, nawet jeśli go znajdziemy. Nieważne. To robota Krajowej Policji Kryminalnej i Interpolu. Pytanie brzmi, co my możemy zrobić – tu i teraz.

Znów zapadła cisza. Pomyślał, że może pozwolić, by chwilę potrwała. Ove siedział zgarbiony, wpatrując się w stół. Powoli otworzył i zamknął

lewą dłoń. Czy był to tylko nieuświadomiony gest, czy miał związek ze złamaniem ręki sprzed dwóch lat? Lennart przechadzał się powoli po pomieszczeniu. Na twarzy Evy pojawił się krótki, wymuszony uśmiech, a po chwili Sara go skopiowała. Fredrik odchrząknął, jakby chciał coś powiedzieć, ale się nie odezwał. Gustav przejechał kciukiem po brodzie.

– Zróbmy tak – zarządził. – Od początku przejrzymy wszystkie listy pasażerów promów i samolotów, od środy do momentu, gdy pilnowaliśmy kursów, czyli do piątku po południu. Jeśli uda nam się potwierdzić wszystkie nazwiska, będziemy wiedzieć z dużym prawdopodobieństwem, że nie wyjechał stąd pod innym nazwiskiem. Potem, Evo, wywrócimy ten dom na lewą stronę... Sprawdzimy każdy zakamarek, piwnicę, samochód... Musi istnieć coś, co nam podpowie, dokąd się udał. Jak wygląda kwestia tych pamiętników? Może by nam pomogły? Podzielcie się nimi i zabierzcie do domu w ramach lektury na wieczór.

Göran pozwolił sobie na uśmiech.

– Poza tym kontynuujemy przesłuchania krewnych, przyjaciół, znajomych i kolegów. Ważne jest wszystko, co może nam dostarczyć informacji.

– Zastanawiam się nad Karlem-Johanem Traneusem – powiedział Fredrik. – Czy może mieć rację, że Rickard zna miejsce pobytu ojca?

Göran odwrócił się do Sary.

– Jak uważasz? Chcesz spróbować sprawdzić ten trop?

Sara zacisnęła usta i zmarszczyła nos.

– Nie? – dopytał Göran.

– Przecież już zaczęłam to sprawdzać. Nie uważałam, że on coś wie, ale uznałam, że trzeba zbadać wszystkie możliwe punkty widzenia.

– Nawet jeśli Rickard Traneus nie wie dokładnie, gdzie się ukrywa ojciec, mógł zachować dla siebie jakieś informacje, żeby go ochronić – zauważył Fredrik.

– Może warto spróbować z innym prowadzącym przesłuchanie? – zaproponował Göran, spoglądając na Fredrika i Sarę.

– Nie mam nic przeciwko temu – oznajmiła Sara.

– Tak więc zróbmy.

Wychodząc ze spotkania, Göran czuł się źle. Chciał wstrząsnąć całą grupą, skierować myślenie współpracowników na nowe tory. Jednak udało mu się tylko wszystkich zniechęcić. Rzucił kartkę na biurko i usiadł plecami do drzwi.

Próbował się otrząsnąć z poczucia porażki. Nie mieli do czynienia z polowaniem na tajemniczego zabójcę. Sprawa była jasna jak słońce, tożsamość sprawcy znana, wystarczyło go odnaleźć. Wiedział, że prędzej czy później to się uda. Dziś albo za trzy lata. Nie było powodów do braku zaufania.

Tylko co to miało wspólnego z jego nieumiejętnością zmotywowania swoich śledczych? Nie zdążył pomyśleć nic więcej, bo rozległo się pukanie do drzwi. Przyszedł Lennart.

– Siadaj – powiedział bez namysłu Göran.

– Nie, dzięki – odparł Lennart.

– W porządku. Zauważyłem, że ty... w czasie spotkania. Jak się czujesz?

Lennart podszedł do okna, przez które nie było widać dworu, lecz klatkę schodową prowadzącą na wydział prewencji. Odwrócił się do Görana.

– Nie wiem, czy da się tak dłużej.

Było jasne, o co mu chodziło, ale w pierwszej chwili Göran pomyślał, że mowa o śledztwie. Po chwili odparł jednak:

– Plecy?

– Tak. Co za dziadostwo.

– Idź na zwolnienie. I tyle.

– Moment wydaje mi się cholernie nieodpowiedni.

Göran westchnął i wstał.

– Nie myśl o tym. Jest jak jest. Zresztą jeśli chodzi o obecnie toczące się śledztwo, zakończenie go to tylko kwestia czasu.

– Pewnie tak – zgodził się Lennart. – Tylko że to jest tak cholernie nieobliczalne. Przez długie okresy wszystko może być w porządku, a potem wystarczy niewłaściwe obciążenie i znowu jest po mnie. Co to za policjant, który wypada z gry, jeśli w niewłaściwy sposób podniesie książkę telefoniczną?

– Myślałem, że korzystasz z internetu – odparł z uśmiechem Göran.

– Daj spokój – powiedział Lennart.

Przeciągnął się, powoli i ostrożnie, a Göran prawie usłyszał skrzypnięcie między kręgam.

– Bardzo się przydasz tu, w komisariacie – oznajmił.

Lennart spojrział na niego z powagą, ale nie odpowiedział.

– Wielu z nas, nieco starszych, ma zaległości w wiedzy informatycznej. Możesz być dumny z tego, co robisz – stwierdził Göran.

Lennart tylko machnął ręką.

Ricky gwałtownie się przebudził. Zobaczył nieznany sufit. Nad jego głową unosił się zgaszony czerwony szklany owal – ten sam, który skąpał poprzedni dzień w ciepłym i kusząco nierzeczywistym świetle. Tym razem pokój był jeszcze bardziej natarczywie realny. Za zaciągniętymi zasłonami ostro świeciło słońce, a śpiący obok niego mężczyzna pachniał intensywnie i obco. Ricky nie potrafił zrozumieć czym. Nie perfumami, nie potem, nie seksem, po prostu obco. Wiedział, że ten zapach będzie go prześladował przez cały dzień.

Ciało obok było opalone i mocno owłosione, w przeciwieństwie do jego jasnej, niepokrytej nawet meszkiem skóry. Wczoraj podniecało go przesuwanie palcami po szorstkim, szeleszczącym owłosieniu. Dziś wydawało mu się tylko zwierzęce, w najgorszym możliwym znaczeniu tego słowa.

Nie po raz pierwszy budził się w tym łóżku, ale zakończenie zawsze było takie samo.

Ostrożnie przerzucił jedną nogę nad krawędzią łóżka, postawił stopę na podłodze i usiadł. Wiedział z doświadczenia, że leżący obok niego mężczyzna się nie obudzi. Albo będzie udawał, że wciąż śpi.

Ricky pozbierał sztuki odzieży i ubrał się w dużym pokoju. Czuł się zarazem lekki i ciężki, a kiedy zakładał grube dżinsy, skóra wręcz go bolała, jakby każdy nerw był dotknięty ekstremalną nadwrażliwością. Dokuczał mu szczypiący i ćmiący ból głowy, jakby omdlał cały mózg, a w ustach czuł taką suchość, jakby były zaklejone. W kuchni nalał wody do szklanki – to również robił ostrożnie, żadnego chlapania o metalowy zlew – i podniósł ją do spierzchniętych ust. Zaczął pić, najpierw powoli, ale wkrótce coraz bardziej łapczywie.

Wyszedł na ulicę w butach założonych na bose stopy. Światło dnia przyszywało go jak rozżarzone noże. Dopiero wówczas zdał sobie sprawę, że wciąż jest wczesny poranek. Wczesne przedpołudnie, jak może by to określili niektórzy. Szedł w stronę morza. Kiedy zostawił za sobą uliczki, które stanowiły ochronę, poczuł zimny podmuch, ale słońce ogrzewało mu kark. Daleko na morzu błyszczały w słońcu wielkie statki towarowe.

Poczuł, że marznie w stopy, pochylił się i zawiązał buty. Wszystko było jak dawniej. Poczuł się wrzucony w rzeczywistość. Poprzedniego wieczoru przez kilka godzin był odłączony od wszystkiego, pochłonięty teraźniejszością i swoim ciałem. Dawniej roztaczał piękne plany, ale nie miały nic wspólnego z przyszłością. Dopiero kiedy czas przestał istnieć, myśli o kolejnym dniu stały się tak kolorowe. Teraz był zaniedbany, zaspokojony i prawdziwy. Prawdziwy i kompletnie odpychający.

Kopnięty przez niego kamień cicho i niezauważenie zniknął w pomarszczonej przez wiatr wodzie. Musiał pomyśleć, żeby sobie przypomnieć, gdzie zostawił samochód. W końcu skojarzył, że przy Söderport. Dlaczego tam? W zupełnie innej części miasta. Westchnął i zaczął iść nadmorską promenadą. Skręcił przy placu, na którym budowano wielkie centrum konferencyjne, i przeszedł między pustym i pożółkłym parkiem Almedalen a wysoką szklaną fasadą biblioteki. Zerknął na grupkę studentów, wyłapał kilka słów w obcym języku. Polskim? Rosyjskim?

Nadal jestem młody, pomyślał. Na nic jeszcze nie było za późno. Wciąż był młody.

Nad Karlsöarna nisko wisiały chmury, ale wyglądało na to, że niedługo zwieje je na południe wzmagający się wiatr. Drzewa, wciąż jeszcze tu i ówdzie zielone, poruszały się i drżały w jego podmuchach.

Fredrik jechał na południe nadmorską drogą i był w linii prostej na południe od Västergarn, kiedy zadzwonił telefon. Nie znał numeru, który ukazał się na wyświetlaczu.

– Fredrik Broman – powiedział do aparatu.

Dzwonili z warsztatu. Pojawiły się problemy. Pękł jakiś zbiornik ze smarem na prawej przedniej osi. Naprawa nie była kosztowna, ale części zapasowe mieli otrzymać dopiero następnego dnia rano.

– Aha, w takim razie niewiele można poradzić. Ale czy jest pan pewien, że dostaniecie to do jutra?

Mechanik odpowiedział, że na sto procent, po czym wygłosił długą tyradę na temat procedury składania zamówień, nocnego promu i innych szczegółów, o które Fredrik wcale nie prosił. Kiedy wreszcie skończył, Fredrik się rozłączył i próbował zadzwonić do Gustava, ale ten nie odbierał.

– Zbiornik ze smarem – powiedział głośno, a w tym samym czasie wyprzedził go czarny opel astra.

Był to niedbale wykonany manewr, a przy tym zawrotnie szybki. Samochód popędził dalej na Klintehamn i wkrótce zniknął mu z oczu.

Kiedy Fredrik dotarł do Levide, w domu była tylko Elin Traneus.

– Może pan wejść i poczekać, jeśli chce, ale nie mam pojęcia, kiedy on wróci – powiedziała.

Wyglądała na niewyspaną, była blada i miała mętny wzrok.

– Wie pani, gdzie on jest? – spytał Fredrik.

– Nie. Chyba w Visby, ale dokładniej... – Wzruszyła ramionami.

– Wróć za jakiś czas – oznajmił, schodząc ze schodka na werandę. Skinął jej głową i już odchodził, kiedy go zatrzymała.

– Czy coś się stało Karlowi-Johanowi?

Fredrik przystanął i się odwrócił.

– Mój kolega i ja rozmawialiśmy z nim dzisiaj rano. Jeśli znów się tu pojawi, otrzyma zakaz zbliżania się. Wie o tym. Wątpię, by jeszcze próbował.

– Czy to pewne?

– Pyta pani o zakaz?

– Nie. O to, że więcej tu nie przyjdzie.

Czekając na jego odpowiedź, bawiła się pokrętłem w drzwiach. Blokowała i z powrotem otwierała zamek.

– Dobrze się tu pani czuje? – zapytał Fredrik.

Ponownie wzruszyła ramionami.

– Chyba tak.

– Próbowала pani zadzwonić do brata?

– Tak, ale nie odbiera.

Fredrik przez chwilę się zastanawiał, aż w końcu wyjął wizytówkę.

– Muszę załatwić pewną sprawę, ale za godzinę wróć i zobaczymy, czy Rickard już będzie w domu.

Wręczył jej wizytówkę.

– Jeśli pani zechce, proszę puścić mi sygnał, kiedy przyjdzie, albo poprosić, by sam to zrobił. Byłoby świetnie.

Elin skinęła głową.

Fredrik wsiadł do samochodu i odjechał, czując z tego powodu swoistą ulgę.

Jeszcze w drodze do Visby postanowił podjechać na miejsce zbrodni i się rozejrzeć. Dopiero kiedy wjechał na dziedziniec, przyszło mu do głowy, że pewnie jest tam Eva.

Chciał zawrócić i odjechać, ale nagle zobaczył ją wychodzącą z kuchni. Natychmiast go rozpoznała.

– Kurwa – zaklął szeptem.

Nie miał innego wyjścia, jak tylko się zatrzymać i wysiąść z samochodu.

Przywitali się. Odniósł wrażenie, że jej usta nabrały surowego wyrazu. Czy nie mogła kiedyś wyluzować? Tylko raz do niej zadzwonił i był mężczyzący, ale dawno. Jedna pijacka rozmowa zbyt późno w nocy. Powinna chyba ulec przedawnieniu.

– Nie mogłem się dodzwonić do Rickarda Traneusa, więc tu przyjechałem.

Dlaczego zabrzmiało to jak kiepska wymówka?

– Okej – odparła Eva.

Drzwi kuchni otworzyły się ponownie i wyszedł Granholm. Wlepił w niego wzrok zza swoich okrągłych okularów. Granholm na ratunek, pomyślał Fredrik.

– Czy jest coś, co mogę zrobić? – zwrócił się do Evy. – Mam mniej więcej godzinę.

Eva wyglądała na zagubioną, ale po chwili wyraźnie coś jej przyszło do głowy.

– Jeśli chcesz, możesz zacząć od piwnicy.

Zesłany do piwnicy, pomyślał minutę później, gdy schodził po stopniach i wkładał jednorazowe rękawiczki. No cóż, trzeba było nadrabiać miną i wykonywać swoją pracę.

Kiedy wszedł do korytarza o bielonych ścianach i z co najmniej pięcioma drzwiami po obu stronach, nie poczuł chłodu ani zapachu mokrej ziemi. Było ciepło i czysto.

Po prawej znajdowała się sauna i coś, co w pierwszej chwili uznał za kamienne jacuzzi wpuszczone w posadzkę. Dopiero po chwili, widząc stos małych drewnianych taboretów przy ścianie, zrozumiał, że to coś w rodzaju japońskiej łaźni. Za następnymi drzwiami była pralnia, naprzeciwko znajdowało się pomieszczenie z bojlerem, a obok, najbliżej schodów, duży magazyn na ubrania, narty i inny sprzęt sportowy. Na końcu korytarza była okazała spiżarnia. Wewnątrz panowała niższa temperatura, a na niepomalowanych magazynowych półkach stały konserwy, powidła, przetwory warzywne i różnego rodzaju butelki z alkoholem. W głębi spiżarni znajdowały się małe drzwi, a obok nich na ścianie – coś w rodzaju agregatu ze świecącą

się czerwoną lampką. Przypominał urządzenie do klimatyzacji, tyle że mniejsze.

Fredrik otworzył drzwi. Poczł wilgoć i chłód. Tam w środku panował zupełnie inny klimat niż w pomieszczeniu na zewnątrz. Nacisnął przycisk na ścianie. Dwie słabe żarówki skąpały w ciepłym świetle pomieszczenie, mniej więcej dwukrotnie większe od spiżarni. To była piwniczka na wino. Prawa ściana była całkowicie pokryta rurami ceramicznymi. Właściwie z każdej wystawały czerwone, zielone i złote metalowe plomby. Zaciekawiony, podszedł bliżej, wyciągnął na chybił trafił jedną butelkę, strzepnął z niej trochę kurzu i przyjrzał się etykietce.

Miał w ręce butelkę chateau petrus, rocznik tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty. Nie był pewny, czy wina tego rodzaju w ogóle się pije, czy tylko sprzedaje i kupuje na aukcjach. Tak czy inaczej, zaledwie nieliczni mieli okazję ich próbować. Szesnastoletni petrus z dobrego rocznika musiał być wart wiele tysięcy.

Wsunął butelkę z powrotem do czerwonej ceramicznej rury i pomyślał, że do wykonania dobrej roboty tu, w dole, przydałaby mu się latarka. Już miał pójść po nią do samochodu, kiedy zauważył coś wystającego spośród katalogów winiarskich i luźnych papierów na małej brązowej drewnianej półce na lewo od drzwi. Wyciągnął wydłużony przedmiot z błyszczącego metalu i rzeczywiście – okazało się, że to latarka. Poza tym, jak stwierdził po wypróbowaniu, wyposażona w działające baterie.

Rozpoczął monotonną pracę, polegającą na wyciąganiu jednej butelki po drugiej i świeceniu do wnętrza rur. Ponad połowę zapasów w piwnicy stanowiły drogie bordeaux, choć nie wszystkie były na tak zawrotnym poziomie jak butelka, którą wyciągnął jako pierwszą. Znalazł też burgundy: chablis, meursault, kilka czerwonych beaune i oczywiście szampany, ale oprócz butelek w rurach nie było nic więcej.

Zbadał półkę, na której znalazł latarkę, szybko przewertował stosy katalogów i papierów. Pośród nich znalazł oprawiony czarny zeszyt formatu A4, księgę piwniczną. Wszystkie zakupy były skrzętnie zanotowane czarnym tuszem w jasnoniebieskich linijkach. Znajdowały się tam też informacje, kiedy butelki były wyjmowane w celu wypicia wina. Cofnął się. Po raz ostatni coś zostało dołożone do piwnicy przed dwoma laty.

Zaczął przerzucać kartki, chcąc się przekonać, czy Arvid Traneus wyciągnął butelkę szampana lub innego trunku, by uczcić swój powrót do domu. Nie znalazł żadnej takiej notatki, w każdym razie przy szybkim wertowa-

niu. Jego spojrzenie przyciągnęła jednak inna notatka. Dziesiątego kwietnia dwa tysiące pierwszego roku wyciągnął dwie butelki winstona churchilla, rocznik tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty piąty. Obok widniał również dopisek: „Rickard 20”.

Usłyszał kroki w korytarzu na zewnątrz i przerwał wertowanie. Drzwi do spiżarni stanęły otworem.

– Halo? – krzyknął ktoś. – Fredrik, jesteś tutaj?

Rozpoznał głos Evy.

– Tu jestem! – zawołał, próbując ukryć zdziwienie.

Sądził, że wysłała go do piwnicy, żeby nie musieć na niego patrzeć.

Eva weszła do piwniczki i zamknęła za sobą drzwi.

– Cześć, jak leci? – zapytała i szybko przesunęła wzrokiem po szyjkach butelek w ceramicznych rurach.

– No cóż. Urocza kolekcja win, ale nic interesującego, jeśli o to pytasz.

Zrobiła kilka drobnych kroków w jego stronę. Fredrik otworzył księgę piwniczną i trzymał ją w lewej ręce.

– Aha... chciałam tylko zapytać, czy coś znalazłeś.

Pomieszczenie, które jeszcze chwilę wcześniej uznał za pokaźną piwniczkę, nagle zaczęło się wydawać klitką, w której dwie osoby były bardzo blisko siebie, czy tego chciały, czy nie. Odniósł wrażenie, że Eva doświadcza czegoś podobnego. Wyglądała, jakby straciła wątek. Po co właściwie przyszła?

– Chciałam tylko...

Urwała, spuściła wzrok i ciężko westchnęła.

– Co takiego? – zapytał, jedynie po to, by przerwać ciszę.

– Nie bardzo wiem, co myślałam.

Wyglądało to tak, jakby w każdej chwili mogła się wycofać z pomieszczenia, jednak nie miał zamiaru jej na to pozwolić.

– No, powiedz.

Kiedy mimo wszystko się wahała, zrobił ostrożny krok w jej stronę.

– Czy nie milczeliśmy już wystarczająco długo?

Zareagowała uśmiechem.

– Wiem, że byłam trochę... że trzymam dystans. Ale myślę, że tak jest najlepiej. Prawda?

Czy było to takie pytanie-niepytanie, kiedy wystarczy tylko przytaknąć, czy też zapytała, licząc na „prawdziwą” odpowiedź? Nie był pewny. Akurat w tej chwili dystans między nimi nie był zbyt wielki.

– Tak sędę – odparł.

Eva popatrzyła na niego, a w piwnicznej ciemności jej spojrzenie było mroczne i poważne.

– To nie oznacza, że nie ma innych możliwości – dodała.

– To prawda.

– Ale jest, jak jest.

Fredrik wolno do niej podszedł. Wystarczyły dwa krótkie kroki.

Nie przestawała na niego patrzeć. O co jej chodziło z tym spojrzeniem? Było uparte, natarczywe i chyba kryło się w nim jakieś życzenie.

Nie był pewny, kto dotknął kogo, ale... Nie, to było kłamstwo. On dotknął jej. Nie potrafił się powstrzymać. Ten dotyk był jednak całkowicie niewinny, prawie niezauważalny. Fredrik uniósł wolną rękę i lekko pogładził rękaw jej kombinezonu. Nie mogła tego nawet wyczuć przez materiał, ale nadal działała na niego tym swoim spojrzeniem – milczącym i nieustępliwym.

Potem nagle zaczęli się całować, namiętnie i zapamiętale. Jej zapach był dokładnie taki jak dawniej, a usta – jak powrót do domu.

To błąd. Cholerny błąd, brzmiało mu w głowie. Nie potrafił jednak się powstrzymać.

Wypuścił z ręki czarny zeszyt, ściągnął rękawiczkę z prawej dłoni i zatopił palce w jej chłodnych, delikatnych włosach.

Potem się od niej oderwał. Gwałtownie.

– O kurwa – powiedziała szeptem. – To nie było dobre, wcale nie było dobre. Było złe i tyle.

Uciekała wzrokiem.

– Spokojnie – odpowiedział. – Nie chcę niczego komplikować. Skoro było złe, to... to było złe.

Szukał jej spojrzenia, ale ona nie popatrzyła mu w oczy. Jej klatka piersiowa unosiła się w rytmie szybkiego oddechu.

– Spokojnie – powtórzył.

Posłała mu przelotne spojrzenie, odwróciła się na pięcie i wyszła.

Fredrik przez chwilę głupio za nią patrzył, a potem się pochylił i podniósł z posadzki księgę, jednocześnie próbując uspokoić szalejący w nim huragan.

– Może rzeczywiście to nie było dobre – wyszeptał sam do siebie.

Elin czuła, że od powrotu Ricky'ego wszystko stało się prostsze. Strach zniknął z minuty na minutę. Nawet łatwiej jej się oddychało.

Była jednak na niego zła. Zła, że ją oskarżył i że po prostu odszedł bez słowa. Nie wiedziała jednak, jak mu to powiedzieć i czy w ogóle ma prawo. Czuła zbyt wielką wdzięczność za to, że znów ma go w domu, by ryzykować rozpiętanie kolejnej kłótni.

Przywitał się, spojrzał na nią nieobecny wzrokiem, a potem zniknął w swoim pokoju.

Elin opadła na sofę w salonie. Doszła do wniosku, że powinna pojechać do domu. Nie miała tu już nic do roboty. Możliwe, że zanim będą mogli pochować mamę, miną tygodnie, a może i dłużej. Szkoła czekała. A raczej nie czekała – zajęcia nieubłaganie toczyły się dalej i trudno jej będzie nadrobić zaległości.

To było jak koszmarny sen. Czy jej tata naprawdę zabił mamę? Uważała, że tak, ale nie miała odwagi w to uwierzyć. Ricky nie potrafił tego zrozumieć. Nie pojmował, na czym polega różnica.

Odchyliła głowę i pomyślała, że umrze. Myśl była odległa, niepojęta i niezwiązana z żadnymi uczuciami. Elin nie umiała sobie wyobrazić życia, które ją czekało, ale też tego, że miałyby się zakończyć. Nagle poczuła, że w jej klatce piersiowej coś opada. Wszystko wokół niej zrobiło się czarne, puste i zimne jak lód. Została zupełnie sama, a świat nie był ani zły, ani dobry. Nic nie miało sensu. Zerwała się z kanapy, żeby zatrzymać panikę, podszła do okna i przycisnęła do szyby czoło i nos. Piękne jesienne słońce padało na pasące się owce. Mimo woli się uśmiechnęła.

Wiele lat temu ojciec mówił jej o sensie życia. Nie pamiętała dlaczego – czy sam z siebie, czy zadała mu jakieś naiwne pytanie egzystencjalne. „Życie nie ma żadnego sensu – powiedział – poza tym, który sama mu nadasz”. Jeśli tak rzeczywiście było, jej życie nie miało teraz za grosz sensu.

Zabrział dzwonek do drzwi. Policjant wrócił.

W czerwonym wazonie ze szkła stojącym na czarnym stole tkwił duży bukiet białych i czerwonych róż. Do jednej z łodyg była przyczepiona kartka.

Fredrik domyślił się, że to kondolencje od kogoś z rodziny.

– Co on robił w Japonii? – zwrócił się do Rickarda, który siedział naprzeciwko niego, po drugiej stronie dużego stołu.

– Jest konsultantem. Można chyba powiedzieć, że... pomaga firmom zarobić więcej pieniędzy. Tak w dużym skrócie.

Pomaga firmom zarobić więcej pieniędzy. Fredrik pomyślał, że to brzmi jak coś, co tata mógłby powiedzieć dziecku.

– Miał wielu klientów?

– W Japonii tylko jednego, ale ma jeszcze innych w Szwecji i Niemczech.

– Czy w Japonii klient był cały czas ten sam?

– Tak.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, on spędził tam dość długi czas? – upewnił się Fredrik.

– Dziesięć lat, jeśli liczyć od samego początku. Ale praktycznie mieszkał tam tylko przez dwa–trzy ostatnie lata.

Rickard Traneus wyglądał na zmęczonego. Dało się to zrozumieć. Skóra pod jego oczami była żółtawa, a same oczy sprawiały wrażenie spowitych mgłą.

– A gdzie pan pracuje? A może studiuje? – zapytał Fredrik.

– Obecnie nie. Dorabiam w biurze rachunkowym.

– Gdzie dokładnie?

– W Visby – odrzekł Rickard Traneus i położył prawą dłoń na czarnym oparciu krzesła. Pozycja, którą przyjął, wydawała się niewygodna.

– Czym dokładnie się pan zajmuje?

– Księgowością. Po prostu. Nie jest to praca na wysokim szczeblu, tylko godziny, kiedy akurat jestem potrzebny, ale przeważnie wychodzą trzy czwarte etatu. Jakiś czas studiowałem ekonomię w Sztokholmie, ale po trzech semestrach zrobiłem sobie przerwę.

– Na uniwersytecie w Sztokholmie? – upewnił się Fredrik.

– Tak jest. Tata studiował w Wyższej Szkole Handlowej.

Fredrik skinął głową. Nie chciał męczyć Rickarda dopytywaniem, dlatego w takim razie on wybrał uniwersytet. Był w miarę pewny, że zna odpowiedź.

Rickard Traneus siedział plecami do zlewozmywaka, wypucowanego na błysk. Po lewej stronie stał metalowy ekspres do kawy, a częściowo ukryta za Rickardem była cała bateria, złożona z oliwy, oleju rzepakowego, octu,

sosu rybnego, sherry i innych produktów, które mogły się przydać ambitnemu kucharzowi.

Pomocnik z działu księgowości raczej nie zarobił na designerskie meble, kosztowne urządzenia kuchenne i ubrania, które... Fredrik nie był pewny, ale w każdym razie wyglądały na drogie. Pewnie pomagał mu ojciec, w taki czy inny sposób. Może dawał mu gotówkę, a może krzesła i stół znudziły się rodzicom i syn mógł je przejąć. Tyle że wystrój kuchni i to, co zdążył zauważyć w innych pokojach, wydawało się zbyt przemyślane jak na odziedziczone meble.

– Nie wie pan, gdzie może się znajdować pański ojciec? – zapytał Fredrik.

Rickard Traneus puścił oparcie i położył rękę obok drugiej, na kolanach. Nie odpowiadał.

– Proszę spróbować zgadnąć – nie ustępował Fredrik. – Dokądś musiał się udać. Jak pan sądzi, dokąd?

Rickard lekko zmrużył oczy.

– Nie badacie już wątku Karla-Johana?

– Próbujemy ruszyć dalej. Sprawa nawiązania kontaktu z pańskim ojcem jest pilna. Chyba pan się zgodzi?

Rickard spuścił wzrok na kolana, a potem spojrzał na Fredrika.

– Wiem, że Elin opowiadała o tacie różne rzeczy. To wyłącznie jej interpretacje.

– Co pan ma na myśli? – zapytał Fredrik, choć bardzo dobrze wiedział, o czym mówił Rickard Traneus.

Odniósł wrażenie, że Rickard powstrzymuje grymas.

– Nigdy nie widziałem, żeby tata bił mamę – brzmiała odpowiedź. Po krótkiej chwili Rickard dodał: – Elin też nie widziała. Tata nie jest takim człowiekiem. Nie bił jej. Ani tym bardziej nie zamordował.

Ostatnie słowa wypowiedział z naciskiem, jakby wierzył w to, co mówi.

– Bardzo trudno nam ustalić, co się stało, jeśli nie możemy się skontaktować z pańskim ojcem – oznajmił Fredrik.

Rickard patrzył na niego bez wyrazu.

– Nie mogę wam pomóc. Zrobiłbym to, gdybym mógł, ale nie mam pojęcia, gdzie on jest.

– Ale skoro pański ojciec nie ma nic wspólnego z zabójstwami, dlaczego według pana opuścił dom?

Na to Rickard Traneus nie miał odpowiedzi.

Fredrik wszedł do kawiarni i natychmiast zobaczył Ovego, który siedział samotnie przy stoliku najbliższej szklanej ściany, a przed sobą miał zgnieciony papierek po lodach. Usiadł naprzeciwko niego z filiżanką zwykłej kawy. Ove, przedtem skulony nad stołem, trochę się wyprostował.

– Przesłuchałem Rickarda Traneusa – oznajmił Fredrik.

– Hm – mruknął Ove.

– Jeśli to nie Arvid Traneus zabił swoją żonę i kuzyna, dlaczego zniknął? Ove wpatrywał się w niego.

– Co?

– Mówię, że jeśli to nie Arvid Traneus...

– Słyszałem, co powiedziałaś, ale to mylne założenie. Na to pytanie nie ma odpowiedzi. Nie może być inaczej. Arvid Traneus ich zabił, a potem uciekł. Nic innego nie miałoby sensu.

Fredrik nie odpowiedział, więc Ove kontynuował:

– Mimo to przyszła mi do głowy jeszcze jedna ewentualność. Mógł popełnić samobójstwo.

Światło z popołudniowego nieba padało na lewą połowę twarzy Ovego. Usunięty rano zarost znów zaczął się pokazywać.

Fredrik oparł brodę na zaciśniętej pięści.

– Zgadzam się, że to nie jest zupełnie niespotykany scenariusz, ale akurat w tym wypadku... Trudno mi sobie wyobrazić, że Arvid Traneus mógłby odebrać sobie życie. Zresztą, jeśli to zrobił, powinniśmy chyba znaleźć go w domu albo gdzieś w pobliżu?

– Mógł w pierwszym odruchu zwać – powiedział Ove. – Wsiąść na prom, ale w połowie drogi się poddać.

– Wskoczyć za burtę? – spytał Fredrik.

Ove skinął głową.

– Wieczorny prom. Jest ciemno, na pokładzie potwornie wieje, nikt go nie widzi.

– Nie – odparł Fredrik. – Ten człowiek się nie poddaje. Zrobi wszystko, żeby nie przegrać, bo w taki sposób do tego podchodzi. Nawet jeśli będzie

musiał spędzić resztę życia jako mnich w jakimś japońskim klasztorze w górach.

– Mnich? – zdziwił się Ove.

– No dobrze, może to nie byłby pierwszy wybór Arvida Traneusa. Ale gdyby było trzeba.

Fredrik nie chciał wierzyć w teorię o samobójstwie, lecz musiał przyznać, że nie była całkiem nieprawdopodobna. Arvid Traneus zabił żonę, matkę swoich dzieci, może przez przypadek, z całą pewnością pod wpływem nagłego impulsu. Co pozostało? Zostawić wszystko za sobą tylko po to, by przeżyć? Nigdy nie wrócić. No ale od dawna nie był w domu. Może miał już inne życie, w którym było mu łatwiej?

Fredrik bronił się przed myślą, że Arvid Traneus miałby przejść przez reeling na wietrznym pokładzie statku i na zawsze zniknąć w odmetach z pluskiem tak cichym, że nawet nie byłoby go słychać pośród ryku silnika. W pewnym sensie zamieniłoby to wszelkie ich wysiłki z ostatnich dni w gesty pozbawione znaczenia. Ta ponura historia zyskałaby zakończenie, a Fredrikowi i jego kolegom zostałoby pozbieranie resztek i wypisanie protokołów.

– Jeśli wskoczył do morza, miejmy nadzieję, że wypłynie na ląd – powiedział.

– A może już nic więcej nie uda nam się osiągnąć – dodał Ove.

Dopiero w drodze na parking Fredrik przypomniał sobie, że samochód w dalszym ciągu stał w warsztacie. Na podwózkę było za późno – Gustav już pojechał.

Wyszedł z McDonalda nie do końca najedzony i z nieprzyjemnym tłuszczykowym posmakiem w ustach. W reklamówce sklepu monopolowego, którą trzymał w prawej ręce, niósł księgę piwniczną i dwa pamiętniki Kristiny Traneus.

Niebo nad murem miejskim było błękitne, a w starożytnym mieście panowała dziwna cisza. Nigdy nie potrafił do końca przywyknąć do tego bezruchu, który ogarniał je w półroczu zimowym, nawet w godzinach, które powinny być godzinami szczytu. Miał wrażenie, że trwa święto. Przechodniów było niewiele, wydawało się, że większość ludzi przebywa gdzieś indziej, świętują w domu, a ulice są puste. Fredrik ruszył wolnym krokiem na przystanek autobusowy, żeby poczekać na dziesiątkę.

Wokół szklanej wiaty przystanku autobusu czterdzieści jeden stała grupa nastoletnich chłopaków w dużych puchowych kurtkach i podobnych czap-

kach z daszkiem. Co chwilę pluli na chodnik.

Autobus był prawie pełny. Fredrik wyjął z torby księgę i próbował czytać, ale lampki do czytania były zepsute albo wyłączone, a jarzeniówka pośrodku świeciła zbyt słabo, by dało się odczytać charakter pisma Arvida Traneusa. Schował księgę i utkwiał wzrok w zapadającym zmierzchu, ale wkrótce nic już nie było widać. Zrobiło się kompletnie czarno, z wyjątkiem kilku krótkich odcinków oświetlonych przez latarnie uliczne, które przelatywały za oknem w nieregularnych odstępach.

Autobus zatrzymywał się w gęstym mroku i wypuszczał pojedynczych pasażerów. Czasem samochód z włączonymi światłami czekał, by odebrać wysiadającego pasażera. Było coś pociągającego w tej scenie, powtarzającej się na wąskich drogach, po których sunął autobus. Poczucie bezpieczeństwa, a może nawet chodziło o coś ważniejszego. Więzi międzyludzkie?

Już dawno nie siedział w autobusie. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek jechał nim późnym wieczorem, w ciemności. Prawie zaczął współczuć tym, którzy wysiadali i nikt na nich nie czekał. Jakby wkraczali prosto w pustkę.

Kiedy wysiadał na południe od Hemse, oprócz niego w autobusie był już tylko jeden pasażer.

Czekał przed zlikwidowaną szkołą, gdy autobus odjeżdżał z łoskotem. Mokie wieczorne powietrze miało zapach palonego drewna i nawozu. Musiał pokonać piechotą niecały kilometr. Dwie latarnie uliczne, a potem zapana noc. Wiedział, że to nie byłoby rozsądne. Gdyby ruszył w drugą stronę, mógłby iść drogą dla traktorów, przez pola. Wtedy przynajmniej nie przejechałby go samochód. W najgorszym wypadku mógł sobie poświecić latarką z telefonu komórkowego.

Zjedli lunch. Spaghetti z domowym sosem pomidorowym, tartym parmezanem i kilkoma liśćmi bazylii ze stojących na tyłach domu doniczek. Czy to naprawdę pierwszy przygotowany przez kogoś posiłek, który zjadła, odkąd... odkąd przyплыnęła na Gotlandię? Miała takie wrażenie, ale to nie mogła być prawda. W końcu minęło wiele dni, może tydzień. Tak, cały tydzień. Przecież to niemożliwe, by przez cały ten czas żywili się kanapkami i kawą.

Elin zeskrobała resztki do worka na śmieci i wstawiła talerze do zmywarki. Było prawie w pół do trzeciej. Otworzyła spiżarnię i sprawdziła karton z winem. W dłoni sprawiał wrażenie lekkiego. Potrząsnęła nim. Był pusty. Czyżby to ona go opróżniła?

Przykucnęła i zaczęła przeglądać butelki z alkoholem na spodzie spiżarki. Wybrała kilka.

– Napijesz się? – zawołała.

– Co takiego? – odkrzyknął Ricky ze swojego pokoju.

Kiedy tylko skończyli jeść, zniknął u siebie z nieobecny wyrazem twarzy, zostawiając ją z naczyniami.

– Słyszałeś, co powiedziałam.

– Tak, w porządku.

Powiedział to niepewnie, jakby go zmuszała. Hipokryta, pomyślała. Przepracował jeden dzień, a po powrocie stwierdził, że już nie może. Powiedziała mu, że powinien pójść na zwolnienie, ale o ile wiedziała, nie był u lekarza.

Pomyślała, że skoro żadne z nich nie pracuje, nie ma to znaczenia, i wyciągnęła dwie szklanki.

Rozmawiała z Molly. Raz. Rozmowa ją rozczarowała. Mimo swojej troskliwości Molly wydawała się zakłopotana, jakby miała wielką ochotę się rozłączyć i uciec jak najdalej od zamordowanej matki Elin, smutku, krwi i policyjnych przesłuchań. Już nie oddzwoniła.

Ricky wkradł się do kuchni niemal bezszelestnie. Przystanął i przyglądał się jej pracy przy zlewie.

– Proszę – powiedziała, podając mu szklankę.

Przyjrzał się cząstkom limonki, które pływały z kawałkami lodu w złoto-brunatnym płynie.

– Mieliliśmy to wszystko w domu?

– Rzeczywiście dziwne – przyznała Elin. – Nie przypominam sobie, żebyśmy robili zakupy ani nawet żebyśmy jedli. A ty?

– Nie – odpowiedział.

Elin wypła łyk i pokręciła głową.

– Muszę wracać, ale nie potrafię podjąć decyzji. Z Åhlbergs też się nie odzywali.

Ricky nie odpowiedział. Próbował drinka.

– Dobrze – stwierdził.

– Mhm – przytaknęła. – To Markus mnie tego nauczył.

– Markus?

Ricky upił większy łyk.

– Chłopak, z którym przez jakiś czas byłam.

– Aha. I nic nie wspominałaś? – zapytał z lekko wyzywającym uśmiechem w kącikach ust.

– Niewiele jest tu do opowiadania. To nie trwało długo.

Uśmiech Ricky’ego zmienił się w coś innego, trudniejszego do rozszyfrowania.

– Tak bywa...

Tata położył mapę morską na dużym biurku w kolorze orzechowego brązu. Mapa Gotlandii zawsze leżała na samej górze i czasami tylko ona, jeśli nie wybierali się na kontynent. Tata nalał jakiegoś brunatnego alkoholu do szklanki, którą postawił niebezpiecznie blisko krawędzi stołu na okrągłej podstawce z korka. Po latach Ricky domyślał się, że to była whisky – ze względu na typ szklanki. Na podłodze, wokół jednej z nóg biurka, stały ciemne, wysokie butelki wina, które zamierzał wziąć na pokład.

Za oknem zaczynał się letni wieczór. Mocna lampka do czytania wisząca nad biurkiem wyłączała świat zewnętrzny, tworząc przestrzeń, w której mieścili się tylko oni dwaj.

Ricky siedział na krześle obok albo – kiedy był bardzo mały – na kolanach u taty. Tata pokazywał mu, jak się używa linijki nawigacyjnej, cyrkla i przenośnika, pozwalał Rickardowi odmierzyć odcinek od Klintehamn do wyspy. Kiedy był na tyle duży, by to zrozumieć, tata mu wytłumaczył, w

jaki sposób zawsze można wyliczyć trzeci czynnik, jeśli zna się dwa spośród czasu, odległości i prędkości.

To były ważne rekwizyty i rytuały, ale najważniejszy mimo wszystko był moment, gdy tata sunął palcem po mapie morskiej, zatrzymywał go na wyspie i mogli wtedy zacząć mówić o wszystkich niebezpiecznych trudach, które będą musieli znieść, żeby tam się dostać. Pamiętał oddech taty, trochę ostry od brunatnego alkoholu, i to, jak jego jedwabiste jasne włosy zaplątały się w brodę taty.

Później oczywiście się skończyło. Zarówno wieczorne posiedzenia z mapamiorskimi, jak i same wyprawy. Nie potrafił stwierdzić, kiedy to nastąpiło ani nawet z jakiego powodu. Czy za bardzo podrośł, stał się zbyt nastoletni i uważał, że to wszystko jest trochę śmieszne? A może to było wtedy, kiedy tata zaczął jeździć do Japonii? Może z początkiem sezonu żeglarskiego nie było go już w domu?

W jakimś sensie zniknął, nie tylko w czasie i przestrzeni, ale też w sobie. Przychodził do domu i zajmował się sprawami, zamawiał, kupował, rozdawał prezenty. Bywały krótkie chwile, gdy tryskał entuzjazmem, snuł plany, opowiadał z żarem w oczach, emanując energią. Wtedy można było się z nim porozumieć, wracały emocje odczuwane dawniej przy biurku i mapach. Jednak te chwile przemijały i nawet jeśli rozmawiali, nie mogli do niego dotrzeć. Tata był nieosiągalny. Aż w końcu zniknął pośród swoich spraw, wchłonięty przez Japonię.

Torba z Konsumu z czarną księgą piwniczną i pamiętnikami Kristiny Traneus przez dwa dni leżała nietknięta. Kiedy Fredrik wziął ją do ręki i usiadł w salonie, ogarnęły go wspomnienia z piwnicy.

Wiedział, że nie powinien pozwolić na powrót do tego miejsca, rozgrzebywanie tej sprawy, ponowne budzenie uczuć, ale nie potrafił się powstrzymać. Jednocześnie wiedział, że rozmyślanie o znaczeniu tego wszystkiego to strata energii. I tak do niczego nie doprowadzi.

Odłożył dzienniki Kristiny Traneus, otworzył księgę piwniczną i poczuł, że papier wydziela zapach nagromadzonych przez dziesięciolecia kurzu i wilgoci. Szybko przejrzał bordeaux, burgundy, wina alzackie, włoskie czerwone wina z Piemontu i białe z Górnej Adygi. Wiele z nich rozpoznawał po swoich oględzinach piwnicy. Arvid Traneus prowadził wręcz pedantyczne notatki. Kiedy wyjmował jakąś butelkę, natychmiast to zaznaczał, zapisywał też okazję, z której dana butelka była odkorkowywana – na przykład

urodziny syna. W pierwszej kolumnie po prawej Fredrik znalazł więcej urodzin, ale nie widział dwudziestki córki. Czy to oznaczało, że nie przyjechała ich świętować na Gotlandii? A może Arvida Traneusa nie było w Szwecji? Urodziny Kristiny Traneus – w środku lata, drugiego lipca – uczcili spokojnie, jedną butelką beaujolais. Może też organizując inną, większą imprezę ze skromniejszymi winami, które nie zaliczyły międzylądowania w piwnicy i dlatego nie zostały zapisane w księdze?

Czego Fredrik właściwie się spodziewał? Gdyby miał być naprawdę szczerzy, chyba musiałby przyznać, że oglądał księgę Arvida Traneusa głównie dla rozrywki. Żeby mieć okazję poślinić się trochę przy winach, do których sam nigdy nawet się nie zbliżył. Jako inny rodzaj mapowego podróżnika, siedzącego w najlepszym fotelu.

Przerzucił jeszcze kilka kartek i powędrował wzrokiem po wersach. Zatrzymał się przy czterech butelkach rieslinga, które również zostały wyciągnięte na początku lipca, zaledwie kilka dni po urodzinach jego żony, ale to było jeszcze wcześniej, szóstego lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku. Obok daty było zanotowane słowo „Przygoda”. Taki komentarz pobudzał wyobraźnię. Fredrik przeglądał księgę trochę na chybił trafił i wkrótce znalazł więcej butelek zabranych na „Przygodę”. Wszystkie notatki zostały zrobione latem, większość w lipcu, była też jedna na początku sierpnia. Przygoda, za każdym razem tylko to jedno słowo. O jaką przygodę chodziło?

Fredrik odłożył księgę, sięgnął po jeden z pamiętników i próbował znaleźć którąś z dat oznaczonych słowem „Przygoda”. Szybko spostrzegł, że części, które otrzymał, nie zawierają interesujących go okresów. Otworzył więc jeden z pamiętników na lipcu innego roku i zaczął przeglądać staranne i czytelne zapiski Kristiny Traneus. Nie znalazł nic szczególnego, więc przeszedł do dwóch kolejnych lipców zawartych w pamiętnikach, ale i tam nie było żadnych przygód. Kristina opisywała wszelkie zdarzenia – ze szczegółami, ale jednocześnie zwięźle i wymijająco. Byłam w Hemse i zrobiłam zakupy na weekend. Spotkałam Ingrid. W październiku jadą na tydzień do Paryża. Oddałam rower Elin do naprawy u Endrella. Mogę go odebrać w środę. Zastanawiam się, czy po południowej stronie nie posadzić winorośli. Miło byłoby mieć winogrona deserowe.

Po chwili lektury Fredrik doszedł do wniosku, że autorka praktycznie nigdy nie ujawniała niczego o sobie. Notowała zdarzenia danego dnia, tak neutralnie, jakby sporządzała protokół na zebraniu zarządu. Małe odstęp-

stwo w postaci wzmianki o chęci zasadzenia winorośli w kontekście całości robiło wrażenie wręcz odważnego.

Czy można było wyciągnąć jakieś wnioski z tego, czego najwyraźniej brakowało? Czy pamiętniki nie były wentylem dla uczuć, rozmyślań, a może i tajemnic? Fredrik nigdy nie prowadził pamiętnika, ale tak to rozumiał. Czy w takim razie to był pamiętnik prowadzony przez kobietę kontrolowaną przez męża, a więc nawykłą, że każdy nieprzemyślany komentarz może być opacznie zrozumiany i wzbudzić jego gniew? A ujmując rzecz bardziej wprost: jedno nieostrożne słowo mogło się zakończyć złamaniem żebra?

Nawet pamiętnikowi nie mogła powierzyć swoich najskrytszych myśli. Stał się zatem tylko czymś w rodzaju referatu z wydarzeń. Pomocą dla pamięci, która mogła przywołać inne zdarzenia – takie, które musiała zachować dla siebie.

To jak swoiste więzienie, pomyślał. Bycie zamkniętą wewnątrz siebie. W końcu znalazła kogoś, z kim mogła porozmawiać, komu mogła się zwierzyć. Rezultatem była śmierć.

Dalej przeszukiwał notatki sprzed trzech lat – ostatnie zawarte w dwóch częściach, które ze sobą zabrał. Pod trzydziestym sierpnia znalazł wpis: Położyłam kwiaty na grobie Stefanii. Dziś minęło siedem lat.

Nic więcej.

Piątek, 3 listopada, szpital Karolinska, Solna

Wszystko było już jasne. Fredrik kontaktował, widział pomieszczenie i Sarę w brzydkim ergonomicznym fotelu. Słyszał każde jej słowo. Wiedział, kim jest, i rozpoznawał ją, tak samo jak Ninni, dzieci i tych znajomych, którzy przyszli i uśmiechając się z zawstydzeniem, nie wiedzieli, gdzie podziąć oczy.

Z kolei to, o czym opowiadała Sara, śledztwo, przy którym powinni pracować razem, było kompletnie obce. Mogła to być jakaś bujda albo sytuacja, w której koleżanka opowiada koleżdze z pracy o sprawie – i oczywiście to robiła – ale powinno znaczyć o wiele więcej. Stanović relację z czegoś, co przeżyli razem... ale Fredrik nic nie pamiętał.

Miał ochotę ją ponaglić, poprosić, by skoncentrowała się na fragmentach, które dotyczyły jego, i pominęła wszystko inne. Jakimś sposobem przeczuwał, że w tej historii znajdzie się wyjaśnienie, dlaczego leży w szpitalu. Domyślał się, że nie siedziałaby tutaj, opowiadając o tej sprawie, gdyby prędzej czy później nie miała przejść do tego, co wygasiło jego pamięć.

Chciał ją poprosić, lecz nie potrafił. Zorientował się, że słowa, które wypowiada, nie są zrozumiałe dla innych.

– Na pewno przeprowadzono śledztwo w sprawie wypadku jeździeckiego, ale nigdy nie udało nam się znaleźć żadnych dokumentów. Wypadek w miejscu pracy sprzed trzydziestu trzech lat... Po prostu się tego pozbyli. Albo doszło do jakiegoś zaniedbania, nie wiem, w każdym razie nie ma po tym ani śladu w naszych rejestrach.

Sara założyła nogę na nogę i lekko zsunęła się w fotelu.

– W końcu jednak znaleźliśmy świadka. Ragnara Jonssona. Kiedy to się wydarzyło, pracował w gospodarstwie. Nie widział samego wypadku, ale słyszał hałas i krzyki, więc pobiegł do stajni. Nie chciał wierzyć, że stało się to, na co wyglądało. Nie mieściło mu się w głowie, że Traneus wysłał ich akurat do tego konia. Według niego Arvid może by sobie poradził z Valdemarem, ale nie kuzyn. Nigdy w życiu. Był dla tego konia zupełnie obcy.

Scena, którą odmalowała przed nim Sara, zaangażowała go i na chwilę zapomniał, że najchętniej przewinałby do tego, co miało związek z nim. Zobaczył przed sobą to co Ragnar Jonsson, gdy wbiegł do stajni z taką prędkością, że prawie się poślizgnął i upadł na betonową posadzkę. Koń w

drewnianym boksie, toczący wściekłym wzrokiem, ale spokojny. Chłopak na posadzce boksu, nieżywy, wyciągnięty przy ścianie, a obok niego przerażony Arvid, niezdolny do jakiegokolwiek ruchu, wpatrujący się w nieruchomego kuzyna. Ragnar Jonsson przez krótką chwilę widział coś nowego w Arvidzie – człowieku, który nigdy nie okazywał najdrobniejszego wahania, zawsze wiedział, co powiedzieć, i nie cofał się przed wyzwaniem: na kilka sekund zajrzał w otchłań, kompletnie nieprzygotowany na spotkanie z nią. A otchłań patrzyła na niego.

Ricky nie potrafił sobie przypomnieć, co robił w piwnicy i czy miał wtedy jedenaście czy trzynaście lat. Może to nie był jeden raz, lecz wiele. Ale pamiętał Stefanię.

Miał ją przed oczami, jej długie jasne włosy, które były łamliwe i dlatego sterczały jej na głowie jak świeżo podlane kwiaty. Kojarzyły mu się z dmuchawcem, przez który prześwituje słońce. Pamiętał tę myśl. Stefania nienawidziła swoich włosów. Lakierowała je i używała różnych żelów, żeby się lepiej układały.

Pamiętał jej wysoką, wątlą sylwetkę pochyloną nad sedesem. Stała mu przed oczami.

Ale czy naprawdę ją widział?

Wspomnienie było bardzo wyraźne, ale dwanaście, może trzynaście lat później nie potrafił wyjaśnić, jak to się stało, że ją widział. Co robił w piwnicy? Czy się tam podkradł? Poszedł za nią, gdy ona, nie zwracając na siebie uwagi, zeszła po schodach?

Może wytworzył sobie w głowie ten obraz. To było całkiem możliwe. Nie mógł jednak stworzyć go z niczego. Słyszał ją. Ceramiczne echo dobiegające z toalety obok sauny. Uznał, że jest chora, ma problemy żołądkowe, i zaczął myśleć o tym, jak strasznie jest wymiotować. Kiedy człowiek za wszelką cenę chce przestać, a jednocześnie wstępuje na niego zimny pot i ogarniają go fale mdłości. Pomyślał wtedy, że Stefania właśnie tak musiała się czuć, że nie miała już siły tego powstrzymać. Najwyraźniej wymknęła się do piwnicy i dała za wygraną, pozwalając, by skurcze żołądka wzięły górę. Ustąpiła pod naporem całego tego obrzydliwego kwasu, który jakby atakował od środka. Atakował i jednocześnie wydostawał się na zewnątrz. Dziwna to siła, która przypuszcza brutalny atak na człowieka, żeby się z niego wydostać. Czy to znaczy, że ciało stawia opór? Tak, a przynajmniej on zawsze próbował walczyć. To było złe, przypominało koszmar na jawie, któremu człowiek przenigdy nie poddałby się dobrowolnie. To, co się zjadło, nie powinno uciekać tą drogą.

Słyszał ją, z całą pewnością. Raz, może kilka razy. Pewnie kilka. Inaczej chyba tak mocno nie wryłoby mu się w pamięć i coś, co pewnie tylko sły-

szał, nie zmieniliby się w obraz. Pomyślał, że jest chora. Było to zresztą całkiem możliwe. Kiedy był mały, sam często miał problemy żołądkowe. Wystarczyło, że zachorował, i już zaczynał wymiotować. Dlaczego jednak musiała się wymknąć do piwnicy, jak chore zwierzę szukające zakamarka, w którym może umrzeć? Sam pamiętał dłoń mamy na czole, chłodną, wilgotną szmatkę, którą ocierała go z potu i wymiocin, szklanek wody podsuwaną do ust, by spłukać ten paskudny kwas. Ale Stefania wymiotowała samotnie w piwnicy. Kiedy słuchał odgłosów dobiegających z sauny, nie potrafił sobie wyobrazić niczego straszniejszego niż wymiotowanie w samotności.

Coś stuknęło, szczykało i hałaśliwie próbowało się wedrzeć do snów Fredrika. Ze wszystkich sił starał się obronić przed tymi nieprzyjemnymi dźwiękami, udawać, że nic mu nie przeszkadza, aż do momentu, kiedy już nie spał, tylko leżał rozbudzony z zamkniętymi oczami. Z jękiem przewrócił się na lewy bok i spojrzał na czerwony budzik z Ikei. Było dwadzieścia pięć minut przed ósmą. Göran poradził mu, by się zdrzemnął kilka godzin. Wszyscy musieli trochę dojść do siebie po trwającej prawie dwa tygodnie nieustannej harówce. Wręcz zabronił mu przychodzić do pracy przed jedenastą. A tu coś takiego.

Wyraźnie nadwyreżony silnik kosiarki warczał gdzieś bardzo blisko, wprawiając w drgania stare futryny okienne i tym samym przypominając Fredrikowi, że należy je ponownie uszczelnić. Dopiero kiedy włożył szlafrok, przyszło mu do głowy, że to na pewno Joakim wyszedł z kosiarką i że sam mu kazał przystrzyć trawę, a nawet obiecał za to pięćdziesiąt koron.

Pieniądze najwyraźniej dodały Joakimowi skrzydeł, ale kiedy Fredrik występował z ofertą, nie miał na myśli godziny siódmej trzydzieści rano.

Zacisnął pasek i zszedł po schodach. Słyszał, że Ninni popędza Simona w kuchni. Po chwili rozległ się tak rozdzierający zgrzyt i pisk kosiarki, że aż bolały zęby. A potem zapadła cisza.

Fredrik otworzył drzwi i wyjrzał na zewnątrz, ale nie zobaczył Joakima. Chłopak musiał być na drugim rogu domu, bliżej grządek. Fredrik zamknął drzwi i wszedł do pokoju naprzeciwko kuchni – tego, który po mniej więcej rocznych deliberacjach stał się wspólną pracownią jego i Ninni, choć to przede wszystkim ona z niej korzystała.

Zobaczył Joakima opartego o kosiarkę, którą obrócił na bok. Ten wysoki chłopak lekko klęknął i prawie zgiał się wpół. Fredrik odczepił haczyki z

okna i otworzył.

– Jak poszło?

Joakim wskazał ostrze na spodzie odwróconej kosiarki.

– Nie za dobrze.

Najwyraźniej za bardzo ściał zakręt przy kamieniach otaczających grządki. Długie czarne ostrze wygięło się w nieregularną literę Z.

– Pamiętaj tylko, żeby wyjąć kabel zasilający, zanim zaczniesz się z tym bawić – powiedział i zrobiło mu się trochę smutno, że zawsze musi wejść w rolę kogoś, kto napomina. Co jednak począć, kiedy rodzony syn prawie wkłada palce w ostrze kosiarki, które mogłoby mu je odciąć w ułamku sekundy?

– Już to zrobiłem – odparł Joakim i obrócił urządzenie gaźnikiem do góry.

Fredrik skinął głową i się uśmiechnął, bardziej w reakcji na swoje zachowanie niż z jakiegokolwiek innego powodu.

– Okej, w porządku – powiedział. – Wygląda na to, że damy sobie radę.

Utkwił wzrok w wybrzuszonym ostrzu. W miejscach, w których nie trafiło na kamienie, wciąż było niebezpieczne jak świeżo naostrzone noże. Ostrze od kosiarki. Właściwie... czemu nie? Jeśli trzyma się je w rękawiczkach, bo w przeciwnym razie można pewnie się zaciąć. Czy po prostu szukali mordercy z ranami na rękach?

– Zostaw ją tak. Później to naprawię – powiedział i zamknął okno.

Telefon komórkowy nadal leżał na górze. Kiedy pracowali nad jakąś sprawą, zawsze przed snem kładł go na nocnym stoliku. Zaczął wbiegać po schodach, ale w połowie drogi się zatrzymał. Nie miał ochoty dzwonić do Evy z domu.

– To cholerne wariactwo. Naprawdę wyszłaś i wsiadłaś na rower.

Ricky patrzył na Elin lodowatym wzrokiem, jakby bardziej się dystansując niż szykując do walki. To ją przerażało, sprawiało, że czuła się potwornie samotna. Mało brakowało, a zabrałaby wszystko, przeprosiła, zrobiła cokolwiek, byle tylko wymazać ten chłód z jego spojrzenia. Było to jednak niemożliwe. Kiedy miała otworzyć usta i skłamać albo chociaż powiedzieć coś niezgodnego ze swoimi przekonaniem, nie potrafiła.

Nie umiała milczeć, na tym polegał cały problem. Mogła mieć pretensje tylko do siebie. Poza tym pili alkohol, co też nie było bez znaczenia. Kiedy

już jej się znudziło szperanie w butelkach Ricky'ego, pojechała do sklepu monopolowego i kupiła karton wina.

Czuła się głupia. Po trzech kieliszkach myśli, które sprawiały wrażenie tak jasnych i zrozumiałych, nie chciały przejść przez gardło.

– Nie rozumiem, jak możesz tego nie widzieć – powiedziała. – To wygląda tak, jakbyś ze wszystkiego zrobił jakiś cholerny świat marzeń.

– Zastanawiam się, kto tutaj jest marzycielem – odparł Ricky.

Wstali oboje. Wcześniej siedzieli przy czarnym stole w kuchni i naprawdę dobrze się czuli, dopóki Elin nie zaczęła mówić niewłaściwych rzeczy i okazało się, że nie mogą już dłużej usiedzieć. Pierwszy wstał Ricky. Myślała, że sobie pójdzie i ją zostawi, ale po dwóch krokach odwrócił się do niej i wlepił w nią wzrok.

– Stefania zawsze była – odezwała się. – Zawsze towarzyszyła nam dwojgu, kiedy spędzaliśmy czas z rodziną, biegała przy mnie i przy tobie, przynajmniej dopóki miała siłę.

– Tak, ona... – zaczął i urwał. Spróbował jeszcze raz: – Stefania była zawsze. Jasne. Opiekowała się nami, to prawda. Dobrze nam było razem.

Przełknął ślinę i umilkł, a potem spojrzał na Elin.

– Nie psuj tego.

– Nie próbuję zepsuć. Stefania była najlepsza na świecie. I dobrze się czuliśmy ze sobą. Bardzo dobrze. Wszyscy troje. Ale czy kiedykolwiek cię zastanowiło, dlaczego zawsze była? Dlaczego chodziła z nami i pilnowała, abyśmy się trzymali razem? Nastoletnia dziewczyna, która spędza czas z młodszym rodzeństwem? Zastanów się nad tym. Dlaczego zawsze tak nadskakiwała tacie, kiedy z nami był, i tak cholernie jej zależało, żeby miał dobry humor, chciała zawłaszczyć jego uwagę, całkowicie zając go sobą?

– Nie, nie, to...

Ricky wyciągnął ręce w powietrze, jakby chciał zatrzymać walący się na niego wielki ciężar, potem zgiął je z powrotem i potargał sobie włosy.

– Nie widziałeś tego? Nie dotarło to do ciebie?

Stała lekko pochylona i gestykulowała, mówiąc.

– Dotarło? A do ciebie co dotarło? – odparł i wybuchnął wymuszonym śmiechem. – Ile mogłaś mieć wtedy lat? Osiem? Dziewięć? Co rozumiałaś? Nie widzisz, że to są sztuczne konstrukcje, twoje wymysły po lekturze sterty książek psychologicznych?

Ricky przyłożył palce wskazujące do skroni i wpatrywał się w siostrę.

– To istnieje tutaj. W twojej głowie i w tamtych książkach.

– Uspokój się – powiedziała.

Kiedy Ricky podniósł głos, poczuła, że kropelka śliny trafia w jej policzek.

Opuścił ręce wzdłuż tułowia.

– Mylisz się – powiedział i ruszył przed siebie.

Odwrócił się do niej plecami i wyszedł z kuchni, powoli i panując nad sobą, jakby chciał zaznaczyć, że wcale nie jest zdenerwowany, ale już wystarczy. Koniec rozmowy.

Elin ruszyła za nim.

Dlaczego nie mogła po prostu ustąpić, zamilknąć? Jakie to miało znaczenie? Ale nie mogła. Nie potrafiła znieść, że on próbuje zmienić historię, prawdę. Musiała zaprotestować. Dla Stefanii, dla mamy i dla siebie.

Ricky poszedł do salonu, wziął gazetę ze stolika i zaczął ją przeglądać, udawał zajętego. Elin go okrążyła, stanęła kawałek dalej z założonymi rękami, twarzą do niego. Ricky zwiesił głowę nad gazetą, nie chciał jej widzieć.

– Jak myślisz, co ona robiła? – spytała Elin.

– Co? – odparł, nie podnosząc wzroku.

– Te wszystkie jej zachowania. Jak ci się wydaje, po co to było? Najwyraźniej wydaje ci się, że wiesz. No to o co chodziło? Dlaczego tak się zachowywała?

Ricky odłożył gazetę i ciężko westchnął.

– Nie rozumiem, co mam według ciebie powiedzieć. Już o tym rozmawialiśmy.

– Ale może byś mi wyjaśnił, skoro byłam stanowczo zbyt mała, żeby cokolwiek zrozumieć, a poza tym jestem zmanipulowana przez swoje studia, zafiksowana na psychologicznej gadce, bo nie może być inaczej po... łooo...

Urwała, żeby zatrzepotać rękami i dodała:

– Całych sześciu tygodniach nauki.

Oczy Ricky'ego nie były już zimne, lecz miały błyskawice. Robił się wściekły.

– Bo się o nas troszczyła. Było nam dobrze ze sobą, przecież już o tym...

– A co z tatą? Dlaczego tak się przed nim popisowała, pajacowała i pchała mu się na kolana? Jak myślisz, o co tu chodziło i ile ją kosztowało?

Miała wrażenie, że jej głos zaraz zacznie drżeć, ale tak się nie stało. Mówiła stanowczo i z opanowaniem.

– Jak to ile kosztowało?

– Chodzi mi o cenę. Jaką cenę zapłaciła za to, że próbowała ratować mamę?

Ricky pokręcił głową. Było cicho w pokoju, cicho na zewnątrz, żadnych samochodów, traktorów, zwierząt czy ludzi, tylko bezgłośny sznur ptaków na niebie, tak daleko, że wydawały się nieruchome.

– Nic nie zrozumiałaś. Okej, tata jest czasem trudny i potrafi zepsuć miły wieczór swoimi humorami, zdarzyło mu się to nie raz. Ona chciała tylko, żeby wszyscy byli weseli. To kompletnie nie jest tak, jak myślisz.

Elin utkwiała wzrok w Rickym.

– Zapłaciła za to w sposób, którego nie potrafisz sobie nawet wyobrazić.

– Chyba oszalałaś. Naprawdę. Zaraz jeszcze powiesz, że z nim sypiała. To byłoby do ciebie podobne...

– Nie, nie powiem tego. Ale tyrała jak cholerna niewolnica, żeby obronić nas przed tatą. Ciebie, mnie, a przede wszystkim mamę. Żeby jej nie zabił. Nie rozumiesz? Oszalała od tego. Umarła. On ją zabił.

Nie chciała, by zabrzmiało to tak brutalnie. Nie miała zamiaru wpychać mu tych słów na siłę. Sam powinien to dostrzec, ale została zmuszona przez jego upartą niechęć. Jakoś musiała przebić tarczę, za którą się chował. Zrobiła to. A on oddał cios.

Uderzył ją w dolną część policzka i w szczękę. To był tylko policzek, ale wyprowadzony aż z barku. Popatrzyła na niego bez słowa, a jej szeroko otwarte oczy były ciężkie od łez. Czuła bardziej paraliż niż ból, jakby nie tylko prawa połowa twarzy, lecz całe ciało straciło czucie.

– Przepraszam, przepraszam, Elin, przepraszam, nie wiem, ja tylko... Nie myślałem. Elin, przepraszam...

Ciąg słów docierał do niej jakby z oddali. To wszystko było tak przewidywalne, kiepskie, parszywe i przerażająco smutne. A potem tama puściła. Elin nie płakała, po prostu łzy się polały, gdy dolne powieki nie mogły ich już więcej unieść. Ot, zjawisko fizjologiczne, którego nie dało się zatrzymać. Nie płakała.

– Zobacz, tak dobrze ci idzie bronienie go, że sam się nim stałeś.

Jego twarz się pomarszczyła, jakby to on cierpiał. Jakby to ona uderzyła jego.

Stefania z podręcznikiem w ręce. Jej głos, szybki i radosny. Marzyła o czymś, co miało nadejść. O jakiejś podróży, o przyszłości. Widziała siebie w przyszłości, odmalowywała obraz osoby, którą się stanie. Czasami siadywała na krawędzi łóżka i czytała młodszemu rodzeństwu bajkę. Wizja podręcznika do niego wraca. Strona z angielskimi słówkami, goła noga, podkoszulek w prążki z różową rozetką pod dekoltem z przodu. Szybko idzie przez pokoje na długich, sprężystych nogach.

Wspomnienia o niej w głowie Ricky'ego były głównie takimi mgnięciami. Oczywiście pamiętał, że na samym końcu miała czternaście lat. W dniu, kiedy wsiadła do samochodu obok mamy, by już nigdy nie wrócić do domu. Tata pojechał do Japonii, a blade, żółtobiałe jabłka pospadały z drzew. Stefania wpatrywała się w swoje kolana, długie włosy zasłaniały jej twarz. Patrzył za nią, ale nie spojrzała mu w oczy. To oczywiście pamiętał. Jednak wtedy była już daleko. Nawet jeśli czasami mówiła o przyszłości, popadała w to swoje trajkotanie, któremu towarzyszył szeroki uśmiech, już nie było jak dawniej. Mama powiedziała, że Stefania jest chora, i od tamtego czasu nie słyszało się już niczego, tylko chorobę. Wszystkie próby snucia opowieści i marzeń zostały przez nią przefiltrowane. Nawet jej ruchy i spojrzenia były nią zabarwione. Przede wszystkim była chorą osobą, a dopiero w drugiej kolejności Stefanią.

Z dawnego czasu, tego ze zdrowym głosem i szybkim przemieszczaniem się po domu, zostały tylko przebłyski. Była tak wysoka, pomyślał, lecz może tylko się taka wydawała z powodu drobnej budowy. Wysoka, chuda, z gołymi nogami, pomyślał z jakiegoś powodu. Blade, gołe nogi, blade nawet latem. Ale może to nie była prawda, może wcale nie miał żadnych letnich wspomnień. A, no tak, w drodze na wyspę, z mamą w kokpicie Przygody. Stefania opalała się podczas każdego rejsu. Na pewno bywała brązowa, ale nie potrafił zobaczyć tego w wyobraźni.

Widział podręcznik, kartkę ze słówkami, to, jak krzyczała za tatą, pędząc przez salon. Wyciągała pracę domową w wyprostowanej ręce – zarazem ponaglająco i prosząco. Widział też te długie, blade nogi wdrapujące mu się na kolana. Tata obejmował ją i książkę czy kartkę, a potem przyglądał się

zadaniu. Niskim głosem prowadził ją do rozwiązania. Ona cała zaś iskrzyła i promieniała, miała w sobie więcej życia, niż wydawało się to możliwe. Myślał o uśmiechu jej szerokich ust, o spojrzeniach przeszywających na wylot i o słowach, które przyprawiły o zawrót głowy, o zabawach, planach, radach, wszystkich wydarzeniach, które miały się odbyć. A może to dlatego, że później tak bardzo się zmieniła, prawdziwa siostra wydawała się kimś o wiele doskonalszym, jakby żyła we własnym świecie, w którym można naginać reguły przyrody?

Miał dwa zdjęcia Stefanii. Jedno ciepłe, pełne życia i marzycielskie i drugie – szare i upiorne. Jednak ani jedno, ani drugie nie miało nic wspólnego z tym, o czym mówiła Elin. Z pewnością wystarczyło odpowiednio długo szperać w rozmaitych teoriach psychologicznych, by dojść do wniosku, że ona w pewnym sensie flirtowała z tatą, a on – również w pewnym sensie – na to pozwalał. Może nawet nie trzeba było szukać szczególnie długo, to pewnie było już w formularzu 1A. Stefania była najlepszym człowiekiem na świecie, a potem zachorowała. Życie nie jest sprawiedliwe.

Słyszał, jak wymiotowała w piwnicy, a raz widział. Widział, jak wkładała rękę w wymiociny i ich próbowała. Wtedy prawie sam od tego zwymiotował, ale dopiero teraz zrozumiał, dlaczego zjadała własne rzygi. Robiła to po to, by wymiotować dalej.

Kiedy Fredrik mijał Väte, zaczął padać lekki deszcz, ale gdy zaparkował przed komisariatem, już nie padało, a chmury zaczynały się rozpraszać. Asfalt prawie nie był mokry.

Zaraz po wejściu do swojego pokoju Fredrik podniósł słuchawkę, żeby zadzwonić do Evy w sprawie ostrza kosiarki, ale się zawahał, trzymając palec na pierwszej cyfrze.

Czy naprawdę było tak źle? Z dystansu przeszło w coś cholernie nierealnego?

Rozwiązał dylemat, wysyłając esemesa i przy okazji pytając ją o pamiętniki Kristiny Traneus. Od razu otrzymał odpowiedź.

W kosiarce było ostrze. Sama ją obróciłam. Nie zauważyłam, żeby coś się oderwało, ale mogę się upewnić. Łatwo przeoczyć coś, czego się nie szuka. Nie mam żadnych notatek na temat pamiętników. Musisz popytać.

/e

Spojrzał na sygnaturę „e”. Co to miało znaczyć?

Po pewnym czasie spędzonym na bieganiu między pokojami i po kilku rozmowach telefonicznych doszedł do wniosku, że to Lennart musiał zabrać pamiętniki do domu. Zastanawiał się, czy podjechać po nie samochodem – w końcu Lennart mieszkał nie więcej niż piętnaście minut od komisariatu – ale postanowił, że zadzwoni.

Lennart odebrał po siedmiu sygnałach. Fredrik wyobraził go sobie gramolącego się z podłogi, na której leżał wyciągnięty z powodu pleców. Bywało, że tak samo przez całe lato leżał jego tata, po tym, jak podniósł zbyt ciężki kamień przy domku letniskowym.

– Co u ciebie? – zapytał Fredrik i pociągnął za kabel od słuchawki, który tak się zawinał, że miał tylko połowę długości.

– Wszystko na dobrej drodze – odparł Lennart i zakaszłał.

Miał schrypnięty głos.

– Tylko smutno iść do domu. Sam słyszysz, człowiek zaczyna charczeć. Nie ma z kim porozmawiać.

– Wypożycz sobie z biblioteki w Roma jeden z tych kursów językowych na płytach – powiedział Fredrik i usiadł, żeby nie musieć już walczyć z kablem.

Złapał długopis i zapisał na karteczce samoprzylepnej „kabel od telefonu”, choć wiedział, że i tak nic z tym nie zrobi. W każdym razie do zakończenia śledztwa.

– Może japoński, co o tym sądzisz? – zapytał Lennart. – Ella i ja zamierzamy w lutym pojechać na dwa tygodnie do Japonii. Odwiedzić Tokio, Kioto i Hiroszimę.

Fredrik poczuł ukłucie zazdrości. Osoby pięćdziesiąt plus, których pociechy wyfrunęły już z gniazda, mają czas i pieniądze na jeżdżenie po świecie. Jeśli nie Japonia, to Chiny, Meksyk albo Kenia. On sam, odkąd urodził się Simon, najdalej był na Wyspach Kanaryjskich. Przedtem zaś niewiele dalej. Tylko że kto chciałby mieć więcej niż pięćdziesiąt lat?

– Możesz zacząć śledzić Traneusa, skoro już tam jesteś.

Lennart tylko się roześmiał.

Fredrik wyjaśnił, w jakiej sprawie dzwoni, a Lennart już po chwili miał pamiętniki w rękach. Jakby trzymał je tuż przy telefonie.

– Chodziło ci o lipiec dziewięćdziesiątego czwartego?

– Tak jest.

Na chwilę zapadła cisza. Lennart szukał.

– O, mamy.

– Możesz sprawdzić, czy jest tam coś o przygodzie, pisanej małą lub wielką literą? Szóstego lipca albo później?

– Zobaczmy – powiedział Lennart i podśpiewując pod nosem, zaczął przebiegać wzrokiem tekst. – Nie, nie widzę tutaj nic przygodowego. Ale może daj mi piętnaście minut, a oddzwonię?

– Ale co tam jest napisane? Szóstego lipca? – zapytał Fredrik, ignorując propozycję.

– Mam przeczytać?

– Tak.

– Okej. „Szósty lipca. Spakowałam Elin i Rickarda. Musiałam pojechać po środki przeciwko komarom i mleko w kartonie. Arvid i Rickard jak zwykle siedzieli nad mapą morską”. To wszystko.

– A siódmy lipca? – zapytał Fredrik.

– „Siódmy lipca. Dzisiaj popłynęliśmy na wyspę. Wczesnym rankiem odbiliśmy od brzegu w Klintehamn. Korzystny wiatr. Całą drogę płynęli-

śmy na żaglu. Arvid powiedział, że bogowie nam sprzyjają. Też mi się tak wydaje. Fantastyczny dzień, błękitne niebo, ciepło i przyjemnie. Od samego Hoburgen wiało od rufy”.

Lennart przerwał.

– Mam czytać dalej? To się ciągnie w tym samym stylu...

– Nie, wystarczy.

Łódka. Powinien był skojarzyć.

– Pomogło ci to coś? – spytał Lennart.

– Być może. Sprawdźmy.

W nocy padał deszcz. Powietrze było chłodne, a żwirowa droga między polami a pastwiskiem ciemnoszara i trochę błotnista. Johannes Klarberg odłamał sobie kij z przydrożnych zarośli i szedł, trzymając go w ręce. Wbijał go w ziemię mniej więcej co cztery kroki. Kiedy kij robił dziurę w mokrej nawierzchni, docierając aż do suchego podłoża, wzbijały się obłoczki pyłu.

Wysłano go tutaj, żeby znalazł dwie świny, które gdzieś uciekły. Zmuszono do tego. Wstydził się, że jego ojciec wpadł na ten pomysł ze szczęśliwymi świnkami. Co prawda ludziom w szkole już po tygodniu znudziło się wołać za nim „szczęśliwa świnka”, ale i tak był zażenowany. Poza tym one cały czas uciekały. No, może nie cały czas, ale to już był drugi raz w ciągu miesiąca.

Próbował przekonywać, że nie jest to obowiązek domowy, przy którym powinien pomagać. Bo w istocie była to robota taty. Jednak tata odparł, że w dniu, w którym rzeczywiście wykona swoją część planu przyczepionego taśmą po wewnętrznej stronie szafki z przyborami do sprzątanania, nie będzie już musiał biegać za świniami.

Jaką swoją część planu? Nigdy się nie domagał wprowadzenia go. Powstał dwa lata wcześniej, po odwiedzinach u kuzynki mamy w Västerås. Mama poczuła inspirację, kiedy zobaczyła, jak wszystkie dzieci z tamtej rodziny biegają niczym skauci o wypranych mózgach, zbierając ze stołu, zmywając i odkurzając.

Mocniej wbił kij i ochlapał sobie przy tym błotem czarną kurtkę z kapturem.

– Kurwa!

Strzepnął błoto ręką, ale została szara plama, której nie dało się usunąć.

Johannes wiedział bardzo dobrze, gdzie szukać. Zawsze w tym samym miejscu, mniej więcej pięćdziesiąt–sto metrów w głąb zagajnika z brzoza

i dębami na łące sąsiadującej z pastwiskiem, z którego uciekły. Minał dużą tablicę reklamową z beznadziejnym hasłem o szczęśliwych świnkach i próbował na nią nie patrzeć, kiedy się rozglądał przed przejściem przez jezdnię na łąkę.

Pod butami słychać było szelest i trzaskanie suchych gałęzi i wilgotnych liści. Czuł zapach ziemi. Wypatrywał między drzewami i prawie wdepnął w świeże świńskie gówno. Czyli dobrze obstawiał. Ruszył dalej. Jego trampki błyszcząły od mokrych liści i trawy.

Zobaczył jedną z nich. Z brunatnymi łatami na różowym tle, do połowy ukrytą za grubym pniem brzozy. Zawsze trudno było je zatrzymać przy sobie, w przeciwieństwie do dorosłych, które nie wydawały się zainteresowane walką o wolność. Jeszcze gorzej było z maluchami. Z nimi jedna osoba nie dałaby sobie rady. Były zwariowane i szybkie jak cholera. One jednak już pojechały do rzeźni.

Świnie wyryły w ziemi dużą dziurę i usypały małe stosy z czarnej ziemi. Locha, kiedy go zauważyła, przesunęła lekko w bok tylną część ciała i rzuciła mu obojętne spojrzenie. Miała coś w pysku – zasypanego ziemią, syfiastego, wiotkiego. Wyglądało jak martwa wrona albo jakieś inne małe zwierzę, może wiewiórka.

Znieruchomiał. Patrzył na lochę i to, co trzymała między zębami. Nie zwierzę. To, co wziął za martwego ptaka, było czymś zupełnie innym.

Zapach tytoniu był silny. Göran Eide niemal widział nad biurkiem jasnoszare smugi dymu. Jak coś, co istniało tylko w głowie, mogło być tak realistyczne? Kusiło go, by pomachać ręką, żeby sprawdzić, czy wpłynie to na wyobrażone opary dymu, które stanowiły złamanie zakazu palenia.

Niestety fantazje o paleniu nie zaspokajały głodu nikotynowego. Wręcz przeciwnie.

Od znalezienia ciał Kristiny i Andersa minęło dwanaście dni, od ich śmierci – dwa tygodnie. Wciąż nie było ani śladu Arvida Traneusa. Göran miał pewność w trzech kwestiach: że Arvid Traneus zabił swoją żonę i jej kochankę, że nie było go już w kraju, lecz przebywał w Japonii lub w jakimś wyspiarskim państewku o bardzo liberalnym prawie bankowo-podatkowym i że go schwytają. Nie w ciągu najbliższych dni lub tygodni, prawdopodobnie nawet nie w bieżącym roku, ale prędzej czy później, za rok lub dwa, ujawni się i będzie mógł zostać zatrzymany przez policję kraju, w którym przebywał.

Arvid Traneus miał dwanaście dni na nawiązanie kontaktu i pewnie by to zrobił, gdyby nie był winny zabójstwa. Ta informacja nie mogła umknąć jego uwadze. Wszystkie możliwe środki masowego przekazu pilnie raportowały o sprawie podwójnego morderstwa. Arvid Traneus był zaś ostatnio widziany na Gotlandii dwa dni przed śmiercią żony i kuzyna.

Zaczął dzwonić telefon. Göran podniósł słuchawkę. To był funkcjonariusz dyżurny.

– Mieliliśmy telefon od osoby, która twierdzi, że znalazła ludzkie szczątki.

– Gdzie?

– Między Etelhem a Hejde, w lesie czy na jakiejś łące – odparł dyżurny.

– Ale co to konkretnie jest, stare kości?

Ochroniarz odchrząknął.

– Informator twierdzi, że to wyglądało jak penis.

Göran poczuł, że siada mu nastrój. Nie miał już siły na kolejne głupoty. Zerknął na terminarz na biurku, żeby się upewnić, że nie obchodzi żadnego jubileuszu jako komisarz czy policjant ani z żadnego innego powodu nie powinien być przygotowany na żarty. Niczego takiego nie znalazł.

– Aha – odpowiedział. – Czy ktoś jeszcze, poza informatorem, widział tę część ciała?

– Nie – odparł dyżurny – ale wysłałem wóz. Powinien tu być lada chwila.

– A ta osoba, która zadzwoniła? Kto to był?

– Młody chłopak, ale wydawał się wiarygodny i bardzo wzburzony. Znalazł to, kiedy szukał zaginionych świń. Świnie rozkopały ziemię i najwyraźniej jedna z nich miała w pysku tę część.

Göran poczuł, że jego nastrój pogarsza się jeszcze bardziej, a głód nikotynowy przybiera na sile.

– Zadzwoń, kiedy będziesz miał potwierdzenie – powiedział i zakończył połączenie.

Policjant Mats Larsson spokojnie patrzył na Johannes Klärberga i słuchał jego opowieści. Obok stał znacznie starszy funkcjonariusz Leif Knutsson, krzyżował ręce i również się przysłuchiwał.

Chłopak twierdził, że znalazł penisa wśród drzew, przy krętej leśnej drodze. Problem polegał na tym, że żaden penis, fragment zwłok, męski organ płciowy czy jak to tam nazwać, nie był już dostępny do oględzin. Świnia miała go w pysku. Jeśli chłopak mówił prawdę, musiała go wygrzebać z ziemi. Kiedy próbował ją skłonić, by wypuściła rzeczony narząd, zeżarła go.

– Jesteś absolutnie pewny tego, co widziałeś?

Johannes Klärberg energicznie pokiwał głową.

– Tak, że bardziej się nie da. Mogę przysiąc. Byłem tak blisko – odparł i zademonstrował odległość, wyciągając rękę na całą długość i unosząc dłoń.

Wyglądał na szesnasto- czy siedemnastolatka, był wysoki, chudy i miał ciemne, niemal czarne włosy, które zasłaniały mu jedno oko.

– Nie zmyśliłeś tego? Wiesz, że udzielanie policji fałszywych informacji może mieć poważne konsekwencje? – rzekł Knutsson i udało mu się powiedzieć to w sposób wzbudzający zaufanie i groźny zarazem.

Johannes Klärberg sprawiał wrażenie, jakby nie rozumiał, o co chodzi Knutssonowi.

– Nie, dlaczego miałbym to zmyślić? – wysapał.

Chłopakowi udało się poprowadzić obie świnie do tej części pastwiska, która chwilowo była nieużywana. Knutsson i chłopak widzieli je z miejsca, w którym stali. Matsowi Janssonowi nie wydawało się prawdopodobne, by chłopak kłamał. Mógłby zadzwonić na numer alarmowy ze zmyśloną histo-

rią, ale trudno było uwierzyć, że stałby tu i okłamywał w żywe oczy dwóch policjantów. Nie był głupi, choć oczywiście to nie wykluczało, że mógł się pomylić.

Knutsson westchnął i wyciągnął telefon. Zadzwoił do dyżurnego, wyjaśnił sytuację, a policjant odparł, że oddzwoni za kilka minut.

Czekając, stali w milczeniu i obserwowali świnie. Miały jasny szaro-różowy kolor i się nie ruszały.

– Jeśli uważacie, że chłopak mówi prawdę, świnie należy uśmiercić – powiedział dyżurny, kiedy oddzwonił.

– Obie? – odparł Knutsson.

– Tak. Nie możemy wykluczyć, że w ziemi jest lub było zakopanych więcej części ciała, a one je znalazły i zjadły.

– Aha. No to co robimy? – zapytał Knutsson, marszcząc czoło.

– Wezwę weterynarza.

– Okej.

– Wiecie, kto jest właścicielem zwierząt? Musicie z nim porozmawiać.

– Ojciec tego chłopaka. Młody próbował do niego zadzwonić, ale dowiedział się, że jest na jakimś spotkaniu. Nagrał wiadomość.

– Przynajmniej wiemy kto to – odparł dyżurny. – Za chwilę przyjedzie weterynarz.

– Okej.

– Na razie będziemy traktować ten teren jako miejsce znalezienia zwłok, więc odgradźcie go.

Knutsson zakończył rozmowę.

– Świnie należy niestety pozbawić życia – zwrócił się do chłopaka.

Johannes Klarberg tylko pokiwał głową, jakby się tego spodziewał.

Leif Knutsson poszedł z chłopakiem drogą dla traktorów w stronę pastwiska. Zabrali ze sobą świnie. Mats Larsson otworzył bagażnik radiowozu i wyciągnął rolkę policyjnej taśmy.

Zawiązał jeden koniec na słupie telefonicznym i idąc w kierunku drogi, rozwinął jakieś sto metrów taśmy. Kontynuował wzdłuż zewnętrznej krawędzi zagajnika graniczącego z polem buraków cukrowych, na którym niedawno odbyły się zbiory. Buraki leżały w wielkim stosie w rogu pola, czekając na transport na kontynent.

Mats Larsson pomyślał, że najlepiej odgradzić duży obszar. Jeśli naprawdę tam były zakopane części ludzkiego ciała, technicy będą chcieli zaj-

rzeń pod każdy liść w promieniu kilku tysięcy metrów kwadratowych. A dziennikarze i ciekawscy gapie zjawiają się, gdy tylko wiadomość zostanie upubliczniona.

Dwadzieścia pięć minut później od strony północnej nadjechał jaskrawoczerwony volkswagen passat kombi. Znajdowali się dwa kilometry na południe od drogi między Hejde a Buttle. Było tam kilka gospodarstw i kawałek pola uprawnego, a poza tym las, cisza, żadnych świadków.

Kierowczyni passata zwolniła przed taśmą i zahamowała całkowicie, gdy Mats Larsson zszedł z drogi dla traktorów i wyciągnął rękę, żeby dać jej do zrozumienia, że dobrze trafiła.

Kobieta w średnim wieku, o krótkich ciemnych włosach z pasemkami siwizny, ubrana w zielony kombinezon z bawełny, wysiadła z samochodu z dużą czarną torbą w ręce. Zanim podeszła do Matsa Larssona, otworzyła bagażnik, wyciągnęła złożoną płachtę z jasnoniebieskiej folii i wzięła ją pod pachę.

– Ann-Charlotte Jansson, jestem lekarką weterynarii – powiedziała i uścisnęła mu dłoń.

Mats Larsson się przedstawił.

– Pomóc ci z tym? – zapytał i skinął głową w kierunku płachty.

– Tak, weź to, proszę – odparła z uśmiechem i podeszła bliżej, żeby nie musieć stawiać torby na ziemi, kiedy będzie odbierał od niej rulon.

Z szeleszczącym niebieskim ciężarem w rękach Mats Larsson pokazał drogę do pastwiska. Otworzył ogrodzenie pod napięciem i przepuścił Ann-Charlotte Jansson przodem.

Lekarka ruszyła w stronę Knutssona, który czekał z chłopakiem.

– Która ze świń mogła zeżreć penisa? – zapytała, kiedy już się przedstawiła.

– Tamta – odparł szybko Johannes Klarberg i wskazał zwierzę stojące bliżej nich.

– Jeśli to prawda, pewnie zapamiętam ten dzień.

Przy pomocy Matsa Larssona, Knutssona i chłopaka złapała wskazaną swinie i zabiła ją aparatem ubojowym. Poszło szybko i, jak się wydawało, bezboleśnie. Następnie cała procedura została powtórzona z drugą swinia.

Promienie słońca padały na pole i martwe zwierzęta spomiędzy chmur, które poprzedniej nocy przyniosły deszcz. Wiele drzew za polem wciąż miało żywy zielony kolor, ale brzozy całkiem pożółkły.

Ann-Charlotte Jansson rozwinęła płachtę i, na ile się dało, wepchnęli na nią pierwszą świnie.

Lekarka szybko włożyła i zawiązała jednorazowy fartuch z cienkiej folii, wyjęła z torby nóż i zaczęła rozcinać zwierzę od szyi w dół. Przecięła powłoki jamy brzusznej i po kilku kolejnych dobrze umiejscowionych cięciach uwolniła żołądek i jelita. Wyciągnęła je z ciała i położyła na plandecce. Z martwej świni popłynęła krew. Lekarki to nie obeszło, bo miała buty na wysokiej podeszwie, ale pozostali się odsunęli. Johannes Klarberg z zaciekawieniem śledził jej pracę, szeroko otwierając oczy. Mats Larsson i jego kolega Knutsson patrzyli na wnętrze, choć z nieco mniejszym entuzjazmem.

Ann-Charlotte Jansson otworzyła okazały żołądek i odczekała, aż zawartość wypłynie na niebieską folię. Wśród nieokreślonej, częściowo strawionej treści żołądkowej znajdował się większy element. Ostrożnie odsunęła go nożem, którego wcześniej użyła do rozcięcia brzucha. Z torby wyciągnęła butelkę z czymś, w czym Mats Larsson rozpoznał roztwór soli kuchennej, i oczyściła element z częściowo strawionej zielonożółtej mazi.

Wszyscy troje przez kilka sekund w milczeniu wpatrywali się w znalezisko.

– Tak – powiedziała po chwili Ann-Charlotte Jansson. – Powinniście tu sprowadzić lekarza sądowego. Jestem tylko lekarką weterynarii, ale moim zdaniem to wygląda jak ludzki penis.

Oprócz zagajnika odgrodzono również prywatną drogę dla traktorów i tę część drogi publicznej, która z nim graniczyła.

Przy drodze stało pięć pojazdów: bus techniczki Evy Karlén, dwa radiowozy i dwa cywilne samochody policji. Na miejscu, pod odsłuchaniu wiadomości z poczty głosowej, pojawił się również Claes Klarberg, ojciec Johanna i właściciel świń.

– To pańska ziemia? – spytał Fredrik, wskazując odgrodzony teren.

Claes Klarberg pokręcił głową. Był wysoki i ciemnowłosy, tak jak syn. Nie miał ani jednego siwego włosa. Przyjechał na dużym japońskim motocyklu.

– Po tej stronie drogi to ziemia Bjersandera – wyjaśnił i rozsunął zamek kurtki z białej i czerwonej skóry.

– Bjersandera?

– Larsa Bjersandera. To następne gospodarstwo po prawej – odparł, wskazując kierunek północny.

Fredrik zanotował i pytał dalej:

– Nie zauważył pan żadnego samochodu ani innego pojazdu zaparkowanego tutaj w ostatnim czasie?

– Nie, mieszkamy kilometr w tamtym kierunku – odparł Claes Klarberg i kiwnął głową w stronę drogi dla traktorów.

– Czyli nie widzi pan, co się tu dzieje?

– Trochę widzę, ale to spora odległość, a poza tym drzewa zasłaniają.

– Czyli nie przypomina pan sobie, by zauważył coś szczególnego?

Claes Klarberg się zastanowił.

– Może być cokolwiek. Światło, jakiś dźwięk – dodał Fredrik.

– Nie. Ludzie jeżdżą tą drogą, ale nic konkretnego nie przychodzi mi do głowy.

Wystarczyło się rozejrzeć, by zobaczyć, że nikt nie mieszka na tyle blisko, by mieć widok na zagajnik. Znalezienie świadka będzie wymagało szczęścia.

– Jeśli można, chciałbym już się zająć moimi świniami. Nie mogą tak tu leżeć.

Mats Larsson wciąż stał przy zabitych świniach, żeby ptaki i inne zwierzęta trzymały się od nich z daleka. W krótkim czasie pojawiły się dwie mewy i skrzecząc, zaczęły krążyć nad pastwiskiem. Jedna wylądowała na słupie telefonicznym zaledwie kilka metrów od Fredrika i Claesa Klarberga. Wytrwale czekała na możliwość zanurkowania ku wyciągniętym wnętrznościom.

– Oczywiście – odparł Fredrik – nie ma problemu. Jeśli jeszcze będziemy pana potrzebowali, damy znać.

– Wystarczy zadzwonić – powiedział Claes Klarberg.

Rozległ się dźwięk skrobania o korę – to wiewiórka wdrapała się na pień i zniknęła gdzieś w koronie dębu. Eva Karlén i Johannes Klarberg odruchowo spojrzeli w górę i podążali wzrokiem za zwierzątkiem.

Dlaczego jestem taka głupia? – pomyślała Eva, obserwując wiewiórkę, która nagle wyjrzała, siedząc na gałęzi wysoko w górze. Trzymanie rąk z dala od Fredrika Bromana nie powinno chyba być takie trudne? Zauroczył ją, niewątpliwie, ale przecież nie był jakiś cholernie wyjątkowy. Poza tym miał żonę.

Po tym, co się wydarzyło w piwnicy, nie przewracała się z boku na bok, bezskutecznie próbując zasnąć, ale bez większego trudu potrafiła na powrót ożywić wspomnienie ich pocałunku. Było zarazem podniecające i straszne. Co to oznaczało? Ile było warte? Najlepiej chyba zapomnieć, że się wydarzyło. Pracować i zapomnieć. Nie myśleć.

– Czyli to było tutaj? – zapytała, przenosząc uwagę na liczący może ze dwadzieścia metrów kwadratowych obszar, na którym ziemia została rozkopana przez dwie świnie.

– Tak – potwierdził Johannes, odgarniając czarne włosy z twarzy. – Stała tuż za tamtą brzozą.

Eva szybko uniosła rękę i go powstrzymała, kiedy zamierzał podejść i stanąć w miejscu, w którym kilka godzin wcześniej stała świnia.

– Tylko pokazuj.

– Metr lub dwa za tamtą brzozą – poinformował Johannes Klarberg i posłusznie wskazał kierunek.

– A druga? Gdzie ją znalazłeś? – spytała Eva.

– Głębiej – odparł i machnął ręką. – Mogę pokazać.

– Dziękuję. Byłoby dobrze.

Przepuściła Johannaesa przodem. Kiedy szli, było słychać szelest wysokiej trawy. Drzewa rosły rzadko, ale w niektórych miejscach kłębiły się gęste zarośla, które musieli okrążyć.

– Nie chodzą tędy inne zwierzęta?

– Rzadko. Lasse chyba wyprowadza tu czasem swoje konie, głównie żeby rozprostowały kości, ale sama pani widzi, że to by nie wystarczyło.

Eva patrzyła na piękne sękate dęby, bujną trawę i promienie słońca przesączające się między kłębami chmur. Szła dwa metry za Johannesem, zastanawiając się, w jaki sposób zorganizować sobie tak skomplikowaną pracę. Przede wszystkim jednak musiała odpowiedzieć na najważniejsze pytanie: Czy tu leżał zakopany człowiek? W kawałkach?

Wyciągnięcie szczątków człowieka z jamy, którą zaczęły wykopywać świnie, zajęło Evie Karlén i Granholmowi ponad dwie godziny. Na białej płachcie pod namiotem ochronnym ułożyła dwie nogi, dwie ręce i korpus pozbawiony organów płciowych. Nogi zostały oddzielone od reszty ciała w stawach biodrowych. Odcięte w taki sposób, że w miednicy zostały panewki z kikutami kości. Brakowało głowy i stóp.

Rzadko się zdarzało, by poćwiartowane ciało zostało zakopane bez zapakowania w jakiś sposób jego części. Najczęściej trafiały się foliowe worki zaklejone taśmą, ale niekiedy znajdowano nawet zawiniątka z tkaniny. Tak oczywiście było najwygodniej. Jeśli, jak w tym wypadku, części ciała nie zostają zapakowane, to pewnie po to, by przyspieszyć rozkład. Tylko że w tak piaszczystym podłożu skutek byłby najpewniej odwrotny.

Göran, który właśnie przybył na miejsce, obserwował oddzielone części ciała, stojąc w wejściu do namiotu. Wzbraniał się przed wkroczeniem do środka, ostrożnie odchyłał materiał, częściowo zakrywając kciukiem zielono-biały znak producenta. Wokół części ciała na białym podłożu były rozsypane drobiny czarnej ziemi.

– Kontynuujemy poszukiwania głowy i stóp, ale nie sądzę, by były zakopane w tym samym miejscu, zwłaszcza głowa – rzuciła Eva przez jego ramię.

– A to dlaczego? – spytał Göran.

– Wszystkie części leżały zgromadzone na ograniczonym terenie. Prawdopodobnie złożono je do tej samej jamy. Wydaje mi się nielogiczne, by wykopywać osobną jamę dla głowy w pobliżu tej, w której jest zakopana reszta ciała.

– Tak, pewnie masz rację, choć nie wiem, jak bardzo logicznie postępuje ktoś, kto robi coś takiego – rzekł Göran, odwracając się plecami do bladoszarych, zasypanych ziemią szczątków.

– Kto to jest? Możesz sporządzić uproszczony rysopis? – zapytał po chwili.

– Mężczyzna w średnim wieku, w dobrej formie, ale nie pracownik fizyczny, około metra dziewięćdziesiąt-dziewięćdziesiąt pięć wzrostu. Nie-

wiele więcej da się powiedzieć – odparła Eva.

– A przyczyna śmierci?

Pokręciła głową.

– Nie widzę innych obrażeń poza tymi wynikającymi z ćwiartowania. Oczywiście przyczyną śmierci mógł być uraz głowy, ale równie dobrze zatrucie, uduszenie lub utrata krwi. Może przecięto mu tętnicę pod pachą albo w pachwinie, ale na podstawie obecnego wyglądu ciała trudno cokolwiek stwierdzić. A przynajmniej ja nie potrafię.

– Musimy chyba założyć, że głowa została schowana gdzieś indziej, żeby utrudnić ustalenie przyczyny śmierci albo uniemożliwić identyfikację ciała. W najgorszym wypadku może się okazać, że została zniszczona. Ale stopy? Nie rozumiem, dlaczego ich brakuje.

– To może mieć związek z identyfikacją. Niektórzy ludzie mają zrosnięte palce u stóp albo coś w tym stylu – zasugerował Granholm i palcem wskazującym podsunął okulary na nosie.

Göran westchnął i podniósł wzrok na korony drzew. Resztki chmur się rozproszyły i na błękitnym niebie świeciło słońce. Samoloty lecące do i z Finlandii, Rosji i Azji Północno-Wschodniej rysowały białe linie na błękitnie. Nad Gotlandią przelatywało ich siedemset dziennie. Słyszeli odległy pomruk silników odrzutowych.

Poczuł lekkie zawroty głowy, nie tyle z powodu znajdujących się w namiocie fragmentów zwłok, ile na myśl, co ludzie są zdolni zrobić sobie nawzajem.

– Jeśli pominiemy głowę i stopy, wydaje się, że wszystkie części ciała, które znaleźliśmy, leżały w tej samej jamie. Ale po co w takim razie ćwiartować ciało?

– Może ze względów techniczno-transportowych – podrzucił Granholm, a Göran zadał sobie w duchu pytanie, dlaczego on nie może mówić jak normalny człowiek.

– Poza tym w ten sposób łatwiej je umieścić w ziemi – dodała Eva. – Zakopanie dużego ciała, takiego jak to, na sensownej głębokości to mnóstwo pracy. Ale jeśli jest w kawałkach...

Göran się przeciągnął i poprawił marynarkę. Wcześniejsza irytacja minęła, ustępując miejsca rozmyśleniom o tym, jak najlepiej zorganizować nowe śledztwo w sprawie zabójstwa. Zostawił w Visby Ovego Gahnströma jako prowadzącego. To oznaczało jednego człowieka mniej w terenie, bo Lennarta Svenssona nie można było brać pod uwagę jeszcze przez tydzień.

Wziął głęboki wdech. Tytoń, pomyślał.

– Są dwa miejsca, w których ktoś niedawno kopał, ale trudno stwierdzić, czy to sprawka świń, czy coś innego.

– Może jedno i drugie – stwierdził Göran.

– W każdym razie tam zaczniemy.

– Nic innego? Żadnych ubrań, przedmiotów? – spytał Göran.

– Jeszcze nie. Najważniejsza jest dla nas głowa.

Göran potwierdził skinieniem. Na myśl o bezgłowym ciele w namiocie zrobiło mu się nieprzyjemnie.

– Jak myślisz, jak długo on tu leżał? – zapytał.

– Sam zauważyłeś, że rozkład nie jest zbyt daleko posunięty – odparła Eva.

Rzeczywiście zauważył. Poza tym części ciała nie śmierdziały. Choć w namiocie dało się wyczuć zapachy. Ziemi, wilgoci... próchnicy. I folii.

– Mamy problem, bo nie wiadomo, jak głęboko leżały te części. Świnie, ryjąc, mogły zmienić ich położenie. Musimy chyba poczekać na lekarza sądowego. Ale jeśli powiem, że maksymalnie miesiąc, to nie przesadzę.

– Miesiąc. Niedobrze – stwierdził Göran.

– Maksymalnie – powtórzyła Eva. – A najmniej tydzień. Tak. Nie krócej niż tydzień.

– Czyli przedział wynosi trzy tygodnie?

– Lekarz sądowy go zawęzi. Rozmawiałam z zakładem medycyny. Możemy dostać wstępny raport już jutro po południu. Ale i tak pewnie podadzą nam tygodniowy przedział.

– Okej – odparł Göran. – No to jadę z powrotem. Co za cholerny bajzel. Zobaczę, czy uda się sprowadzić tu kogoś z Krajowej Policji Kryminalnej, kto mógłby się zająć rejestrem. Jeśli tak, to jutro po południu będziemy mogli urządzić konferencję prasową.

To ostatnie powiedział głównie do siebie. Już odchodził, ale Eva go dogoniła.

– Znaleźliśmy ślady jakiegoś pojazdu. Jeśli chcesz, możemy to omówić po drodze.

Eva przyjaźnie, lecz zdecydowanie skorygowała kurs kapitana i razem przeszli mniej więcej dwadzieścia metrów między drzewami, zanim go zatrzymała.

– Biegną od strony drogi i kończą się tam, przy zaroślach – wyjaśniła, pokazując Göranowi odcinek. – Nie widać wzoru opon, ale zmierzyłam

ślady. To musiał być jakiś większy pojazd. Jeep, pickup albo mała ciężarówka.

– Jeśli będziemy mieli szczęście, może się okaże, że ten przedział czasowy mimo wszystko nie jest taki duży – rzekł Göran. – Znaleźliśmy świadka, który widział samochód wyjeżdżający stąd późnym wieczorem drugiego października.

– Tutaj, w środku lasu?

– Tak. Świadek wracał do domu po kolacji u córki w Etelhem. Kiedy był tutaj, kawałek dalej – ciągnął Göran, wskazując kierunek – zobaczył we wstecznym lusterku światło. Był pewny, że ktoś wyjechał, i to nie z gospodarstwa tutaj obok.

– Drugi października mieści się w moim przedziale – powiedziała Eva.

– W takim razie poczekajmy i zobaczymy, co z tego wyniknie – odparł Göran i ruszył w kierunku drogi.

Fredrik siedział w samochodzie przy uchylonych drzwiczkach. Przeglądał trzymany w lewej ręce notatnik, a prawą przyciskał do ucha telefon. Gdzieś w pobliżu szczekał pies.

– Mam nowego świadka, niejaką Anette Larsson, która widziała ciężarówkę zaparkowaną przy łące. To było w środku dnia i ona nie wie, jak długo ta ciężarówka tam stała. Po prostu ją zobaczyła, przejeżdżając obok. Jest za to pewna, że to było między piątym a ósmym – powiedział głos w telefonie.

– Nie zauważyła logo ani nic podobnego? – zapytał Ove.

– Nie. Pamiętała tylko, że ciężarówka miała dużą, jasnożółtą albo beżową przyczepę.

Fredrik szybko wertował notatki.

– I to by było wszystko – zakończył.

– Za godzinę ta informacja zostanie podana w lokalnym radiu. Zobaczymy, co nam to da – odparł Ove.

Fredrik zamknął notatnik i musiał zamienić ręce, żeby schować go do wewnętrznej kieszeni kurtki.

– Coś jeszcze przyszło mi do głowy – dodał Ove. – Może to jest odpowiedź na twoje pytanie.

– Moje pytanie? Jakie?

– Gdzie się podział Arvid Traneus.

– Myślisz, że to on może...

– ...być zakopany na łące, zgadza się. Brakuje głowy i stóp. Arvid Tra-
neus miał buty o rozmiarze czterdzieści siedem.

Fredrik nie od razu odpowiedział. Omiótł wzrokiem gospodarstwo, w którym niedawno przesłuchiwał świadka. Wokół martwego, poszarzałego dębu pasło się pięć czarnych owiec. Na samej górze uciętego pnia ktoś przybił gwoździem domek dla ptaków. Przed domem rosła jabłonka, a trawa pod nią była czerwona od jabłek.

– To by wszystko zmieniło.

– Może się wydawać trochę naciągane, ale ten człowiek jest zaginiony od czternastu dni – stwierdził Ove.

– To nie takie dziwne, jeśli zabił żonę i jej kochankę.

– Wciąż mógł to zrobić, nawet jeśli leży w dole wykopanym na łące.

– Nie bardzo mi się to składa w całość – przyznał Fredrik, kładąc wolną rękę na kierownicy. – Te zabójstwa mają tak kompletnie różny charakter.

– Musimy się odważyć na tę myśl. To mogą być dwie zupełnie różne zbrodnie. Jedna nie musi mieć związku z drugą – powiedział Ove.

Elin spakowała swoje rzeczy. To, że nadal była w tym miejscu, mogła jedynie zrzucić na karb swoistego paraliżu. Już prawie wcisnęła tych kilka ubrań, kosmetyki, portfel i podręczniki psychologii do małej sportowej torby, którą kupiła w miejsce użytej po raz ostatni torebki od Prady. Jednak spakowanie torby to tylko gest. Wyjechać było trudniej.

Kiedy zapadł zmrok, poczuła się tak, jakby straciła resztki sił.

Jutro, pomyślała. Jutro muszę opuścić to miejsce.

Na dworze panował mrok. U sąsiada paliło się światło, ale poza tym było kompletnie ciemno. Nie rozumiała, jak Ricky mógł mieszkać w takich warunkach. Kiedy się wyglądało przez okna, nie można było mieć pewności, czy na zewnątrz coś jest. Równie dobrze mogło to być wielkie nic.

Zaczęła się zastanawiać, czy popada w paranoję, czy nadchodzi kolejny atak paniki. Nie byłoby to szczególnie dziwne. Co tu robiła? Dlaczego została?

Ricky zaprzestał prób przeproszenia. Ona kompletnie zamilkła. Mijali się w domu, ale udawali, że się nie widzą. Żadne z nich już nie umiało rozmawiać z tym drugim. Może została, bo wiedziała, że nie może wyjechać, dopóki w jakiś sposób się nie pogodzą albo przynajmniej nie przerwą tej ciszy. Tylko jak?

Ricky długo spał, a potem zaszył się w pracowni, a teraz, mniej więcej od trzydziestu minut, siedział przed telewizorem. Wpatrywał się w ekran,

jakby głupkowaty program rozrywkowy był najważniejszą rzeczą na świecie, choć było wiadomo, że w ten sposób tylko zabija czas albo się chowa. Dziecinne zachowanie, ale odpowiadało jej, że tak robi. Sama schowała się w kuchni z gazetą, której nie była w stanie czytać, naczyniami, które już zostały pozmywane, i kieliszkiem – pustym, ale znakomicie nadającym się do napełnienia.

Powinna przestać chlać wino, wrócić do domu i wziąć się za studia, które od dwóch tygodni leżały odłogiem. Głupio narobić sobie zaległości już na samym początku. Ile razy ta myśl przyszła jej do głowy? Głupio mieć zaległości. Cóż, taka była prawda. Jutro, kiedy będzie jasno i wróć jej siły, weźmie swoją spakowaną torbę i wsiądzie do autobusu. Jeśli pojedzie dziesiątką, będzie miała do przejścia tylko kilometr do przystanku. Nie musi nawet prosić Ricky'ego, żeby ją podwiózł. Ale może właśnie to zrobi. Przełamie sytuację czymś praktycznym. Poprosi, by ją zawiózł na autobus. Minuta w samochodzie, pięć–dziesięć minut na przystanku do przyjazdu autobusu – to cały czas, który będą mieli do dyspozycji. Może więcej nie trzeba.

Potem znów pograżyła się w sobie, wszystko było ponure i beznadziejne. Poczła ukłucie w żołądku. Usiadła, przyciskając dłoń do przepony, i próbowała sobie odpowiedzieć na pytanie, kiedy po raz ostatni miała miesiączkę. Może powinna poprosić Ricky'ego o paracetamol? Albo o pożyczenie samochodu, żeby mogła pojechać po podpaski. Jeśli zaś nie uda się poprawić atmosfery, przynajmniej nie będzie musiała siedzieć w autobusie do Visby ze zwitkiem papieru toaletowego między nogami.

Wstała i zaczęła przeszukiwać szafkę, w której zwykle były tabletki przeciwbólowe. Nie musiała prosić, mogła po prostu wziąć sobie jedną. Znalazła aspirin activ, rozpuściła tabletkę w wodzie i wypila gorzki płyn z białymi farfocłami, a następnie umyła szklanę i postawiła ją na suszarce.

– Mogę na chwilę pożyczyć samochód? – zapytała.

Stała w drzwiach. Ricky obrzucił ją sekundowym spojrzeniem, a potem popatrzył na drzwi.

– Jasne, kluczyki leżą na stoliku w przedpokoju – odpowiedział. Jego słowa były tak zwyczajne i pozbawione jakichkolwiek ukrytych znaczeń, jak mogą być tylko wtedy, kiedy mówiący bardzo się o to stara.

Podeszła do stolika i natychmiast je znalazła.

W telewizji zatrąbiła czołówka programu informacyjnego. Wkładając kurtkę, Elin słyszała coś o Angeli Merkel i Jacques'u Chiracu, potem coś o południowej Gotlandii. Odkryto tam rozczłonkowane zwłoki. Odwróciła się

do telewizora. Nie mogła się powstrzymać i podeszła do sofy. Usiadła powoli, metr od Ricky'ego.

– Słyszałeś? – zapytała, wpatrzona w ekran.

– Tak.

Musieli wytrzymać kilka minut z Merkel i Chirakiem, zanim prezenter powrócił do wiadomości na temat Gotlandii.

Jakiś policjant z Visby oznajmił, że zwłoki zostały poćwiartowane i że wyszło to na jaw, kiedy zabłąkana świnia odkryła ludzkie szczątki zakopane na pastwisku nieopodal Etelhem w południowej części Gotlandii. Na ekranie było widać radiowozy zaparkowane na drodze i niebiesko-białą plastikową taśmę na tle drzew. Mogło to być wszędzie. Na ekranie pojawił się czarnowłosy, krótko ostrzyżony, nieco przysadzisty mężczyzna siedzący za podłużnym podwyższeniem z jasnego drewna. Tekst u dołu ekranu informował, że nazywa się Ove Gahnström i kieruje śledztwem.

– Nie, ofiara nie została zidentyfikowana. Na razie wiemy, że to mężczyzna w średnim wieku, nieco ponad średniego wzrostu – odpowiedział policjant na wycięte w montażu pytanie.

– Mówicie, że zwłoki zostały poćwiartowane. Czy to utrudnia identyfikację ofiary?

– Tak, to jeden z czynników.

– Czy zostały znalezione wszystkie części ciała?

– Nie mogę na to odpowiedzieć.

Materiał zakończył się apelem do widzów, by nawiązali kontakt z policją, jeśli zaobserwowali coś w okolicy. Elin poczuła, że robi jej się zimno. Pod wpływem wiadomości pomyślała o mamie i o szalonych wydarzeniach, które się rozegrały w jej domu rodzinnym. Pewnie były transmitowane w telewizji, ale pomyślała o tym dopiero teraz. Tamtego dnia oglądanie telewizji było ostatnią rzeczą, jaka przyszlaby jej do głowy.

Wstała, poczuła się słaba i uznała, że mimo wszystko musi pojechać po zakupy. Spojrzała na Ricky'ego. Śledził ją wzrokiem.

– Dokąd się wybierasz?

– Na zakupy.

Nie skomentował.

Eva Karlén i jej współpracownicy wrócili do badania miejsca zbrodni wczesnym rankiem w czwartek, gdy tylko się przejaśniło. Były cztery osoby – oprócz Ewy i Granholma jeszcze dwóch policjantów z prewencji, których wzięli do pomocy. Zrobiło się zimniej. W powietrzu wisiała mokra mgła, która muskała wierzchołki drzew i malowała gałęzie mokrą czernią.

Choć cały czas byli w ruchu, chłód wgryzł się w ich ciała i po kilku godzinach byli przemarznięci na kość. W czasie przerwy siedzieli w busie z włączonym silnikiem i pili gorącą kawę, którą jeden z kolegów z prewencji przyniósł w czerwonym metalowym termosie.

– Jak długo człowiek może leżeć w ziemi, zanim zgnije? – spytał ten właśnie kolega, trzymając blisko ust parujący kubek.

Eva udawała, że nie usłyszała, ale Granholm zareagował z entuzjazmem.

– To zależy od właściwości ziemi i tego, jak głęboko znajduje się ciało. No i oczywiście od klimatu. Tutaj ziemia jest dobrze osuszona i mamy dużo piasku, więc może minąć osiem–dziewięć lat, jeśli ciało leży na głębokości, na której zwykle znajdują się trumny.

– Osiem–dziewięć lat? – zawołał zaciekawiony policjant i opuścił kubek.

– Zanim proces rozkładu całkowicie się zakończy – uściślił Granholm.

Kolega skinął głową i wydawał się uspokojony.

– Oczywiście ma też znaczenie to, czy proces rozkładu zdążył się rozpocząć, zanim ciało trafiło do ziemi – dodał Granholm.

Szyby busa zaparowały. Nie dało się przez nie wyrzeć.

– Dopijcie i zaczynamy – zarządziła Eva.

Piętnaście minut przed dwunastą znaleźli ludzką głowę zakopaną na głębokości osiemdziesięciu centymetrów. Podobnie jak inne części ciała, nie była w żaden sposób zapakowana, lecz została włożona bezpośrednio do ziemi.

Głowa znajdowała się cztery metry w głębi lasu, który zaczynał się za łąką. Przeszli całą łąkę, ostrożnie rozgarniając liście, żeby zobaczyć, czy ziemia jest rozkopana. Kiedy to nie przyniosło rezultatu, weszli do lasu.

Kolega zainteresowany procesami rozkładu zrobił wielkie oczy, kiedy Granholm wyciągnął z ziemi głowę. Eva się zaniepokoiła, że zaraz zacznie

jej dotykać.

Granholm miał rację. W chłodnym, zbitym piasku pod trzydziestocentymetrową górną warstwą ziemi proces rozkładu przebiegał powoli. Głowa równie dobrze mogłaby być przechowywana w lodówce. W tylnej części były widoczne trzy głębokie rany zadane tępym narzędziem, dało się zauważyć również sporo przebarwień, ale poza tym była nietknięta.

Eva nie potrzebowała pomocy lekarza sądowego i karty stomatologicznej, by zidentyfikować zmarłego. Znała go ze zdjęć.

Autobus odjeżdżał z Hemse o czternastej dziesiąt. Przy starym sklepie powinien być najpóźniej dwadzieścia po. Wystarczyło więc, by wyszła punktualnie o czternastej. Nie miała nic ciężkiego do niesienia.

Ricky'ego nie było w domu. Elin słyszała go wsiadającego do samochodu późnym wieczorem, już po tym, jak poszła się położyć. Miała nadzieję, że przyjdzie przed czternastą. Do tego czasu pozostało jeszcze kilka godzin. Jeśli się nie pojawi, i tak pojedzie. Dość już tego, pomyślała. Czowała, że musi się stąd wydostać.

Wzięła czerwone jabłko z jasnej drewnianej miski na stole w kuchni i ugryzła. Było mięsiste i soczyste. Za oknem usłyszała hamujący samochód. Po dźwięku rozpoznała, że to nie Ricky.

Ucieszyła się, widząc, że z samochodu, który podjechał przed dom, wysiada Göran Eide. Lubiła z nim rozmawiać. Kiedy opowiadała mu rzeczy, o których nie wspominała nikomu innemu, przyjmował je bez kwestionowania, niemal jak oczywistości, jakby podobną historię słyszał już wiele razy.

Otworzyła drzwi, zanim zdążył zadzwonić.

– Dzień dobry – powiedział i przedstawił stojącą obok siebie kobietę jako Sarę Oskarsson. – Możemy na chwilę wejść?

– Oczywiście, proszę – odparła i cofnęła się do przedpokoju.

Uśmiechała się, ale dwoje policjantów jakby nie potrafiło tego odwzajemnić. Na ich twarzach malowała się powściągliwość, wręcz zawstydzenie. Elin nie rozumiała, co jest grane. Czyżby zrobiła coś złego?

– Czy pani brat jest w domu? – spytał komisarz.

– Nie, chyba pojechał w odwiedziny do kolegi.

– Aha. Na wyspie, tak?

– Tak – potwierdziła. – W Visby. A przynajmniej tak mi się wydaje.

Usiedli w salonie. Elin na kanapie, a dwoje policjantów na krzesłach.

– Obawiam się, że mam przykre wieści – oznajmił Göran.

Elin poczuła, że jej serce zaczyna szybciej bić. Przykre wieści? O co im chodziło? Przecież przykre wieści otrzymała przed dwoma tygodniami. Czy mogło chodzić o Ricky'ego? Ale przecież o niego pytali. Chyba nie robiłoby tego, gdyby wiedzieli, że coś mu się stało?

Siedziała w zupełnym bezruchu, patrząc na mężczyznę po drugiej stronie stołu.

– Pani ojciec nie żyje.

Siedziała nieruchomo jak przedtem, nie mówiąc ani słowa.

– Kilka godzin temu został znaleziony martwy.

Elin oniemiała.

– Mogłaby pani zadzwonić do brata? Byłoby dobrze, gdyby tu przyjechał.

– Miałam wracać do domu – odparła Elin. – Promem o szesnastej czterdzieści pięć. Autobus odjeżdża spod sklepu o czternastej dwadzieścia.

Komisarz miał kłopot ze znalezieniem właściwych słów.

– Skłamałbym, gdybym powiedział, że wiem, jakie to uczucie. Mogę tylko się domyślać. Nie minęły jeszcze dwa tygodnie, odkąd siedziałem tu z pani bratem i przekazywałem wiadomość o waszej mamie. Zrobimy jednak wszystko, co w naszej mocy, żeby pani pomóc. Najlepiej by było, gdybyśmy mogli zadzwonić do Rickarda i...

– Ostatnio nie mamy ze sobą najlepszego kontaktu – przyznała Elin.

– Czy jest ktoś inny, do kogo mogłaby pani zadzwonić i kto...

– Nie – przerwała ponownie.

Nie musiała słyszeć całości pytania. Nikogo już tu nie było.

– Moglibyśmy poprosić pastora z Levide...

– Nie! – przerwała gwałtownie. – Żadnego pieprzonego pastora. Musimy się skontaktować z Rickym.

Wstała z sofy z mocno splecionymi palcami.

– Oczywiście, musimy się skontaktować z Rickym – powtórzyła.

– To prawda – zgodził się Göran Eide i również wstał. – Ale mimo wszystko myślę, że byłoby dobrze...

– Żadnego pieprzonego pastora – powiedziała raz jeszcze. – Już prędej coś na sen.

– Możemy zadzwonić do lekarza rejonowego – zaproponował Göran.

– Jasne, dlaczego nie – odparła Elin bez większego zainteresowania.

Göran spojrział na koleżankę.

– Czy możesz...

Policjantka wstała i wyszła. Dopóki nie zniknęła im z oczu, Elin milczała.

– Gdzie go znaleźliście? – zapytała potem. – W Tokio? Popęłnił samobójstwo? Rzucił się z balkonu na siedemnastym piętrze? – mówiła szybko, nie patrząc na Görana.

Nigdy stąd nie wyjadę, myślała. Teraz jeszcze ojciec. Kolejna osoba do pochowania. Trzeba zadzwonić do firmy pogrzebowej. Zostanę tutaj. Co będzie ze wszystkim? Czy jesteśmy już tylko Ricky i ja?

Komisarz mówił do niej. Nie słyszała go.

– Słucham?

– Pytałem, czy nie byłoby lepiej, gdyby pani usiadła.

– Nie, nie chcę siedzieć. Muszę pojechać tym autobusem – odpowiedziała stanowczo.

– Myślę, że najlepiej będzie...

– Nie wolno jeździć autobusem, kiedy człowiekowi umrze ojciec? To niezgodne z prawem?

– Nie, ale uważam, że byłoby najlepiej, gdyby pani usiadła. Potrzebujemy pani pomocy przy nawiązaniu kontaktu z Rickym. Bo przecież musimy mu o tym powiedzieć, prawda?

Elin opadła na sofę. Poczowała, że materiał ugina się pod ciężarem i wsysa ją, łapiąc w delikatny uścisk. Z korytarza dobiegł stłumiony głos policjantki. Wiedziała, że wkrótce wrócą samochody z dziennikarzami. Czy nie byłoby lepiej pojechać tym autobusem?

– Czy to się stało w Tokio? – zapytała. – Tam go znalezione?

Komisarz znów zrobił jedną z tych swoich min: w założeniu spokojny, przyjazny uśmiech, który jednak nie wyszedł zbyt naturalnie.

– Nie – odparł. – Ciało pani ojca zostało znalezione ze dwadzieścia kilometrów stąd, w pobliżu Hejde.

– Słucham?

– Tak.

– Akurat w Hejde?

– To było zaskakujące również dla nas – przyznał Göran.

Elin zakryła usta dłonią, a potem zeszywniała i utkwiała wzrok w Göranie.

– Hejde. Ale... Czy... nie mówili o tym wczoraj wieczorem w wiadomościach? Wspomnieli o Etelhem.

– Nie byli zbyt dokładni.

– Chce pan powiedzieć, że to... że chodziło o... mojego ojca?

Göran skinął głową.

– Tak – odparł. – O niego. Niestety dopiero dziś przed południem byliśmy w stanie ustalić tożsamość.

Dźwięk zatrzasniwanych drzwiczek samochodu rozbrzmiał echem w policyjnym garażu. Göran pobiegł po betonowej podłodze, wyciągnął kartę i przyłożył ją do czytnika, a potem wpisał kod wstępu do komisariatu. Przy biurkach na wydziale prewencji nikogo nie było, więc słyszał tylko cichy i suchy stukot własnych kroków po wykładzinie PCV.

Mylił się, sądząc, że Arvida Traneusa nie ma w kraju. I że miną miesiące, a może nawet lata, zanim go znajdą. Mylił się też, sądząc, że Traneus żyje. Został znaleziony martwy, zakopany na łące, niedaleko od domu. Pozostało się przekonać, czy błędna była również teoria, że Arvid Traneus zabił swoją żonę i jej kochanka.

Minął kuchnię, również pustą, i kartą kodową otworzył drzwi kawiarni. Zostały tylko dwie osoby z personelu. Jedna wycierała stoliki, a druga miała właśnie zacząć liczyć utarg, ale pozwolono mu coś kupić. Zdecydował się na wodę Loka i mały kawałek czekolady siedemdziesiąt procent, która była strategicznie ustawiona przy kasie. Tak właśnie wyglądało życie komisarza po pięćdziesiątce. Woda, zdrowe słodycze i zakaz palenia.

Zapłacił, otworzył butelkę i wyszedł, żeby umożliwić zamknięcie kawiarni. Za drzwiami wpadł na Petera Klinta. Prokurator wydawał się rześki, ale w sposób, który nie wróżył niczego dobrego. Świecił tak mocno jak czasem żarówka, zanim zgaśnie na dobre.

– Czyli nasz główny podejrzany nie żyje – oznajmił. – Nadal uważasz, że to był on?

Göran nie był pewny, czy Klint tylko chce podyskutować, czy miał to być przytyk. Z wyrazu twarzy prokuratora nie dało się tego wyczytać. Wprawdzie uśmiechał się z zadowoleniem, ale ostatnio robił to ciągle.

– To całkiem możliwe, ale w sumie cholera wie – odparł Göran i łapczywie opróżnił butelkę.

Było mu gorąco i czuł dokuczliwe pragnienie. U Elin Traneus spędzili więcej czasu, niż się spodziewał, a popołudnie było stresujące.

– Czy możemy mieć tu do czynienia z napadem rabunkowym? – zapytał Klint, który wyglądał, jakby w błękitnej koszulce polo było mu chłodno i wygodnie.

– Przyszło mi to do głowy. Że kilka osób zjawilo się w domu w Levide, wzięło Kristinę i Andersa na zakładników, a ktoś inny pojechał z Arvidem Traneusem, żeby zmusić go do podjęcia pieniędzy z konta – rzekł Göran.

– Widać coś poszło nie po ich myśli – dodał Peter Klint.

– Mocno nie po ich myśli. Przeciwno tej teorii przemawia, że w takim wypadku musieliby być w domu wszyscy troje: mężczyzna, jego żona i kochanek. Choć oczywiście nie można wykluczyć, że włamywacze akurat zastali całą trójkę podczas kłótni.

Klint wskazał schody i ruszyli przed siebie, a Göran wypił resztę wody z butelki.

– Inna moja myśl jest taka, że ktoś chciał się dostać do Arvida Traneusa, ale przez przypadek zabił Andersa – wykrztusił, walcząc ze wstępującym do góry dwutlenkiem węgla.

– A potem naprawił swój błąd – dodał prokurator.

– Tak, ale bez względu na to, jak było naprawdę, pytanie brzmi, dlaczego mieliby zadawać sobie trud z zakopywaniem Arvida Traneusa – czasochłonną i wymagającą robotą – skoro i tak zostawili w domu Andersa i Kristinę?

– Może sprawca znał pogłoski o przemoc domowej wobec żony – podsunął Peter Klint.

Mówiąc, szedł przed Göranem i zerkał za siebie.

– Masz na myśli to, że zakopali Arvida Traneusa, żeby upozorować zabicie żony i jej kochanka, a potem uciekli z wyspy? – spytał Göran.

– Zgadza się.

– Nieźle wykombinowane, jak to mówią w futbolu, ale...

– Jeśli tak uważasz, możesz szczerze powiedzieć, że to strzał w słupek – odparł Peter Klint.

Wybuchnęli krótkim wspólnym śmiechem, a Klint otworzył drzwi do sali zebrań, w której wszyscy już czekali.

Myśl Klinta nie była taka głupia, a ściślej rzecz biorąc, była bardzo mądra, co w oczach Görana czyniło ją mniej wiarygodną. Z jego doświadczenia wynikało, że podejmowane przez zabójców próby ukrycia zbrodni rzadko były przemyślnymi, wieloetapowymi posunięciami szachowymi, a częściej desperackimi czynnościami, których celem było uratowanie własnej skóry. On i jego współpracownicy źle zinterpretowali te puzzle, Klint również. Jednak prokurator skonstruował scenariusz, który pasował do ich błędnej wersji. To nie był dobry sposób na świeże podejście do śledztwa.

Jednocześnie musiał przyznać, że trudno mu było zrezygnować z myśli, że Arvid Traneus zabił żonę i jej kochankę. Ale kto w takim razie zabił Arvida Traneusa? Czy to było zabójstwo, czy napad rabunkowy bez żadnego związku z pierwszym wydarzeniem? Może chodziło o biznes, długi, może ktoś poniósł stratę? Pomyślał, że powinien jeszcze raz spróbować z firmą w Tokio, nawet jeśli teza, że sprawa mogłaby sięgać tak daleko, wydawała się naciągana. A może po prostu ktoś przyłapał Arvida na gorącym uczynku i postanowił wymierzyć sprawiedliwość na własną rękę? Syn? Od poprzedniego wieczoru nie dało się do niego dodzwonić.

Göran zatrzymał się w połowie myśli. Czyżby był na drodze do powtórnego popełnienia tego samego błędu? Kiedy poprzednim razem uznał nieobecność za oznakę winy i ucieczki, okazało się, że powodem była śmierć.

Rozejrzał się po siedzących przy stole, przez krótką chwilę patrzył w oczy komendantce Agnecie Wilhelmsson. Nadszedł najwyższy czas, by rozpocząć spotkanie. Nie zastanawiając się nad tym, wcisnął mały kawałek czekolady do tylnej kieszeni spodni. Znajdzie go tam rozgniecionego i częściowo stopionego dwie godziny później.

Ove Gahnström podniósł słuchawkę.

– Tu Ove.

– Cześć, mówi Carina. Wyślę ci informację, której powinieneś bliżej się przyjrzeć. Dziewczyna ze sklepu monopolowego z Hemse twierdzi, że dawno temu widziała jakiegoś chłopaka w towarzystwie jednej z córek Traneusów. Nie spotykała go od lat, ale pojawił się w Hemse po zabójstwach w Levide. Zdaje się, że widziała go kilka razy, ale dopiero teraz rozpoznała. Pomyślała, że wygląda na zaniedbanego, ale nie potrafiła powiedzieć, na czym to konkretnie polegało.

– Poczekaj – odparł Ove. – Już wysłałaś tę wiadomość?

– Tak.

– Otworzę.

Komputer był w trybie uśpienia. Ove z irytacją bębnił w myszkę, czekając, aż obraz wróci, a potem odszukał wiadomość. Szybko przebiegł wzrokiem tekst.

– Nie zebrałaś informacji do rysopisu? – zapytał, gdy dotarł do ostatnich wersów.

– Yy... Nie, nie pomyślałam, bo dziewczyna wydawała się taka pewna, że to on.

– Była pewna?

– Tak, w ogóle się nie wahała – odparła Carina.

„Leo Ringvall” – odczytał z ekranu.

– Dobrze, że zadzwoniłaś – powiedział.

– W porządku – odparła Carina, w słuchawce rozległo się kliknięcie i połączenie zostało zakończone.

Ove rozłączył się w chwili, kiedy korytarzem przechodził Fredrik. Zawołał go.

– Co o tym sądzisz? – spytał, wskazując ekran. Leo Ringvall, około trzydziestu lat, „zaniedbany”, jakieś dawne powiązania z rodziną Traneusów przez obecnie nieżyjącą córkę Stefanię. Pojawia się w Hemse w związku z zabójstwami.

Fredrik nachylił się nad biurkiem, żeby lepiej widzieć.

– Zaniedbany, cokolwiek to znaczy – mruknął.

– Trochę naciągane, ale ciekawe – stwierdził Ove. – Czy możesz podjechać do informatorki i ją przesłuchać?

– Kiedy pytasz tak miło, nie sposób odmówić – odparł z uśmiechem.

Ove też się szeroko uśmiechnął.

– Fajnie, no to się dogadaliśmy.

Fredrik ponownie spojrzął na ekran.

– Jeśli jest w kontakcie z córką, wie, że tam są pieniądze. Jest w kiepskiej sytuacji, więc mógł wpaść na to, że złoży jej wizytę.

– Zobaczymy – odparł Ove. – Carina nie zadała żadnego pytania o tę osobę. Nie mam numeru PESEL, ale chyba i tak da się zawęzić...

Ove wypełnił kilka pól w formularzu i nacisnął przycisk wyszukiwania. Obaj przyjrzeni się wynikom. Leo Ringvall odsiedział trzyletni wyrok więzienia za pobicie ze szczególnym okrucieństwem i niecałe trzy tygodnie wcześniej wyszedł na wolność.

– To może coś być – stwierdził Fredrik.

Ove otworzył zdjęcie. Ukazała się podłużna twarz okolona czarnymi włosami do ramion, patrząca sztywno z ekranu jasnoszarymi oczami.

– Długie czarne włosy – powiedział Ove.

Zapisał nazwisko świadka w notatniku, oderwał kartkę, wstał i podał ją Fredrikowi.

– Pojedź tam i ją przesłuchaj, a ja porozmawiam z Göranem.

W sklepie monopolowym w Hemse nie było widać piątkowego ożywienia. Nieliczni klienci przechadzali się wolno z szarymi koszykami wiszącymi na ramionach i przeszukiwali wzrokiem półki. Kilka lat wcześniej przerobiono tę placówkę na samoobsługową. Sklep monopolowy z samoobsługą zdawał się iść z duchem szybko wędnącej szwedzkiej polityki antyalkoholowej, praktycznie skazanej na zagładę po wejściu w życie porozumienia o utworzeniu Europejskiego Obszaru Gospodarczego, które podpisano w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku. Fredrik domyślał się, że za maksymalnie dziesięć lat spełni się największe polityczne marzenie Szwedów: wino i wódka będą dostępne w marketach Konsum i Ica.

W jedynej czynnej kasie siedział młody mężczyzna ze złotymi pasemkami w rudokasztanowych włosach. Fredrik poszedł do niego i pokazał odznakę policyjną.

– Szukam Marie Barsk – oznajmił.

– Jest w magazynie – odparł kasjer i bezradnie rozejrzał się wokół.

Sięgnął po wewnętrzny telefon, który był przy kasie, ale się zawahał.

– Ech, myślę, że może pan wejść, w końcu jest pan z policji – powiedział chłopak z krzywym uśmiechem.

– Spróbuję się powstrzymać przed zwędzeniem czegoś – odparł Fredrik.

– Proszę iść prosto do magazynu, znajdzie ją pan.

Kasjer wskazał uchylone drzwi w głębi sklepu, przystawione stosem kartonów z winem.

Fredrik wszedł do magazynu o czerwonych ceglanych ścianach, pełnych palet z nierozpakowanymi pudłami. Wiedziony przenikliwym dźwiękiem, zobaczył kobietę pochyloną nad paletą pełną hiszpańskich win z Navarry. Rozcinała pudła jasnozielonym nożem do tapet.

– Pani Marie Barsk? – krzyknął do niej przez pół hali.

Kobieta drgnęła, wstała i spojrzała na niego pytająco.

– Tak, to ja.

– Fredrik Broman, policja z Visby – przedstawił się i znów pokazał legitymację. – Dzwoniła pani z informacją. Chciałbym porozmawiać.

Marie Barsk nie ruszała się z miejsca i wciąż trzymała w ręce nóż do tapet. Wyglądała na zakłopotaną, jakby dzwoniąc pod numer dla informatyków podany w gazecie, w ogóle się tego nie spodziewała.

– Czy to jakiś problem? – spytał Fredrik.

– Nie – odparła, ale nadal się nie ruszała.

– Czy możemy gdzieś na chwilę usiąść?

Pytanie wyrwało kobietę z odrętwienia.

– Tak, w pokoju dla personelu.

Odłożyła nóż na jeden z rozciętych kartonów i wprowadziła Fredrika do pokoju po prawej stronie od wejścia do magazynu. Przepuścił ją przodem i zamknął za sobą drzwi.

To był mały pokój, cały w bieli, ze stołem z laminatu, sześcioma białymi krzesłami, aneksem kuchennym i oknami z widokiem na rampę załadunkową. Na nierdzewnej powierzchni między płytą kuchenki a zlewem stały kubki w kolorze lawendowym.

Usiedli po obu stronach stołu. Z przyzwyczajenia Fredrik zajął miejsce najbliżej drzwi.

– Nasza rozmowa będzie dotyczyła osoby, którą pani widziała w sklepie monopolowym – oznajmił.

Marie Barsk miała lekko kręcone włosy w kolorze ciemnobłond, opadające na proste ramiona. W jej spojrzeniu było coś dziwnego, a kiedy usiedli przy stole, Fredrik dostrzegł białą plamkę w prawej tęczówce.

– Podała pani nazwisko. Czy jest go pani pewna?

– Oczywiście, że tak. Przez pięć lat chodziliśmy do tej samej szkoły – odparła, patrząc na Fredrika.

Nie uciekała wzrokiem, ale mimo to wyczuł w jej oczach niepokój. Może tylko z powodu tej plamki.

– Do tej samej klasy?

– Nie, on był o klasę wyżej. Tu, w Högby.

– Mogłaby go pani opisać?

– Oczywiście. Ma długie czarne włosy, które trochę się puszyły. Mniej więcej dotąd – powiedziała i wskazała długość do ramienia. – Twarz podłużną, ostatnio był trochę blady. Niezbyt mocno zbudowany, ale, że tak powiem, zbity w sobie. Wygląda na silnego, choć taki nie jest.

– Ile ma wzrostu?

– Cóż, nie powiedziałabym, że jest niski, ale... Raczej średniego, może trochę poniżej. Kiedy przychodził, zawsze miał na sobie kurtkę i kaptur na głowie. Dlatego trochę potrwało, zanim go rozpoznałam.

Przez okno za plecami Marie widać było samochody skręcające na parking dla klientów galerii Hemse.

– Ale mimo kaptura widziała pani, że miał długie włosy? – spytał Fredrik.

– Tak. Dało się zauważyć. No ale oczywiście wiem, że takie ma.

W magazynie rozległ się stłumiony brzęk butelek.

– Ile razy widziała go pani w sklepie?

– Trzy–cztery.

– A kiedy ostatnio?

– Przedwczoraj.

– Czyli w środę – odparł Fredrik.

Marie Barsk skinęła głową i lekko pociągnęła za bok szarej firmowej koszuli.

– Nie wie pani, czy mieszka w pobliżu, czy przyjechał samochodem? Nie trzymał w ręce kluczyków do samochodu ani nic takiego?

– Nie, nie mam pojęcia. Stąd widać tylko kawałek ulicy. A jeśli ktoś siedzi odwrócony plecami, nie widać nic.

Splotła ręce przed sobą na stole i spojrzała na Fredrika, czekając na kolejne pytanie.

– Co może pani powiedzieć na temat Leo Ringvalla? Co pani o nim wie?

– Tak jak mówiłam, przez pięć lat chodziliśmy do tej samej szkoły, ale nigdy nie spędzaliśmy razem czasu. Jeśli nie liczyć tego, że czasem spotykaliśmy się na imprezach. Najpierw chodził do szkoły Säve w Visby, ale zmienił ją po pierwszej klasie. Jeszcze po podstawówce widywało się go w Hemse. Chyba najpierw mieszkał w Klintehamn, potem przeprowadził się tutaj, a raczej jego rodzina tu się przeniosła, ale potem, dziesięć–dwanaście lat temu, coś się wydarzyło i wszyscy się stąd wyprowadzili.

– Wie pani dokąd? – spytał Fredrik.

– Na kontynent. Chyba do Sztokholmu.

– Nie wie pani, co skłoniło ich do przeprowadzki? – spytał Fredrik.

– Zdaje się, że jego ojciec stracił pracę. Ktoś mówił, że za kradzieże, ale później słyszałam, że to nieprawda i po prostu kilka osób straciło pracę, bo firma kiepsko przędła. Nie wiem.

– Leo Ringvalla coś łączyło ze Stefanią Traneus, prawda?

– Tak. Kiedy chodziliśmy do dziewiątej klasy. Stefania i ja byłyśmy rówieśniczkami. Chodziła do równoległej klasy w Högby – odparła Marie Barsk.

– Brzmi jak osobliwa para – stwierdził Fredrik.

– No i też nie trwało to zbyt długo. Ale myślę, że jej ojciec miał z tym coś wspólnego. Że zabronił jej się z nim spotykać. Ale ona była bardzo... jak by to powiedzieć... wręcz zafiksowana na punkcie Leo. Czasem tak

bywa w tym wieku. Robienie rzeczy, które nie podobałyby się rodzicom...
No, wie pan.

Jak tego dokonać? – zastanawiał się Fredrik. Jak sprawić, by piętnastolatka nie spotykała się z kimś, z kim bardzo chce się spotykać?

– Ale mówi pani, że mimo wszystko się skończyło?

– Wiele osób mówiło, że ojciec Stefanii w jakiś sposób wystraszył Leo. Jakkolwiek to możliwe. To był dość dziki chłopak, z tego, co pamiętam.

– Ale mimo wszystko nastolatek – dodał Fredrik.

– No tak, oczywiście.

Marie uśmiechnęła się lekko, jakby widziała przed sobą Leo jako chłopaka, którym kiedyś był. Czy Arvid Traneus go zaatakował, w sensie fizycznym? A może zaatakował Stefanię?

– Pamięta pani, z kim się wówczas zadawał Leo Ringvall?

– Tak, chyba większość ludzi pamięta – odparła Marie Barsk. Nie musiała nawet się zastanawiać.

– Możemy zacząć od najbliższego kręgu – powiedział z uśmiechem Fredrik, a jednocześnie usłyszał, że w magazynie ktoś woła Marie. – I tyle mi wystarczy – dodał i zaczął zapisywać nazwiska, które mu podawała.

Elin siedziała na sofie z telefonem przyciśniętym do ucha, wsłuchana w schrypnięty głos. Molly mówiła tak cicho, że prawie nic nie było słychać.

– Szkoda, że mnie tam nie ma – wyszeptała Molly.

– Też bym chciała, żebyś tu była – odparła Elin i na długą chwilę zapadła cisza.

Rozjaśniło jej się w głowie, aspirin activ zaczął działać. Była wdzięczna za tabletki nasenne, które dostała od wezwanego przez policję lekarza rejonowego. Dzięki nim przespała całą noc, ale obudziła się z ciężką głową i płataniną myśli. Aspirin jak zwykle pomógł na większość dolegliwości. Przeczesła włosy lewą dłonią i poczuła, że trzeba je umyć. W pustym ekranie telewizora odbijała się jej blada twarz.

– Nie wiem, co powiedzieć – syknęła Molly do aparatu.

– Nie musisz nic mówić – odparła Elin.

To z jednej strony była prawda, a z drugiej – nieprawda. Elin potrzebowała kogoś, kto coś powie, kto będzie gadał jak najęty, ale nie współczucia czy analizowania tego, co się stało. Chciała, by ktoś do niej zadzwonił i popowiadał o znaczeniu słów według Freuda, pułapkach terapii poznawczo-behawioralnej, o upiciu się podczas ostatniego wyjścia do pubu, o ciuchu okazjnie zakupionym w Tjallamalla, o czymkolwiek. Wysłuchałaby nawet długich zwierzeń na temat jej chłopaka nudziarza.

Odkąd powiedziała, że jej mama została zamordowana, Molly zadzwoniła tylko raz. Jeden jedyny raz w ciągu dwóch tygodni. To ją naprawdę wkurzyło. Jeszcze bardziej się wściekła, gdy dotarło do niej, że na wyspie nie ma nikogo. Nie było ani jednej osoby, która by się o nią martwiła. Już nie. Był Ricky, ale nie widziała go od przedwczorajszego wieczoru. Nawet nie zadzwonił.

– Zamierzam jutro pojechać do domu – oznajmiła.

– A możesz to zrobić? – zapytała Molly.

– Nie musisz mówić szeptem.

Molly odchrząknęła i odparła:

– Okej.

– Nie mogą mnie powstrzymać – powiedziała Elin. – Tęsknię za domem. Mieszkam u Ricky’ego już dwa i pół tygodnia. To... Po prostu muszę wrócić do domu. Za dużo tego wszystkiego jak dla mnie.

– To musi być okropne – zgodziła się Molly.

Zaczęła od szeptu, ale się zreflektowała i przy słowie „okropne” podniosła głos.

– Raczej dziwaczne – odparła Elin.

Myślała o mamie i tacie. Poczowała się tak, jakby wiadomość z poprzedniego dnia cofnęła ją w czasie, do momentu, gdy była w Redners, a Ricky powiedział jej, że mama nie żyje. Co dziwne, nie pamiętała tego szczegółowo, ale miała w głowie samo uczucie, była w nim. Nie mogła go znieść, lecz jednocześnie czuła ogromną, zbawczą pustkę. Wielkie, białe morze bez słów, dzięki któremu przeżyła.

Tata. Nie wiedziała, co czuje na tę myśl. Jeszcze tam nie dotarła. Straszliwe okoliczności jego śmierci przyćmiły samą śmierć. Elin nie potrafiła zrozumieć, że już go nie ma. Cokolwiek to znaczyło. Utknęła w potworności, w nierealnej sytuacji. Ktoś zamordował jej rodziców. A ona myślała, że to jej ojciec... Nie. Tego było zbyt wiele.

– Dotrę do domu około dziewiątej. Będiesz miała czas się spotkać?

Padało od pół godziny. Lekki, donośny deszcz, tego rodzaju, gdy każda kropla brzmi jak ciche, lecz wyraźne stuknięcie w dach i okna.

Zebrali się w pokoju Görana. Ove z jakimiś papierami w ręce, inni niepokojni, niecierpliwi, chcący wreszcie do czegoś dojść. Po ponad dwóch tygodniach powinni już przesłuchiwać podejrzanego.

– Przygotowałem informacje na temat Leo Ringvalla – oznajmił Ove. – Świadek Marie Barsk ma rację, że przyjechał do Sztokholmu z rodzicami w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym. Pobicie z dwa tysiące trzeciego to pierwszy wyrok, ale wystarczy trochę popytać, by w tle odkryć znacznie więcej. Przemyt, nielegalny wyrób alkoholu, paserstwo... Ale on zawsze był na granicy, nie dało się go z niczym połączyć, zawsze było zbyt mało, by mógł zostać zatrzymany.

– Podejrzewam też, że nikt nie zadał sobie trudu, by coś znaleźć, dopóki on był czujny i ograniczał się do takich gównianych przestępstw.

– Pewnie masz rację – odparł Ove. – Ale potem: bum, dopuszcza się pobicia i wpada. Paskudna historia. Ofiara doznaje pięćdziesięcioprocentowego uszczerbku na zdrowiu w wyniku urazu głowy.

– Trzy lata to raczej niski wyrok – stwierdził stojący przy drzwiach Gustav.

– Chyba dlatego, że to był jego pierwszy wyskok, a uszkodzony również nie był święty i zaczął całą awanturę, rozbijając na głowie Ringvalla butelkę piwa – wyjaśnił Ove.

W pomieszczeniu chwilowo zaległa pełna rezygnacji cisza.

– W niektóre dni człowiek ma ochotę rzucić to wszystko i zostać pustelnikiem – odezwał się Fredrik.

– Przyjechałeś tutaj. To etap na tej drodze – odparła Sara.

Znow zapadła cisza. Tym razem z zupełnie innego powodu.

– Żartowałam – powiedziała Sara z nieszczęśliwą miną.

Ove delikatnie zgiął papiery i lekko ścisnął kciukiem i palcem wskazującym.

– Ci, którzy nie mają dziś zamiaru być pustelnikami ani komikami stand-upowymi, mogą pojechać do Hemse i zabrać Ringvalla. W rejestrach figuruje jeden z mężczyzn, którzy według Marie Barsk byli dawnymi kolegami Ringvalla. To Per-Arne Hallman, bardziej znany jako Beppo. Zameldowany przy Ängsgatan w Hemse. Proponuję, abyśmy zaczęli od niego.

Göran podniósł słuchawkę telefonu, chwilowo wyciszył sygnał, przyciskając kciukiem widełki i ścisnął w garści słuchawkę wskazał swoich inspektorów.

– Pojedziemy, gdy tylko dostaniemy zielone światło, ale trzymajcie się z tyłu. Pierwsi wejdą antyterrorysty. Jeśli dobrze trafiliśmy z Ringvallem, wszystko się może zdarzyć, a nie chcę mieć żadnych kryminalnych pociętych nożem. Wystarczy mi ból w krzyżu.

Zdjął kciuk z widełek i wybrał numer komendanta. Pomieszczenie szybko opustoszało.

Wyważenie drzwi u Pera-Arnego Hallmana zajęło trzy sekundy, a po kolejnych trzech sekundach czterej mężczyźni zabezpieczyli mieszkanko przy Ängsgatan w Hemse, z widokiem na parking przed Konsumem i biblioteką.

Per-Arne Hallman, bardziej znany jako Beppo, spojrział zaspany z kanapy. Podrzemywał na niej przed telewizorem, w którym emitowano czarno-biały film ze starszym Göstą Ekmanem. Zanim się porządnie rozbudził, został przyciśnięty brzuchem do sofy i szybko przeszukany przez mało delikatne dłonie w rękawiczkach. W mieszkaniu nie było nikogo innego.

Czterej policjanci w ubraniach ochronnych schowali do kabur pistolety, które uznano za wystarczające uzbrojenie na tę akcję i dali znak policjantom kryminalnym, że mogą wchodzić.

– Jest wasz – powiedział dowódca antyterrorystów.

Gustav wszedł pierwszy, za nim Fredrik i Sara. Mieszkanie cuchnęło dymem papierosowym, który maskował zmieszany odór kurzu, śmieci, brudnej pościeli i przepoconych skarpet. Przy niepościelonym łóżku stał stos zamkniętych pudeł ze wzmacniaczami, odtwarzaczami DVD i podobnymi urządzeniami.

– Nie dałeś sobie z tym spokoju? – spytała Sara i pchnęła stopą jedno z pudeł.

Beppo został skuty kajdankami i posadzony z powrotem na sofie. Ręce na plecach sprawiały, że siedział lekko pochylony.

– Oryginalne – jęknął. – Nie można sobie kupić nowego sprzętu stereo?

– Gdzie jest Leo Ringvall? – zapytał Gustav. Podsunął sobie krzesło z białych metalowych rurek z brudnoczerwonym siedziskiem i usiadł naprzeciwko Beppa.

– Co takiego? – zdziwił się Beppo.

Fredrik podniósł zielono-żółty śpiwór, który znalazł na podłodze wśród brudnych rzeczy i pustych puszek po piwie.

– Wygląda na to, że miałeś towarzystwo. A może wybierasz się na obóz?

– Gdzie jest Leo Ringvall? – powtórzył Gustav.

– Nie wiem.

Gustav podniósł wzrok na Fredrika, który odrzucił śpiwór.

– Zacznijmy od zabrania go na komisariat.

– Tak – odparł Fredrik i coś mu przyszło do głowy.

Wyciągnął jednorazowe rękawiczki z kieszeni kurtki, włożył je i przykucnął przy śpiworze. Ostrożnie go rozwinał i zlustrował wewnątrz. Chwytał w dwa palce i podniósł coś, czego inni nie widzieli.

– Kawalek włosa – oznajmił. – Długiego i czarnego.

– Chyba najlepiej, by Eva to zbadała – stwierdził Gustav.

Sara stała przed komisariatem w Hemse i przyglądała się wyrzeźbionemu w wapieniu nad drzwiami symbolowi barana trzymającego krzyż z chorągwią. Rozumiała, że nie mogą przesłuchać Hallmana w trójkę, ale dlaczego to właśnie ona została na dworze? Czy miało to związek z komentarzem o pustelniku? Nie rozumiała, że żart mógł aż tak nie wypalić. Przecież był całkowicie niegroźny. Może rzeczywiście nie rewelacyjny, ale i tak...

Oderwała wzrok od herbu i zrobiła kilka przypadkowych kroków wzdłuż pobielonej fasady. Deszcz nie ustał całkowicie – czuć było lekką mżawkę. Co się właściwie stało z Ovem? Dla niej zawsze był najbardziej przyzwoitym człowiekiem w całym komisariacie. Spokojnym, godnym zaufania, kompetentnym i miłym. Jako kierujący śledztwem nagle pokazał swoją kłótniwą, czepiającą naturę, której wcześniej nie dostrzegła. Czyżby nie radził sobie z presją? Nie nadawał się na szefa śledczych?

Mżawka zaległa jej na twarzy niczym warstewka potu. Sara odgarnęła wilgoć z czoła i policzków i wróciła do komisariatu. We wtorek o piętnastej miała wizytę w szpitalu Söder w Sztokholmie. Potrzebna była pokaźna dawka uporu i suszenia głowy przez telefon, by przekonać ich do wykonania zabiegu w Sztokholmie, a nie w Visby, ale w końcu udało jej się postawić na swoim. Przez jakiś czas myślała, że to było głupie, że po prostu się uparła, ale po nieprzyjemnej ciszy, która nastąpiła po jej nieudanym żarcie, była zadowolona, że tak zrobiła.

Wizyta wypadła w dniu, w którym szczątki Arvida Traneusa zostały znalezione w ziemi w Hejde. Sara miała wyrzuty sumienia na myśl, że to koliduje z nowym śledztwem w sprawie zabójstwa, ale już nie było wyjścia. Zegar tykał. Musiała powiedzieć Göranowi. Nie zakomunikowała tego wprost, lecz jej gładkie słówka były łatwe do rozszyfrowania. Cień, który przemknął po twarzy Görana, gdy stało się jasne, że przez trzy dni będzie nieobecna, nie umknął jej uwadze. Robił, co mógł, żeby ukryć rozczarowanie, ale bezskutecznie.

– Jest pan podejrzany o ukrywanie przestępcy, względnie pomocnictwo. Mamy również podstawy podejrzewać pana o paserstwo – oznajmił Gustav,

mierząc Pera-Arnego Hallmana swoim przyjaznym wzrokiem.

– Co? – odparł Hallman i oburącz chwycił błyszczący lakierowany blat starego biurka.

Jego twarz była pobrużdżona przez alkohol i narkotyki, a nastroszone włosy opadały na kark w sposób, który bardziej pasowałby do gwiazdora rocka niż wałkonía z Hemse. Fredrik zaczął się zastanawiać, kto go strzyże. Trudno mu było sobie wyobrazić, by Hallman komuś za to płacił, ale oczywiście nawet nieudacznik takiego kalibru może być próżny pod pewnymi względami.

– Ma pan prawo do obrońcy. Chce pan z niego skorzystać czy woli kontynuować przesłuchanie bez adwokata? – spytał Gustav.

– Jeżeli zamierzacie gadać o zabójstwie, stanowczo żądam adwokata, bo z żadnym zabójstwem nie mam nic wspólnego – powiedział Hallman, lewą dłonią dotykając włosów na karku.

– Czyli nie przyznaje się pan do winy?

– Nie wiem nic o żadnym zabójstwie. Całkowicie się pomyliliście – zapewnił Hallman, siedząc na krześle wyprostowany jak struna i wpatrując się w Gustava szeroko otwartymi oczami.

– Przede wszystkim chcielibyśmy porozmawiać o Leo Ringvallu. Możemy to zrobić tu i teraz czy zależy panu na obecności obrońcy?

Beppo Hallman już miał otworzyć usta, ale Gustav mu przerwał.

– Jeśli wybierze pan drugą opcję, będziemy musieli zabrać pana do Visby i umieścić w areszcie do czasu, aż znajdziemy adwokata.

Hallman przez pięć sekund siedział sztywno jak przedtem i myślał, a potem się zgarbił i z rezygnacją machnął prawą dłonią.

– Jasne, pytajcie.

Głos zabrał Fredrik, zgodnie z podziałem zadań, na który się wcześniej umówili.

– Długo zna pan Leo Ringvalla?

– Tak, od czasów szkolnych.

– A teraz u pana mieszka, prawda?

– Tak.

– Od jak dawna?

– Od dwóch, trzech tygodni.

– Mógłby pan być bardziej dokładny?

Hallman spojrzał w górę na dużą lampę fluorescencyjną, która świeciła ostrym, niemal pozbawionym cieni światłem, a potem znów na Fredrika.

- To była sobota.
- Trzy tygodnie temu?
- Tak. Datę może pan sprawdzić sam.

Usłyszeli dźwięk zamykanych drzwi komisariatu. Zamknięte drzwi sali przesłuchań drgnęły pod wpływem przeciągu.

- Kiedy Leo Ringvall był w tym mieszkaniu po raz ostatni?
- Wczoraj – odparł Hallman.
- Kiedy wczoraj?
- Około czternastej.
- Czyli nie spędził tu ostatniej nocy?
- Nie.
- Gdzie jest teraz?
- Nie mam pojęcia – odparł Hallman.

Fredrik umilkł i spojrzał na Beppę Hallmana, a na jego twarzy zaczynało się malować zniecierpliwienie. Ledwo zauważalnie westchnął i nachylił się nad stołem.

– Przez chwilę miałem wrażenie, że rozumie pan powagę sytuacji, ale teraz zaczynam wątpić – oznajmił.

– Naprawdę nie wiem – odpowiedział szybko Hallman. – Wyszedł wczoraj po południu i od tego czasu go nie widziałem.

– Czyli mieszka u pana trzy tygodnie, a potem tak po prostu znika, nie mówiąc, dokąd się wybiera?

Beppo Hallman energicznie pokiwał głową.

- Tak jest.
- Nie dzwonił?
- Nie.
- I nie wie pan, dokąd mógł pójść?
- Nie.
- A jak pan sądzi?

– Człowiek zaczyna się zastanawiać. Czy coś się stało i w ogóle.

Z pewnością, pomyślał Fredrik.

– Zrobimy chwilę przerwy – oznajmił, rzucając szybkie spojrzenie w kierunku Gustava. – Zaczekam tu z panem Hallmanem, a ty poproś Sarę.

Gustav wstał, żeby pójść jej poszukać. Tak naprawdę nie przeprowadzali przesłuchania w sali do tego przeznaczonej. Nie mogli więc zostawić chuligana w rodzaju Hallmana bez nadzoru.

– Wydaje mi się, że Ringvall zwiął. Hallman nie widział go od wczorajszego popołudnia. O ile mówi prawdę – oznajmił Fredrik, gdy zastąpiła go Sara.

Gunilla Borg spojrzała zza obciążonego papierami biurka. Jej blond warkocze akurat tego dnia były spięte na karku.

– Nie wydaje mi się, by kłamał – stwierdziła, kładąc jedną rękę na biurku. – Beppo to raczej typ milczka.

– Dziś akurat mówi, ale niezbyt szybko to idzie – przyznał Fredrik. – Istnieje ryzyko, że Ringvall już stąd odpłynął.

– Coś musi wiedzieć – dodał Gustav. – Kontynuujmy.

Gunilla Borg zawisła nad biurkiem z lekko przekrzywioną głową.

– Nie chcę się w to mieszać – powiedziała – ale dość dobrze go znam. Jeśli mi powiecie, co chcecie wiedzieć, mogę spróbować.

Gustav i Fredrik wymienili spojrzenia.

– Oczywiście, dlaczego nie – zgodził się Gustav. – Brzmi rozsądnie.

– Tak – przystał Fredrik i wskazał Gustava. – Kto idzie? Ty czy ja?

Gunilla Borg wydała pełny namysłu pomruk.

– Beppo najlepiej sobie radzi, kiedy jest przesłuchiwany przez kobiety, powinnam była wspomnieć o tym wcześniej, ale wszystko działa się tak szybko, a ja, jak już mówiłam, nie chciałam się mieszać, więc...

Energiczny i lekko szczebiotliwy głos Gunilli Borg ucichł, gdy zadowolona z siebie zrobiła efektowną pauzę.

– ...byłoby najlepiej, gdyby została ze mną Sara – dodała po chwili.

Zapadła cisza. Trwająca tyle czasu, ile potrzebował Fredrik, by zrozumieć, że jest możliwa tylko jedna odpowiedź na to pytanie.

– Tak, tak, lećcie.

Gunilla Borg dziarsko wstała i ruszyła do pokoju, w którym siedzieli Sara i Beppo Hallman. Gustav zrobił zdziwioną minę. Fredrik w odpowiedzi rozłożył ręce.

Sara usiadła na krześle przy ścianie, żeby niepotrzebnie nie stresować Hallmana. Gunilla Borg zajęła miejsce naprzeciwko podejrzanego i długo patrzyła na niego bez słowa. Jej błękitne oczy nad piegowatymi policzkami były stanowcze i przenikliwe, ale niepozbawione empatii.

– Paserstwo – powiedziała w końcu.

Beppo uciekł wzrokiem.

– O, wie pani, pojawiają się dawni koledzy i chcą, żeby im zrobić przysługę. Ja mówię, że nie da rady, że już się nie zajmuję takimi rzeczami, a potem i tak zawsze się znajdzie ktoś, kto... jak by to powiedzieć... podrzuca człowiekowi rzeczy i...

– Proszę posłuchać – przerwała spokojnie. – Jeśli pański kolega Leo zabił te trzy osoby w Levide, z całą pewnością w grę wchodzi dożywocie.

– Nie mógł tego zrobić. To nie on – powiedział Hallman.

– Kilka faktów przemawia na jego niekorzyść – oznajmiła Gunilla Borg.

– Musi pan koniecznie powiedzieć, co wie. Dla jego, naszego, ale też dla swojego dobra. Rozumie pan?

– Oczywiście. Ja nic nie wiem, ale odpowiem na wszystkie pytania, obiecuję.

– Ma pan nie tylko odpowiadać na pytania, lecz mówić wszystko, co wie. Nawet jeśli wydaje się panu, że to nieistotne drobnostki. W porządku?

Beppo Hallman pokiwał głową i przełknął ślinę.

– To dobrze – odparła Gunilla Borg, nie spuszczać z niego wzroku. – Co pan odpowiedział, kiedy zadzwonił Leo i poinformował, że chce u pana mieszkać?

– Powiedział, że właśnie wyszedł z pierdła. Tak dokładnie to ujął i ja też o tym wiedziałem. Zdawałem sobie sprawę, ten moment jest coraz bliżej, że tak powiem. Szczerze mówiąc, narobił mi problemów. Chłopak dopiero wyszedł, nie wiadomo, co może się stać. Czy chce po prostu mieć trochę spokoju i dojść do siebie, czy może szykuje się coś innego.

– Trzymajmy się tego, co powiedział Leo. – Gunilla przerwała nagle gadulstwo Beppa. – Dlaczego tu był?

– Nic na ten temat nie mówił – odparł Beppo.

Następne pytanie kazało na siebie poczekać. Gunilla Borg lekko odchyliła głowę, a w jej oczach tliło się coś, co najwierniej można było określić mianem zmartwienia. Zmrużyła oczy i pojawiła się między nimi mała zmarszczka.

– Nic?

Beppo niezdecydowany otworzył i zamknął usta.

– Okej, wierzę panu. Leo właśnie wyszedł z więzienia, jesteście kolegami z dawnych czasów, to jasne, że dzwoni, a pan pozwala mu u siebie mieszkać. Może nie potrzebował innego powodu, by tu przyjechać. Ale... skoro już był, może zaczęliście rozmawiać o przyszłości. To byłoby całkiem naturalne, bo przecież chwilę wcześniej wyszedł na wolność. Może coś planował, wpadł na jakiś pomysł. Niekoniecznie coś, co rzeczywiście zamierzał zrealizować, mógł tylko tak gadać, jak to się czasem zdarza. Chętnie bym posłuchała.

Beppo Hallman nerwowo zmienił pozycję na krześle i zaczął się drapać w ramię.

– On... tak powiedział, ale tylko powiedział, ma pani rację.

– Co konkretnie powiedział Leo? – odparła Gunilla Borg.

– Że tam pojedzie.

– Dokąd?

– Do gospodarstwa. Gospodarstwa Traneusów w Levide.

Beppo Hallman wyglądał na zgnębionego.

– Nie powtarzajcie mu, że to mówiłem. Jeśli zamierzacie to zrobić, nic więcej nie powiem.

– Nie musi się o niczym dowiedzieć – zapewniła Gunilla Borg.

Ciekawe zjawisko, pomyślała Sara Oskarsson, siedząc obok koleżanki i ją obserwując, surową i dostojną w niebieskiej koszuli od munduru. Nie miała w sobie krzty niepewności. Przypominała ich nauczyciela ze starszych klas podstawówki, który posiadał absolutnie wyjątkową umiejętność przyciskania najbardziej zuchwałych i psotnych chłopaków do ściany i patrzenia na nich z góry, choć od większości był niższy o głowę. Chciałaby zrozumieć, na czym polega ten sekret.

– Zamierzał pojechać do gospodarstwa i stanąć oko w oko z Arvidem Traneusem. Oko w oko z tym skurwysynem, jak się wyraził.

– I co miało się wydarzyć, gdy tak stanie?

– Nie wiedział. Chciał przed nim stanąć i zobaczyć, co będzie.

Gunilla Borg jeszcze raz spróbowała przeczekać Beppę, ale tym razem to nie poskutkowało.

– To było wszystko. Na pewno. Pytałem, a nawet powiedziałem, że moim zdaniem powinien to wszystko olać, bo było, tak jakby, bez sensu. Przecież Traneus mógł po prostu zadzwonić po gliny, a wtedy Leo miałby mnóstwo nieprzyjemności. Ale on nigdy tego nie zrobił. Nie był tam.

– Skąd ma pan tę pewność?

– Znam go. On by tego nie zrobił.

– Pański kolega Leo właśnie wyszedł z więzienia po odsiedzeniu trzech lat. Miał wyrok za pobicie człowieka, w wyniku którego ofiara na resztę życia została kaleką. Chyba pan o tym wie?

– Tak, ale...

– Ale? – powtórzyła Gunilla Borg i po raz pierwszy wydawało się, że nie jest do końca opanowana.

Hallman przez chwilę milczał, siedząc w zupełnym bezruchu.

– Mimo wszystko uważam, że on tego nie zrobił.

– To co innego – odparła Gunilla Borg z większym zrozumieniem w głosie.

Sara spuściła wzrok na kolana, żeby ukryć uśmiech.

– Innymi słowy, nie wie pan, czy Leo odszukał Traneusa w Levide? – dodała Gunilla Borg.

– Nie wiem.

– A czy byłby w stanie to zrobić? Rozstaliście się na wystarczająco długo, by przez ten czas zdążył pojechać do Levide i wrócić?

– Myślę, że tak... Tak – odparł Hallman i ciężko westchnął.

– Wyszedł z jakiegoś szczególnego powodu? – spytała Gunilla Borg.

– Codziennie wychodził na jakiś czas. Nie mam pojęcia, co robił, poza tym, że chodził po zakupy do monopolowego.

– A tuż po weekendzie, kiedy się pojawił?

– Tak, wtedy też. Nie pamiętam dokładnie dni, ale gdyby chciał, zdążyłby dojechać do Levide wiele razy.

– Miał samochód?

Beppo Hallman wybuchnął śmiechem.

– Dopiero wyszedł z więzienia, po trzech latach. Skąd miałby wziąć samochód? Przed bramą nikt na niego nie czekał.

– Mógł pożyczyć samochód, ukraść go, skąd mogę wiedzieć. Ale rozumiem, że nie miał dostępu do żadnego samochodu, motoru ani roweru?

– O ile wiem, to nie – powiedział Hallman.

Kiedy ruszyli z Hemse, zaczynało się ściemniać. Zmierzch został przyspieszony przez zgęstniałą pokrywę chmur. Mżawka przeszła w mocną ulewę, która sprawiła, że na drodze wiodącej przez Hemse pojawiły się pokaźne kałuże. Parking przed Konsumem był gęsto wypełniony samochodami. Ludzie podbiegali do nich z wózkami sklepowymi, ładowali do bagażników torby wypełnione chipsami, napojami gazowanymi i stekami na piątek, a ten czy ów mógł nawet być świadomy indeksu glikemicznego. Zgniecione strony tabloidów pośród kartonów mleka i bananów, podające najświeższe informacje na temat zabójstw pod czarnymi nagłówkami z dopiskiem WYDANIE SPECJALNE, były mokre od deszczu i trudno się je przeglądało. Roznosiły woń mokrego papieru i druku po samochodach, którymi ludzie jechali do domów cieszyć się weekendem.

Sara, Fredrik i Gustav nie mieli przed sobą wolnych dni i zdawali sobie z tego sprawę. Klint postanowił zatrzymać Hallmana pod zarzutem paserstwa. Najbardziej pewnym. Nie musiało to zaraz doprowadzić do postawienia aktu oskarżenia, ale ta kwestia była drugorzędna. Plan polegał na przytrzymaniu Hallmana pod kluczem, żeby Leo Ringvall nie zdążył zostać ostrzeżony.

Gustav prowadził, Sara siedziała obok niego, a Fredrik zajmował miejsce z tyłu i rozmawiał przez telefon z Ovem. Pera-Arnego Hallmana wysłali radiowozem do Visby. Cieszyli się, że sami nie muszą go odwozić. Kiedy Hallman zrozumiał, że jedzie do Visby, zaczął się skarżyć, że został oszukany. Uważał, że zawarli układ, według którego po opowiedzeniu o Ringvallu miał zostać wypuszczony do domu. Nikt jednak nie złożył mu takiej obietnicy. Może tylko rzucili jakąś sugestię, którą niewłaściwie zinterpretował.

Fredrik włączył komórkę.

– Sytuacja Ringvalla nie wygląda najlepiej – oznajmił. – Wyniki DNA jeszcze nie nadeszły, ale włosy pasują. Poza tym chłopak ma mały rozmiar buta.

– Wygląda na to, że Leo Ringvall spędzi krótki czas na wolności – stwierdziła Sara.

Z dużą prędkością wjechali w kałużę i wielka kaskada brudnej wody chlusnęła na prawy bok samochodu.

– Miejmy nadzieję. Oby udało nam się to zakończyć – odparł Gustav.

CZĘŚĆ TRZECIA

*Zapomniał o tobie już dawno
Powiesić Boga!*

Ebba Grön

Piątek, 3 listopada, szpital Karolinska, Solna

– Popłynę jutro, promem o jedenastej. W poniedziałek znów zaczynam pracę – powiedziała.

– Ach tak? – odparła Ninni i podniosła na nią wzrok.

Czekała z dalszym ciągiem. Sara wyczuła jej wahanie. Sala szpitalna dodawała wszystkiemu dramatyzmu.

– Dziękuję, że przyjechałaś, że byłaś tu z Fredrikiem. Dobrze się stało – dodała Ninni i spojrzała na męża.

Sara w milczeniu skinęła głową. Jej myśli krążyły wokół wizyt, które mu złożyła, godzin i dni spędzonych w tej sali. Słyszała własny głos. Mówiła o sprawach, których nigdy nie zdradziłaby Fredrikowi, gdyby nie te szczególne okoliczności. I o których sam być może nie chciałby słuchać. Poczuli, że płoną jej policzki.

– Zostawię was w spokoju – powiedziała.

Ninni wyraźnie nie miała nic przeciwko temu.

– Do zobaczenia – powiedziała Ninni, a Sara wymknęła się za drzwi.

Stan Fredrika trochę się poprawiał z każdym dniem. Było więcej słów, także tych zrozumiałych, więcej spojrzeń. Lepiej, ale wciąż nie dobrze. Droga do dobrego stanu była jeszcze daleka. Sara nie wiedziała, na co można liczyć. Lekarze wciąż mówili, że całkowity lub prawie całkowity powrót do zdrowia jest jak najbardziej możliwy. Oczywiście napawało to nadzieją i próbowała nie myśleć, co oznacza „prawie”.

Szybkim krokiem pokonała korytarz, ale zawahała się, mijając dyżurkę pielęgniarek. Przez chwilę się zastanawiała, a potem wróciła i wsunęła głowę w szczelinę w drzwiach. Zobaczyła pielęgniarkę o siwych kręconych włosach szukającą czegoś w szafce.

– Dzień dobry, nazywam się Sara Oskarsson – powiedziała. – Jestem koleżanką Fredrika Bromana.

Pielęgniarka włożyła okulary o fioletowych oprawkach, które wisiały na sznurku na szyi.

– Dzień dobry – odpowiedziała. – Tak, rozpoznaję panią. Zwykle go pani odwiedza.

Sara uśmiechnęła się do pielęgniarki.

– Tak, ale to już ostatni raz. Jutro wracam do domu, do Visby.

- Aha, rozumiem – odparła pielęgniarka, bębniąc palcami w szufladę.
 - Jedno mnie zastanawia.
 - Słucham.
 - Wydaje się, że wraca mu pamięć, że przypomina sobie coraz więcej, A może wraca po prostu język, a pamięć jest przez cały czas...
- Sara urwała, zdając sobie sprawę, że prawie poruszyła zasadniczy temat. Pielęgniarka poprawiła okulary, czekała.
- A zatem zastanawiam się, czy według pani on będzie pamiętał coś z czasu spędzonego w szpitalu. To znaczy, czy w ogóle słyszał, co do niego mówiłam, a jeśli tak, to czy mógł to zapamiętać?
- Między oczami pielęgniarki pojawiła się drobna zmarszczka.
- Na to pytanie nie da się odpowiedzieć, ale całkiem możliwe. Proszę go zapytać, kiedy już będzie w lepszym stanie.

Był sam w ciemności. Czuł na twarzy chłód i wilgoć, a na plecach twardość kamienia, bo siedział skulony przy ścianie. Nie było światła, niczego, tylko wiatr uderzający o dach, mocno smagający mury.

Gdyby śpiwór, do którego wszedł, nie potrafił chronić przed wilgocią i chłodem, długo by tu nie wytrzymał. Odchylił głowę na chropowaty kamień i zamknął oczy. I tak nie było nic do oglądania. Kiedy je otwierał, był ślepy. Próbował więc zwrócić się ku wnętrzu siebie. Poczucie, jak unoszą się płuca, i nie przejmować się niczym oprócz własnego oddechu.

Akurat w chwili, gdy miał wrażenie, że to działa, że czuje coś w rodzaju ulgi, poczuł wyraźnie, że ktoś nad nim stoi. Gwałtownie otworzył oczy, a wtedy widział jeszcze mniej. Ciemność była bardziej czarna, gęstsza, ale postać w jego głowie jeszcze bardziej obecna. Postać bez twarzy, ale i tak czuł gapiące się na niego oczy. Które łzawiły, nie, krwawiły – lepka, czerwona ciecz wypływała z równie czerwonych gałek ocznych.

Szaleństwo, głupoty, zwidy, powtarzał sobie i szybko przesunął dłoń w pustym powietrzu, by to sobie udowodnić. Mimo wszystko postać nadal tam wisiała, niczym obraz zachowany pod powiekami po oślepieniu światłem. Wzdłuż podłogi rozległ się słaby chrzęst i nagle postać z mroku zniknęła, ustępując jednak miejsca czemuś innemu. Nowemu hałasowi. Tym razem się nie przesłyszał ani nie był to żaden duch. Tam, w ciemności, coś szeleściło, pełzając po chropowatej kamiennej posadzce. Wąż. Słyszał go wyraźnie. Znajdował się w ciemności w towarzystwie węża. Łuskowatego gada z zygzakowatym wzorem, który pełznął ku niemu, poruszając językiem z taką samą pewnością, jak robiłby to w pełnym świetle. Był śmiercionośny i realny.

Mocno tupnął obunóż w posadzkę, ale przez izolację śpiwora efekt był słaby. Gwałtownie wyciągnął przed siebie lewą rękę, zaczął nią błądzić po ścianie, potracił coś, co się hałaśliwie przewróciło, znalazł zapalniczkę i zapalił. Zerwał się na nogi i trzymał zapalniczkę przed sobą w wyprostowanej ręce. Płomień tańczył w przeciągu, ale mimo wszystko całkiem nieźle oświetlał pomieszczenie. Powoli przesunął go z lewej strony w prawą, ale nie widział żadnego węża. Wolno ruszył po pokoju z zapalniczką w wycią-

gniętej ręce. Nie, węża oczywiście nie było. Tylko jego głowa płatała mu figla. Kiedy przerażająca, pochylona nad nim postać stawała się zbyt łatwa do pokonania, psychika natychmiast się przełączała na coś innego, co trudniej utrzymać z dala od siebie.

Dlaczego tak się dręczył? Przecież to z niego pochodziły – te węże i dziwaczne krwawiące istoty. Poczul ostrą woń, odwrócił się i spostrzegł, że cieknie kuchenka turystyczna, którą przewrócił. Po podłodze rozlewała się czarna kałuża. Zaklął cicho, wygramolił się ze śpiwora i natychmiast poczul szczypiący chłód. Podbiegł do kuchenki, już prawie pustej, i ją postawił, starając się nie trzymać zapalniczki za blisko.

Przesunął plecak z jedzeniem i ubraniami, torebkę sucharów i butelkę wódki, które zdążył spakować. Torebka była ochlapana denaturatem z kuchenki. Rozerwał ją, wsypał suchary bezpośrednio do plecaka i ją wyrzucił. Znowu zaklął. Plecak na szczęście był suchy. Odsunął go jeszcze kawałek od kuchenki. Prawą dłoń miał zimną od denaturatu.

Zapalniczka parzyła go w lewy kciuk. Wszedł do śpiwora i zgasił płomień. Nie wiedział, co zrobić z zapalniczką, i w końcu włożył ją między zęby, a potem zasunął zamek śpiwora. Doczołgał się do ściany, usiadł i odłożył zapalniczkę.

Kiedy tylko znieruchomiał, wizje powróciły. Mrok się nachylał, gęstniał dookoła, wpatrywał się w niego, próbował go dosięgnąć. On odwzajemniał spojrzenie, próbując się uodpornić na wirujące w jego wnętrzu głupoty, ale jakkolwiek by walczył, czuł, że serce bije coraz mocniej i szybciej, krew szumi w nabrzmiąłych, twardych żyłach, a puls zdaje się trzepotać bez wytchnienia.

Przyciągnął do siebie zapalniczkę i musiał naciskać trzy razy, zanim płomień ponownie spowił pomieszczenie słabym blaskiem. Widział przed sobą brudną kamienną podłogę. Sięgnął po butelkę wódki, żałując, że nie ma czegoś jeszcze, czegoś mocniejszego. Przyłożył ją do ust i wypił dwa duże łyki, jeden po drugim. Tęsknił za czymś, co by go całkowicie wyłączyło aż do rana. Nie był pewny, czy wódka pomoże, ale i tak pił.

Myślał, że postępuje słusznie.

Inspektor kryminalny Christer Eriksson mocniej ściągnął cienki, wygnieciony płaszcz przeciwdeszczowy wokół szarzielonego, o numer za dużego garnituru. Wprawdzie przestało padać, ale wiał zimny wiatr.

Przyjechał do Huddinge na południe od Sztokholmu, żeby zbadać miejsce zbrodni. Badanie było związane ze strzelaniną, która rozegrała się tu ponad tydzień wcześniej. Kiedy Christer Eriksson zaczął przeglądać materiały zrzucone mu na głowę przez przełożonego, który pojechał na urlop, nie potrafił pogodzić zeznań świadków z wynikami badań przeprowadzonych przez techników. Dlatego postanowił, że sam się rozejrzy. Jego prywatna teoria była taka, że ktoś pokpił sprawę. W czasie strzelaniny nikomu nic się nie stało, a potencjalną ofiarą był bezrobotny Chilijczyk, niekarany, lecz z kilkoma przypadkami gróźb karalnych na koncie. Innymi słowy, niski priorytet.

Do strzelaniny doszło na osiedlu wieżowców znajdującym się na płaskowyzu nieopodal stacji metra Vårby gård. Zamiast pokonywać samochodem całą drogę jednokierunkowymi serpentynami, zaparkował pod schodami, które praktycznie prowadziły prosto na miejsce.

Schody składały się z trzech długich sekcji. Christer Eriksson mozolnie pokonywał pierwszą, gdy zauważył, że mężczyzna nadchodzący z prawej strony asfaltową parkową ścieżką przecina schody między sekcją dolną a środkową. Chociaż Christer widział go z profilu, a twarz mężczyzny była częściowo zasłonięta szarym kapturem, od razu nabrał pewności. Cztery lata wcześniej poświęcił kilka długich zimnych nocy na obserwację Leo Ringvalla. Nie przyniosło to żadnego rezultatu, ale wiedział, że tak łatwo nie zapomni tej twarzy. Rankiem zaś została mu przypomniana przez list gończy na tablicy ogłoszeń wydziału kryminalnego.

Wiatr targał krótką, napuszoną grzywką. Christer Eriksson odgarnął ją prawą dłonią i korzystając z okazji, że gest to zasłania, obrzucił mężczyznę jeszcze jednym spojrzeniem. To dało mu całkowitą pewność. Miał przed sobą Leo Ringvalla, trzykrotnego zabójcę z Gotlandii.

Ringvall skręcił z parkowej drogi i zaczął wchodzić po schodach na pokrytym zielenią zboczu. Christer Eriksson, wśród kolegów znany jako Che

z powodu sygnatury służbowej, postanowił zatrzymać tego człowieka. Mógłby też go śledzić i wezwać posiłki, ale uznał pierwszy plan za bezpieczny dla siebie i innych. O ile uda mu się go zatrzymać, zanim dotrze do płaskowyzu, a ręce Ringvalla będą widoczne i puste.

Przyspieszył kroku, puścił płaszcz przeciwdeszczowy i utkwiał wzrok na wysokości pasa Ringvalla. Nie podobało mu się przezwisko Che, zwłaszcza że nigdy nie głosował na żadne ugrupowanie na lewo od partii centrum, ale postanowił się nie wychylać. Walka z przezwiskiem to niezawodny sposób na to, by przyłgnęło na dobre. Kilka osób nazywało go nawet komunistą, ale tym zbytnio się nie przejmował. To były zgniłki, które uważały, że jest głupi, skoro spędza spokojny sobotni poranek na przedmieściach, badając sprawę strzelaniny, zamiast pić sobie kawę i popierdywać. „Pozdrów Ku- bańczyków!” – wołano za nim. Miło byłoby wrócić do miasta z potrójnym mordercą.

Kiedy Leo Ringvall dotarł do szczytu drugiego odcinka schodów, Christer Eriksson upewnił się, że nikt za nim nie idzie, a potem wyciągnął pistolet służbowy, przygotował go do strzału i szybkim, lecz kontrolowanym ruchem wycelował w plecy Ringvalla.

– Stać, policja! – krzyknął. – Ręce nad głowę.

Ringvall natychmiast się zatrzymał po pierwszym okrzyku, ale stał z rękami opuszczonymi wzdłuż tułowia.

– Ręce nad głowę – powtórzył Christer Eriksson.

Ringvall rzucił spojrzenie za siebie, spostrzegł pistolet, z którego mierzył do niego Christer Eriksson, i zaczął powoli unosić ręce.

– Stój spokojnie, patrz przed siebie. Ręce nad głowę – rozkazał Christer Eriksson, jednocześnie wolno wchodząc po schodach.

– Spokojnie – mruknął Ringvall.

Christer Eriksson przez cały czas celował w plecy Ringvalla. Podejrzany o zabójstwo nie spieszył się z podnoszeniem rąk. Policjant nie zamierzał popełnić żadnego błędu. Pomyślał, że jeśli Ringvall będzie próbował jakichś sztuczek, nie zawaha się strzelić.

– Ręce na głowę – polecił, gdy tamten wreszcie je podniósł.

Podszedł bliżej i już po chwili również był na występie między schodami. W tej samej chwili spostrzegł dwóch nastoletnich chłopaków spoglądających z góry.

– Policja, zmiatać stąd! – krzyknął, nie patrząc na nich. – Ty nie – dodał do Ringvalla, który ze zdziwieniem spojrzał za siebie.

Potem kazał mu się przesunąć w bok i uklęknąć. Ringvall wypełnił polecenie. Kiedy klękał, odruchowo opuścił jedną rękę dla równowagi, ale Christer Eriksson natychmiast krzyknął, że ma nadal trzymać obie ręce za głową.

Przewrócenie Ringvalla na trawę przyszło mu z łatwością. Wyciągnął kajdanki i opadł na kolana za plecami Ringvalla. Według listu gończego ten człowiek był uważany za groźnego, a to był krytyczny moment. Jego dłoń z kajdankami lekko drżała, gdy wyciągał ją w kierunku ramienia Ringvalla. Zapiął obręcz na lewym nadgarstku, odchylił jego ramię za plecy i skuł także prawy nadgarstek. Wiedział, że powinien schować pistolet do kabury, ale pod wpływem adrenaliny drżały mu dłonie, a krew krążyła szybciej. Nie chciał ryzykować, że zostanie obezwładniony, pocięty nożem do tapet albo żyłką, którą Ringvall mógł skrywać w dłoni. Leżący pod nim mężczyzna miał na sumieniu życie trzech osób i nie cofnął się przed poćwiartowaniem jednej ze swoich ofiar.

Nagle poczuł piekący ból małego palca lewej dłoni i prawie wypuścił pistolet, ale i tak było to nic w porównaniu z tym, co nastąpiło po kilku sekundach względnego spokoju. Poczuł się, jakby ktoś przeszył mu dłoń i ramię oszczepem. Christer Eriksson wydał okrzyk.

Miał wrażenie, że przez kilka sekund był nieprzytomny. Spojrzał na swoją lewą dłoń. Z kikuta lewego palca tryskała krew. Piekący, rwący, kurczowy ból był potworny, ale już dało się go wytrzymać. Sprawdził kajdanki na nadgarstkach Ringvalla. Tkwiły na swoim miejscu, ale około dziesięć centymetrów nad skutymi rękami, w szarym materiale kurtki z kapturem, było widać dziurę. Przyciskając do ciała pulsującą, obolałą lewą dłoń, ostrożnie odwrócił Ringvalla. Po prawej, na klatce piersiowej, znajdowała się nieregularna, wciąż rosnąca plama krwi.

Ove niedbale zapukał do otwartych drzwi gabinetu Görana.

– Ujęli go w Sztokholmie.

Göran podniósł wzrok znad biurka i zdjął okulary.

– To dobrze. Gdzie dokładnie?

– Gdzieś w Huddinge. Nasz kolega rozpoznał go dzięki listowi gończemu. Zdaje się, że Ringvall szedł do znajomego – odparł Ove i zrobił kilka kroków w głąb pokoju.

– Zdażyli go przesłuchać? – spytał Göran.

– Nie i właśnie o to chodzi – odparł Ove, krzyżując ręce. – W związku z zatrzymaniem wywiązała się strzelanina. Zarówno ten kolega, jak i Ringvall są ranni.

– Poważnie ranni? – zapytał Göran, próbując wyczytać odpowiedź z mimiki Ovego.

– Kolega w dłoń, to chyba niegroźne, a Ringvall w płuco.

Göran skrzywił się zmartwiony.

– Co się wydarzyło? To brzmi jak jakiś pojedynek na pistolety.

– Wyjaśnienie, które otrzymałem, było trochę mętne, ale chyba doszło do przypadkowego wystrzału. Kolega, który zatrzymywał Ringvalla, pokpił sprawę, bo kiedy go skuwał, broń wypaliła. W każdym razie oznacza to, że podejrzany będzie mógł zostać przesłuchany najwcześniej za czterdzieści osiem godzin.

– O cholera.

Göran wstał, podciągnął spodnie o kilka centymetrów i odwrócił się plecami do Ovego.

– Niech to szlag – powiedział i wyjrzał przez okno.

– A do dłuższego przesłuchania będzie się nadawał dopiero za tydzień lub coś koło tego – dodał Ove.

Göran odwrócił się z powrotem do niego, położył dłoń na oparciu krzesła, a drugą chwycił się pod bok.

– Jak można być tak niezdarnym? – powiedział. – Tak blisko i tak...

– Teraz go przynajmniej mamy – odparł Ove.

Göran z wyraźnym zmęczeniem uniósł brwi.

– Najważniejsze, abyśmy nie stracili rozpędu. Uważam, że powinniśmy wysłać do Sztokholmu kogoś, kto go przesłucha. Musimy się na to przygotować. Spróbować znaleźć jeszcze jakiegoś świadka, który widział go w Levide, porozmawiać z kierowcami autobusów kursujących na tym odcinku i sprawdzić, czy badania techniczne jeszcze coś wykazały. Nadal czekamy na wyniki DNA i medycynę sądową?

Ove pokiwał głową.

– Jest jeszcze syn, Rickard Traneus. Niedługo miną trzy dni, odkąd nikt go nie widział. To coś znaczy i musimy się dowiedzieć, co konkretnie. Albo jest zamieszany w sprawę, albo wie coś, czego z jakiegoś powodu nie chce ujawnić, a może... – Göran zawiesił głos – stało mu się coś złego. Jemu również.

Szczeliny w pokrywie chmur przepuszczały małe plamy światła słonecznego, które padało na płaską wyspę i morze dookoła. Słońce, chmury czy deszcz – było mu wszystko jedno. Światło dnia cieszyło go niezależnie od formy.

Przespał tylko kilka godzin nad ranem i obudził się, gdy pierwsze oznaki szarego świtu wpadły przez okrągłe okno. Czuł ból od alkoholu i twardej posadzki, a język był jak kawałek kartonu przyklejony do podniebienia.

Spojrzał na plecak, kuchenkę i pięciolitrowy baniak z wodą, który nadal stał za drzwiami. Wszystko razem wyglądało jak obóz harcerski. Co on miał w głowie?

Wyszedł przez drzwi, które wieczorem poprzedniego dnia zastawił płaskim kamieniem, pokrytym szarymi i żółtymi porostami. Z zewnątrz nie dało się ich dobrze zamknąć i musiał zostawiać uchylone.

Stał po zawietrznej, pomiędzy cylindrycznym kamiennym budynkiem a pozbawionymi dachu ruinami, które zapewne stanowiły najwyższy punkt wyspy. Przy starej latarni morskiej, dawno wyłączonej z użytku, w większości płaska wyspa wznosiła się na wysokość kilkunastu metrów stromym wzgórzem, które opadało prosto do morza.

Co on właściwie sobie myślał, kiedy się tu sprowadził? Wyobrażał sobie, że przed czymś uciekł, że udało mu się to, bo pospiesznie spakował rzeczy i wyjechał, ale ta wyspa nie była miejscem nadającym się do ucieczki. Może i rzeczywiście nikt by go na niej nie szukał, ale nie potrafił tu żyć. Jeśli liczył na wytchnienie, nie otrzymał go. Myśli atakowały go jeszcze bardziej, a ohydne wytwory wyobraźni próbowały schwytać w ciemności.

Opuścił spokojne miejsce między szarymi budynkami – wapiennymi i otynkowanymi – i stanął w miejscu, z którego dało się zobaczyć nową czarno-białą latarnię na drugim końcu wyspy. Stojąc tak, czuł blisko siebie Elin, a w oddali dostrzegał Stefanię idącą powoli pięć metrów przed mamą i tatą. Widział Przygodę, mrówki, szkielety ptaków, morze i wapienną jaskinię, widział, że wszyscy żyją. Stefania, mama, tata. Podczas letnich wypraw żeglarskich żyli wszyscy, którzy mogli żyć. Nie rozumiał, dlaczego to niemożliwe. Chciał się odwrócić i dotknąć Elin, mieć kogoś u boku, ale wie-

dział, że nikogo tam nie ma i to się już nigdy nie zmieni. Był w tym wszystkim zupełnie sam, tak samotny, jak tylko może być człowiek. Za wyspą widniał łuk horyzontu. To było zaokrąglenie świata, granice tego, co możliwe. On został sam. Potem zaś zniknęły również letnie wspomnienia, zamiast nich z dziury w ziemi wynurzyła się głowa ojca, a za jego plecami poruszały się jakieś mroczne postaci, których nie widział i które nie chciały zostawić go w spokoju. Nie mógł z nimi walczyć, bo były nieuchwytnie i pojawiały się dopiero po zamknięciu oczu.

Gwałtownie się odwrócił plecami do latarni i horyzontu na południowym wschodzie. Ruszył w przeciwnym kierunku, w stronę urwiska, i przystanął tam, czując wiatr na twarzy.

Spojrzał w dół. Już i tak jasne skały zostały zabarwione na biało przez sól z morza. Czy dlatego tu przybył? Żeby zrobić krok nad przepaścią? A może chciał zobaczyć rodziców i Stefanię, idących przez suchą, pożółkłą trawę?

Stefania nie umarła tak jak większość osób w jej wieku – na raka lub w wyniku obrażeń doznanych w wypadku samochodowym. Ona nie umarła, lecz odeszła. Zrozumiał to. Nie był pewny kiedy, ale nie po jej śmierci, lecz na długo przedtem. Długi czas przed jej śmiercią wiedział, co się stanie. Nic jednak nie zrobił. Nie pomógł jej. Nie uratował. Zamiast tego wmówił sobie, że wszystko jest w porządku. Kiedy jego siostra została złożona w ofierze, nawet nie kiwnął palcem.

Jego palce u nóg znajdowały się za krawędzią przepaści, ale nie mógł tego zrobić. Nie potrafił. Bardzo możliwe, że był tchórzem, ale w odłamkach wspomnień w dalszym ciągu pozostało pewne piękno. Nie wszystko było brzydkie. Żywa Stefania szła po trawie, w której roiło się od owadów. Wtedy nawet jeszcze nie szła drogą ku śmierci. Była silna, opiekuńcza. Nie mógł tego zabić.

Eva Karlén ustawiła w łazience reflektor, żeby mieć odpowiednie światło do pracy. Spryskała podłogę, wannę japońską i ścianę nad nim roztworem luminolu, sięgnęła do przycisku i zgasiła światło.

Cała łazienka rozblęła bladą zielenią.

Z emaliowanej wanny trudno zmyć krew na tyle dokładnie, by nie zaszła reakcja z roztworem luminolu. W przypadku wanny kamiennej z fugami cementowymi to zaś niemożliwe.

Aparat był już przygotowany. Eva szybko zrobiła zdjęcia niebieskawego światła, żeby zdążyć, zanim wyblaknie.

Eva badała ten sam dom po raz trzeci. Klęcząc przy krawędzi wanny i pobierając próbki z fug, usłyszała w głowie znajomy głos. Należał do jednego z jej wykładowców ze szkoły dla techników kryminalistyki. „Pamiętaj. Każdy znajduje to, czego szuka”. Próbowwała się bronić myślą, że w śledztwie nie było nic, co uzasadniałoby poszukiwania śladów krwi w wannie w piwnicy. Ani zresztą gdziekolwiek indziej. To był sensowny głos na jej obronę, ale nie całkiem przekonujący. Właśnie o to chodzi w stwierdzeniu, że każdy znajduje to, czego szuka. Nieudolne badanie miejsca zbrodni to takie, w którym za punkt wyjścia obiera się tylko jeden scenariusz. Przeszył ją dreszcz. Wstała i rozłożyła taboret z lekkiego metalu, który wcześniej zniosła na dół.

Policjanci dokładnie zbadali dom, żeby znaleźć Arvida Traneusa, ale szukali czegoś, co zdradzi, dokąd się udał, a nie fizycznych śladów jego ciała. Zaskoczyło ją odkrycie, że skonał albo został poćwiartowany w tej wannie. Albo jedno i drugie. Trzeba było jeszcze oczywiście sprawdzić, czy to krew Arvida Traneusa, ale opierając się na doświadczeniu, Eva była skłonna założyć, że tak. To musiał być on, o ile nie szlachtowali tu zwierząt albo nie pozbawili życia jakichś nieznanymi ludzi, za którymi nikt nie tęsknił.

Fredrik siedział ze słuchawką telefonu przy uchu i już miał zadzwonić do informatora, gdy wszedł Ove z białą kartką A4 w garści. Przystanął w drzwiach, upewnił się, że Fredrik nie jest w trakcie rozmowy, i dopiero potem zabrał głos.

– Wygląda na to, że Arvid Traneus został zabity i poćwiartowany w domu, we własnej wannie.

Fredrik powoli odłożył słuchawkę, nie odrywając wzroku od Ovego.

– Chodzi o to coś kamiennego, wpuszczonego w posadzkę? – zapytał.

– Tak. W piwnicy. Właśnie rozmawiałem z Evą. Znalazła rozległe ślady krwi w wannie i dookoła niej, a także mały odłamek kości czaszki za listwą sufitową nad wanną.

Fredrik aż się cofnął na krześle.

– Za listwą sufitową? Brzmi, jakby rozpruła cały dom.

– Niewiele brakowało – przyznał Ove.

– Nieprawdopodobne.

– Zgadza się, nigdy przedtem nie słyszałem o takim znalezisku – powiedział Ove.

Wyciągnął kartkę w stronę Fredrika, a ten wziął ją do ręki.

– Co to jest?

– To – odparł Ove, drapiąc się w kark pod koszulą – jest lista kontaktów mailowych Rickarda Traneusa, którą wyciągnęliśmy z jego komputera. Uszeregowana według osób, z którymi kontakt był najświeższy albo najbardziej intensywny, co najczęściej na jedno wychodzi.

– Czyli najlepiej zacząć od góry? – upewnił się Fredrik i spojrzał na wers na samej górze.

– Jesper Mann, Ryska gränd 4 – odczytał nazwisko i adres.

– Tak. Sara i Gustav też dostali taką listę.

– Identyczną?

Ove się wzdrygnął i przerwał drapanie.

– Nie. Nie identyczną.

Fredrik dostrzegł na jego twarzy pobłażliwy wyraz.

– Ale są na niej tego samego rodzaju kontakty – dodał Ove. – Uważam, że my powinniśmy odszukać ludzi, którzy przebywają tu na wyspie. Chcę z tego wyciągnąć najwięcej jak się da. Nawet jeśli nie wiedzą, gdzie on się znajduje, na pewno mogą nam powiedzieć coś, co nam ułatwi wytropienie go. Żadnej z tych osób nie ma w naszych rejestrach – Ove wskazał listę – ale dobrze by było, gdybyś przed każdym przesłuchaniem zapoznał się z mailami.

Fredrik skinął głową i jeszcze raz przebiegł wzrokiem listę. Zauważył, że także drugi adres mieści się w granicach średniowiecznego muru. Mógł tam dojść na piechotę.

– A w ogóle to Eva ma rację – rzucił Ove, wychodząc. – Lekarze medycyny sądowej nie potrafili określić, czy Arvid Traneus zmarł wcześniej niż żona i kuzyn, czy później.

– Czyli to nam nie pomoże.

– Zgadza się – przytaknął Ove i zatrzymał się w drzwiach.

– Coś nowego o Ringvallu? Chyba przeżyje?

– Tak, jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo, ale pewnie minie więcej niż dwie doby, zanim da się go przesłuchać. Uszkodzenie płuca jest dość poważne.

Na ulicy handlowej panował spory ruch, choć do wypłat pozostały trzy dni. Może to już pierwsze oznaki bożonarodzeniowych zakupów, pomyślał. Była sobota, wszyscy mieli karty kredytowe, a pieniądze nigdy się nie kończyły. Starsza kobieta o siwych kręconych włosach, z transparentem Amnesty International, pomachała przed nim skarbonką. Wrzucił dychę.

Kiedy był przy domu towarowym Åhléns, zadzwonił telefon. Eva.

– Tak, tu Fredrik – powiedział do aparatu, starając się brzmieć jak najbardziej neutralnie, jak zwykły kolega z pracy.

– Cześć. Chciałam tylko powiedzieć, że sprawdziłam kosiarkę Traneusa. Wypadło mi kilka innych spraw, o których na pewno słyszałeś.

– Tak.

– Ostrze jest nowe.

– Naprawdę? – odparł, przepuszczając wolno jadący autobus.

– Fabryczne. Nigdy nie było używane.

– Robi się ciekawiej – odparł. – Chcesz powiedzieć, że to mogło być narzędzie zbrodni?

– Odkręciłam je od kosiarki. Naprawdę wygląda jak prosto z taśmy fabrycznej, ale możliwe, że kilka uderzeń w ścięgna i kości nie zostawia widocznych śladów. Poza tym to trochę szalona myśl, że zabójca miałby umyć ostrze, a potem przykręcić je pod kosiarką.

– Ringvall na pewno by tego nie zrobił – zgodził się Fredrik. – Ale Arvid Traneus mógłby.

– Stare, zużyte ostrze nie spowodowałoby obrażeń, które widzieliśmy u ofiar.

– Chcesz powiedzieć, że jeśli narzędziem zbrodni było ostrze od kosiarki, to właśnie ten konkretny egzemplarz?

– A w każdym razie nowy.

– Posłuchaj, jest jeszcze jedna sprawa – powiedział, a dźwięk jego głosu się zmienił, kiedy przechodził przez Bramę Wschodnią. – Skoro Arvid Tra-neus został zabity w wannie w piwnicy, a odłamek jego czaszki...

Fredrik urwał i się rozejrzył. Nie był to temat odpowiedni do omawiania przez telefon w mieście, tym bardziej że podawał nazwiska. Na szczęście pod sklepieniem nie było nikogo.

– Poczekaj chwilę – powiedział i szybkim krokiem minął rodzinę z dziećmi przy Hästgatan.

Kiedy skręcił w ulicę Smittens backe, znów był sam.

– Jeśli odłamek czaszki znalazł się za listwą pod sufitem, a ćwiartowanie zwłok odbyło się tam – rzekł zduszonym głosem – można sobie wyobrazić, jak to musiało wyglądać. Ktoś naprawdę odwalił kawał pracy, sprzątając to wszystko.

– Najwyraźniej dla mnie to za mało.

– Chcę powiedzieć, że to nie mógł być ten sam sprawca. Dlaczego ktoś miałby sobie zadać tyle trudu ze sprzątaniem po zabójstwie w piwnicy, a w salonie zostawić istną rzeźnię?

– Może nie miał już czasu? Ale jasne, zgadzam się z tobą – odparła Eva. – To się wydaje dziwne.

– Jeśli motywem zbrodni była zazdrość, a Arvid zabił żonę i kuzyna, powiedzmy, nowym ostrzem od kosiarki, kto w takim razie zamordował jego? Ten ktoś praktycznie musiał go przyłapać na gorącym uczynku – rzekł Fredrik, zatrzymując się na początku Ryska gränd.

– Dlaczego musiał? – spytała Eva.

– Moim zdaniem w tej sytuacji nie miał wielkiego wyboru. Mógł się poddać i pójść na policję albo uciec. Sądzę, że nawet nie rozważał ukrycia zbrodni. Nieobecność tych ludzi zostałaaby szybko zauważona, a on byłby głównym podejrzanym.

– Chcesz powiedzieć, że człowiek, który zabił Arvida, praktycznie go nakrył?

– Tak. Jako że zabójstwa były ze sobą powiązane i nastąpiły w takiej a nie innej kolejności, praktycznie nie mogło być inaczej – odparł Fredrik i zrobił kilka kroków w głąb uliczki.

– Może i tak – przyznała Eva.

– Ale myślę sobie też, że mogło być zupełnie inaczej. Że to ten sam sprawca, a my nie zrozumieliśmy motywów. W końcu w grę wchodzi masa pieniędzy. Pomyśl też o Rickardzie...

Urwał i stał w milczeniu z telefonem przy uchu. Ze swojego miejsca widział drzwi domu Jespera Manna, częściowo ukryte za niebieskim saabem.

– Kij z tym, to czyste spekulacje... A co poza tym? – zapytał po kolejnej przerwie.

– Muszę kontynuować pracę. Tak czy inaczej, wyślę to ostrze do analizy – powiedziała Eva.

– Okej, ja prawie dotarłem na przesłuchanie – odparł Fredrik, żałując, że zapytał.

Jesper Mann zajmował małe dwupokojowe mieszkanie w pochyłym starym domu z niskim sufitem. Fredrik bez problemu mógł go dotknąć, kiedy podniósł rękę.

– Czyli chce pan rozmawiać o Rickardzie? – zapytał Jesper Mann.

Był zatopiony w turkusowej sofie, miał na sobie błyszczące spodnie dresowe, T-shirt i kapcie z cienkiej ciemnobrązowej skóry wsunięte na bosc stopy. Pokój, w którym siedzieli, sprawiał przytulne wrażenie. Po oknach wspinały się zielone rośliny, stał tu też duży, zabałaganiony regał, z książkami ustawionymi i ułożonymi w stosy bez szczególnego porządku. W kulistym akwariu pływały dwie złote rybki, okrążając samotny wąs kabomby, który wyrastał z białego żwiru na dnie.

– Tak. Nie można się z nim skontaktować od trzech dni. Wie pan, gdzie może przebywać?

Jesper Mann był niższy od Fredrika o pół głowy i wyglądał, jakby dobrze sobie radził na siłowni. Miał krótkie i ciemne, kręcone włosy i wymyślnie długie, spiczaste baki. Wcześniej, gdy Fredrik do niego dzwonił, powiedział, że pracuje za barem w restauracji Friheten. Tego dnia miał wolne do siedemnastej.

– Widziałem, że znaleźliście jego ojca – odezwał się Jesper Mann.

– Myśli pan, że jedno ma związek z drugim? – spytał Fredrik.

– Nie wiem. To znaczy... dziwne, gdyby było inaczej, ale nie mam pojęcia jaki. Rozumiem, że nie było go w domu?

– Od środowego wieczoru nie. Jego siostra uważa, że pojechał do jakiegoś kolegi w Visby. Pomyśleliśmy, że może do pana.

– Nie, tu go nie było – odparł Jesper.

– Kiedy pan go widział po raz ostatni?

– Ponad dwa tygodnie temu.

– Ale mieliście ze sobą kontakt?

– Tak się składa, że nie.

– Jeszcze w środę wysłał pan do niego maila – powiedział Fredrik.

Jesper Mann zeszywniał. Dobroduszny uśmiech zniknął mu z twarzy. Wyglądał, jakby zaczął żałować, że siedzi na sofie zamiast na krześle jak

Fredrik. Może żałował też swobodnego ubioru i kapci, z których wystawały jego blade palce u nóg.

Wyprostował się, na ile to było możliwe wśród poduszek, i rozłożył ręce, opierając łokcie na kościach biodrowych.

– Nie mam nic do ukrycia – zapewnił.

– Wcale nie sądzimy, że jest inaczej – odparł Fredrik, nie do końca zgodnie z prawdą.

– Jeśli czytał pan nasze maile, wie pan, że to takie internetowe głupoty, które się wymienia, żeby przypomnieć, że człowiek żyje – dodał Jesper Mann.

– Rozumiem.

– Nie zaliczyłem tego do utrzymywania kontaktu.

– Rozumiem – powtórzył Fredrik.

Jesper Mann dał sobie spokój z tym tematem i z powrotem odchylił się trochę na sofie.

– Ma pan jakiś pomysł, gdzie on może być? – zapytał Fredrik.

Jesper Mann przez chwilę się zastanawiał, ale nic nie przyszło mu do głowy.

– Szczerze mówiąc, nie znam go zbyt dobrze... A raczej znam, ale zbyt dużo o nim nie wiem.

– Tak go pan odbiera?

– Jak?

– Jako kogoś trochę tajemniczego? Kto zbyt wiele o sobie nie mówi?

– Nie do końca, ale my...

Odwrócił wzrok i wzruszył ramionami.

– Wy...? – ponaglił Fredrik.

– Raczej się nie spotykamy w ten sposób.

Fredrik nie był pewny, czy rozumie, co to oznacza. A właściwie był pewny, że nie rozumie.

– Skąd się znacie?

Mieszkanie leżało na parterze i co jakiś czas przez pokój przemykał niewyraźny cień, gdy ktoś przechodził wąską uliczką za oknem.

– Poznaliśmy się zeszłego lata w knajpie. Od tamtego czasu widywaliśmy się sporadycznie, ale nie mógłbym powiedzieć, że jesteśmy w związku.

– W związku?

Jesper Mann się uśmiechnął.

– Nie wiedział pan, że Rickard jest gejem?

– Nie – przyznał Fredrik.

– W sumie nic dziwnego. On sam ledwo zdaje sobie z tego sprawę – stwierdził Jesper Mann.

Odchylił się na sofie i oparł stopę na kolanie.

– Sugeruje pan, że dopiero niedawno odkrył swoją orientację czy że ma kłopoty z zaakceptowaniem jej? – zapytał Fredrik.

– To drugie. Nadal jest w szafie z podwójnym zamkiem. Zawsze ten sam schemat. Dzwoni, spotykamy się, uprawiamy seks, a potem on znika i przez miesiąc lub dwa nie daje znaku życia – wyjaśnił Jesper. Sprawiał wrażenie, jakby uważał to za wyśmienity sposób wspólnego spędzania czasu.

– Jeśli nie liczyć kilku maili – uściślił Fredrik.

– Tak, nie licząc głupich gadek od czasu do czasu.

Za oknem było słycać głosy. Kilka słów wyciętych z rozmowy, a potem mamrotanie, które szybko ucichło.

– Ale skoro mieliście tak intymną relację, musiał pan mimo wszystko poznać go nieco lepiej, niezależnie od tego, że po każdym waszym spotkaniu brał nogi za pas. Proszę się zastanowić. Może wspomniał o jakimś miejscu, które ma zwyczaj odwiedzać albo w którym ma przyjaciół?

– Kiedyś powiedział, że chce pojechać do Japonii odwiedzić ojca, ale to już raczej nieaktualne.

– A gdzieś bliżej?

Jesper Mann pokręcił głową.

– Co może pan powiedzieć o relacji Rickarda z ojcem? – spytał Fredrik.

– Nie mówił wiele o swojej rodzinie.

– Wspominał, że chciał pojechać odwiedzić ojca w Japonii.

– Tak, ale to było trochę nienormalne.

– Nienormalne?

– Ze strony ojca.

Jesper Mann nachylił się, oparł ręce o uda i złożył jedną dłoń w drugiej.

– Pracował tam kilka lat i ani razu nie zaprosił Rickarda, córki ani żony. Był nadziany, więc pieniądze nie mogły stanowić problemu.

– Powiedział pan to Rickardowi?

– Powiedziałem coś w tym stylu.

– Jak zareagował?

– Zaczął bronić ojca, był niemal agresywny. Nie pamiętam szczegółów, ale mówił mniej więcej, że ojciec ma tak wymagającą pracę, że kiedy jest w

Tokio, nie ma czasu na nic innego i kiedy tylko pojawia się okazja, przyjeżdża w odwiedziny do domu.

– Myśli pan, że rzeczywiście tak było?

– Nie mam pojęcia, ale Ricky w każdym razie w to wierzył.

– Nie mówił nic więcej o ojcu? – spytał Fredrik.

W oczach Jespera Manna pojawił się błysk.

– Teraz sobie przypominam: któregoś razu palnąłem coś o swoim tacie, tak mimochodem, ale to było dość niepoehlebne, a Ricky zaczął bronić własnego ojca, jakby to on został oskarżony. Możliwe też, że wyraziłem się nieprecyzyjnie, jakby to dotyczyło wszystkich ojców, ale on w każdym razie zareagował bardzo negatywnie.

– Pamięta pan, o co chodziło?

– Nie, ale pewnie o nastawienie mojego ojca do dokonanego przeze mnie wyboru „stylu życia”. W kontekście ojca to mój ulubiony temat.

– Myśli pan, że to przez ojca Rickard nie wyszedł z szafy?

– A czy nie zawsze taki jest powód? – odparł Jesper i wybuchnął krótkim śmiechem.

Przeciągnął się i spojrział na zegarek, jakby uważał, że przesłuchanie trwało już wystarczająco długo i zamierzał wstać z sofy.

– Orientuje się pan, jaki jest stosunek Rickarda do narkotyków? – spytał Fredrik i zauważył, że oczy Jespera trochę się powiększyły.

Widząc to napięcie w ciele Jespera Manna, Fredrik mimo woli poczuł delikatną satysfakcję.

– Do narkotyków? Nie mam pojęcia. Nie sędzę. Pił, oczywiście, jeśli o to panu chodzi.

– Gdyby chodziło mi o stosunek do alkoholu, powiedziałbym tak.

– Aha. Nie, o ile wiem, nie brał narkotyków. Ale, jak już powiedziałem, nie znam go zbyt dobrze.

Fredrik zrobił pytającą minę i w oczach Jespera zobaczył niezrozumienie.

– Czytałem wasze maile. Nie potrzeba wielkiego talentu, by rozszyfrować pojawiające się w nich drobne słowa kluczowe.

– Słowa kluczowe? – zdziwił się Jesper Mann.

– Tak.

– Czytacie nasze maile, to jest... – Zamachał prawą dłonią. – Ale że nie można pisać, jak się chce – dodał i wybuchnął wymuszonym śmiechem.

– Myślę – odparł Fredrik – że jeśli zlecę przeszukanie tego mieszkania, znajdziemy coś, co wystarczy przynajmniej na umieszczenie pana na kilka dni w areszcie, a sami będziemy badać odnogi pańskiej działalności.

– Co takiego? Nie prowadzę żadnej działalności – powiedział Jesper Mann. Wyglądał na przerażonego.

Fredrik nie był pewny, czy nie zadziałał zbyt ostro. Chciał przestraszyć Jespera, by ten odpowiedział na pytanie, a nie zamknął się w sobie.

– Nie możemy być pewni, dopóki nie zbadamy sprawy – stwierdził sucho.

Jesper Mann wyglądał już na nieco mniej przerażonego, choć lewą ręką przytrzymywał się turkusowego obicia sofy.

– Brał trochę narkotyków imprezowych.

– Na przykład?

– Ecstasy, amfetaminę, z raz czy dwa kokainę.

– To całe mnóstwo – stwierdził Fredrik.

– Tak jak już powiedziałem, widywaliśmy się od ubiegłego lata, maksymalnie raz w miesiącu, więc nie potrafię nic powiedzieć na temat jego nałogów.

– Ale kiedy się spotykaliście, brał narkotyki?

– Tak, zazwyczaj był wtedy pod wpływem czegoś.

– A poza tymi spotkaniami? – zapytał Fredrik.

– Nie wiem. Ale nie sądzę, by był jakimś ćpunem.

Fredrik uważał, że Jesper Mann właśnie podał definicję ćpuna, ale najwyraźniej żyli w różnych światach. Punkt widzenia zależał też pewnie od stylu życia.

– Nie zamierzam pytać, w jaki sposób wchodził w posiadanie swoich narkotyków, bo nie uważam tego za interesujące z punktu widzenia śledztwa – rzekł Fredrik. – Przynajmniej na razie. Ale może się okazać istotne w innej fazie.

Jesper Mann nie odpowiedział.

Wychodząc przez bramę, Fredrik się zastanawiał, ile kroków zdąży zrobić, zanim Jesper spłucze w ubikacji wszystkie swoje weekendowe narkotyki.

Po kolejnych trzydziestu kilku krokach brukowaną ulicą minął miejsce, w którym pół godziny wcześniej stał z telefonem przy uchu i rozmawiał z Evą, mając w głowie zupełnie inną myśl.

W czasie tamtej rozmowy twierdził, że nie było sensu, by Arvid Traneus próbował ukryć zabójstwo Kristiny i Andersa – o ile to on był jego sprawcą. Wkrótce po zabójstwie ktoś zacząłby się zastanawiać, gdzie są, a Arvid byłby głównym podejrzanym także i w tym scenariuszu. Ale kto właściwie by za nimi zatęsknił? Komu zaczęłoby brakować Kristiny? Kto mógłby zadzwonić i jej nie zastać? Kto zacząłby się zastanawiać, czy wszystko w porządku, pojechał do gospodarstwa w Levide i znalazłby ich martwych na podłodze w salonie, po otwarciu drzwi własnym kluczem?

Rickard Traneus.

Tym kimś powinien być Rickard Traneus. Tymczasem znalazła ich sprzątaczką, dwa dni po zabójstwie, gdy krew zdążyła już zakrzepnąć w czarne wysepki na parkiecie.

Fredrik dziwił się, że Rickard nie miał bardziej zaawansowanego kontaktu z domem rodziców, choć ojciec właśnie wrócił z Tokio. Nie było go trzy lata, jeśli pominąć krótkie wizyty, a kiedy wrócił, syn rozmawiał z nim zdawkowo przez telefon. Na piątkowy wieczór była zaplanowana rodzinna kolacja, a ze Sztokholmu miała przyjechać siostra. Po poniedziałku rodzice nie nawiązali z nim żadnego kontaktu, a Rickard też nie próbował do nich dzwonić. Nie wpada do domu przywitać się z ojcem, mimo że mieszka zaledwie kilka kilometrów dalej. Czy to nie dziwne?

Oczywiście można było tłumaczyć, że ich relacja była skomplikowana. Mogło tak być. Ale Rickard mógł też wiedzieć, że nie ma po co dzwonić.

Göran przyjął Elin Traneus w swoim gabinecie. Wydawała się niespodziewanie opanowana i zdecydowana jak na to, co spotkało ją w ciągu ostatnich tygodni.

Usiadła na krześle dla gości, plecami do okna. Göran zajął miejsce po przeciwnej stronie niskiego stolika, siadając plecami do dużego sejfu.

– Świetnie, że mogła pani na chwilę wpaść. Pomyślałem, że dobrze byłoby porozmawiać, zanim zniknie pani na kontynencie.

Elin westchnęła, ale w sposób, który wydawał się pozytywny – przypominał długi, spokojny wydech.

– Muszę wracać. Uważam, że tak będzie najlepiej. Tutaj i tak nic nie działam, a do pogrzebu zostało jeszcze trochę czasu.

– Oczywiście, to zależy tylko od pani. Byłbym jednak wdzięczny, gdybyśmy pozostali w kontakcie. Chcielibyśmy wiedzieć, gdzie można panią namierzyć – rzekł Göran.

– Dobrze. Nigdzie się nie wybieram – odparła Elin. – Będę siedzieć w domu i zakuwać. Przez najbliższych pięć lat będę pod swoim adresem domowym.

Uśmiechnęła się. To było dziwne, ale odkąd Elin Traneus weszła do gabinetu, Göran miał wrażenie, że uczestniczy w swoistym finale. A przecież tak naprawdę nie mieli nic. Nie bardzo potrafił zrozumieć, jak to możliwe.

– Miejmy nadzieję, że wszystko się rozwiąże w krótszym czasie – powiedział.

– Tak – odparła Elin, bawiąc się paskiem sportowej torby, którą odstaawiła na krzesło.

Po raz kolejny poczuł zdziwienie, że była w stanie tak siedzieć i odpowiadać na jego pytania. Jak dała sobie z tym radę, gdy rodzice zostali jej odebrani w sposób, który uniemożliwiał zaznanie spokoju? Widywał to już wcześniej – niektórzy ludzie potrafili znieść najstraszniejsze okoliczności. Za każdym razem było mu równie trudno zrozumieć, jak to możliwe. Człowiek się podnosi i robi to, co trzeba. Życie toczy się dalej. Było w tym coś z wielkości życia, ale też z jego przerażającej daremności.

– Kiedy pani siostra była w wieku piętnastu–szesnastu lat, miała podobno chłopaka o imieniu Leo. Pamięta to pani?

– Tak, pamiętam Leo.

– Miała pani wtedy zaledwie osiem–dziewięć lat.

– To prawda, ale było z tym... tyle zamieszania.

– W jakim sensie?

– Mama nie była zadowolona, że ona się z nim spotyka. Można to zrozumieć. Chociaż nie bardzo wiem, jak z nim wtedy było.

– Jak to?

– Chyba źle się to na nim odbiło, choć... może dopiero później.

– Czy między Stefanią a Leo coś się wydarzyło? – zapytał Göran.

– O ile wiem, to nie. Chyba po prostu nasi rodzice go nie lubili.

Wypuściła z ręki pasek, a ten zsunął się na posadzkę. Jej wyraz twarzy w żadnym stopniu nie zdradzał, co czuje wobec zmarłej siostry. Może zostawiła to za sobą. Po dziesięciu latach.

– Czyli wasz tata też nie był zadowolony, że Stefania umawiała się z Leo? – zapytał Göran.

– Nie, ale myślę, że chodziło o mamę... To znaczy, wtedy tego nie rozumiałam i dopiero później złożyłam sobie wszystko w całość. Rozmawiałam z nią o tym. Tata był chyba bardziej ogólnie anty. Nie podobała mu się sama koncepcja jej chłopaka. Ale to mama nie lubiła Leo. Chyba zameczyła tatę w tej kwestii, aż w końcu sprawił, że to się zakończyło.

– Jak to zrobił?

– Leo dostał zakaz odwiedzin.

– Ale przecież można się spotykać w innych miejscach?

– Stefania chodziła do dziewiątej klasy. Chyba nie była w stanie się postawić – odparła Elin.

– Nie...

– Tata nie należał do ludzi, którym można było się stawiać – dodała.

Podniosła wzrok na zegar nad stołem, umieszczony tak, by Göran go widział, siedząc za biurkiem.

– Proszę iść, bo spóźni się pani na prom – powiedział Göran.

– Wszystko w porządku, zdążę – odparła.

Göran otworzył usta i zamknął je z powrotem, zastanawiając się, jak sformułować następne pytanie.

– Mówiła pani, że ojciec znęcał się nad matką. Czy bił również Stefanię?

– Nie – odparła stanowczo. – Nie bił jej ani żadnego z nas.

Odwróciła wzrok w stronę drzwi. Göranowi wydało się, że spojrzała na nie tęsknym wzrokiem i poczuł wyrzuty sumienia, że ją zatrzymuje.

– Jeśli ma pani zdążyć na prom, może lepiej...

– Nie bił nas, ale wciąż się zastanawialiśmy, czy nie zacznie. Kiedy będzie ten pierwszy raz – powiedziała, odwracając się z powrotem do Görana.
– Stefania chyba dużo o tym myślała, a teraz nie żyje i on także, więc jakie to ma znaczenie?

W oknie dachowym błysnęło słońce. Światło trafiło Görana prosto w twarz, oslepiając go.

– Wiem takie rzeczy, studiuje psychologię. Kiedyś będę chciała to zgłębić. Ale nie teraz i nie tutaj.

– No tak – odparł Göran, bo nic innego nie przyszło mu do głowy.

Wstał powoli, chcąc dać jej do zrozumienia, że może iść. Elin również się podniosła i pożegnała go krótkim uściskiem dłoni. Odprowadził ją do drzwi. Chętnie by z tego zrezygnował, ale tak nakazywał regulamin. Trudno było powiedzieć coś więcej, więc całą drogę pokonali w milczeniu.

– Proszę na siebie uważać – odezwał się trochę za późno, kiedy już wychodziła.

Sara Oskarsson zapukała trzy razy do drzwi małego domu Emrika Janssona. Ganek był ocieniony i poczuła chłód na plecach. Odwróciła się do Fredrika.

– Nie spodziewaj się, że to coś da.

– Zobaczymy – odparł Fredrik.

Po drugiej stronie drzwi panowała cisza. Sara, wiedząc, jak wolno porusza się Emrik, czekała, nie ponawiając pukania. W końcu drzwi się otworzyły.

– Sara Oskarsson, policja z Visby – przedstawiła się. – Byłam tu dwa tygodnie temu.

Mężczyzna posłał jej krótkie spojrzenie ciemnoniebieskich oczu znad bujnej brody i powoli, dwa razy skinął głową.

– Tak, poznaję panią – odparł. – Ale pana nie – dodał, spoglądając na Fredrika.

Fredrik się przedstawił, wyciągnął rękę i poczuł, że jego palce ściska sucha, zimna dłoń.

– Mamy do pana kilka pytań – wyjaśniła Sara.

– Proszę, wejdźcie państwo – zaprosił Emrik. – Mam potrawę na kuchence.

– To zajmie tylko chwilę – odparła Sara.

– Tak, i wszystko się przypali.

Emrik Jansson wskazał ręką wewnątrz domu, odwrócił się do nich plecami i wolnym krokiem ruszył do kuchni. Poszli za nim, a Fredrik zamknął za sobą drzwi. Sara uważała, by się nie otrzeć o żaden z poźółkłych elementów wystroju. Wcześniej ostrzegła Fredrika, ale odniosła wrażenie, że nie potraktował tego poważnie.

Weszli do kuchni. Na kuchence coś pyrkotało i syczało na dużej żeliwnej patelni. Sara bez wielkiego zaskoczenia stwierdziła, że kuchnia jest jeszcze bardziej zapuszczona niż reszta mieszkania, którą widziała z przedpokoju, gdy była tu poprzednim razem. Stół i ławy wprawdzie zostały wytarte, ale wydawały się pokryte warstwą tłuszczu, brudu i dymu tytoniowego, na którą żadne sprzątanie nie pomoże. Przynajmniej jeśli sprzątał będzie Emrik.

– To królik – wyjaśnił Emrik Jansson i obrócił na patelni dwa udka za pomocą szpatułki i drewnianej łyżki. – Kot czasem je królika. Zazwyczaj odcinam udka, a on zadowala się resztą.

Sara poczuła na sobie spojrzenie Fredrika, ale postanowiła nie patrzeć mu w oczy. Mamy tu człowieka, który zjada to, co kot przywlecze do domu, pomyślała i mimo woli utkwiała wzrok w króliczych udkach smażących się w pokaźnej ilości tłuszczu.

– Kiedy tu byłam poprzednim razem, mówił pan, że widział Arvida Tra-neusa jadącego rodzinnym samochodem – srebrnoszarym miejskim jeepem.

– Dokładniej rzecz ujmując, sam go prowadził – odparł Emrik Jansson, podnosząc wzrok znad patelni.

– A tak, prowadził samochód. To było wieczorem w poniedziałek drugiego października.

– Zgadza się.

– I wtedy widział go pan ostatnio?

– Tak. Po raz ostatni – poprawił ją Emrik Jansson.

Nauczyciel, pomyślała. Ci to mają niezawodną umiejętność sprawiania, że człowiek czuje się jak kretyn.

– Jest pan tego całkiem pewny? Nie widział go pan po poniedziałkowym wieczorze?

– Nie.

Emrik przycisnął drewnianą łyżką jedno z udek na patelni.

– Chyba już są gotowe. Kiedy tak sobie skaczą, zjadają tymianek i inne zioła, czasem nawet jagódkę jałowca, dzięki czemu są już przyprawione. Wystarczy trochę posolić – oznajmił, zerkając przez ramię na Sarę.

– Pamięta pan coś więcej z tamtego tygodnia? Widział pan Kristinę Traneus albo kogoś innego z ich rodziny?

– Kristinę widziałem w środku tygodnia. Nie jestem pewny, którego dnia. Wcześniej kilka razy widziałem ten samochód, ale ani razu nie udało mi się dostrzec, kto w nim siedzi.

– Nie wie pan, jaki to był dzień?

– Musiał to być wtorek.

– W środku dnia?

– Tak. Jakoś wczesnym popołudniem.

– Czyli w zasadzie, gdy widział pan samochód we wtorek, mógł w nim być Arvid Traneus? – spytała Sara, kiedy Emrik Jansson układał usmażone królicze udka na brązowym talerzu ozdobionym paskiem w kolorze musztardy.

– W zasadzie mógł tam siedzieć każdy – odparł.

Nie poparz się, pomyślała Sara.

– Ale wie pani, że wszystkie drogi prowadzą do Rzymu – dodał.

– Znam takie powiedzenie, ale nie jestem pewna, co ma wspólnego akurat z tą sprawą – odparła Sara i już miała położyć dłoń na blacie po swojej prawej stronie, ale w ostatniej chwili się powstrzymała.

– Jest wiele dróg do tego gospodarstwa, ale tylko jedna z nich wiedzie przez moje tereny łowieckie – wyjaśnił Emrik Jansson i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– W porządku, teraz już rozumiem – odparła Sara – ale trzymajmy się tego, co pan widział. Nie pamięta pan nic więcej z drugiego, trzeciego, czwartego października?

– Nie – powiedział stanowczo mężczyzna.

Odwrócił się plecami do Sary, podniósł oburącz patelnię i zaniósł do zlewozmywaka. Tam się zatrzymał, patrząc z góry na patelnię, którą oparł o krawędź blatu, puścił ją jedną ręką i potarł brodę.

– Chyba widziałem przejeżdżającego syna. Rickarda.

Tym razem spojrzała Fredrikowi w oczy i zobaczyła w nich zachętę do dalszych pytań. Emrik całkiem puścił patelnię, która z hukiem wpadła do zlewu.

– Chyba pan go widział?

– To znaczy... widziałem, ale kiedy dokładnie?

Umilkł i odwrócił się do Sary.

– Nie wspominał pan o tym wcześniej – zauważyła.

– Rickard jeździ tu i tam. Człowiek nie przywiązuje do tego wagi.

Sara poczuła, że coś nie daje jej spokoju. Mogłaby być znudzona, a tymczasem pojawiło się to dokuczliwe wrażenie.

– Czy to było po drugim października?

Emrik kilka razy mlasnął z namysłem, a poźółkły fragment brody pod jego ustami podskoczył i opadł.

– Tyle razy widziałem, jak przejeżdżał. Nie wiem...

– Zna pan Rickarda? – zapytała.

– Czy znam? Nie, w szkole nie zdażyłem się z nim zetknąć. Przeszedłem na emeryturę, zanim zaczął naukę w starszych klasach. Ale czasem człowiek coś tam słyszy. Dziwi mnie, że wziął się za finanse. To nie był jego świat.

– Co w takim razie było jego światem? – spytała Sara.

– O ile wiem, dobrze sobie radził w szkole, nie o to chodzi, po prostu był raczej humanistą.

Emrik Jansson oblizał dolną wargę.

– Jeśli wierzyć w to, co ludzie mówią – dodał z zawstydzonym uśmiechem.

Przeszedł kilka kroków w stronę Sary i Fredrika i wskazał stół.

– Czy będzie to państwu przeszkadzało, jeśli usiądę? – zapytał.

– Absolutnie nie – odparła Sara, zawstydzona, że nie pomyślała o tym wcześniej.

Krzętał się przy kuchence tak lekko i swojsko, że zapomniała o jego drżących nogach. Fredrik wysunął krzesło, a Emrik Jansson opadł na nie z cichym westchnieniem.

– Widywałem to. Dzieci, które mają iść w ślady rodziców. To jest presja. Wcale nie chodzi o uzdolnienia. Przynajmniej nie przede wszystkim. To coś innego.

Emrik zaczął obracać w palcach opakowanie tytoniu do skrętów, które leżało na stole, ale go nie otworzył.

– To jest presja – powtórzył.

Sara skinęła głową i podjęła ostatnią próbę:

– Czyli to w okolicach drugiego października widział pan Rickarda jadącego w stronę gospodarstwa?

– Nie mogę stwierdzić z całą pewnością, bo nigdy się go nie widywało. Był tam, coś naprawiał, dłubał. Ale kiedy dokładnie...

– Miał pan raczej pewność, że widział w samochodzie Arvida Traneusa, a to było w poniedziałek – wtrącił Fredrik.

Emrik podniósł na niego wzrok. Sara pomyślała, że to dziwnie wygląda, gdy oboje stoją, a Emrik siedzi, ale nie zamierzała się wychylać.

– Tak, ale to była szczególna sytuacja – odparł Emrik tonem sugerującym, że powinna to być oczywistość. – Tego dnia Traneus wrócił do domu po kilku latach spędzonych w Japonii.

Nagle Emrik zamarł w pół ruchu i odwrócił się z powrotem do Sary.

– Nie. To było po powrocie Arvida. Zgadza się. Tak jest, teraz to widzę. Najpierw przejeżdżał Arvid, a potem Rickard. I nie działo się to tego samego dnia.

– Tylko? – dodała.

Emrik Jansson przez chwilę milczał i patrzył w stół, a potem pokręcił głową.

– Nie, nie jestem w stanie powiedzieć. We wtorek, w środę? W czwartek? Później na pewno nie.

– Ale już po powrocie Arvida do domu? Jest pan tego absolutnie pewny?
Emrik skinął głową.

Samochód jechał w kierunku północnym, z powrotem do Visby. Korony drzew rosnących przy nadmorskiej drodze poruszały się niespokojnie.

– Bez względu na to, czy dobrze zapamiętał, ważniejsza była ta druga rzecz, którą powiedział – oznajmił siedzący za kierownicą Fredrik.

– Powiedział całe mnóstwo rzeczy – odparła Sara i lekko uchyliła okno.

Poczuła na twarzy chłodne powietrze. Fredrik spojrzał na nią. Wyglądała na spoconą.

– Co jest? Źle się czujesz?

– Nie, wszystko w porządku – odpowiedziała.

Fredrik z powrotem utkwiał wzrok w drodze i podjął przerwany wątek.

– Chodzi mi o to, że zazwyczaj Rickard pędził tam kilka razy w tygodniu. To potęguje moje przypuszczenia, że wiedział. Trzymał się z daleka i przestał dzwonić, bo wiedział, że już nie ma do kogo. Był w to w jakiś sposób zamieszany, a może wręcz to on zabił ojca.

– A teraz zwiął? – spytała Sara, przeciągając opuszkami palców po czole.

– Tak.

– Ale to, że przestał dzwonić i już tam nie jeździł, może wynikać właśnie z faktu, że ojciec wrócił. Pojawiał się tam, żeby pomagać mamie, a potem on wrócił. Całkiem naturalne. A poza tym ich wzajemne relacje mogły nie być najlepsze.

– Myślałem o tym – przyznał Fredrik – ale nie odkryliśmy nic, co by wskazywało, że tak właśnie było. W każdym razie żadnego wytłumaczenia, dlaczego się nie odzywał przez cały tydzień.

– Nie mów tak – odparła Sara i umilkła.

– O co chodzi? – spytał Fredrik i na nią spojrzał. Czy nie wydawała się trochę blada?

– Na pewno nic ci nie jest?

– Na pewno – odparła, kilka razy lekko kaszlnęła i mówiła dalej:

– Rickard to jedyny syn spośród trójki dzieci. Może czuł presję, by sprostać czemuś, do czego się nie nadawał, Emrik to właśnie sugerował, a zresztą sam przecież opowiedział o swoich zawałonych studiach. Coś takiego może wytworzyć napiętą atmosferę między ojcem a synem, sprawić, że człowiek unika kontaktu, nawet jeśli relacje właściwie nie są złe.

Pejzaż stał się bardziej otwarty i sięgał ku granatowemu morzu na zachodzie. Umilkli i zapatrzyli się na kędzierzawe fale. Wyglądało na to, że zrywał się wiatr. Przez szczelinę w uchylonej szybie do środka dostał się zapach wodorostów. Sara zmarszczyła nos.

– Uch – jęknęła i zamknęła okno.

– Słuchaj, myślałem o pamiętnikach – odezwał się Fredrik. – Tych, które prowadziła Kristina Traneus. Też dostałaś kilka do przeczytania?

– Tak.

– Zerknęłaś na nie?

– Przeczytałam.

– Nie znalazłaś żadnych wskazówek, gdzie możemy go znaleźć?

– Rickarda? Nie. Powinnam była o tym pomyśleć. Ale wtedy szukaliśmy ojca.

– W części, którą wziął Lennart, były wzmianki o żeglarstwie. Mieli łódkę, która nazywała się Przygoda, i wypływali nią całą rodziną. Zdaje się, że to były regularne wyprawy. Coś, co robili każdego lata, kiedy dzieci były małe.

– Tak? – odpowiedziała Sara, wyglądając przez szybę.

– Oprócz domu to chyba jedyne miejsce, które ma jakieś znaczenie, ładunek emocjonalny. Nie mieli domku letniskowego, nie wracali regularnie do

jakiegoś szczególnego miejsca. Wyprawy Przygodą to wszystko.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Mamy szukać żaglówki?

– Nie, to bez sensu. Rodzina już jej nie posiada. Ale w notatkach wspominała o jakiejś wyspie... Muszę to jeszcze raz sprawdzić, ale sądzę, że być może warto trochę w tym poszperać. Nie miałybyś ochoty wpaść do Lennarta? Chyba nadal ma te pamiętniki.

– Ja? Oszalałeś?

– Daj spokój – odparł Fredrik. – Czasem przyda mu się podniesienie na duchu.

– Rozumiem, że możesz nie chcieć jechać sam, ale...

Oczy Sary nagle nabrały obcego wyrazu.

– Możesz się zatrzymać? – zapytała.

– Co?

– Możesz zatrzymać samochód?

– Ale gdzie? Tutaj? – Fredrik wskazał opustoszałe osiedle domków letniskowych, które właśnie mijali.

– Po prostu się zatrzymaj, gdziekolwiek – powtórzyła tak piskliwie, że Fredrik gwałtownie zahamował.

Sara zdążyła już odpiąć pas. Otworzyła drzwi i kiedy tylko samochód znieruchomiał, natychmiast wysiadła. Zrobiła kilka chwiejnych kroków na poboczu, pochyliła się i zwymiotowała do rowu. Rozległo się chluśnięcie i po chwili było po wszystkim.

Przykucnęła i wzięła kilka głębokich oddechów, podpierając się ręką.

Wszystko potoczyło się bardzo szybko i dopiero po jakimś czasie Fredrik pomyślał, że powinien wysiąść. Okrążył samochód i pobiegł do Sary. Kiedy się zbliżał, zatrzymała go gestem ręki.

– Czy mogę coś zrobić? – zapytał.

Sara ostrożnie pokręciła głową i otarła łzy, które popłynęły z kącików jej oczu. Fredrik poczuł się bezradny, ale znalazł kawałek papierowego ręcznika, którym mogła wytrzeć usta. Po chwili podał jej rękę. Sara ją chwyciła i powoli wstała.

– Odwieźć cię do domu? – spytał Fredrik, kiedy wsiedli do samochodu.

Znów pokręciła głową.

– Nic mi nie jest. Jedziemy do Lennarta – odpowiedziała.

– Na pewno?

– Tak. Tylko zatrzymaj się gdzieś, proszę, żebyśmy mogła kupić butelkę wody.

– Jasne – odparł i uruchomił silnik.

Kiedy wyjechał na szosę, spojrzął na nią ponownie.

– To chyba przez lunch – powiedziała. – Ostatni raz jadłam coś w tym lokalu.

– Powinnaś zadzwonić ze skargą.

– Mhm, zdecydowanie – mruknęła Sara, wyglądając przez szybę.

Elin siedziała w jednym z czerwonych foteli w saloniku na rufie, patrząc na powoli oddalające się Visby i Gotlandię. Z burczących głośników dobiegał niski głos kapitana witającego na pokładzie. W dziwny sposób przechodził z głębokiego zaangażowania w nonszalancję. Wiatr jest umiarkowany, ale przybiera na sile i jeśli jego kierunek się utrzyma, może trochę bujać.

Nie miała nic przeciwko wiatrowi. Nie doznawała tak łatwo choroby morskiej. Żadne z nich nie miało takiej skłonności. Ani ona, ani Ricky, ani Stefania. Mama była nieco bardziej podatna. Zwłaszcza jeśli wiało już pierwszego dnia, zanim zdążyła się przyzwyczaić.

Odległość między promem a wyspą zwiększała się.

Chciała, żeby między nią a tatą było morze.

Zawsze tak myślała, patrząc, jak horyzont pochłania Gotlandię, a świat przez chwilę składa się wyłącznie z wody. Potrzebowała morza. Nie wystarczyły dwa kontynenty, musiało być również morze. Dawniej.

Wrócił z Tokio. Dziesięć lat po tym, jak wybrał się tam po raz pierwszy, wrócił i został zamordowany we własnym domu. Dziesięć lat po śmierci Stefanii.

Co to dla niej oznaczało, że już go nie było? Że umarł, zniknął z jej życia? Zbyt skomplikowane, by mogła o tym myśleć. Mamy też już nie było, co czyniło wszystko jeszcze bardziej nieprawdopodobnym.

Gdyby zginął on i tylko on, wszystko wyglądałoby inaczej. Mogłaby oddychać. Przez chwilę mogłyby brać długie, głębokie oddechy. Mama oddychałaby, mówiła, ruszała się, patrzyła, na co tylko zechce. Nie wolno tak myśleć, nie wolno życzyć śmierci własnemu ojcu. Ależ skąd, wolno, to najbardziej naturalna rzecz na świecie, żaden powód do wstydu.

Nic skomplikowanego. Po prostu naturalna sprawa.

Zaczęła błądzić ręką w poszukiwaniu dźwigni, która odchyłała fotel. Chwyliła ją i napała plecami na oparcie. Kieliszek z lodowatym, kwaśnym czerwonym winem zadrżał na stoliku przed nią. W saloniku na rufie było pustawo. Dwa rzędy na lewo od niej siedziała kobieta, która próbowała uspić małe dziecko w jasnożółtej czapeczce zawiązanej pod brodą.

Tata wrócił, gdy lekarze powiedzieli, że Stefania pewnie nie przeżyje. Mama dzwoniła i dzwoniła. W końcu wsiadł do samolotu. Stefania zasnęła po raz ostatni, kiedy znajdował się gdzieś nad Syberią, na wysokości ponad dziesięciu kilometrów. Został w domu na trzy dni, wszystko załatwił, rozmawiał z zakładem pogrzebowym, ustalił datę pogrzebu, zajął się wszystkim, czym było trzeba. Potem znowu pojechał, nie mógł dłużej zostać, ale zapowiedział, że wróci na pogrzeb. Nie dało się inaczej.

Trzy tygodnie później odbyła się ceremonia. Był zimny, jasny listopadowy dzień, na nastroszonych gałęziach drzew wisały pojedyncze żółte listki. Pusty dzień, całkowicie pusty i potworny. Kościół w Levide wydawał się nieodpowiedni i obcy, gdy tak stał wciśnięty między kilka budynków po niewłaściwej stronie drogi. Elin pamiętała, że pomyślała wtedy, że to nie miejsce dla Stefanii, a ten cały pogrzeb to jedno wielkie oszustwo.

Przy trumnie ona i Ricky stali przy mamie i położyli kwiaty. Trumna była dębowa i miała mosiężne uchwyty. Tata tak wybrał. Nie było go tam jednak. Stali przy trumnie sami. Tacie coś wypadło. Wy tłumaczył mamie, że jego sytuacja jest nie do ogarnięcia. Gdyby wyjechał z Tokio, równie dobrze mógłby zrezygnować ze wszystkiego, spakować się i wrócić do domu na dobre. Zamknąć firmę. Po czymś takim nikt by mu już więcej nie zaufał. Elin pamiętała bardzo dobrze, że mama krzyczała i płakała do telefonu. Ten jeden raz słyszała, że podniosła na niego głos. Nie wiedziała, czy kiedy wrócił do domu dziesięć dni po pogrzebie, były jakieś konsekwencje, ale właściwie nie miało to znaczenia. Konsekwencjom i tak brakowało konsekwencji.

Zdjęła buty i oparła pięty na poduszce fotela. Obracała w palcach kolorową gazetę, którą kupiła razem z lodowatym winem, ale nie miała już ochoty jej czytać. Zwijała cienkie kartki na ukos, zaczynając od górnego rogu. Jedną po drugiej, w małe gazetowe loki.

Stali przy mamie, ona i Ricky, i cały czas próbowała sobie wyobrazić, jak to jest być martwą w trumnie. Tylko o tym była w stanie myśleć podczas całej ceremonii pogrzebowej. Nie umiała jednak sobie tego wyobrazić. Miała tylko dziwną wizję leżenia zupełnie nago pod drewnianym wiekiem. Wyobrażała sobie śmierć połączoną z nagością, bo bez względu na to, ile ubrań ma się na sobie, po śmierci w pewnym sensie już nigdy nie można być ubranym. A wieko w każdej chwili może zostać odsunięte i zmarły będzie nagi na oczach całego kościoła. To było zawstydzające, zimne i

groźne. Nago w pudle na oczach publiki, bez możliwości zakrycia się i ucieczki. To właśnie była śmierć.

Dziś oczywiście rozumiała, że nie ma to nic wspólnego ze śmiercią. Ta naga, przerażona i zawstydzona dziewczynka pod wiekiem to była ona sama. Ni mniej, ni więcej.

Teraz miała wybrać trumnę. Dąb z mosiężnymi okuciami? Porozmawiać z zakładem pogrzebowym, załatwić wszystko, co trzeba. Ona i nikt inny. Nie była zdziwiona, że Ricky uciekł od wszystkiego. Nie po raz pierwszy. Powiedziała policjantom, że uciekł z zawałonych studiów ekonomicznych, a tata musiał przelać pieniądze do banku w Portugalii, żeby mógł przylecieć do domu. Bóg jeden wie, co tam robił. Imprezował? Przeżywał ataki paniki? Użał się nad sobą? Może wszystko naraz. W każdym razie po trzech tygodniach pieniądze się skończyły.

Nie martwiła się o niego. No, może w takim sensie, że martwiło ją jego złe samopoczucie, ale w żadnym innym. Spodziewała się telefonu. W końcu to do niej musiał zadzwonić, gdy nikogo innego nie było. Myślała, że może minie tydzień lub dwa, ale potem zadzwonił i opowie zawią i w większości nieprawdziwą historię, sprowadzającą się do tego, że ona musi mu przysłać pieniądze, żeby mógł dotrzeć do domu.

Wsunęła stopy do butów i wzięła do ręki pusty kieliszek, żeby pójść i go napełnić. Dolać więcej zimnego, kwaśnego wina.

Lennart Svensson oglądał *Skłóconych z życiem* z Marilyn Monroe, kiedy do drzwi zadzwonili Fredrik i Sara. Zatrzymał odtwarzanie płyty DVD, więc kiedy weszli do domu, na ekranie zobaczyli nieruchomą twarz Clarka Gable'a. Między sofą a telewizorem stało krzesło z wysokim prostym oparciem, zasłaniając ekran.

– Dostałem na urodziny od synowej zestaw filmów z Marilyn Monroe – wyjaśnił Lennart, wskazując telewizor. – Ale trzeba wybierać rodzyнки. Ten film jest chyba jednym z lepszych.

Na białej półce pod telewizorem stały dwa gęste rzędy filmów na DVD. Fredrik przesunął wzrokiem po tytułach. Były to głównie klasyki z lat czterdziestych, pięćdziesiątych i sześćdziesiątych pomieszane z filmami Disneya, które odróżniały się kolorowymi grzbietami. Domyślił się, że to rozrywka dla odwiedzających Lennarta wnuków.

– Jak tam plecy? – zapytał.

– Sprawa jest w toku – odparł Lennart.

Przyłożył dłonie do bioder i się przeciągnął.

– Kiedy uda mi się wysiedzieć przez cały film bez przerw, będzie to znak, że czas wrócić do pracy. Jednak ten moment jeszcze nie nadszedł.

– Biedaczysko, przez cały dzień musi tu siedzieć i oglądać połówki filmów – powiedziała Sara i skinęła głową w kierunku dobrze zaopatrzonej półki z płytami.

– Tak, to istne piekło – powiedział Lennart i wyszczerzył zęby.

Odwrócił się plecami do Sary i zniknął w sąsiednim pokoju. Fredrik dostrzegł przez drzwi stół.

Dom był nowoczesną willą z jasnymi, niezbyt dużymi pokojami. Salon był biały z różnymi odcieniami błękitu. Cienkie zasłony tłumiły światło wpadające przez wysokie okna z widokiem na werandę z impregnowanego pod ciśnieniem drewna. Fredrik spodziewał się czegoś innego. Nie wiedział dokładnie, ale chyba czegoś, co było bardziej... w stylu Lennarta Svenssona.

– Szczerze powiedziawszy, młodzi, cieszcie się, dopóki macie działające plecy. Może to śmiesznie wygląda, ale człowiekowi jakoś nie jest do śmiechu – powiedział Lennart, kiedy wrócił z dwoma pamiętnikami w jednej ręce.

– Mojemu dziadkowi też dokuczają bóle pleców, więc wiem, jakie to potrafi być – odparła Sara.

Lennart spojrzał na nią, mrużąc oczy, a potem wybuchnął krótkim, prawie bezgłośnym śmiechem.

– No tak. Każdemu jego krzyż.

Podał im pamiętniki.

– Oto one.

Fredrik wziął do ręki obie książki oprawione w jasnoszarą tkaninę z wydrukowanym czarnym koronkowym wzorem.

– Może powinienem był je przywieźć, ale nie chciałem niepotrzebnie wsiadać do samochodu. Samochód to zabójstwo dla pleców. A od twojego telefonu nikt o nie nie pytał – oznajmił Lennart.

– Tak, nikomu chyba ich nie brakowało – potwierdził Fredrik.

Podał jeden tom Sarze.

– Sprawdź lipiec i sierpień – poprosił.

Otworzył swój pamiętnik i odszukał dzień, z którego zapis Lennart odczytał wcześniej przez telefon.

– Tutaj. „Siódmy lipca. Dzisiaj popłynęliśmy na wyspę. Wczesnym raniem odbiliśmy od brzegu w Klintehamn. Korzystny wiatr. Całą drogę płynęliśmy na żaglu. Arvid powiedział, że bogowie nam sprzyjają. Też mi się tak wydaje. Fantastyczny dzień, błękitne niebo, ciepło i przyjemnie. Od samego Hoburgen wiało od rufy”.

Podniósł wzrok na Sarę i Lennarta.

– O którą wyspę mogło jej chodzić? Po wypłynięciu z Klintehamn i okrążeniu Hoburgen płynie się na północ, wzdłuż wschodniego wybrzeża, prawda?

– O ile nie kierowali się na estońskie szkiery – dodała Sara.

– No tak, to też całkiem możliwe. Niewątpliwie brzmi bardziej awanturniczo i może bardziej pasuje do Arvida Traneusa.

– Jeśli trzymalibyśmy się Gotlandii, praktycznie jedyną możliwością na wschodnim brzegu pozostaje wyspa Östergarnsholm – stwierdził Lennart. – Są tam jeszcze jakieś małe wysepki, ale nie bardzo się nadają na cel podróży. To płaskie, trawiaste kawałki lądu pełne wściekłych mew.

Fredrik po cichu czytał dalej.

– Nie ma tu zbyt wielu wskazówek. Ona pisze o dzieciach, jedzeniu i pogodzie. „Zeszliśmy na ląd obok latarni morskiej. Rickard i Elin już tam byli, zanim Arvid zdążył porządnie przymocować łódź”.

– Cholera, to może rzeczywiście być gdziekolwiek – przyznał Lennart.

– Tutaj – dodała Sara – mam o rok wcześniejszy wpis, z dziewięćdziesiątego trzeciego. W nim też jest mowa o Przygodzie.

– Czytaj – polecił Lennart.

Sara posłała mu szybkie spojrzenie, ale zachowała dla siebie to, co miała na końcu języka, i zaczęła czytać.

– „Dwudziesty pierwszy lipca. Przygoda wypłynęła z Klintehamn o ósmej rano. Słaby wiatr. Czy dopłyniemy bez silnika? Postawiliśmy spina-ker”.

– Zadzwoń do dzieciaka – przerwał Lennart. – Ona na pewno wie.

– Elin Traneus? – upewniła się Sara.

– Tak. Tak będzie najprościej. Chyba że z jakiegoś powodu nie chcecie jej wtajemniczać.

Sara i Fredrik spojrzeli na siebie.

– Nic więcej tam nie ma? – spytał Fredrik.

Sara, mamrocząc, przeskoczyła kilka fragmentów i kontynuowała na głos: „Dobiliśmy do brzegu pod osłoną przylądka. Prognoza dla żeglugi

obiecowała spokojną noc. Stefania czasem wciąż daje się sprowokować młodszemu rodzeństwu. Między całą trójką wybuchła intensywna bitwa morska. Trwała dłuższą chwilę, aż Stefania nagle się zreflektowała i poszła poleżeć z książką. Rickard i Elin również przestali i zaczęli się bawić w badaczy jaskiń. Włączyłam się do zabawy. Elin podskakiwała na wodzie w swojej czerwonej kamizelce, a Rickard ją holował.

– Östergarnsholm – stwierdził Lennart. – Mogę się założyć o stowę.

– Wchodzę – oznajmiła błyskawicznie Sara, właściwie bez zastanowienia.

Przybili zakład.

– Łatwo zarobione pieniądze – powiedział Lennart.

Najważniejsze to utrzymać się w ciepłe i suchości. Miał kombinezon wiatroszczelny Helly Hansen i wiatroszczelną kurtkę. Do tego buty, też odporne na wiatr.

Odpowiednio się ubrać i przygotować prowiant potrafił dzięki tacie. Nie skończył studiów ekonomicznych, ale przynajmniej potrafił się ubrać.

Oprócz stroju istniały jeszcze dwa sposoby na utrzymanie ciepła na wyspie: trzeba być w ciągłym ruchu albo wejść do śpiwora w śmierdzącym denaturatem pomieszczeniu w starej latarni morskiej. Poszedł do nowej latarni na wschodzie i wrócił. Widział, jak odległa wieża rośnie coraz bardziej, aż w końcu musiał zginać kark, żeby móc zobaczyć jej szczyt z latarną i antenami. Potem się odwrócił i spojrzał na szary, przypominający puszkę budynek, w którym spędził noc. W drodze powrotnej rozpiął lekko pod szyją kurtkę i bluzę. Nadal odczuwał ciepło, ale szybko uciekało, kiedy stał w bezruchu. Ubrania potrafiły je zatrzymać tylko na krótką chwilę.

Od kiełbasy, którą zjadł na lunch, miał w ustach posmak tłuszczu i dymu.

Dlaczego tu przyjechał? Czy dlatego, że nie było wyjścia? Żadnej drogi, którą można by opuścić samego siebie?

Światło dzienne już nie wystarczyło. Nie pomagało, że słońce przebijało się przez szczeliny w pokrywie chmur. Zmysły nie pozwalały mu zaznać spokoju. Choć było jasno, skierowane na niego krwawiące oczy wsysały go w ciemność. Krwią była zaś świadomość, że nie ma drogi powrotnej. Był kimś, kto zupełnie nie odpowiadał jego wyobrażeniom o sobie, i miał nim już pozostać.

Kiedy zaatakowała go ta świadomość, miał ochotę podbiec do krawędzi i rzucić się w przepaść. Nie zrobił tego jednak.

Czy powinien? Zebrał odwagę, by przezwyciężyć ostatnie resztki Elin i Stefanii, białe szkielety ptaków, mrówki, ostatnie fragmenty kilku pełnych szczęścia letnich dni, które wydawały się tak odległe, że równie dobrze mogły należeć do kogoś innego.

Może zresztą należały. Był już innym człowiekiem, zupełnie innym, tak dalekim od niewinnego dziecka przeżywającego letnie przygody, jak to

tylko możliwe. Promienie słońca już na niego nie padały. Żadne światło nie docierało do jego mroków.

Głowa taty wystawała z jamy w ziemi. Wpatrywał się w niego pustymi oczodołami. Oczy zostały zjedzone przez owady i robaki. Biała skóra miała zapach wędzonej kiełbasy.

Jego milczenie uczyniło z ojca mordercę. Przez całe tygodnie ojciec był typowany na sprawcę, a potem zrehabilitowały go własne szczątki. Trzeba było wyciągnąć z ziemi jego głowę, by mógł zostać uniewinniony.

– Nie powinnaś była się zakładać – stwierdził Fredrik, gdy zamknęli drzwi samochodu.

– Nie znoszę, gdy jest taki pewny.

Zerknęła na Fredrika.

– Czyli tego pożałuję?

– Nie wiem – odparł. – Ale mam taką nadzieję.

Dojazd do Herrvik z domu Lennarta zajął niecałe dwadzieścia minut. Mały port rybacki poniżej płaskowyżu Grogarnsberg wyglądał na opuszczony. Nie było nikogo widać, ale stosy skrzynek na ryby, sieci i innych sprzętów zdradzały, że port nadal jest w użytku. Na jednym z betonowych nabrzeży leżała łódź rybacka, której kadłub połyskiwał zielenią. Na śródkręciu rozpostarto czarne sieci rybackie z wyblakłymi pływakami. Obok parkingu stały dwie starsze łodzie rekreacyjne i jedna rybacka bez wyposażenia. Czerwone chatki rybackie miały drzwi zabite deskami, poza jedną, na której znajdował się napis „Biuro portowe”.

Fredrik zaparkował samochód w wyznaczonym miejscu na dużym asfaltowym placu, na którym stały tylko dwa inne samochody. Wyłączył silnik. Restauracja na małym wzniesieniu górującym nad parkingiem również była zamknięta. To w niej Eva Karlén rzuciła go pewnej lipcowej niedzieli ponad dwa lata wcześniej.

– No i co? – odezwała się Sara z siedzenia obok.

Fredrik omiótł spojrzeniem parking.

– Powinniśmy sprawdzić tamte samochody – stwierdził. – Po prostu byłoby szkoda coś przegapić. Jeśli ty się tym zajmiesz, ja zajrzę do biura portowego.

– Okej – odparła Sara.

Fredrik wysiadł z samochodu i przeszedł krótki odcinek do biura. Za oknami było ciemno. Na szybie w drzwiach wisiała przyklejona taśmą kartka z podanym numerem telefonu komórkowego.

Słuchając sygnałów, odwrócił się plecami do drzwi. Pływaki sieci bębniły na wietrze, ale on stał w zacisznym miejscu.

– Halo? Tu Maj – odebrała zdyszana kobieta po tak wielu sygnałach, że Fredrik już dawno powinien był się rozłączyć.

Powiedział, jak się nazywa, i przedstawił swoją sprawę. Wyjaśnił, że sły-
szał o rybaku, który w sezonie przeprowadza turystów na Östergarnsholm, i
zapytał, czy można się z nim skontaktować.

– Tak – powiedziała Maj i podała mu numer telefonu.

Rybak nazywał się Evert Söderman. Fredrik pomyślał, że takie nazwisko
pasuje raczej do mieszkańca Roslagen niż Gotlandii.

– Przeważnie odbiera – dodała.

Fredrik wrócił do samochodu i usiadł za kierownicą. W samochodzie
było trochę duszno, więc zostawił drzwi uchylone.

– Nic ciekawego – podsumowała Sara. – Oba samochody są zarejestro-
wane na okolicznych mieszkańców. Traneusa nie ma.

– Okej – odparł Fredrik. – Zobaczymy, czy wybierzemy się na jakąś wy-
cieczkę z tym rybakim.

Zadzwoił pod numer, który dostał od Maj. Mężczyzna odebrał po dru-
gim sygnale.

– Evert Söderman – powiedział, jakby czytał z kartki.

Fredrik wyjaśnił, dlaczego dzwoni.

– Są państwo teraz w Herrvik? – zapytał Evert Söderman.

– Tak.

– To wy siedzicie w tym volvo?

– Siedzimy w volvo, ale nie wiem, czy w tym – odparł Fredrik i spojrział
w kierunku domów po drugiej stronie błękitnoszarej wody, spodziewając
się, że w jednym z okien zobaczy mężczyznę z telefonem przy uchu, ale ni-
kogo nie dostrzegł.

Sara spojrzała na niego pytająco.

– Na parkingu przy biurze portowym? – zapytał głos w telefonie.

– Tak – odparł Fredrik po chwili wahania.

– No to zaraz przyjadę – powiedział Evert Söderman.

– Nie trzeba. Możemy to omówić przez telefon.

– I tak muszę zajrzeć do łodzi.

– W takim razie w porządku – powiedział Fredrik i zakończył połącze-
nie. – Przyjedzie do nas – poinformował w ramach odpowiedzi na spojrze-
nie Sary.

Nie minął długi czas, a stare, zadbane volvo wjechało do portu. Po inten-
sywnie pomarańczowym kolorze rozpoznał, że dawniej należało do pań-

stwowego operatora komunikacyjnego Televerket. Zatrzymało się tak blisko łodzi rybackiej, jak to tylko było możliwe. Wysiadł starszy mężczyzna o białych włosach, wysoki i nieco pochylony, ale nie zgarbiony, raczej sprężysty. Ruszył prosto do Fredrika i Sary, a oni spotkali się z nim w połowie drogi.

– Evert Söderman – powiedział i wyciągnął rękę. Była powykrecana, jak to u człowieka, który spędził całe życie na Bałtyku.

Najpierw przywitał się z Sarą.

– Pan pływa z ludźmi na Östergarnsholm, zgadza się? – zapytał Fredrik, kiedy uścisnęli sobie ręce.

– Tak, to prawda – odparł Evert Söderman i spojrzał na Fredrika spod zmrużonych powiek, jakby raziło go światło.

– Czy przeprowił pan tam kogoś w ciągu ostatnich dni? – spytał.

– Nie, nie – odpowiedział ze śmiechem mężczyzna. – To było już dawno. Głównie przewożę turystów.

– Jak dawno?

– Chyba na początku września. Kiedy ktoś o mnie pyta, Maj podaje mój numer telefonu.

– Wie pan, czy w tym tygodniu ktoś inny płynął tam z ludźmi? Albo wypożyczał łódź?

– Nie wydaje mi się, by tak było. A w każdym razie nic o tym nie słyszałem.

– I nie było nigdzie łódki, której ktoś się pozbył?

– Nie. Raczej bym o tym wiedział.

Odwrócił się do morza i spojrzał w kierunku północnym.

– Oczywiście jest wielu letników, którzy zostawiają swoje łódki. Gdyby taka zniknęła, pewnie zostałoby to zauważone dopiero po jakimś czasie.

Mężczyzna zwrócił się z powrotem do Fredrika.

– Ścigacie złodziei łodzi?

Fredrik przeprosił i odciągnął Sarę na bok, a Evert Söderman zwinnie wskoczył na pokład m/s Anity i rozpoczął tam jakąś dłubaninę.

– Moglibyśmy go poprosić, żeby nas zawiózł – powiedział Fredrik.

– Żebyśmy poszukali Rickarda?

– Tak.

– Myślisz o tym, co było zapisane w pamiętniku?

– Warto spróbować.

– Uważasz, że to sprawka Rickarda?

– Uważam, że Rickard coś wie. Chroni kogoś albo jest w jakiś sposób współwinny. Może potrzebował pieniędzy, próbował zawrzeć jakiś układ z Ringvallem, ale wszystko się posypało, Ringvall dostał szalu i zabił całą trójkę. A może zabójcą jest Rickard, choć trudno mi w to uwierzyć.

– Mnie też. Ten chłopak przecież nie jest głupi. Musi być jednak jakiś powód jego zniknięcia.

– Rickard to odpowiedź. Jestem tego pewny.

Sara położyła dłoń na dachu samochodu i spojrzała w kierunku łodzi rybackiej.

– Dobrze – powiedziała po chwili. – Czemu nie? Popłyniemy i sprawdzimy. Zadzwonisz do Görana?

Sara i Fredrik siedzieli na dziobie. Łódź wyglądała, jakby już nie była używana do połowów. Wciągarka do sieci wprawdzie nadal była na swoim miejscu, ale wnętrze łodzi zostało wyszorowane do czysta i odmalowane, a poza tym dobudowano ławki.

Kiedy wypłynęli spod ochrony zatoki portowej, łódź zaczęła uderzać o fale, które nadciągały od strony dziobu. Rozpryski niekiedy fundowały im prysznic z drobnych kropeł. Evert Söderman wychylił głowę przez okienko z boku kabiny sternika i zawołał do nich:

– Możecie się tu ze mną stłoczyć, jeśli jest wam za zimno!

– Wszystko w porządku! – odkrzyknęła Sara. – Jest zacisznie!

– Ale buja jak cholera – powiedział do niej Fredrik.

Kiedy dziób opadał po co większych falach, odrywali się od ławek i ułamek sekundy później uderzali o nie z powrotem.

Bliżej wyspy fale się uspokoiły i rejs był przyjemniejszy. Evert Söderman obrał kurs na wąski przylądek wysunięty na południe. Mniej więcej w jego połowie dało się zauważyć pomost, zbudowany pewnie po to, by ułatwić konserwację latarni.

Ponownie wysunął głowę przez okienko.

– Zwykle dopływam z turystami do tamtych skał – krzyknął, wskazując kierunek – ale przy tym wietrze lepiej będzie skorzystać z pomostu.

Söderman chciał ich przetransportować za darmo, bo chodziło o sprawę policyjną. Mówił, że i tak nie ma zbyt wiele roboty. Fredrikowi w końcu udało się go przekonać, żeby przyjął zapłatę. Wytłumaczył, że płaci mu policja, a nie Sara. To trafiło Södermanowi do przekonania i się zgodził. Pytanie brzmiało tylko, czy od samego początku nie miało się tak skończyć.

Göran przystał na ten wydatek i polecił im, by byli ostrożni. – Rozejrzyjcie się, a jeśli się okaże, że mieliście rację, poczekajcie i zadzwońcie po posiłki.

Anita nie była szybką łodzią, a wiatr spowalniał ją jeszcze bardziej. Dotarcie do pomostu zajęło im prawie pół godziny. Evert Söderman zostawił łomoczący silnik na jałowym biegu, wyłożył odbijacze i zeskoczył na ląd z liną w ręce. Poszło mu to tak szybko i sprawnie, że Fredrik i Sara nie zdążyli zaproponować pomocy.

Wyszli na brzeg. Evert Söderman podał rękę Sarze, ale Fredrik musiał radzić sobie sam. Pomost został niedawno odnowiony. Impregnowane pod ciśnieniem zielone deski nadal lśniły.

– Zaczekam tutaj – oznajmił Evert Söderman – ale jeśli wiatr się zmieni na południowy, będę musiał zmienić miejsce. W takiej sytuacji popłynę do skał, ale zauważycie.

Od pomostu odchodziła wąska ścieżka wiodąca na południe, a na jej przedłużeniu wnosiła się wschodnia latarnia wyspy.

– Gdyby przyplłynął pan tu z małym silnikiem zaburtowym, gdzie by pan dobił do brzegu?

– Po stronie północnej jest plaża. Pewnie spróbowałbym tam. Można wyciągnąć łódkę na brzeg i przywiązać ją do jakiegoś drzewa – wyjaśnił Söderman, a mówiąc, powoli się obracał, jakby pomagało mu to wydobyć z pamięci obraz wyspy.

– Może też na kamienistej plaży po stronie północnej, ale tam trzeba chyba odczepić silnik i wciągnąć łódkę za sobą. Jest tam mnóstwo kamieni, to prawie jak rafa, ale z którejś strony pewnie można się dostać na ląd.

Zostawili Everta Södermana przy łodzi i ruszyli w kierunku latarni. Nie mieli przy sobie mapy, ale przed wypłynięciem z Herrvik przestudiowali mapę morską Södermana. Uznali za oczywiste, że najpierw powinni się rozejrzeć w okolicy latarni, a potem ruszyć północną plażą na zachód.

Fredrik spojrzał za siebie, na Södermana, który wrócił na pokład łodzi. Zaczął się zastanawiać, czy pozwalając mu tam czekać, nie narażają go na niebezpieczeństwo. Gdyby na przykład napotkali Rickarda Traneusa, uzbrojonego i próbującego uciec z wyspy... Nie, oszacował ryzyko jako niewielkie. Jeśli Rickard Traneus naprawdę tam jest, nie ucieknie. Jeśli przyplłynął na wyspę, to w innym celu niż ucieczka. Można było tylko się domyślać w jakim.

Po trzydziestu kilku metrach nie znajdowali się już po zawietrznej i zrozumieli, że wyspa musi dawać ochronę przed wiatrem aż do Herrvik. Wiał rzeński wiatr, fale po tej stronie były jeszcze wyższe i spienione, z wyraźnymi białymi grzebieniami. Panował chłód.

– Jeśli tu przebywa od czwartku, musiał się schronić w którymś budynku. Jest zimno jak jasna cholera.

– Tak – zgodził się Fredrik. – Albo wziął ze sobą namiot.

Wsunął dłonie pod pachy, żeby je ogrzać, i poczuł napięcie skóry na twarzy.

– Muszę przyznać, że mam coraz większe wątpliwości co do tej inicjatywy.

– Mhm – mruknęła Sara i odwróciła się do niego, by na wietrze dało się słyszeć jej głos. – Ale jeśli założymy, że uciekał w panice, a to miejsce ma dla niego silny ładunek emocjonalny, najwyraźniej związany z rodziną, nie jest to takie bezsensowne.

Zbliżyli się do latarni morskiej wysokiej na dwadzieścia kilka metrów. Po ich stronie znajdowała się solidna brama, chroniona sklepieniem o głębokości dwudziestu kilku centymetrów. Fredrik zostawił Sarę przy bramie, przeszedł się wokół latarni, obejrzał płaski teren, podniósł wzrok na jej okna i przypominający balkon występ na wysokości czterech–pięciu metrów.

– Drzwi są zamknięte, i to porządnie, i nikt nie próbował się dostać do środka – oznajmiła Sara, kiedy już zatoczył koło.

– Pójdziemy dalej w tamtą stronę – oznajmił Fredrik i wskazał niski budynek kawałek dalej. Budynek miał blaszany dach i drewniane panele. W oknach znajdowały się blaszane okiennice zamknięte na kłódkę, a drzwi były zamknięte na zasuwę, również wyposażoną w solidną kłódkę. Powtórzyli całą procedurę. Fredrik okrążył budynek i się upewnił, że kłódki rzeczywiście są zamknięte. Metal był ciężki i szorstki w palcach, chropowaty od soli i rdzy.

– Nie – oznajmił po powrocie. – Nikogo tu nie było.

Poszli dalej na zachód i skręcili na plażę, o której mówił Evert Söderman. Piaszczysty pas by częściowo zasłonięty przez drzewa i krzewy. Rozdzielili się i ruszyli po obu stronach roślinności – Sara po zewnętrznej, a Fredrik po stronie lądu. Stapał w wysokiej trawie, która szeleściła cicho, gdy przyciskał ją do ziemi. Zarośla nie były rozległe i już po krótkiej chwili

miał widok na plażę i drobne kamyki, które nad wodą przechodziły w gruby piasek. Przystanął.

Przy samych zaroślach leżała biała plastikowa łódka o jasnozielonym wnętrzu. Sara zatrzymała się po drugiej stronie. Wyciągnęła rękę i wskazała ślady wśród kamieni. Było wyraźnie widać, jak wciągnięto łódź na ląd – większe kamienie miały na sobie ślady niebieskiej farby zdrapanej z kadłuba. Była przywiązana liną do dużego kamienia. W bezpiecznej odległości od morza. Woda nie powinna sięgnąć aż tak daleko w głąb plaży, chyba że przy bardzo silnym wietrze z północy.

– Kurwa – zaklęła Sara stłumionym głosem i przeszła kilka kroków po plaży. – Kurwa mać.

– O co chodzi? – spytał Fredrik.

– Czerwone mrówki. Wdepnęłam w mrowisko.

Zaczęła otrzepywać dłonią golenie.

Fredrik podszedł do łodzi. Były w niej dwa zszarzałe wiosła i nic poza tym. Podniósł pokrywy pustych w środku ławek. W tylnej znajdował się błękitny czerpak, a przednia była pusta.

– Jeśli był tu kanister z benzyną, to zabrał go ze sobą albo gdzieś schował.

– Przy takiej pogodzie nie mógłby wypłynąć – zauważyła Sara, w dalszym ciągu podejrzliwie obserwując ziemię.

– To prawda, ale w czwartek tak mocno nie wiało, może przybył właśnie wtedy.

Sara okrążyła łódkę i stanęła u boku Fredrika. Fale miały szary kolor, jakby morze było zrobione z gliny. Spojrzeli w kierunku wschodniej części wyspy, gdzie wznosił się klif. Na jego szczycie stała stara latarnia morska, szara jak cement na tle równie szarego nieba.

Rickard stał w sieni za kuchnią i nasłuchiwał. W taki sam sposób, w jaki słuchał mamy i taty, kiedy był małym chłopcem. Mnóstwo razy stał schowany za rogiem i słuchał ich głosów, które przybierały na sile i cichły, mamrotały, by po chwili eksplodować. Właściwie nigdy nie robił tego celowo. Było mniej więcej tak jak teraz. Biegł przepelniony myślą o rodzicach, o tym, że spędzi z nimi czas, kiedy nagle zauważał coś, co go zatrzymywało. Jakieś słowo, ton głosu. Nie potrafiłby wyjaśnić, co dokładnie.

Stał i nasłuchiwał tak często, że wiedział, kiedy mama mówiła złe rzeczy. Nie rozumiał dlaczego. Skoro on wiedział, że są złe, to ona na pewno też. Robiła to specjalnie? Tak łatwo dało się tego uniknąć. Przecież zdawała sobie sprawę, czego nie można mówić. Mógłby siedzieć pod podłogą jak sufler i jej podpowiadać. Wiedział, kiedy wciąż jeszcze można było wszystko odkręcić, a kiedy nie miało już znaczenia co powie, bo przekroczyła niewidzialną granicę i mogło się skończyć tylko w jeden sposób. Kiedy następował ten moment, Rickard opuszczał kryjówkę i jak najciszej przemykał z powrotem do swojego pokoju.

Dlaczego to robiła? Wszystko mogłoby być o wiele lepsze, gdyby nie popełniała błędów. Tata by się cieszył. Im wszystkim żyłoby się o wiele łatwiej. Nawet mamie. Dlaczego mówiła niewłaściwe rzeczy?

Tym razem nie zatrzymało go nic takiego. Ani nietypowy ton głosu, ani zabronione słowa. Tylko głos. Sam głos nie pasował.

Dzwonek rozbrzmiał w całym domu, a nikt nie szedł do drzwi, więc otworzył garaż i wprowadził rower do pustego pomieszczenia. Sprawdzał, czy w lodówce jest piwo. Pomyślał, że może być, skoro tata wrócił do domu. Ale nie było. Pewnie nie zdążył kupić nic do domu albo w czasie pobytu w Tokio zmieniły się jego zwyczaje.

Usiadł przy stole w kuchni i zaczął przeglądać poranną gazetę. Kiedy skończył, właściwie jej nie czytając, i nadal nikt się nie pojawił, zszedł do garażu, żeby wymienić ostrze kosiarki. Kupił nowe już tydzień wcześniej, ale coś mu przeszkodziło.

W pierwszej chwili go nie znalazł, pomyślał, że tata je wymienił, ale potem zauważył, że wisi na haczyku na ścianie w nienaruszonym opakowa-

niu.

Usłyszał samochody na podjeździe przed garażem. Dwa, jeden po drugim. Dziwne. Wysiedli i ruszyli do frontowych drzwi. Zajrzał do sieni, żeby ich zawołać, ale wtedy usłyszał, że drzwi się otwierają. I zatrzymał go głos. To nie był głos taty. Do domu wszedł ktoś inny. A Rickard stanął i zaczął nasłuchiwać.

Stał w sieni, słuchał wzburzonych głosów, które niekiedy były stłumione – tak, że docierały do niego tylko pojedyncze słowa. Miał spuszczone głowę, wpatrywał się w duże terakotowe płytki i był skoncentrowany wyłącznie na głosach.

– A co innego miałam zrobić? – rozległ się głos mamy, drżący i odmieńiony.

– Nie możesz...

Obcy mężczyzna był zdenerwowany, gwałtownie urwał. Jakby połknął resztę słów.

– Nie wolno nam się spotykać – kontynuował stanowczo. – Nie teraz. Będziemy razem. Tylko nie teraz.

– Ale...

– Kup nowy telefon, nową kartę.

Głos wibrował jakby był bardzo mocno kontrolowany i w każdej chwili mógł wybuchnąć.

– A jeśli oni mimo wszystko nas przyłapią? To znaczy, dowiedzą się o nas? Prędzej czy później? – spytała jego mama.

Wydawała się taka niepozorna i zagubiona, Ricky jej takiej nie znał.

– To potrwa. Nie musimy ich naprowadzać. Damy sobie radę.

– Ale jeśli będą pytali? W końcu się tu zjawią i zaczną zadawać pytania. Przecież nie skłamię!

Ricky słyszał, że próbuje się czegoś uchwycić. Znaleźć jakieś oparcie, ratunek... Patrzył pustym wzrokiem w ścianę, oczyma wyobraźni widział mamę i próbował sobie wyobrazić tamtego mężczyznę.

– To potrwa. Na razie trzeba zachować spokój. Nie widywać się. Ty w każdym razie nie możesz tak do mnie wpadać.

– Nie zniosę tego – pisnęła.

Brzmiała tak żałośnie. Mężczyzna głośno oddychał.

– Posłuchaj mnie uważnie. Dasz radę. Zostaniesz tu i dasz sobie radę. Nie zrobiłaś nic złego.

Głos wcale nie był tak pokrzepiający jak słowa. Brzmiał twardo, zdecydowanie, na granicy krzyku. Ricky zacisnął pięści.

– Nie! Czy można mnie winić? Można? Kto by mnie winił?

– Przestań! – rozkazał obcy głos. – Nic nie da...

– Myślę, że niewiele osób by mnie potępiło – przerwała jego mama.

– Kristina, przestań!

Serce Ricky'ego biło jak szalone. Czuł pulsowanie w skroniach. Miał gorącą głowę. Rozległ się odgłos kroków, niespokojnego spacerowania między salonem a jadalnią. Cały czas była w ruchu i mówiła.

– Okropnie coś takiego powiedzieć, ale to on... sam sobie to zafundował... W końcu... to przez niego. Może brzmię jak jakiś potwór, ale to jego wina.

– Masz rację. Jego. A ty nie jesteś żadnym potworem.

Tym razem głos brzmiał entuzjastycznie, niemal radośnie, jego właściciel naprawdę coś odkrył, był z nią zgodny.

– Uwolniłaś się. Byłaś uwięziona. Zasłużył na to po wielokroć. Nie był mężczyzną, lecz tchórzem, przemocowym, diabelskim...

Głos urwał, jakby próbował znaleźć właściwe słowa, odpowiednio wulgarne głoski. Przez długi czas Ricky słyszał tylko urywany oddech.

– Mam iść na policję?

– Nie! – wrzasnął nieznajomy. – Co ty opowiadasz? Nie słuchałaś? Przecież jest tak, jak mówisz. Sam to na siebie ściągnął. Zasługiwał na śmierć. Nie jesteś potworem. On nim jest.

Rickard słuchał. Miał na sobie robocze rękawiczki. Nowe ostrze kosiarki, wymierzone w posadzkę, tkwiło w jego mocno zaciśniętej prawej dłoni.

Widział łódź rybacką wypływającą z Herrvik, przedzierającą się przez fale. Początkowo obrali kurs jakby prosto na niego. Sternik najwyraźniej posłużył się starą latarnią jako punktem odniesienia. Potem, kiedy łódź skorygowała kurs i płynęła bardziej na południe, myślał, że minie wyspę, ale wkrótce zrozumiał, że chce dopłynąć do pomostu, i wszedł piętro wyżej, żeby lepiej ją śledzić.

Starał się trzymać z dala od okna. Musiał się przesuwac w bok po pokoju, żeby nie stracić z oczu dwojga ludzi, którzy zeszli na ląd. Ruszyli w kierunku latarni, więc uznał, że ich wizyta ma z nią coś wspólnego. Na chwilę zniknęli mu z oczu, ale potem nagle pojawili się znowu. Schodzili ku plaży.

Wtedy od razu zrozumiał, że przyłynęli go szukać. Ktoś musiał go zauważyć w drodze na wyspę. Bo kto inny mógłby ich tu doprowadzić? Elin? Mogła wszystkiego się domyślić?

Jak tylko dotrą do plaży, wszystko stanie się dla nich jasne. Czy właśnie nadchodził koniec? Nie było ratunku. Koniec jak czarna morska piana. Zobaczył krwawiące oczy. Spojrzenie swojej matki. Czy było oskarżycielskie? Nie, to by wiele ułatwiło. Było zdruzgotane, zrozpaczone i umierające. Z długiej rany na piersi obficie tryskała krew. Ochlapywała go, gdy matka w niej tonęła.

Podniósł ciężką głowę i spojrzał na dwie zbliżające się osoby. Rozpoznał je.

W ciemniejącej pokrywie chmur nie zostało już wiele przebłysków słońca. Kiedy wchodzili pod górę, wiatr wiał im w plecy. Fredrik usłyszał chrzęst pod butem. Spuścił wzrok i spostrzegł mały ptasi szkielet, który właśnie rozdeptał.

Na klifie nie mieli żadnej ochrony przed wiatrem. Proste, czarne włosy Sary chłostały ją po twarzy. Przytrzymała je lewą ręką, wyjęła gumkę do włosów z kieszeni kurtki i kilkoma ruchami zebrała je w kok.

Szybkim krokiem szli w kierunku starej latarni. Sara przodem, a Fredrik za nią, czujnie obserwując okna.

– Chyba jest otwarte – szepnęła.

Poszarzałe drewniane drzwi na pierwszy rzut oka wydawały się zamknięte, ale kiedy Fredrik przyjrzał się dokładniej, spostrzegł szeroką na centymetr szczelinę między nimi a framugą. Pośród szarości widać tam było pasmo jasnego drewna. Sara też to zauważyła. Drzwi zostały wyłamane.

– Sprawdź to – oznajmił zduszonym głosem i ruchem głowy wskazał kamienne ruiny budynków obok starej latarni. Solidne wapienne mury wciąż stały niczym pusta skorupa, ale okien i drzwi już od dawna nie było. Nikt się tam nie ukrywał.

Fredrik zadawał sobie pytanie, czy rzeczywiście to Rickard Traneus przypląnął na wyspę łodzią, która leżała na plaży. Może było inne wytłumaczenie. A jeśli to Rickard, istniało duże prawdopodobieństwo, że już odkrył ich obecność. Jak zareaguje? Czy uzna ich za zagrożenie?

Gdyby to on ukrywał się na wyspie, nie zostałby w latarni, zrozumiałby, że go szukają. Poruszałby się po wyspie, pozostawał w ukryciu, wykorzystując zarośla i skały do wyprowadzenia ich w pole. Nie należało jednak zakładać, że Rickard Traneus myśli tak samo jak on.

Fredrik podbiegł do kolejnych ruin. Były w znacznie gorszym stanie niż poprzednie – naroża się zawaliły, a kamień uległ erozji.

Zatrzymał się i rzucił szybkie spojrzenie za siebie, w kierunku latarni. Po jego stronie nie było żadnego okna. Jeśli Rickard Traneus nadal znajdował

się w środku, nie mógł go zobaczyć. Fredrik szybkim krokiem okrążył ruiny, zaglądając przez puste otwory okienne. Tam też nikogo nie było.

Pobiegł z powrotem, starając się poruszać tak, by pozostać niewidocznym. Dołączył do Sary.

– Myślę, że jest w środku. Chyba że udało mu się nas oszukać.

– Nie możemy tam wejść – powiedziała Sara.

– To prawda – zgodził się Fredrik.

Miała rację. To było zbyt niebezpieczne, a nie mieli powodu niezwłocznie tam wchodzić. W latarni był uwięziony. Mogli go przeczekać.

– Mam zadzwonić? – zapytała.

– Możemy spróbować najpierw nawiązać kontakt.

Sara zrobiła niepewną minę, ale nie zaprotestowała, kiedy Fredrik zrobił kilka kroków w prawo i stanął przed drzwiami. Uniósł rękę i mocno zapukał trzy razy.

– Rickard?

Odczekał kilka sekund.

– Rickard? Jesteś tam?

Nie było odpowiedzi, tylko szum wiatru.

– Rickard – spróbował znowu. – Znasz nas. Spotkaliśmy się u ciebie. Tu Fredrik Broman i Sara Oskarsson z policji w Visby.

We wnętrzu latarni panowała cisza. A przynajmniej nie dobiegały z niej żadne dźwięki, które byłyby głośniejsze niż wiatr.

– Może nie słyszy – powiedziała Sara. – Leży tam upalony i słucha muzyki na iPodzie.

– Upalony, znokautowany po wódce i pigułkach czy co tam jeszcze – dodał Fredrik.

– Możemy spróbować otworzyć drzwi, tylko po to, by lepiej słyszeć – podsunęła Sara.

To chyba nie jest ryzykowne, pomyślał Fredrik. Jeśli był w środku, nie stał raczej po drugiej stronie drzwi, gotowy do ataku, tylko przycałił się na jak najwyższym piętrze.

– Okej – odpowiedział.

Ostrożnie sprawdził drzwi. Coś je blokowało, ale lekko ustąpiły.

– Rickard! – krzyknął. – Zamierzam otworzyć drzwi, abyś nas lepiej słyszał. Nie wejdziemy do środka. Okej?

– Brzmisz jak wilk z Czerwonego Kapturka – szepnęła Sara.

– Chcesz się zamienić? – syknął.

Pokręciła głową. Fredrik wsunął stopę między drzwi a framugę. Sara wyciągnęła pistolet i przyłgnęła do ściany. Dał jej znak, by zachowała spokój, i mocno napał stopą na drzwi, ale ich nie kopnął. Po drugiej stronie było słychać zgrzyt, coś się przesunęło. Chyba kamień. Skoro drzwi zostały zablokowane od wewnątrz, w latarni ktoś był.

Drzwi otworzyły się na kilkadziesiąt centymetrów. Sara i Fredrik odskoczyli.

– Rickard. Chcę, abys odpowiedział. Nie pójdziemy stąd, dopóki nam nie odpowiesz.

Cisza. Drzwi poruszały się lekko w przeciagu, tam i z powrotem.

– Rickard. Nazywam się Fredrik Broman i jestem z policji w Visby. Już się kiedyś spotkaliśmy. Towarzyszy mi Sara Oskarsson, którą też poznałeś. Już wiesz, kim jesteśmy, więc odpowiedz.

Może nie żyje, przemknęło mu przez głowę. Czyżby Rickard przybył tu, żeby ze sobą skończyć? Zaszyć się w jakiejś norze jak zwierzę i połknąć cały słoiczek tabletek?

– Tak – dobiegło słabe echo ze środka.

Fredrik spojrzał na Sarę stojącą za drzwiami. Mówiący musiał być jedno lub więcej pięter nad nimi.

– To ty, Rickard?

– Tak – odpowiedział głos po krótkiej przerwie.

Tym razem zabrzmiał nieco mocniej.

Sara wsunęła pistolet z powrotem do kabury, podniosła telefon komórkowy, żeby Fredrik mógł go zobaczyć, i wskazała nim przez ramię. Fredrik odpowiedział skinieniem. Wyciągnął swój pistolet i czekał przy drzwiach. Sara odeszła kilka metrów i uklękła przy cementowej ścianie, żeby wiatr nie przerwał rozmowy. Była blada, ale w swojej granatowej parce chyba nie marzła. Rozmawiała przez jakąś minutę, a potem wróciła.

– Wyślą ludzi – szepnęła prawie bezgłośnie, wykonując wyraźne, powolne ruchy ustami.

Od wiatru z kącika jej oka spłynęła łza. Sara otarła ją palcem wskazującym.

Fredrik zbliżył się do drzwi.

– Jesteś tam sam? – zapytał przez szczelinę.

– Tak.

– Jak się tu dostałeś?

– Łodzią.

No co ty powiesz, pomyślał Fredrik. Stanie przy drzwiach i krzyczenie nie było wygodne. Schował pistolet w kaburze i stanął na środku. Kiedy już było wiadomo, że Rickarda nie ma na dole, nie musiał go trzymać w gotowości.

– Tą, która leży na plaży? – zapytał.

Złapał framugę drzwi, poczuł pod palcami sęki drewna i zagłębienia w bardziej miękkich częściach, wyżłobione przez wiatr i deszcz.

– Tak. Po nią tu przyплыnęliście? – zapytał Rickard Traneus.

Fredrik mimo woli zareagował uśmiechem. Rickard na pewno wiedział, że nie przybyli po skradziony silnik zaburtowy, ale może się łudził. Chwytał się brzytwy. Uśmiech zeszywniał i znikł.

– Nie. Z łodzią jakoś to załatwimy. Myślę, że wiesz, dlaczego tu jesteśmy.

Nie padła żadna odpowiedź, ale ściśle rzecz biorąc, nie było też pytania.

– Jak się czujesz? – zapytał Fredrik.

– Nie wiem. Jest mi zimno. Trudno myśleć, kiedy się marznie.

– Masz coś do jedzenia?

– Tak, mam. Czego chcecie?

– Musimy z tobą porozmawiać. Chcielibyśmy, abyś poszedł z nami. Usiądziemy i spokojnie porozmawiamy.

Rickard nie odpowiedział, ale atmosfera była gęsta, jakby się namyślał. Rozległo się donośne skrzypnięcie deski podłogowej i Fredrik odruchowo przesunął się kawałek w bok.

– O czym niby mielibyśmy rozmawiać? – zapytał Rickard Traneus.

Jego głos był niepewny, jakby skierowany do wewnątrz.

– Najlepiej będzie, jeśli porozmawiamy spokojnie, zamiast tu stać i krzyczeć.

Fredrik musiał mówić coraz głośniej, a przynajmniej tak mu się wydawało. Nie potrafił stwierdzić, czy wiatr się wzmógł, czy zmienił kierunek. Spojrzał w stronę przylądka i pomostu. Łódź Everta Södermana poruszała się i szarpała cumy. Czy kiedy pół godziny wcześniej stamtąd odchodzili, wyglądało to tak samo?

– O czym porozmawiamy? – nie dawał za wygraną Rickard Traneus.

W jego głosie była teraz nuta irytacji. Fredrik spojrzał na Sarę, a potem odparł:

– Sądzimy, że mógłbyś nam coś powiedzieć na temat zabójstw twoich rodziców. Coś, o czym wiesz tylko ty i co mogłoby wyjaśnić, co ich spotkało.

Uważamy, że tylko ty możesz to dla nas rozwiązać.

Zapadła cisza, podłoga skrzypnęła kilka razy. Z każdym krokiem spomiędzy desek stropowych sypał się kurz. W słabym świetle padającym od strony drzwi Fredrik widział, jak drobinki wolno opadają na posadzkę. Rickard znajdował się zatem piętro wyżej.

– Teraz rozmawiamy – odpowiedział. – Dlaczego nie możemy nadal rozmawiać tutaj?

Fredrik zrobił krótką pauzę, żeby stworzyć wrażenie, że rozważa propozycję Rickarda.

– Czy nie byłoby lepiej i wygodniej wrócić na ląd i wejść do jakiegoś budynku, gdzie jest sucho i ciepło? Będziesz mógł się wyspać, coś zjeść. A potem porozmawiamy.

– Nie mogę spać – padła szybka odpowiedź.

– Załatwimy lekarza. Może potrzebujesz jakichś leków.

Tym razem cisza zapadła na dłużej. Fredrik był prawie pewny, że wkrótce usłyszy kroki na schodach, ale po chwili znów padło pytanie:

– Nie możemy porozmawiać tutaj?

– Ale...

Sara zatrzymała Fredrika, kładąc mu dłoń na ramieniu. Umilkł, a potem zrobił zapraszający gest ręką.

– Jesteś pewny? – wyszeptała Sara.

– Tak, myślę, że to może pomóc. Spróbuj – odpowiedział szeptem.

Fredrik odsunął się w bok, zostawiając Sarze miejsce w drzwiach.

– Cześć, Rickard – zaczęła. – Mówi Sara Oskarsson. Poznaliśmy się już.

Na chwilę odwróciła wzrok od drzwi i spojrzała na morze, a potem kontynuowała:

– Oczywiście, że możemy porozmawiać w tym miejscu. Nie ma problemu. Jesteś tutaj, my tu jesteśmy i tak jak powiedziałaś, już ze sobą rozmawiamy.

– Okej – padło po chwili. – W takim razie pytajcie.

– Najlepiej by było, gdybyś po prostu opowiedział. Uważamy, że możesz nam pomóc zrozumieć, co się stało.

Znów zapadła cisza. Sara spojrzała na Fredrika, a potem znów na morze.

– Jeśli chcesz, możesz powiedzieć.

Kiedy patrzyła na morze, czuła, że pomaga jej to myśleć, znajdować właściwe słowa.

– Wiesz coś o tym, co spotkało twojego ojca?

– Byłem tam – odparł Rickard Traneus.

Sara i Fredrik szybko wymienili spojrzenia.

– Gdzie? – zapytała.

– W domu.

– W którym domu?

– W tamtym. W Levide – odparł Rickard.

– W domu twoich rodziców w Levide? – upewniła się Sara.

– Tak.

Fredrik marzył w opuszki palców i czuł napięcie skóry na twarzy. Morze było teraz mroczniejsze, szaroniebieskie, obfite w białe, spienione fale.

Rickard znów umilkł.

– Co się wydarzyło w tamtym domu? – ponagliła Sara.

– Nic...

Znów na siebie spojrzeli. Fredrik zrobił minę sugerującą rezygnację. Zastanawiał się, ile jeszcze potrwa, zanim pojawią się posiłki. Przypląną czy przylecą? Chyba wiatr był zbyt silny na helikopter? Nie, jeszcze sporo brakowało.

– To znaczy... – nagle podjął Rickard – słyszałem, jak o tym rozmawiali.

– O czym? – spytała Sara.

– Zabili tatę.

Słowa zostały wypowiedziane wyraźnie i dobitnie, bez wahania.

– Kto go zabił?

– Mama i Anders.

Fredrik poczuł przyspieszone bicie serca. Spojrzał na Sarę, ale cała jej uwaga była skupiona na otworze w drzwiach i Rickardzie.

– Słyszałeś, jak to mówili?

– Wiem, że to on ją do tego zmusił.

– Kto?

– On. Anders.

Pytania Sary posuwały historię Rickarda do przodu, kawałek po kawałku. Niepostrzeżenie dla niego rozmowa zmieniła się w przesłuchanie. A może Rickard po prostu wolał pytania.

– Wiesz, jak do tego doszło?

– Wiem, że ją namówił. W jakiś sposób sprawił, że to zrobiła.

– Wiesz jak? – zapytała Sara.

– Mama nigdy nie zrobiłaby krzywdy tacie. To on...

– O czym rozmawiali?

Rickard nie odpowiedział. Drzwi poruszyły się na wietrze i prawie zamknęły. Sara musiała je przytrzymać ręką. Była w połowie za progiem.

– Powiedziała to?

Z wnętrza latarni w dalszym ciągu nie dobiegał żaden dźwięk. Sara po raz kolejny odwróciła się do morza, nie patrząc na Fredrika. Wiatr szarpał luźnymi kosmykami włosów przy jej czole. Na wschodzie nowa latarnia stała nieruchoma, nieczuła, na tle nieba i morza wyglądała jak biała kreska.

– Rickard, jakie słowa mamy usłyszałeś? Czy oskarżyła Andersa, że ją do tego doprowadził? – spytała Sara, zwracając się w kierunku drzwi.

– Wiem to.

Tym razem wypadła jej kolej, by na chwilę zamilknąć.

– Powiedz, co dokładnie usłyszałeś – powiedziała w końcu. – Od tego zacznij. Powtórz dokładnie ich słowa, na tyle, na ile je pamiętasz. Nic więcej.

Zadała cios tylną stroną toporka o krótkim trzonku. Trzykrotnie. Za każdym razem czuła ból policzka i skroni – tam, gdzie ją wcześniej uderzył.

Dlaczego bił? Znów to idiotyczne, oklepane pytanie. Już dawno się nauczyła, że nie ma sensu go zadawać. Bił ją, bo tak. Powody miał w sobie. Był nimi wypełniony.

Kiedy leżała w łóżku, z odrętwiałą i pulsującą od uderzeń głową, nagle zrozumiała, dlaczego pobił ją tym razem. Myślał o kobiecie, z którą był w Tokio. Kristina przypuszczała, że taka kobieta istnieje, była prawie pewna. Nie przeszkadzało jej to. Cieszyła się, że jego uwaga jest skupiona na kimś innym. To o niej myślał. O tym, że przez rok, a może dłużej miał kochankę – kobietę, o której istnieniu żona nie miała pojęcia. Myśl, która zaraz potem rozkwitła w jego głowie, była taka, że jeśli on w sekrecie miał kochankę po drugiej stronie globu, to również jego żona... mogłaby... daleko poza zasięgiem jego kontroli...

Nie domyślił się, nie wywęszył Andersa. To jego własna wina, własny brud barwiły mu myśli.

Policzek i skroń pulsowały, głowa była rozpalona, a zaraz po niej całe ciało. Ogarnęła ją gorąca fala nienawiści i wściekłości. Miała na to tyle lat. Mogła już być daleko stąd.

Nie udało się jednak. Dopiero kiedy ostatnia drobina miłości została zużyta, stało się to możliwe. Nic nie zostało. Nie było miłości, która by ją powstrzymywała. Mogła się uwolnić.

Wstała z łóżka i na bosaka poszła do garażu.

Ani dnia, ani minuty dłużej.

Natychmiast zobaczyła siekierkę. Wyglądała na nieużywaną.

Trzonek z jasnego drewna, z końcówką pomalowaną na czerwono, ani jednej rysy. Błyszczące ostrze pod skórzanym ochraniaczem było ostre jak brzytwa. Straszliwie ostre. Z powrotem założyła mały skórzany pokrowiec i zawiązała sznurek, który utrzymywał go w miejscu.

Na palcach wróciła do domu, bezszelestnie zeszła po schodach.

On leżał w wannie, swojej japońskiej wannie, odwrócony do ściany. Zwykle się w niej wylegiwał po ruchaniu i biciu. Pod głowę podłożył zło-

żony ręcznik i oparł kark o kamienny kant wanny.

Nie słyszał, że weszła. Dopiero kiedy była już przy nim, zareagował i powoli się odwrócił.

Biła pełna wściekłości. Biła po to, by się uwolnić. Ale i po to, by ukarać. Chciała ukarać samą siebie za minione lata.

Trzy uderzenia. W linii prostej od góry, z całej siły. Tak mocno, jak potrafiła. Trzy uderzenia. Poszło tak szybko, że nie zauważyła, iż już po pierwszym był martwy.

Szyby drżały, gdy podmuchy wiatru biły o wieżę. W środku było zimno, jego zdaniem zimniej, niż powinno, jakby powietrze zbyt długo stało nieruchomo w środku. Zatechłe, martwe powietrze. Zimniejsze, niż powinno być.

Zdawał sobie sprawę, że nie zostanie tu do końca dnia. Na dole, tuż przy otwartych drzwiach, stali policjanci. Jakby tuż przy nim. Kiedy wykrzykiwali pytania, prawie czuł ich oddech.

Nie rozumiał, dlaczego po prostu nie wejdą i go nie zabiorą. Czy nie tak postępuje policja? Może nie taka. Są chyba od tego specjalne jednostki. Które nie zadają żadnych pytań, tylko wchodzą i zabierają. Może były już w drodze. Chyba że ci dwoje zamierzali tak stać całą noc. Oni na dole, on na górze. Nawet nie zapytali, czy mogą wejść. Był z tego zadowolony. Nie chciał, by wchodzili. Prędzej czy później, w taki czy inny sposób, będzie musiał to zakończyć. Miał tego świadomość. Najpierw jednak musiał mieć możliwość wyjaśnienia. Zaczął, próbował, ale odniósł wrażenie, że oni nie bardzo chcą słuchać. Mógł wytłumaczyć, jak to wszystko było ze sobą powiązane, jak jedno wynikało z drugiego, ale wyglądało na to, że kontekst ich nie interesuje.

– Czyli twój tata leżał w wannie w piwnicy? – usłyszał odbijający się echem od ścian latarni głos Sary Oskarsson.

– Tak – odpowiedział. – Leżał w wannie. Tam został zabity.

Stał na ganku i układał sobie wszystko w głowie. Tyle tylko, że to nie było opowiadanie, a oni najwyraźniej tego nie rozumieli. Tylko on mógł to pojąć, bo był kim był i słyszał co słyszał, właśnie tam – w domu rodzinnym w Levide. Dorastał ze Stefanią, Elin, rodzicami i kuzynem taty, który został kopnięty przez konia i zmarł. Dorastał z wyspą i Przygodą. Mógł sprawić, że wszystko się ze sobą połączy. Jednak stojący na dole policjanci dopiero przed trzema tygodniami po raz pierwszy usłyszeli o nim i o jego rodzinie.

Uparcie zadawali niewłaściwe pytania.

Krew. Do końca życia będzie jej się śniła krew. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że będzie widziała coś oprócz krwi, bez względu na to, czy jej oczy będą otwarte, czy zamknięte. Czy będzie spała, czy nie.

Stała na najwyższym stopniu schodów do piwnicy. Bolały ją ramiona i prawa dłoń, jakby złapał ją skurcz. Czy nie była spuchnięta w porównaniu z lewą?

Jak coś, co kilka godzin wcześniej było niczym wybawienie, teraz mogło się wydawać końcem wszystkiego? „Kim jestem?” – zadawała sobie oskarżycielskie pytanie, bo nie wykorzystała szansy na odmienienie swojego życia, bo lepiej nie spożytkowała okazji, którą los dał jej do ręki.

Kim jednak była teraz?

Kiedy uniosła toporek, żeby uderzyć, była taka silna. Otrzymała prawo, by to zrobić. Była niesiona przez coś potężniejszego niż ona sama. Silna. Zamierzała się uwolnić. Nie było niepewności.

Teraz wszystko minęło, zniknęło. Próbowwała się uczepić myśli, że mimo wszystko miała coś w rodzaju prawa. Sam zbierał powody, by zginąć. Dzień po dniu, rok po roku, napinał coś w jej wnętrzu do granicy wytrzymałości. Aż w końcu pękło. Chciała tak myśleć, ale to nie było łatwe. Chciała myśleć, że to przez niego, nie przez nią.

Kiedy Anders przyjechał, początkowo chodzili wokół siebie jak zwierzęta w klatce, nie umiając powiedzieć sobie nic zrozumiałego. Krążyli, stąpali, sięgali do siebie, ale w druzgocącej powadze chwili nie było miejsca na czułość.

Po ponad godzinie Anders kazał jej wejść do sypialni i się tam zamknąć. Nie potrafiła, chciała wiedzieć, wczepiła się w niego. Nagle okazało się, że jest w stanie go dotknąć. Anders się oswobodził, wepchnął ją do sypialni.

„Lepiej, żebyś nic nie wiedziała” – oznajmił. A potem zamknął drzwi. „Zostaniesz tutaj” – powiedział.

Siedziała na skraju łóżka, słyszała, jak wchodzi i schodzi po schodach, a potem idzie do garażu. Niewiele więcej. Mimo to siedziała w napięciu i nasłuchiwała. Nie chciała, ale nie potrafiła zrobić nic innego.

Siedziała na łóżku, na którym zaledwie kilka godzin wcześniej wziął ją Arvid. Na którym ją bił. Ta sama dłoń, która dotykała jej miejsc intymnych, uderzyła ją prosto w kość policzkową. Uderzył wierzchem dłoni. Chyba uszkodził sobie rękę, bo następny cios zadał zaciśniętą pięścią. W skroń, jeszcze mocniej, jakby ból dłoni także był jej winą i dołożył się do tego, co go nakreśliło.

Wziął ją mocno i nagle, jakby bardziej pod wpływem przymusu niż pożądania. Stosunek był równie niezrozumiały jak późniejsze ciosy. Nie poczuła nawet najłżejszego dreszczu. Wszystko się skończyło. Dawniej pożądała go bardziej niż czegokolwiek na świecie. Była gotowa zrobić wszystko, byle tylko go mieć, dotknąć znów tego ciała, jeszcze jeden raz. Miękkły jej kolana, czuła zawroty głowy, zatracala się, była gotowa na wszystko. A teraz nic już z tego nie pozostało, nawet odległe echo. Nawet myśli na ten temat były obce.

Nie miała pojęcia, ile czasu minęło, zanim Anders otworzył drzwi. Patrzyła na niego, gapiała się wielkimi, przerażonymi oczami. „Lepiej, żebyś nic nie wiedziała”, powtórzył znowu. Powiedział, że odjedzie i tego dnia już nie wróci. Że najlepiej będzie, jeśli przez jakiś czas nie będą się widywać ani utrzymywać kontaktu.

Pozostawało jednak jeszcze coś. Musiała posprzątać. Anders wziął na siebie najgorsze, ale ona musiała zejść na dół i wszystko zetrzeć. Całe pomieszczenie należało wyszorować najsilniejszymi środkami czyszczącymi. Milimetr po milimetrze. Nie mogła używać rzeczy, z których korzystała sprzątaczką. Po skończeniu pracy musiała spalić szczotkę, ścierkę, wszystko, czego użyła. Wsadzić do kotła i podkręcić go na noc.

„Damy radę” – powiedział.

Nie uwierzyła mu. Będą szukać Arvida. Znajdą go.

„Nie” – przekonywał. „Zaufaj mi”.

Odkryją ich, dowiedzą się, jak to było z nią i Andersem.

„Niech odkryją” – odparł. „Damy radę”.

Sara poczuła, że jej głos zaczyna być ochryply. Już długo stała i krzyczała do wnętrza latarni morskiej, a wiatr przez cały ten czas smagał prawą stronę jej twarzy. Nie mogła stracić głosu. Teraz, kiedy wreszcie zaczęli do czegoś dochodzić, nie mogło się okazać, że wszystko spaliło na panewce, bo jej głos postanowił zastrajkować.

Fredrik stał przy drzwiach, oparty o latarnię. Wydawał się przemarznięty na kość. Wyciągnął notatnik i zeszytymi palcami zapisywał to, co Rickard Traneus mówił w odpowiedzi na pytania Sary. Jego słowa brzmiały logicznie, ale zarazem dziwnie. Musiało to być najdziwniejsze przesłuchanie, jakie kiedykolwiek przeprowadziła.

Wiele się działo w głowie Rickarda Traneusa. Nie chciała za bardzo nim sterować, ryzykować, że się zatnie i nie powie nic więcej. Musieli go skłonić do opuszczenia latarni albo wejść do środka i go wyprowadzić. Czy wyjdzie sam z siebie, kiedy już powie to, co miał do powiedzenia? A może będzie stawiał opór? Czy był uzbrojony?

– Poszedłeś do nich? Wszedłeś do domu czy stałeś tam i słuchałeś? – krzyknęła nieco ochryple.

Jej struny głosowe wydawały się suche i nieposłuszne.

– Zabili go – dobiegł z góry słaby głos Rickarda Traneusa.

Ledwo go słyszała, ale nie zawołała, by mówił głośniejsze, tylko mocniej się wychyliła przez drzwi. Kiedy postawiła stopę na progu, Fredrik posłał jej czujne spojrzenie. Machnęła ręką.

– Rozumiem – powiedziała.

Domyślała się, jaki będzie ciąg dalszy. Najchętniej by go nie słyszała. Czowała żal, że on go nie uniknął. Nikt nie powinien cierpieć w ten sposób. Nikt nie powinien w ten sposób cierpieć z własnej winy. Jaka przyszłość czekała Rickarda Traneusa? Co będzie robił, kiedy odsiedzi wyrok? Nie było na świecie kary, która pozwoliłaby odpokutować taką zbrodnię. Przy najmniej w oczach świata, ale przede wszystkim we własnych. Już zawsze będzie to w sobie nosił. Nie uważał, że to jego wina, ale i tak będzie musiał to dźwigać.

– Wszedłeś do nich. Prawda, Rickard?

Mocno ścisnął w prawej dłoni ciężkie ostrze. Czuł, jak stalowe krawędzie przecinają grubą skórę rękawiczki. Słuchał i rozumiał.

Kiedy ostatni element układanki trafił na swoje miejsce, nic już nie mogło go powstrzymać. Był przepełniony tylko jedną myślą. Ten człowiek zginie. Człowiek, który chodził po domu taty, jakby już zajął jego miejsce. Nigdy nie słyszał niczego bardziej odrażającego, nie spotkał się z czymś bardziej ohydny. On nie był człowiekiem. Był zwierzęciem. Wężem.

Nie było żadnego namysłu. Kiedy zrozumiał, wszystko się zmieniło w ciągu sekundy. Gniew szalał w jego wnętrzu niczym fala ognia.

Wybiegł ze swojej kryjówki z ostrzem w uniesionej prawej dłoni. Natychmiast go zobaczył. Wyglądał śmiesznie zwyczajnie. Mężczyzna jak każdy inny. Kiedy jednak spojrział mu w oczy, nie było żadnych wątpliwości. Zobaczył w nich strach i poczucie winy, a przede wszystkim świadomość. Anders Traneus wiedział, że to koniec, nadchodzi jego kara i tak właśnie powinno być.

Rickard wrzeszczał na niego, wydawał dźwięk, w którym było tyle samo cierpienia co gniewu. Uniósł ostrze nad głowę, wymierzył cios. Pokój zawibrował, rozmył się, ale Anders pozostał wyraźny, w centrum jego pola widzenia. Nie mógł się doczekać, aż wbije mu metal w szyję, ugodzi go w widoczną w rozpięciu koszuli klatkę piersiową, zgasi jego życie.

Uderzył. Opuścił ostrze.

Znalazła się tam, z wyciągniętymi rękami, nie po to, by bronić siebie, lecz by osłonić jego, jak tarcza.

– Rickard! Nie!

Te słowa przesywały go, krzyczały w jego wnętrzu. Było jednak za późno. Ostrze opadło. Szybko, ciężko i z wielką siłą. Wycięło głęboką ranę w jej piersi.

Wpatrywał się w czerwone rozcięcie, widział, że ugięły się pod nią nogi, usiadła na krawędzi sofy i osunęła się na podłogę. Nie panując nad sobą, odwrócił się w stronę Andersa. Przewrócił stół i zapędził mężczyznę w róg pokoju. Anders się wycofywał, tchórzliwie go błagając i wywracając po drodze meble.

Pierwsze uderzenie przecięło ścięgna i żyły tuż poniżej dłoni, które wznosił ku niemu w błagalnym geście, a może tylko chcąc się obronić.

Zdziwiony, patrzył na to, co spowodował: na krew pulsującą z rozciętych rąk, na dłonie, które luźno opadły, bo nie było już mięśni i ścięgien. To go jednak nie powstrzymało. Czuł, że jest rozpalony, że gotuje się w nim ze złości, nienawiści i rozpacz. Ale nie tylko uczucia go napędzały. Wykroczył poza nie. To płonąca pierwotna siła sprawiała, że wymachiwał ciężkim i ostrym kawałkiem metalu, który trzymał w ręce. Siła, która unicestwiała i wskrzeszała, miała zaprowadzić porządek i sprawić, że świat znów stanie się całością.

Drugi cios padł wzdłuż nasady nosa. Stal przecięła kości, łamiąc je i wylupując krwawe oczy. Z całej siły uderzył po raz trzeci, ramieniem wyciągniętym przed siebie i ku dołowi, a stal przecięła klatkę piersiową. Nie napotykając żadnego oporu, przeszywała kości i chrząstki. Przez pół sekundy, które zajęło mu wyciągnięcie ramienia do tyłu i w prawo, widział w rozcięciu serce, które z wysiłkiem wykonywało ostatnie, mocne uderzenia w jeszcze nieuszkodzonym szaroniebieskim worku.

Zrobił pół kroku w tył i zamachnął się po raz czwarty, a ostrze przecięło gardło i tętnice po obu stronach szyi. Głowa odchyliła się zaskakującym, groteskowym ruchem, zostawiając szeroką szczelinę, przez którą krew zaczęła tryskać obfitymi, ale coraz słabszymi strumieniami.

Ciało pozbawione życia leżało przed nim na podłodze, ale się nie zatrzymał. Uniósł i opuścił ostrze po raz piąty, szósty, siódmy...

Fale tłukły z hukiem o skalistą zachodnią stronę wyspy. Powietrze było bardziej wilgotne, a chmury gęstsze i niżej zawieszane, ale jeszcze nie padało.

Fredrik rozmyślał o elementach, które wreszcie trafiły na swoje miejsca. Kristina Traneus zabiła męża, kochanek go zakopał, a syn zemścił się na kochanku i matce. Na niej być może nieумыślnie. A Leo Ringvall? Z pewnością zjawił się w gospodarstwie, węszył, zaglądał przez okna, może nawet zobaczył zmasakrowane ciała. Nie miał jednak nic wspólnego z tym, co się stało. Był tylko jedną z wielu osób, które nie płakały na pogrzebie Arvida Traneusa.

Posiłki kazały na siebie czekać. Fredrik sprawdził telefon, żeby się upewnić, że nie przegapił żadnego połączenia. Odkąd zadzwoniła Sara, minęło półtorej godziny.

Można było zażądać helikoptera z kontynentu, ale przy takiej pogodzie może nie dałoby się przelecieć nad morzem. Fredrik nie potrafił tego ocenić z miejsca, w którym się znajdował. Prawdopodobniejsza była straż przybrzeżna w Slite. Jeśli koledzy wybrali tę drogę, w każdej chwili mogli się ukazać na północy.

Anita Södermana na zmianę opadała i podnosiła się na coraz wyższych falach. Opony na kadłubie ocierały się o krawędź pomostu. Nie wyglądało to dobrze.

– Rickard! – krzyknęła Sara. – Nie możesz tu zostać. Pogoda naprawdę się psuje. Nie wiem, jak długo jeszcze łódź może tutaj być.

Głos Sary brzmiał kiepsko, gdy wyduszała z siebie słowa zmaltretowanymi strunami głosowymi.

– Tak – odpowiedział Rickard.

Czy to była odpowiedź, czy pytanie? Brzmiało jak odpowiedź.

– Zejdiesz, żebyśmy mogli odpłynąć? – krzyknęła Sara.

Rickard Traneus poruszał się na górze. Nie było już słycać skrzypienia desek, ale widzieli spadający z każdym krokiem kurz. Fredrik przez chwilę myślał, że mężczyzna schodzi.

– A co potem? – zapytał.

– Wyjdiesz z latarni i popłyniemy łodzią rybacką z powrotem do Her-
rvik.

– Chodzi mi o to, co się stanie.

Sara była zmęczona i zmarznięta, jej głos był do niczego. Chciała już tylko wyprowadzić Rickarda.

– Pojedziesz z nami do Visby – wyjaśniła. – Przyznałeś się do zabicia Andersa i spowodowania śmierci matki, więc na początku zostaniesz za-
trzymany jako podejrzany o zabójstwo...

Przerwała i wymieniła spojrzenia z Fredrikiem.

– Oraz nieumyślne spowodowanie śmierci – dokończyła.

Wiedziała, że Peter Klint będzie się domagał uznania również drugiej
sprawy za zabójstwo, ale w tej chwili taka odpowiedź wydawała jej się wła-
ściwa.

– Czy masz jakieś pytania?

Po długiej ciszy padła odpowiedź:

– Nie.

– Dobrze, Rickard. Zejdiesz?

Nie odpowiedział. Nie spadał żaden kurz. Sara spojrzała pytająco i z
lekką rezygnacją na Fredrika. Zimny, pełen wilgoci wiatr szarpał ich ubra-
niami. Z wnętrza latarni dobiegał słaby gwizd wiatru wpadającego przez
uchylone drzwi i wstępującego ku górze starej kamiennej latarni.

– Zejdiesz? – krzyknęła znowu Sara.

Żadna odpowiedź nie padła, ale zobaczyli kurz. Chwilę później na scho-
dach ukazały się jego stopy.

Fredrik stał dalej przy framudze drzwi, żeby widzieć Rickarda. Sara ustą-
piła w bok i stanęła poza zasięgiem wzroku, z wyciągniętą bronią. Fredrik
schował swój pistolet do kabury.

Rickard Traneus wolno schodził po schodach. Miał na sobie czarne
spodnie i czerwono-białą wiatrówkę. Ręce trzymał wzdłuż tułowia. Kiedy
był już na tyle blisko, że mogli nawiązać kontakt wzrokowy, przez kilka se-
kund patrzył Fredrikowi w oczy, a potem wbił spojrzenie w posadzkę. Po-
szedł prosto do drzwi, a Fredrik kawałek się cofnął.

– Wyjdź za drzwi i zatrzymaj się przy tym kamieniu – polecił Fredrik,
wskazując okrągły płaski głaz, który wystawał z trawy przed latarnią.

Rickard Traneus ostrożnie przestąpił wysoki próg i wypełnił polecenie.
Fredrik stanął za nim i chwycił jego lewy nadgarstek

– Założę ci kajdanki i cię przeszukam – poinformował Rickarda, a on tylko skinął głową.

Szybko założył Rickardowi kajdanki, a gdy skończył, Sara schowała pistolet do kabury i podeszła do nich.

– Dobrze, że wyszedłeś – oznajmiła. – Możemy ruszać.

Rickard odwrócił głowę w stronę Sary i na nią spojrzał, ale nic nie powiedział. Fredrik przesunął ręce po jego nogach, plecach i bokach brzucha. W jednej z kieszeni wiatrówki znalazł szwajcarski scyzoryk i zarekwirował go.

– No to idziemy. Za piętnaście minut powinniśmy dotrzeć do łodzi.

Sara i Fredrik prowadzili Rickarda Traneusa między sobą, Fredrik mocnym chwytem trzymał go za ramię. Kiedy schodzili ze zbocza, Fredrik patrzył w kierunku północnym. Spodziewał się, że na szarym morzu zobaczy niebieską jednostkę straży przybrzeżnej, ale w dalszym ciągu nic tam nie było.

Odkąd wyszli z latarni, Rickard Traneus nawet nie pisnął. Fredrik mimo woli się zastanawiał, o czym myśli. Czuł ulgę, że wszystko się skończyło, czy może dla niego to nie był koniec? Czy tak samo jak jeszcze chwilę wcześniej był więźniem w piekle śmierci i poczucia winy? Czy patrzył na tę szarą, ciężką od deszczu niepogodę i myślał, że w tym świecie nie ma już dla niego miejsca? Czy kiedykolwiek sądził, że ujdzie mu to na sucho? Co zrobiłby ze swoim życiem, gdyby nikt go nie podejrzewał, a ciało jego ojca nigdy nie zostało znalezione?

– Fredrik! – krzyknęła Sara i wskazała język łądu, na który wysiedli.

Nie musiał pytać, o co jej chodzi. Anita odpływała, powoli zawracając w kierunku północnym, wysoko unosząc się na falach.

– Nie mógł tu już dłużej zostać – stwierdziła Sara.

– Musimy zawrócić – powiedział Fredrik.

Rickard Traneus niespokojnie przenosił wzrok z jednego na drugie, a Fredrik wyjaśniał, co się stało.

– Za skałami jest zacisznie. Tam może dobić do brzegu.

Miał nadzieję, że tak będzie, że wiatr się nie nasili jeszcze bardziej i nie utkną na wyspie.

– Wracamy – zarządził.

Rickard Traneus posłusznie zawrócił i ruszyli w przeciwnym kierunku. Znow szli pod górę. Wspinając się na klif, Fredrik rozmyślał, jak lepiej postąpić: popłynąć łodzią rybacką czy poczekać na swój transport.

– Możesz zadzwonić i zapytać, gdzie są? – zawołał do Sary. – Jeśli gdzieś blisko, to może lepiej się zabrać z nimi.

Jeżeli się okaże, że to potrwa, łódź rybacka mogła być ich ostatnią szansą na wydostanie się z wyspy przed kolejnym załamaniem pogody. Nie uśmiechało mu się spędzanie sztormowej nocy w latarni morskiej, zwłaszcza ze sprawcą dwóch zabójstw.

Sara wyjęła komórkę.

– Pytanie tylko, czy da się coś przez to usłyszeć – odrzyknęła.

Wiatr był jeszcze gorszy. Pochylali się w jego podmuchach. Słowa wypowiedane z normalną głośnością były kompletnie niesłyszalne, chyba że mówiący stał tuż obok.

– Spróbuję, ale może będę musiała wejść do latarni.

Ośloniła komórkę dłonią, żeby choć trochę zwiększyć szanse, że dyżurny usłyszy ją w szalejącym wietrze.

Anita gwałtownie podskakiwała na falach. Wydawało się, że wraca do Herrvik, ale Söderman pewnie próbował zanadto się nie zbliżyć do lądu. Fredrik odwrócił się w kierunku północnym i zmrużył oczy. Czyżby widział coś w oddali? Może fale uderzające o podłoże? Nie, z całą pewnością był to kształt litery V, prujący dziobem spienione szare fale i kierujący się prosto na nich. Statek KBV 181 ze Slite.

– Płyną tu! – krzyknął Fredrik do Sary. – To oni!

Dokładnie w chwili, kiedy wskazał kierunek północny, Rickard Traneus wykonał niespodziewane szarpnięcie. Wyrwał mu się i zaczął biec. W pierwszej chwili Fredrik pomyślał, że ucieka, ale on biegł do miejsca, w którym klif najbardziej stromo opadał ku morzu.

Fredrik popędził za nim.

– Rickard! – krzyczał daremnie prosto na wiatr.

Rickard miał przewagę, ale z rękami na plecach nie mógł biec zbyt szybko, bo straciłby równowagę. Fredrik szybko go dogonił. Słyszał, że Sara jest tuż za nimi. Rickard Traneus się potknął i jakby odskoczył kawałek w przód. Fredrik pomyślał, że runie jak długi w kamienie i trawę, ale podbiegł kawałek i udało mu się utrzymać równowagę. Biegł dalej w stronę zbocza.

Fredrik był coraz bliżej. Tuż przed krawędzią dogonił Rickarda i wyciągnął rękę, żeby go złapać i przewrócić. Chwycił go pod ramię, więc kiedy tamten rzucił się w przepaść i jednocześnie wykonał obrót w powietrzu, nie

miał możliwości go puścić. Rickard zniknął za krawędzią i pociągnął go za sobą.

Spadli z urwiska. Fredrik chwycił Rickarda również lewą ręką i upadli z twarzą przy twarzy. Uderzyli o niebieskawą kamienną płytę, która wystawała pośród drobnych kamyków na plaży. Fredrik miał przed oczami pusty wzrok Rickarda Traneusa.

Upadł i zobaczył samego siebie w łóżku. Widział kobietę w długiej spódnicy, wychodzącą ku niemu z drzwi, które otwierały się na jasny korytarz. W pierwszej chwili obraz wydawał się obcy, ale potem nagle Fredrik zrozumiał, że pochodzi z brytyjskiego serialu, którego tytuł już dawno wywie-trzał mu z pamięci. Był dziewiętnasty wiek, mężczyzna umierał i patrzył tak samo jak on teraz. Kobieta w drzwiach się podwoiła, obraz stracił ostrość, umierający też. Czy to był ostatni obraz, jaki przemknął mu przez głowę? Scena z serialu, której nawet nie warto pamiętać?

Potem nie było już nic.

Göran Eide stał przed drzwiami szpitala Karolinska i palił. Papieros smakował jak gówno i kompletnie nie można było mu się oprzeć.

Kiedy otrzymał wiadomość, co się wydarzyło na Östergarnsholm, wykonał trzy czynności. Po pierwsze: upewnił się, że helikopter pogotowia jest w drodze na wyspę. Po drugie: zlecił Gustavowi, by pojechał do żony Fredrika i poinformował ją o wypadku, a potem wrócił z nią do Visby. I po trzecie: grzecznie poprosił kolegę z prewencji, by pobiegł do Coop Forum i kupił mu paczkę cameli light. To wszystko przed ponad siedmioma godzinami. Kiedy ustalono, że Fredrik zostanie przetransportowany dalej do Karolinska, Göran poleciał do Sztokholmu tym samym samolotem co Ninni.

Nie podobało mu się, że stoi przed drzwiami szpitala i czeka. Palić też właściwie nie lubił. Ale czekał i palił.

Dwa lata wcześniej stał przed drzwiami szpitala w Visby po odwiedzinach w sali kolegi. Rozmyślał wtedy, co poszło nie tak i co może zrobić, by nie stać tak nigdy więcej.

Fredrik Broman został w jakiś sposób pociągnięty przez Rickarda Traneusa, gdy próbował go powstrzymać przed rzuceniem się w przepaść. Obaj spadli z klifu na Östergarnsholm i uderzyli o kamienną płytę. Rickard Traneus na dole, więc zginął na miejscu, a Fredrik na nim. „Leżeli tam jak ofiary na ołtarzu” – wysyczała drżącym głosem Sara, gdy blada jak ściana i przemarznięta na kość wróciła do Visby.

Fredrik odniósł poważne obrażenia. W Visby szybko ocenili sytuację, ustabilizowali jego stan i wysłali go dalej, do Karolinska. Nie było pewne, czy Fredrik przeżyje. Tym razem sytuacja była znacznie poważniejsza niż dwa lata wcześniej. Göran zamknął oczy. Jakim cudem, do diabła, doszło do czegoś takiego? Czy to Fredrik popełnił błąd? Był zbyt nieostrożny lub brawurowy? Albo Sara? Może on sam był winny? A może takie rzeczy po prostu się dzieją?

A, do dupy z tym. Najważniejsze, że Fredrik przeżył.

Göran mocno się zaciągnął papierosem i zauważył, że ktoś otworzył drzwi oddziału. To była Ninni. Podeszła do niego, stawiając krótkie, powolne kroki.

Niewiele myśląc, wyciągnął w jej kierunku paczkę papierosów. Wzięła je bez słowa, wytrząsnęła jednego i pozwoliła Göranowi przypalić. Zanim zdmuchnął zapalniczkę, upewnił się, że jest odpowiedni żar.

Wypalili dwa papierosy prawie do samego filtra, nie zamieniwszy ze sobą ani słowa.

Do trzech dni zwolnienia lekarskiego Sara dorzuciła kilka dni urlopu. Teraz, gdy śledztwo zostało zakończone, nieco dłuższa nieobecność nie robiła już różnicy. Jej interwencja znalazła się w cieniu wydarzeń na wyspie. Zmieniła w coś, co chciała szybko mieć za sobą. Nikt nie zadawał żadnych pytań.

Wydawało jej się, że jest dobrze przygotowana na spotkanie z Fredrikiem – rozmawiała przecież z Göranem i Ninni – kiedy jednak stanęła za drzwiami, kompletnie odebrało jej mowę. Ciało w łóżku było ciężkie i nieobecne, spojrzenie nie znajdowało punktu oparcia. Fredrik był przytomny, a mimo to nieobecny. Gdzie przebywał? Czy w ogóle znajdował się w tym ciele? A może upadek wymazał to, co znała jako Fredrika Bromana, pozostawiając tylko kilka podstawowych resztek oddechu, bicia serca i innych funkcji życiowych? W szpitalu nie mieli na ten temat nic sensownego do powiedzenia.

Trzeba było poczekać i zobaczyć. Brzmiało mętnie, ale mimo wszystko dawało jakąś nadzieję. Chybaby tak nie mówili, gdyby nie mieli podstaw?

Kiedy weszła, w sali była Ninni. Sara zobaczyła, że jej oczy zatrzymały się na twarzy tego nieobecnego mężczyzny. Były pełne rozpacz, ale dostrzegła w nich także coś innego: mimowolne obrzydzenie tym wszystkim. Salą szpitalną, pozornie martwym ciałem, bandażami, kroplówką. Może nie wszystkim, ale najbardziej tym bezwolnym, wiotkim, milczącym, bezbronnym ciałem. Sara widziała to i rozumiała, nie oceniała jej.

Zaproponowała, że chwilę przy nim posiedzi, a Ninni może w tym czasie zejść do kawiarni, wyjść na spacer albo zająć się innymi sprawami. Przez chwilę się martwiła, że była zbyt bezpośrednia, przekroczyła jakąś granicę, ale Ninni przyjęła jej propozycję z pełnym wdzięczności uśmiechem.

Ninni wyszła, zostawiając ją samą w sali z Fredrikiem. Sara przyjrzała się koledze. A może pustej skorupie, która go przypominała. Co miała mu powiedzieć? Co miała zrobić?

Elin Traneus wyglądała z balkonu na szóstym piętrze hotelu Okura. Hotel znajdował się w tokijskim okręgu Minato, kilka przecznic od domu, w którym jej ojciec spędził większą część ostatnich trzech lat życia.

Był początek marca. W Tokio panował chłód i często padał deszcz. Pojawiał się niespodziewanie, był dziwnie bezszelestny i rzadko trwał długo. Po przyjeździe do miasta Elin wysiadła z autobusu na niewłaściwym przystanku. Ciągnęła walizkę na kółkach przez trzy przecznice właśnie w takim deszczu. Nagle z arkadowego pasażu pod jednym z hoteli wyłonił się mężczyzna w mundurze. Podbiegł do niej i wręczył jej prosty parasol z przezroczystej folii. To był taki wspaniały uczynek. Nadal czuła wzruszenie, kiedy sobie o nim przypominała.

Hotel Okura został wybudowany w latach sześćdziesiątych i wystąpił w jednym z filmów o Bondzie. Wyczytała to w broszurze znalezionej w lobby, wielkim jak hangar lotniska. W hotelu mieścił się również bar, w którym serwowano wyśmienite martini dry. Starła się nie spędzać zbyt wiele czasu w ciemnych pokojach, pośród ubranych w garnitury Japończyków w średnim wieku.

Nie sypiała długo. Pierwsze trzy dni spędziła głównie, stojąc na balkonie i patrząc na miasto. Spacerowała także po najbliższej okolicy – brzydkiej i pozbawionej uroku. Mimo dziwnego japońskiego systemu adresów w końcu udało jej się znaleźć budynek, w którym mieszkał jej ojciec. Był to grafitowy anonimowy wieżowiec, w którym mieściło się czterdzieści kilka mieszkań. Oczywiście nie miała żadnego ostatecznego dowodu, że na pewno w nim mieszkał.

Molly przyjechała z nią na pogrzeb na Gotlandię. Elin była jej za to do zgonnie wdzięczna. Sama nie dałaby rady.

Pogrzeb odbył się przed Bożym Narodzeniem w Levide, w tym obcym kościele po niewłaściwej stronie drogi. A raczej pogrzeby. Niektórzy na pewno uważali, że wspólna ceremonia pogrzebowa to coś niestosownego czy wręcz skandalicznego. Dla Elin, bez względu na to, co się wydarzyło, było nie do pomyślenia, by zorganizować to w inny sposób.

Wszyscy troje zostali pochowani razem. Dwoje, którzy leżeli obok siebie w dębowych trumnach z mosiężnymi uchwytami, zamordowali dwoje pozostałych. Jej krewni. Teraz spoczywali razem ze Stefanią. To także może nie był prosty wybór, ale na tym właśnie poprzestali.

Kto właściwie ponosił winę i za co? Nie potrafiła myśleć takimi kategoriami. Teraz już ich nie było, więc jakie to miało znaczenie?

Niebo ciemniało, a w drapaczach chmur rozbłyskały światła. W budynku naprzeciwko hotelu, pod świetlówkami w biurze nadal pracowali ludzie, mężczyźni i kobiety. Stała na balkonie i ich obserwowała, zastanawiając się, czy zamówić coś do pokoju, czy zejść do ciemnego baru.

Hotel Okura był drogi, ale to nie stanowiło problemu. Okazało się, że została dziedziczką małej fortuny. Jedyłą spadkobierczynią. Poza gospodarstwem w Levide, wartym co najmniej cztery miliony, ojciec zostawił jej trzysta dwadzieścia cztery tysiące w gotówce, a do tego akcje i obligacje o wartości około dwóch milionów. Poza tym była jeszcze spółka na wyspie Jersey, z udziałami i opcjami specjalnymi o aktualnej łącznej wartości stu dwunastu milionów koron. Na rachunku zysków ta sama spółka miała równowartość ponad trzech milionów koron w euro.

Kiedy spontanicznie oznajmiła, że najbardziej chciałaby rozdać wszystkie te pieniądze, adwokat wyglądał na wstrząśniętego. Odniosła wrażenie, że przez chwilę rozważał załatwienie dla niej zaświadczenia o tymczasowej niepoczytalności. „Proszę się nad tym zastanowić” – mówił. Pieniądzy znajdujących się w Szwecji i tak nie mogła ruszyć przed zakończeniem procedury spadkowej, a tej nie można było zakończyć, zanim nie zostaną uregulowane ewentualne roszczenia odszkodowawcze. Chcąc ją uspokoić, adwokat pospiesznie dodał, że w takich sprawach szwedzkie sądy nie zasądzą nigdy dużych kwot. Bez względu na majątek winnego. Najwyżej kilkaset tysięcy.

„Proszę się nad tym zastanowić” – powtarzał. Jeśli koniecznie chciała się pozbyć pieniędzy, mogła założyć fundację i je rozdysponować. Wówczas środki byłyby pomnażane, ona zajęłaby się rozdawaniem zwrotów z inwestycji, a gdyby któregoś dnia zmieniła zdanie, nadal miałyby pieniądze.

Nie potrafił zrozumieć, że nie chciała się zająć działalnością charytatywną. Zależało jej tylko na pozbyciu się pieniędzy. Jednak przede wszystkim miała co innego na głowie. A teraz za nie podróżowała. Za pieniądze ojca.

Zaczął padać miarowy, bezgłośny deszcz. Elin zeszła z balkonu, ale zostawiła drzwi otwarte. I tak zaraz przestanie.

Nie miała pewności dlaczego, ale podróż do Tokio była konieczna. Czuła potrzebę, by postać przed anonimowym wieżowcem taty i poczuć, że to wszystko było bez sensu. Nie potrafiłaby wyjaśnić, jak to na nią działało, ale czuła, że jest dobre. On był teraz daleko. Dzieliło ich morze. Inny rodzaj morza.

Za oknem rozległ się głośny, rozziewający krzyk. Wyrzwała na zewnątrz i przed oświetloną fasadą zdążyła dostrzec czarny cień. Po raz pierwszy słyszała ten krzyk poprzedniej nocy, gdy leżała na łóżku od dawna pogodzona z myślą, że nie uda jej się zasnąć. Na dźwięk tego okropnego krzyku drgnęła i usiadła. Wyrzwała przez okno, zastanawiając się, co to takiego. Uparcie wpatrywała się w noc. W końcu je zobaczyła i zrozumiała. Kruki. To właśnie one tak krzyczą, przelatując między drapaczami chmur w Tokio, gdy zapada noc.

Podziękowania

Chciałbym gorąco podziękować Danielowi Åhlénowi z gotlandzkiej policji oraz jej byłemu funkcjonariuszowi Sunemu Jacobssonowi, a także Ingemarowi Thiblinowi, Inger Nenesmo i Evie-Marie Törnström za szczegóły medyczne i techniczne, Annie Herlöfsson, Håkanowi Wallinowi i innym za lokalne szczegóły. Serdeczne podziękowania należą się również Janowi-Erikowi Petterssonowi i Elisabeth Watson Straarup za trafne uwagi.